ZBIORY OŚRODKA KARTA

Nowy Zapis

wrzesień 1983

nr 6

SPIS TREŚCI

1. A może Oni mają rację? 3
2. Rozmowy polskie latem 1983 /fragment powieści/ 6
3. Poemat Urszuli Kozioł 50
4. Abraham M. Rosenthal
Drzewa czyli Powrót do Polski 54
5. Mea culpa 75
6. Wiersze 87
7. Martin Esslin
Gorzki chleb wygnania /Brecht pomiędzy Związkiem Radzieckim a Stanami Zjednoczonymi/ 88
8. Błyszcząca sztuczna ryba 106
9. Poetyka grypsu 111
10. Kronika ŻOKu 114
11. Podziemna książka /zarys historii do lata 1983/ 119
12. Z archiwum listopadowej tradycji 123
13. Materiały o rozwiązaniu Związku Literatów Polskich 126
14. Materiały o rozwiązaniu Zarządu Polskiego PEN-Clubu 137
15. Rakowski jako artysta 143
16. Kronika 146

A MOŻE O N I MAJĄ RACJĘ

Może rzeczywiście upolitycznienie robotniczych postulatów w sierpniu 1980 roku było nonsensem, i przekształcenie "Solidarności" w siłę polityczną zmierzającą do redystrybucji władzy było nonsensem, a rząd nie miał na to nic do zrobienia poza wprowadzeniem stanu wojennego, i tak jak zrobił, to znaczy przy minimalnych stratach ludzkich? Bo gdyby tego nie zrobił, wkroczyliby tu Sowieci, a wówczas straty w ludziach byłyby większe, i późniejsze straty w majątku narodowym i w kulturze byłyby większe. Wobec tego całe podziemie jest nonsensem, i wszystkie formy bojkotu są nonsensem, ponieważ zmierzają do powtórzenia sytuacji roku 1980, która powtórzyć się nie da, i do rozlewu krwi, którego w tych warunkach również uniknąć się nie da. A skoro tak, to nie pozostaje nic innego, jak ratować co się da z tego, co pozostało po kryzysie władzy, i robić co można w nowych związkach zawodowych i stowarzyszeniach twórczych, w PRON-ie i w czym tam jeszcze, i kolaborować z wojskową władzą, bo i tak jest lepsza od partyjnej?

Może mają rację, że dalsze utrzymywanie napięcia w Polsce służy już tylko Reaganowi w jego kampanii o reelekcję, i innym rządom zachodnim, które z poparcia "Solidarności" tworzyły sobie moralne alibi dla pojednawczej skądinąd polityki wobec ZSRR ?

Może trzeba powiedzieć "dosyć" młodzieży, która spala się w namiętnościach politycznych, i którą nienawiść do "czerwonych" może po prostu rozłożyć moralnie, intelektualnie, i zrobić z niej nowe stracone pokolenie podobne do pokolenia po-akowskiego?

Może już dosyć pochodów, kwiatów, łez, strzyżenia paluchami i psich figlów? Może dosyć zaczernianie papieru inwektywami, pogróżkami i skargami?

Ale na to, aby ICH racje uznać, musieliby ją mieć nie tylko co do przeszłości, co do błędów "Solidarności", czy podziemia, i co do własnych decyzji podjętych pod takim czy innym przymusem; musieliby ją mieć także co do przyszłości i przekonać nas, że potrafią wyprowadzić kraj z kryzysu i zapewnić mu prawidłowy rozwój. Jakże jednak mogą to zrobić, skoro kryzys, a raczej upadek polskiej gospodarki jest skutkiem systemu stanowiącego jedyną możliwą podstawę ICH rządów; i jakże mogą zapewnić Polsce prawidłowy rozwój zgodny z jej miejscem w Europie, z jej tradycjami i aspiracjami, skoro właśnie po to zostali przez Moskwę upoważnieni do rządzenia Polską, aby się nie rozwijała tak, jak tego pragnie?

ONI mają rację tylko w jednym: że ZSRR dopóki ma siłę po temu, nie zgodzi się na to, aby w naszym kraju sprawował władzę rząd inny, niż komunistyczny. Dlaczego? - pyta o to wielu ludzi. Pytał o to kiedyś Bolesław Piasecki, pytał Jacek Kuroń, pyta o to dziś Stefan Kisielewski, pytają "realiści" z prawa i z lewa, przekonani, że nieprzydatność ustroju komunistycznego dla Polski oraz obcość, i nieudolność polskiej partii komunistycznej, jest oczywista również dla przywódców ZSRR. Że więc zrozumieją kiedyś, iż prawdziwymi ich sojusznikami w Polsce są "realiści" z prawa, lub z lewa, którzy chcą współpracować z ZSRR, choć odrzucają jego ustrój. Że więc radzieccy przywódcy sami kiedyś usuną komunistów, aby oddać władzę jakimś polskim "realistom": nacjonalistom, socjoliberałom, lub katolikom.

Ale to się nigdy nie stanie.

Nie stanie się, bo ZSRR godzi się z istnieniem odrębnej i odmiennej Polski u swej najniebezpieczniejszej granicy nie po to, by była zasobniejsza, kulturalniejsza i lepiej zarządzana od radzieckich republik, lecz na to, by od nich pod każdym względem niżej stała. Zachodnia granica ZSRR, granica z

Polską jest najniebezpieczniejsza nie dlatego, że siedzą nad nią wrogie potęgi, lecz dlatego, że jest jedyną granicą otwartą. Może sobie w Turcji być jaki chce kapitalizm, czy faszyzm, to nie szkodzi, bo przez granicę turecko-radziecką nawet ptaszek radziecki nie przeleci; mogą sobie Chiny jaką chcą kroczyć drogą, mała stąd szkoda dla radzieckiej fauny, bo nawet radziecka myszka nie pójdzie tam zerknąć i nie wróci z niedozwolonymi wiadomościami; może Finlandia służyć za świadectwo radzieckiej tolerancji dla sąsiadów i pławić się w skandynawskim zbytku, bo nawet rybka z radzieckiego sowchozu nie przepłynie przez jezioro Ładoga, a ci sowieccy prominenci, którzy zwykli spędzać weekendy w fińskich motelach i leśnych schroniskach, sami się nie zgorszą i drugim słowa nie piszną.

Natomiast przez polsko-radziecką granicę i przez terytorium PRL przejeżdża rocznie wiele tysięcy żołnierzy i oficerów radzieckich, ich rodzin, w drodze do wielkich kolonii wojskowych na zachodzie Polski i w NRD. PRL jest jedynym krajem satelickim, który w pewnym stopniu leży wewnątrz ZSRR. Jest też jedynym takim krajem, który na terytorium ZSRR ma swych rodaków, ci zaś przyjmują wizyty krewnych. Skoro Polska musi być inna od radzieckiej Białorusi, radzieckiej Litwy i radzieckiej Ukrainy, skoro już musi - z różnych względów - mieć rodzinne rolnictwo, swobody religijne, szerszą kulturę, a nawet trochę odmienny styl polityczny - to musi być od ZSRR gorsza, aby radziecki obywatel nie mówił: proszę, u nich inaczej, więc lepiej, lecz na odwrót: widzicie, u nich inaczej niż u nas, więc gorzej niż u nas... Nie darmo radziecka propaganda wmawia swoim obywatelom od lat, że braki na radzieckim rynku są spowodowane chronicznymi niedomaganiami polskiej gospodarki, która jest spóźniona na drodze do komunizmu. Póki więc ZSRR kontroluje swe otoczenie, nie tylko nie dopuści do zmian ustrojowych i systemowych w Polsce, ale także będzie w niej siał zamęt i będzie ją obciążał świadczeniami wojskowymi i innymi tak, aby nigdy nie stanęła na nogi. Z radzieckiego punktu widzenia to bardzo dobrze, że rząd znienawidzony i nieudolny; każdy inny będzie stanowił potencjalne niebezpieczeństwo. Ontologicznym celem PRL jako systemu państwowego jest eliminacja alternatyw, a ten cel mogą wypełnić tylko komuniści. Są do tego specjalnie dobrani i wyszkoleni; mają odruch niszczenia wokół siebie wszystkiego co żywe i prawdziwe. O to Rosji chodzi.

Więc ONI - Jaruzelski, Rakowski, Kiszczak, Milewski, Barcikowski - mieliby rację, gdyby mogli, chcieli i potrafili działać dla rzeczywistego dobra Polski, dla dobra Polaków, dla szczęścia tej młodzieży, która teraz spala się i niszczeje w nienawiści do nich. Ale ONI, tak jak ich poprzednicy, jeżeli chcą to nie potrafią, jeżeli potrafią to nie mogą wyzyskać szans, jakie im raz po raz stwarza ufny i skłonny do wybaczenia naród polski. Żaden przedwojenny rząd polski nie dysponował tak konstruktywnym ruchem społecznym, jakim była "Solidarność" latem 1981 roku gotowa całkowicie zaufać generałowi Jaruzelskiemu pod warunkiem, że pozbędzie się swego aparatu i zaryzykuje konflikt z Moskwą. Ale generał nie mógł pozbyć się swego aparatu, ani zaryzykować konfliktu z Moskwą, podobnie jak nie mógł tego zrobić Gomułka w roku 1956, który miał wokół siebie naród zjednoczony tak, jak nie miał nigdy żaden polski przywódca. Miał też poparcie narodowe Gierek w roku 1971, miał nawet Bierut w rękach skarby: entuzjazm zetempowskiej młodzieży uwiedzionej rewolucyjną frazeologią i krytyką "starych", ochotną współpracę inteligencji i ostrożne poparcie Kościoła. Każda z tych ekip miała także poparcie i pomoc z Zachodu, o jakich marzyć nie śmiał żaden polski rząd przedwojenny. I wszystkie te ekipy czyniły to samo: pozbywały się wewnętrznego i zewnętrznego poparcia za cenę uznania Moskwy. Każdy przywódca stawał przed wyborem sojuszów: z narodem przeciw sowieckiej dominacji, lub z sowieckim poparciem przeciw narodowi. Wybierali zawsze poparcie Moskwy, poczem niszczyli wszystkich swoich sojuszników: inteligencję, Kościół, i wreszcie - "Solidarność"

I w jednym mają rację: że nie mogli inaczej, jeśli chcieli władzę utrzy-

mać, i że tylko ONI mogli i mogą sprawować ją bez Sowietów wewnątrz kraju.

W tym mają rację. Ale dlatego też MY mamy rację podejmując długotrwały opór, bojkot i pracę nad przygotowaniem następnego zrywu ku wolności; mamy rację, odmawiając zaufania rządom, którym tego zaufania nie wolno przyjąć; mamy rację odrzucając system, którego zadaniem jest zniszczyć w nas wolę życia; mamy rację zwalczając rząd, któremu nie wolno doprowadzić do ładu i dobrobytu.

+ + + + + + +

ROZMOWY POLSKIE LATEM 1983

/ fragment powieści/

Pan Gienio, rąbiący drzewo na pieńku ustawionym między piaskownicą a komórką, w której przechowuje się opał i narzędzia, odrywa się od swojej roboty wbija siekierę w pieniek i podchodzi do ławeczki pod krzakiem dzikiej róży.

- Taki, który nie dostał pałą - mówi pan Gienio - to w ogóle jeszcze nie wie, kim jest i gdzie należy. Dopiero jak człowiekowi przyłożą pałą, to dokonuje wyboru i odnajduje swoje miejsce w strukturze społecznej.

Słowo struktura pan Gienio wypowiada ze szczególnym naciskiem, abyśmy pojęli, że on wie, co to takiego i jak ooś takiego, taka struktura, funkcjonuje

- A pan, panie Gieniu - pyta pan Mareczek siedzący na ławeczce pod krzakiem dzikiej róży z panią Mareczkową i panem Stefanem - dostał kiedyś pałą? Bo ja jeszcze nie dostałem.

- Niech się pan nie martwi - mówi pan Stefan, który gra na wiolonczeli w orkiestrze Filharmonii Narodowej - okazji nie zabraknie i z pewnością jeszcze kiedyś pan dostanie.

- Pewnie, że dostałem - mówi pan Gienio i przysiada na ławeczce pod przekwitającym już krzakiem dzikiej róży, choć siekiera wbita w pieniek obok piaskownicy czeka, żeby ją podjął. - Rok temu, na Poznańskiej. Szedłem Alejami do Ronda i płakałem, bo od Centralnego strzelali petardami z gazem. Ale pod tym dziecięcym szpitalem, który jest w Alejach, stały panie w białych kitlach pewnie pielęgniarki czy salowe, i rozdawały tampony w czymś tam namoczone, żeby je można było sobie przyłożyć na oczy i na nos. A potem pogonili nas z dwóch stron, ci co stali przy Centralnym i ci od Ronda, i na Poznańskiej dostałem po plecach. Schowałem się do Operetki, gdyby nie takie miłe portierki, co nas wpuściły do środka, to by mnie wtedy zapuszkowali. Śpiewacy szli na przedstawienie i wszyscy płakali.

- Ciekawe, co oni tego wieczoru śpiewali - zastanawia się pan Mareczek. - Dyrektor tej Operetki to jakiś podejrzany facet. "Solidarność" chciała go, zdaje się, zdjąć, ale nie zdążyła.

- Ty gadasz takie rzeczy, których nie powinieneś gadać - mówi żona pana Mareczka. - Co ty wiesz o tym dyrektorze? Wiesz, jak się nazywa?

- Nie wiem - przyznaje pan Mareczek i delikatnie podnosi za oba skrzydełka czarno-żółtego motyla, który przysiadł na listku dzikiej róży. - Patrz, jaki biedny - mówi. - Nie ma siły latać. Zdaje się, że już umiera. Natura jest głupia i okrutna.

- No to jak nie wiesz, to nie gadaj - mówi żona pana Mareczka. - Człowieka jest bardzo łatwo skrzywdzić. Jakiś człowiek wydaje ci się podejrzany i mówisz, że "Solidarność" chciała czy powinna była go zdjąć, a potem się okazuje że to jest bardzo szlachetny człowiek, który na dodatek działa w podziemiu.

- Oni wtedy - przerywa jej pan Gienio - to w ogóle nie śpiewali. W tej Operetce to była potworna maskara. Dostali skądś fałszywy meldunek, że tam jest punk dowodzenia "Solidarności". Przyjechały suki i wszystkich, którzy tam się schowali, strasznie wypałowali. Wynosili ich za ręce i nogi, i takich wypałowanych wrzucali do tych swoich suk. A w sukach dalej pałowali. Gdybym pół godziny wcześniej stamtąd się nie wyślizgnął, to też by mnie wypałowali. Jeszcze do dziś bym siedział.

- Teraz to już by pan wyszedł - pociesza go pan Stefan, ten który gra na wiolonczeli. - Od dziś jest amnestia.

Pan Gienio wstaje z ławeczki i rusza w kierunku pieńka z siekierą. Ale w połowie drogi dzielącej go od siekiery zatrzymuje się i mówi, zwracając się może do nas, siedzących na ławeczkach pod krzakiem dzikiej róży, ale może do kogoś, kto słucha, a przynajmniej powinien słuchać jego głosu w Warszawie, w

Waszyngtonie czy w Paryżu:

- Ta ich amnestia to nie jest żadna amnestia. Tych, co chcą, to wypuszczą, a tych, co chcą, to nie. Komisji Krajowej nie wypuszczą i Kuronia z Adasiem Michnikiem też nie. Ta ich amnestia to o dupę potłuc.

Pan Mareczek wypuszcza czarno-żółtego motyla, który, nie mogąc, lub nie chcąc odlecieć, opada na listek dzikiej róży, i zastanawia się, dlaczego pan Gienio mówi o Michniku nie Adam, lecz Adaś. Nie wydaje się bowiem panu Mareczkowi możliwe, aby pan Gienio, który niegdyś był marynarzem i pływał na statkach handlowych, a teraz jest urzędnikiem w gminie czy w województwie i latem, w czasie urlopu, dorabia sobie rąbiąc tutaj drzewo i wykonując różne cięższe prace, a więc aby ten pan Gienio znał Adama Michnika i aby był przez niego upoważniony do traktowania go tak poufale. Pan Mareczek dochodzi jednak do wniosku, że pan Gienio wcale Michnika znać nie musi. On sam, pan Mareczek, też przecież, mówiąc o Michniku, takim czułym obdarza go imieniem:

- Adaś, Adaś.
- Adaś napisał, Adaś udzielił wywiadu, Adaś mówił przez radio.
- Adasia zamknęli. Adasia wypuścili, znów zamknęli.
- Adaś przyłożył Pinochetowi, naszemu też przyłoży, niech go tylko puszczą.
- Adaś żeni się z wnuczką naszego Marszałka, jak zechce, to i z wnuczką Łońki się ożeni.
- Nasz miły, dzielny, nasz wspaniały Adaś.

Pan Mareczek zna co prawda Michnika, ale na pewno nie jest z nim na tyle zaprzyjaźniony, aby miał prawo mówić o nim: Adaś. Więc i on, i pan Gienio, tak o Michniku mówiąc, wyrażają - do takiego wniosku dochodzi pan Mareczek - swoją czułość dla bohatera z Otwocka, swoją solidarność z więźniem z ulicy Rakowieckiej.

- Niechże już pan, panie Mareczku - mówi pan Stefan i wstaje z ławeczki - da z łaski swojej spokój temu motylowi. Jak go pan przestanie tarmosić, to może jeszcze odżyje. Pojedzie pan ze mną na borówki?
- A ta ich struktura - mówi wywijając siekierą nad pieńkiem pan Gienio - to się zaraz rozleci. Jak mnie wtedy wypełowali, to zrozumiałem, że to już ich koniec. Każdy, kogo wypałują, zaraz to pojmuje. Raz się rozleciało, to znów się rozleci.
- Co pan właściwie rozumie, panie Stefanie, pod słowem borówka? - pyta pan Mareczek.
- Borówka - odpowiada wiolonczelista - to czarna jagoda. A dla pana borówka to co?
- Borówka to borówka, a czarna jagoda to czarna jagoda.
- No to jedzie pan, czy nie?
- No to jedziemy - mówi pan Mareczek. I odchodząc w kierunku domu zwraca się jeszcze ku wbitej w piasek siekierze: - Ja też, panie Gieniu, uważam, że to długo nie potrwa. Coś takiego w ogóle nie ma prawa istnieć.
- Adaś ich załatwi - mówi pan Gienio wesoło wymachując siekierą. - Jak Boga kocham, że on ich załatwi.
- Jak mu pomożemy, panie Gieniu, jak mu pomożemy.
- Ale niech pan weźmie kapelusz - woła pan Stefan za panem Mareczkiem, który mija właśnie dwie rosnące pod płotem morwy - jedna ma czarne, a druga białe owoce - wokół których sycząc i klapiąc dziobami chodzą łase na owoce, szczególnie na czarne, gęsi pani Anieli. - Koniecznie niech pan włoży kapelusz bo w lesie są kleszcze.

+

\+ +

Sznurek przeciągnięty jest między studnią - a mówiąc dokładnie między obitym cynkową blachą okapem studni - a rynną biegnącą wzdłuż oszklonej werandy,

przez którą wchodzi się do jadalni i do kuchni. Na sznurku suszą się błękitne, postrzępione dżinsy małego-dużego Mareczka - zwanego tak dlatego, że choć ma dopiero dwanaście lat, więc jest mały, przerósł już swojego ojca , pana Mareczka, więc jest duży - oraz, obok dżinsów, szaro-zielone kąpielówki pana Stefana i duży biały ręcznik w pasy różowe i pomarańczowe, ręcznik - jak domyśla się pan Mareczek - zapewne chiński, z importu, a że takich dużych ręczników, jak zresztą żadnych ręczników, w sklepach dostać obecnie, latem roku 1983, nie sposób, więc ręcznik z epoki Edwarda Gierka, kiedy to do Polski sprowadzano ręczniki z Chin, czekoladę z Holandii, jerez z Hiszpanii i biustonosze z Wiednia, wszystko zresztą zewsząd. - Dobry był dla nas ten Gierek - myśli pan Mareczek. - Lepszy, znacznie lepszy od Bieruta i Gomułki. Fundował nam jerez, wytrawny i półwytrawny, po dwieście złotych butelka w Delikatesach na Marszałkowskiej, jakie to było miłe z jego strony. Lepszego niż Gierek nigdy już mieć nie będziemy. Ale i okropny był przecież, cenzura szalała, jakiś Łukaszewicz z twarzą kretyna niszczył nam kulturę i marzyliśmy tylko o tej chwili, kiedy ktoś tego Gierka obali. Ale dobry był, nie mordował, chyba nikogo poza Pyjasem wówczas nie zabito, Adasia i Kuronia zamykał nie na dłużej, niż na czterdzieści osiem godzin, a ci więzą ich ileż już miesięcy.

- Nucąc jakąś znaną a nieznaną melodię, która od dawna plącze mu się po głowie: - Dzisiaj chińskich ręczników już nie ma - pan Mareczek okrąża dom, a kiedy wchodzi na ganek, dobiega go jeszcze głos walącego siekierą w pień olchy pana Gienia, głos spod komórki i spod sągów drzewa:

- Kuroń to jest rozum. Ale Adaś był sercem KOR-u. A kiedy Kuroń zostanie premierem to, wspomni pan moje słowa, posadzi Adasia. Bo Adaś nie zniesie najmniejszej niesprawiedliwości.

Dom, w którym pani Aniela już od dwudziestu sześciu lat prowadzi pensjonat dla inteligentów, co przeważnie z Warszawy, ale także z Wrocławia i z Krakowa przyjeżdżają tutaj na lato, stoi na zboczu, na szczycie ostro spadającego w dół zbocza, tak że pokoje, w których mieszkają goście, choć na tym samym poziomie położone, znajdują się zarazem, tak się przynajmniej wydaje, na różnych piętrach: te od strony szosy na parterze, a te im przeciwległe, te od strony jeziora, na pierwszym piętrze. Na parterze od strony jeziora, na tym więc poziomie, którego od strony szosy już nie ma, znajduje się jeszcze jadalnia, do której wchodzi się właśnie przez oszkloną werandę. Po przeciwległej stronie domu jest ganek, prowadzący na korytarz i do pokoi, z korytarza schody prowadzą na strych, a z ganku już tylko kilka kroków jest do bramy i do szosy. Z werandy wychodzi się na porośnięty trawą dziedziniec, który nazywa się tu play-ground, bo wieczorami, po kolacji, grywa się na nim w badmintona, a przed południem stoją leżaki, na których opalają się goście pani Anieli. Na zboczu, wzdłuż jego krawędzi, a naprzeciwko tej komórki, pod którą pan Gienio rąbie właśnie drzewo i podziwia męstwo Adasia Michnika, stoi pięć ławeczek. Wszystkie zbite są z nieheblowanych desek, a deski już dawno sczerniały. Licząc od oszklonej werandy: pierwsza ławeczka tuż przy studni, druga pod krzakiem dzikiej róży, z trzeciej jest najlepszy widok na jezioro, czwarta i piąta pod krzakiem czeremchy. Kto na którejś z ławeczek chce usiąść, ten może usiąść tak: albo twarzą do szosy, do sągów drzewa i pana Gienia walącego w pień olchowy, albo twarzą do jeziora, do sosen i świerków stojących na jego drugim brzegu. Bowiem zbocze, na którym stoi dom pani Anieli, schodzi ku jezioru, a na zboczu rosną, ach, co na nim nie rośnie: świerki, brzozy, buczyna, leszczyna, wiklina, a i wisienki, i jabłonki, i czeremchy, a i pokrzywy, osty, chwasty rozmaite, i trawa do kolan, traw różne gatunki. Tuż przy brzegu zasłaniając tym, co patrzą ze szczytu zbocza, widok na jezioro, stoi szesnaście ogromnych topól, które posadził tu przed wielu laty ojciec pani Anieli. Szesnaście, a może osiemnaście, bowiem panu Mareczkowi nigdy nie udało się ich dokładnie przeliczyć, choć wielokrotnie już - pływając krytą żabką na środku jeziora - próbował to uczynić. Dodałbym tu jeszcze - dodaje pan Mareczek, kończąc ten opis posiadłości pani Anieli - że pod oknami jadalni rosną krzaki róż, a wokół ganku wysokie malwy, różowe i ciemnoczerwone. Samochód

pani Mareczkowej - żółte Renault - stoi pod jesionoklonem zamykającym playground od strony przeciwległej oszklonej werandzie, na jesionoklonie jest budka dla ptaków, a samochody innych gości, pana Stefana, pani Oli oraz Profesora, parkują pod wisienką rosnącą przy ganku. Dodajmy jeszcze, że tam gdzie osiemnaście topól stoi tuż nad wodą, ale już pora jechać na jagody, a więc resztę opiszę może innym razem, ale dodajmy jeszcze, że jest tu zbyt pięknie, aby to się dało, aby to było można słowami opisać. Dziękujemy Ci, Boże, że dałeś nam tę ziemię, a na niej ten, właśnie ten zakątek, w Polsce, w suwalskim powiecie, niezbyt daleko od Grodna i Sejn, i nie opodal litewskiej granicy, i przepraszamy Cię, że taki lichy z tego wszystkiego czynimy użytek. Ale będziemy się starać, wybacz nam, i niech się palą w mroku Twoje malwy, ciemnoczerwone i różowe, kiedy zapada zmierzch i pani Aniela z kubłem wody idzie po schodach na pięterko. Kubeł jest biały, emaliowany, a tam, gdzie w kilku miejscach, na zewnątrz, emalia została odbita i widać czarną blachę, już wkrada się rdza.

+

\+ +

Ubrany w granatowy ortalionowy płaszcz i biały drelichowy kapelusz - ten kapelusz już od kilku sezonów służy mi w czasie wypraw do lasu i tak skurczył się po wielu praniach, że z trudem wciskam go na głowę - a więc w takim to kapeluszu, nadto jagodami i malinami poplamionym, zatem już nie całkiem białym, raczej biało-sinym, pan Mareczek wychodzi na ganek. Pan Stefan wsiada już do swojego czerwonego Poloneza, stojącego pod wisienką, ale na schodkach pana Mareczka zatrzymuje jeszcze Profesor, który w szkole na Okólniku uczy młodych wirtuozów gry na flecie. Nie flet jednak, nie koncerty Vivaldiego i "Musikalisches Opfer" Bacha są namiętnością Profesora, lecz zbieractwo. Profesor zbiera mianowicie stare mapy i atlasy, a szczególnie mapy i atlasy Polski oraz krajów z Polską sąsiadujących i posiada już, jak sam twierdzi, taki zbiór, którego mogłoby mu pozazdrościć niejedno muzeum, nawet chyba British Museum. Co do pracowników naszej Biblioteki Narodowej, to Profesor nie ma żadnych złudzeń; myśląc o jego zbiorach, oblizują się oni ze smakiem i liczą na rychłą, oby jak najrychlejszą śmierć zbieracza, kiedy to - jak myszy króla Popiela rzuciły się niegdyś na tego władcę - będą mogli rzucić się z wyszczerzonymi zębami na jego atlasy. To porównanie bibliotekarzy do myszy króla Popiela wymyślił sam Profesor. - Ale koncert D-dur Vivaldiego na flauto traverso jest przecież równie piękny i równie wiele, choć w innym sposobie - mówi o naszej człowieczej kondycji, co mapa Wielkiego Księstwa Litewskiego z roku 1340? - Wie pan - powiada na to Profesor flecista - kto śpiewa albo gra na jakimś instrumencie napędzanym powietrzem wydmuchiwanym z płuc, temu słup powietrza, przez płuca i przeponę wypychany, dzień po dniu, codziennie, uderza od dołu w mózg i bezlitośnie ten mózg grajka lub śpiewaka bombarduje. Po kilku latach takiego dmuchania, takiego łubudu i buch bach buch kilka godzin dziennie, w mózgu następują nieodwracalne zmiany i ten, kto dmuchaniem się zajmuje, nieodwracalnie też głupieje. Przekonałem się o tym kilkanaście lat temu, kiedy to, wziąwszy do ręki L e g e n d ę M ł o d e j P o l s k i Brzozowskiego, po przeczytaniu kilku zdań zdałem sobie sprawę, że nic nie rozumiem. Od tego czasu poświęciłem się wyłącznie moim mapom, a na flecie gram tylko dla pieniędzy.

- A ja, wie pan, strasznie dużo zawdzięczam - mówi pan Mareczek - sonatom Bacha na flet. Pewnie równie dużo, co późnemu Schubertowi. I chwilami wydaje mi się, że jeśli chodzi o konstrukcję wiersza - konstrukcję, że tak powiem, uczuciową, a więc o przepływ uczuć, rozłożenie napięć w wierszu - to równie wiele nauczyłem się od Bacha i Schuberta, co od Mandelsztama i Miłosza.

- Miłosz - oponuje Profesor - niewiele, wydaje mi się, ma wspólnego z Mandelsztamem. Miłosz jest zimna głowa. Jeszcze kiedy T r z y z i m y pisał,

to był inny, bo w T r z e c h z i m a c h czuje się gorączkę wyobraźni, gorączkę snów i przeczuć. Ale potem zrobił się jakiś taki zimny, marmurowy. Czy on Trembeckiego za dużo się naczytał, czy co? Pewnie, że to piękne. Ale dla mnie jednak za zimne. A nawet powiem, że trochę za mądre. Pisarz, panie Mareczku, nie powinien za bardzo wynosić się nad swoich czytelników. Troszeczkę może, nawet musi. Ale nie za bardzo: że niby taki mądry, bo wszystko przeczytał i przemyślał, a oni, czytelnicy, niech go adorują. A Mandelsztama to ja bym w pięty całował, gdyby on jeszcze żył. Mandelsztam to był cud. A poza tym Miłoszowi czegoś takiego brak, nie wiem, jak to nazwać, można by chyba nazwać to współczuciem. Mówi się, że ten wiersz Mandelsztama o tym żydowskim skrzypku, no o tym, pamięta pan, Hercowiczu Skercowiczu, który Schuberta grał jak z nut, to jest jeden z jego najsłabszych wierszy. Bo to jest, mówią, sentymentalny wiersz, że niby Mandelsztam lituje się nad tym skrzypkiem. Ale to jest przecież arcydzieło współczucia. Mandelsztam opłakuje w tym wierszu wszystkich swoich skazanych na śmierć Żydów i ich skrzypce. I opłakuje siebie, i swoją skazaną na śmierć poezję. To sentymentalne? Ale przecież oni naprawdę zginęli. A więc godzi się ich opłakiwać. — I tu Profesor, nagle potworną wściekłością ogarnięty, zaczyna krzyczeć: — Przeklęci mordercy. Żeby ich, o żeby ich. Jeśli ludzkość zapomni kiedyś temu bandycie Stalinowi, co on zrobił z Mandelsztamem, to ja się wypisuję.

— Z ludzkości? — pyta pan Mareczek.

— Ze wszystkiego. — I Profesor, zastanawiając się zapewne, co mogło oznaczać takie wypisanie się ze wszystkiego i czy w ogóle jest ono możliwe, milczy przez chwilę, by potem, nieco już z wściekłości ochłonąwszy, zapytać pana Mareczka:

— A wie pan, że Stalin to siedział w polskim więzieniu?

— Co też pan opowiada? Jak to siedział, gdzie siedział? Kiedy on mógł tu siedzieć?

— A siedział — przyświadcza Profesor. — Opowiadał mi to ktoś, kto znał takiego księdza, który był zarazem fizykiem i to takim nawet prekursorem osiągnięć współczesnej fizyki. Tylko nie pamiętam nazwiska tego księdza, ale to nieważne. Więc ten ksiądz, który zresztą umarł stosunkowo niedawno, bowiem dopiero w latach pięćdziesiątych, wielkim staruszkiem już będąc, opowiadał temu komuś, kto mnie to opowiadał, że przed wojną, ale jeszcze tą pierwszą światową, był — on, ten ksiądz — kapelanem więziennym, tylko już nie pamiętam w jakim więzieniu to się działo, w Łodzi, czy w Warszawie. A może w Łomży? Ale to nie takie ważne. No więc do tego więzienia, gdzie ten ksiądz wówczas młodziutki był kapelanem, przywieziono pewnego dnia — oczywiście przed tą pierwszą wojną — pewnego bandytę z Baku, oskarżonego o to, że obrabował jakiś bank, zabijając przy tym kilku urzędników. I to był właśnie Stalin, nazwiskiem wówczas Dżugaszwili, choć oczywiście jako bandyta jeszcze jakiegoś trzeciego, innego nazwiska używał. A przywieziono go do Łodzi czy do Warszawy, ponieważ policja rosyjska nie chciała trzymać Stalina w którymś z więzień w Moskwie czy gdzieś tam w głębi Rosji, dobrze już go znając i lękając się, że może on zostać odbity przez swoich kamratów. No i słusznie się lękała, bowiem pewnego dnia do tego więzienia w Łodzi czy w Warszawie przyjechali jacyś żandarmi z nakazem wydania im bandyty nazwiskiem Dżugaszwili, którego to bandytę — według nakazu — mieli przewieźć do jeszcze innego więzienia. Wydano im więc Stalina, a oto po dwóch godzinach przyjeżdżają do tego więzienia inni żandarmi z takim samym nakazem. No i co się okazało? Że ci pierwsi żandarmi to oczywiście nie byli żadni żandarmi, ponieważ był to Beria ze swoimi koleżkami, którzy przebrali się za żandarmów. I tak Stalin uciekł z polskiego więzienia. To znaczy nie z polskiego, ale w każdym razie z takiego, które było w Polsce.

— Ładna, owszem, historia i godna nawet zapisania — mówi pan Mareczek. — Ale nie wygląda mi na prawdziwą. Ten ksiądz, co był kapelanem, już nie żyje?

— Już nie żyje.

— To szkoda. Bo warto byłoby nagrać go na magnetofon. Stalin w polskim więzieniu to, bądź co bądź, jest fragment historii. I to taki, który nie powinien zostać zapomniany.

- Mnie się wydaje - mówi Profesor flecista - że to może być prawda. Czytał pan tę książkę o śmierci Stalina, co ją ten Czeczeniec czy Czuwasz napisał, no o takim trudnym nazwisku?

- Czytałem - mówi pan Mareczek. - T a j e m n i c a ś m i e r c i S t a l i n a czy tak jakoś.

- Właśnie. Z podtytułem S p i s e k B e r i i. Podziemie to wydało. No więc z tej książki wynika, że Stalin to był bandyta, który razem z Berią rabował banki w Tyflisie i w Baku. I oto ten największy bandyta dwudziestego wieku zabija największego poetę dwudziestego wieku. Szkoda, że wtedy, kiedy go przywieźli do Polski, od razu go nie powiesili. Co o nas powiedzą ludzie za pięćset czy za tysiąc lat?

- Gdyby go wtedy powiesili, to inny by rządził - mówi pan Mareczek. - I zrobiłby z nami akurat to samo, co tamten zrobił. Ale wie pan, wypisać się ze wszystkiego, to jednak nie można.

- Chyba, że ktoś umrze - mówi Profesor. Co usłyszawszy, pan Mareczek zaczyna zastanawiać się, czy wówczas kiedy umrze, kiedy już go nie będzie, rzeczywiście wypisze się lub też zostanie wypisany ze wszystkiego, i dochodzi do wniosku, że jednak nie, chyba nie, bowiem z problematyki polskiej, ze sprawy polskiej, krótko mówiąc, z Polski wypisać się nie można, i Polak, który umiera, nie przemienia się przecież - o to byłaby kara zbyt okrutna, gorsza niż wszystkie czśćce, wszystkie piekła - w truchło bez narodowości, w ducha bez Ojczyzny, lecz pozostaje nadal Polakiem, duchem polskim, trupem polskim, i nadal uczestniczy w polskich dziejach, jest obecny, jest świadkiem, poświadcza, i działa nadal duchowo, a może, w tajemniczym jakimś sposobie, i fizycznie w sprawie polskiej, wspomaga Polskę, wzmaga polskość Polski, i pan Mareczek z prawdziwą przyjemnością wyobraża sobie siebie samego, ale już umarłego, już cokolwiek zetlałego pana Mareczka, który właśnie umarł, i widzi, jak on, ten dopiero co zmarły Mareczek, nadal będąc obecnym i wcale nie zamierzając zrezygnować, mimo rozkładu ciała, a może i ducha, z duchowej obecności w sprawie polskiej, z duchowego świadczenia na rzecz tej sprawy, udaje się właśnie - on, duch pana Mareczka albo jego upiór - autobusem pośpiesznym D do Pałacu u zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Światu, ponieważ jest to akurat ten dzień miesiąca, w którym w tym to Pałacu pan Mareczek - a teraz upiór pana Mareczka - powinien opłacić miesięczną składkę związkową, oraz miesięczną składkę na uwięzionych i prześladowanych, w związku z czym, całkiem bez związku z ostatnią kwestią Profesora - Chyba, że ktoś umrze - pan Mareczek odpowiada:

- Pokąd płacimy składki, "Solidarność" żyje.

- Ja płacę - mówi Profesor.

- Ja też.

I są obaj, pan Mareczek i Profesor, dumni z tego, że płacą, a choć to taka mała sprawa, to płacenie składek, to przecież duma ich jest - myśli pan Mareczek - całkiem uzasadniona, bowiem w istocie nie z tego jesteśmy dumni, że co miesiąc wyciągamy z portfela po dwieście czy po pięćset złotych i ukradkiem wciskamy te nasze pieniądze związkowemu skarbnikowi, ale z tego, że mamy nasz związek, że należymy do niego, że nie pozwoliliśmy go zniszczyć czerwonym, że "Solidarność" żyje, że okazała się silniejsza od siły. I będzie żyła - myśli pan Mareczek - pokąd żyje Polska, bowiem "Solidarność" i Polska to jest już to samo, i minie sto, minie pięćset lat, i duch polski przemieni się, przybierze kształt całkiem dla nas, tu i teraz żyjących, nieoczekiwany, ale mimo to, mimo wszystkie przemiany ducha, będzie w tym duchu fragment, ułamek przez nas, przez naszą duchową, naszę naprawdę ciężką duchową pracę uformowany, fragment, ułamek, którego nikt nigdy - żaden generał, żaden pismak żadnego generała - nie zdoła zniszczyć, ponieważ duch jest niezniszczalny i nic mu nie mogą uczynić, niczym są wobec niego wszystkie rakiety, ile by ich nie było, SS-20 czy jak tam się zwą. Fragment polskiego ducha: "Solidarność" - myśli pan Mareczek - jestem w tym fragmencie, na moją miarę, pewnie że niewielką, moimi myślami, moją gadaniną, pisaniną, moimi pięćsetkami jakoś tam i

ja przyczyniłem się do uformowania tego fragmentu, i jestem z tego dumny, mam prawo być dumny.

Ale cała ta rozmowa między Profesorem a panem Mareczkiem na temat Stalina, Miłosza i "Solidarności" nie na ganku przed domem, nie na schodkach się odbyła, lecz dzień czy dwa wcześniej, na ławeczce pod krzakiem czeremchy - którą to czeremchę przez długi czas pan Mareczek, kompletnie nie znający się na botanice, brał za jakiś egzotyczny, chiński czy japoński krzew, pokąd pan Rysio, znający się na drzewach, jako że wychował się w tych lasach, nie wytłumaczył mu, że to jednak czeremcha, po prostu polska zwyczajna czeremcha - więc nie dziś miała miejsce ta rozmowa, bowiem dziś, kiedy pan Mareczek w białym drelichowym kapeluszu i żółtych gumiakach wychodzi na ganek, a pan Stefan zapala już czerwonego Poloneza, Profesor stając na schodkach przed Mareczkiem podaje mu gazetę i mówi:

- Proszę, oto "Życie Warszawy", które panu obiecałem.

- Bardzo pan miły - odpowiada pan Mareczek - i dziękuję, ale jakoś nie mam ochoty na tę lekturę. Obraża mnie to, co oni piszą w tych swoich gazetach, a nawet, przyznam się panu, trochę się tego boję. Czy mógłby pan trzymać w domu takiego psa, który by pana potwornie nienawidził i przy każdej okazji starał się pana ugryźć? Z tymi ich gazetami jest podobnie. Czuję, czytając taką gazetę, że ona mnie nienawidzi, że ten, co pisał, chciałby mnie ukąsić. No więc przestaliśmy oboje z żoną w ogóle czytać ich gazety. Telewizji też już nie oglądamy. Niech oni siebie sami czytają, jak mają ochotę.

- Pewnie, że ma pan rację - mówi Profesor. - Ja też mam niekiedy takie wrażenie, jakby w tej gazecie otwierała się taka zębata paszczęka i kłap, kłap, chciała mnie złapać za rękę. Albo jakby wychylała się z takiego "Życia" czy "Trybuny" jakaś twarz i szyderczo, wstrętnie uśmiechała się do mnie. Ale jednak trzeba ich czytać, panie Mareczku. Oni są nie tylko okrutni, ale także straszliwie chytrzy i podstępni. Chcieliby nas oszukać, omamić i właśnie w tym celu drukują te swoje gazety. Musimy znać ich sposoby. Jeśli nie nauczymy się rozszyfrowywać ich nędznych krętactw, ich lisich podstępów, to nas zjedzą. Dlatego ich czytam i panu też polecam tę miłą lekturę.

- Niech będzie - decyduje się pan Mareczek. - Przeczytam sobie to "Życie". Ale, jeśli pan pozwoli, dopiero po obiedzie, bo teraz jadę z panem Stefanem na jagody.

- Polecam pańskiej uwadze - mówi Profesor - szczególnie dwie wiadomości. Pierwsza to jest o tu, na piątej stronie. Książę Ali Khan postanowił sprzedać swoją kolekcję aztuki afrykańskiej, ponieważ mu się znudziła i będzie teraz zbierał wyłącznie dzieła sztuki muzułmanskiej. Takiemu to dobrze, nie?

- Chciałby pan być takim Ali Khanem? - pyta pen Mareczek.

- Kto by nie chciał? Sprzedałbym moje mapy i zacząłbym zbierać coś całkiem innego. Bo ja wiem, co. Może atlasy botaniczne? Albo klucze do oznaczania roślin? - Profesor zamyśla się i po chwili dodaje: - Ale nie, map bym nie sprzedał. O i jeszcze to niech pan przeczyta, tu, na czwartej stronie. Z amerykańskiego Boeinga 707, zamienionego w laboratorium laserowe, zestrzelono przy pomocy wiązki promieni pięć rakiet powietrze-powietrze typu Sidewinner wystrzelonych z myśliwca bombardującego A-7 Corsair i lecących z szybkością 3500 kilometrów na godzinę. No i co pan na to?

- Reagan się stara - mówi pan Mareczek. - Zdaje się, że Rosjanie już go nie dogonią.

- To jest, proszę pana - mówi Profesor - wiadomość wprost rewelacyjna. Oznacza ona, że całe to science-fiction Reagana, cały ten jego niesamowity pomysł pokonania czerwonych nie przy pomocy rakiet dalekiego zasięgu, a tylko przy pomocy systemów obronnych, że to wszystko już zaczyna się realizować. To jest, proszę pana, największy prezydent, jakiego ostatnio miały Stany. Jeśli wybiorą go na drugą kadencję, czego ja osobiście jestem całkiem pewny, to przewaga technologiczna Stanów wzrośnie do tego stopnia, że czerwoni nie będą już mieli wyboru i zostaną zmuszeni do rokowań. A wtedy kto wie, co będzie z nami. Może on nas wynegocjuje i zostaniemy sfinlandyzowani?

- A nie chciałby pan - pyta pan Mareczek - żeby nas podzielili, jak kiedyś

Wietnam czy Koreę?

- A broń Boże - mówi Profesor. - To byłoby straszne narodowe nieszczęście. Po jednej stronie Wisły dominacja rosyjska, po drugiej niemiecka. Skończyłoby się to jakąś okropną, może i bratobójczą wojną.

- A ja - mówi pan Mareczek - wcale nie jestem pewny, czy to byłoby takie złe. Wydaje mi się, że w dziewiętnastym wieku, kiedy byliśmy podzieleni, było nam jednak chyba nieco lepiej, niż teraz. Rozbiory były nieszczęściem, tak. Ale zawsze lepiej być we władaniu kilku potęg, niż we władaniu jednej, bowiem między kilkoma potęgami można lawirować, można je szantażować, a jeśli jest się wydanym na łaskę i niełaskę jednej potęgi, to ta potęga nie chce o niczym słyszeć, jest ślepa i głucha na nasze błagania i jęki, i to właśnie dlatego, że jest jedna, że nie musi się z inną potęgą, co by nas też trzymała w swoich łapach, rywalizować czy konkurować. Kto mieszkał w Kongresówce, a miał już dosyć, bo carat za bardzo mu dopiekł, ten mógł zawsze wyjechać, choćby i przez zieloną granicę, do Krakowa czy do Poznania. I tę książkę - zamyśla się pan Mareczek - co ją właśnie piszę, mógłbym, gdybym żył w dziewiętnastym wieku, wydać w Galicji, u Połonieckiego. Tam cenzura była jednak znacznie łagodniejsza, a po bitwie pod Sadową można było właściwie pisać już o wszystkim, nawet o tym, jak podli są Austriacy.

- A tu jej panu nie wydadzą?- pyta Profesor.

- Tu mi nie wydadzą.

- No to wyda pan w Paryżu, co to za różnica - mówi Profesor.

- Chciałbym jednak, żeby mnie czytano tutaj, przede wszystkim tutaj.

- A to już zależy wyłącznie od pana, a nie od tego, gdzie i kiedy pan tę swoją książkę wyda - mówi Profesor i pan Mareczek nie może się dosłuchać w jego głosie ani odrobiny litości. Bo też nie jest - również zdaniem pana Mareczka - godzien litości ktoś taki, kto tak pisze, że jego pobratymcy nie mają żadnego pożytku duchowego z jego pisania.

- Jedziemy - woła pan Stefan. - Niech pan będzie tak dobry, panie Mareczku, i otworzy bramę.

Pan Mareczek wrzuca do czerwonego Poloneza swoją menażkę i kubek na jagody, i otwiera przed panem Stefanem, gwałtownie kręcącym kierownicą, zbitą z poczerniałych desek bramę. - Będę się starał - myśli podpierając jej dwa skrzydła kamieniami. - Będę się starał, bo jeśli już mi dałeś, Boże, tę moją próżność, tę pychę, ten talent, to powinna być z tego jakaś duchowa korzyść nie tylko dla mnie, ale i dla innych. - I zatrzaskując drzwiczki czerwonego Poloneza, który już pędzi, już zeskakuje z szosy na ubitą leśną drogę, już przeskakuje tory leśnej kolejki, która wozi drzewo od bindugi do tartaku: - Ale gdyby w polsko-austriackim Lwowie - myśli - istniało nadal wydawnictwo Połonieckiego i wychodziły w nim nadal tomy Sympozjonu, tak jak niegdyś wychodziły w tłumaczeniu Staffa, to byłoby doprawdy bardzo dobrze i mielibyśmy z tego my Polacy nie byle jaki pożytek duchowy, bowiem dowiadywalibyśmy się, co słychać na świecie, w światowej myśli etycznej oraz estetycznej, i ta myśl poszerzałaby, pogłębiałaby nasze doświadczenie, które dziś jest tylko polskim, wyłącznie polskim doświadczeniem, i ciągle tylko mamy w głowie naszą polską polskość, polską polskość, i nic nas więcej nie obchodzi, przynajmniej ja, pan Mareczek, niczego więcej w głowie już nie mam, wszystko z głowy wymiotłem, wszystko mi z głowy wymiotło, ten czas mi wymiótł, dzieje mi wymiotły, i nic mnie nie obchodzi poza moją polską polskością, polską polskością, polskością. - A czerwony Polonez jedzie poprzez las i sroka krzyczy ochryple, wysoko w gałęziach.

\+

\+ \+

Przy leśnej drodze, która prowadzi - jak twierdzą niektórzy - na Wálne, albo - jak twierdzą inni - na Pijawne, pan Stefan wyjmuje z Poloneza wiklino-

wą kobiałkę, wkłada do niej dwa metalowe półlitrowe kubki i rusza w głąb lasu. Pan Mareczek, grzechocząc aluminiową menażką i takimże kubkiem, tyle że emaliowanym, wewnątrz emalią białą, na zewnątrz niebieską powleczonym, idzie parę kroków za nim, co chwila przykucając, aby zerwać kilka jagód, które w tym roku 1983 - a więc już czterdziestym czwartym od wkroczenia czerwonych do Polski - myśli pan Mareczek - i ta nasza cyfra narodowa, sekretna, cóż by miała w tym wypadku znaczyć, jeśli w ogóle miałaby coś znaczyć? - niezwykle pięknie, o jagodach mowa, zaowocowały.

- Borówek niech pan nie zbiera - mówi pan Stefan. - Teraz poszukamy grzybów. A na borówki pójdziemy sobie później.

- Ale przyjechaliśmy przecież na jagody - protestuje pan Mareczek, który nie lubi zbierać grzybów, ponieważ nie ma do nich szczęścia, grzyby go pewnie nie uważają za poważnego zbieracza i jeszcze nigdy w życiu nie udało mu się znaleźć zdrowego prawdziwka.

- Na borówki to zaprowadzę pana tam pod tory. Ale to później, za godzinę albo dwie. A tutaj powinny być grzyby. Dwa dni padało, więc już pora, żeby się pokazały.

- Mnie się zdaje, że na grzyby to jest za wcześnie, panie Stefanie - próbuje jeszcze protestować pan Mareczek. - Grzyby to się pokażą za tydzień czy dwa.

- Niech mi pan wybaczy, drogi panie Marku - mówi wiolonczelista - ale pozwolę sobie zauważyć, że na obyczajach grzybów kompletnie pan się nie zna. Pójdziemy o tędy, wzdłuż drogi. Ja tu, a pan tam. Odległość przynajmniej dwadzieścia kroków. Jak pan coś znajdzie, to proszę mnie zawołać.

Ruszają więc na poszukiwanie borowika, który po dwóch dżdżystych dniach rozepchnął już być może mszyste, wilgotne podłoże i wysunął z parującego igliwia swój jasnobrunatny, porowaty łeb, do którego przylepiło się kilka kruchych zeszłorocznych igieł świerkowych i ku któremu, wiedziony nieomylnym instynktem, dąży wlokąc swój wilgotny czarny ogon i zostawiając na mchu śluzowaty ślad wszelki leśny ślimak. O jak słodko jest znaleźć pierwszego w tym sezonie borowika! Jak miło jest wygrzebywać drżącymi palcami z mokrej, czarnej ziemi, z zielonego mchu jego twardy, biały korzeń! Jest przedmiotem powszechnego podziwu, jest księciem grzybobrania, królem lasu ten, kto pierwszego w sezonie znalazł borowika. Ruszają, ubrani w długie żółte gumiaki, w stare ortalionowe płaszcze, z zaostrzonymi kijami, którymi będą rozgarniać gałązki i mech. Pada drobny deszcz, krople połyskują na pajęczynach rozpiętych między drzewami. Wielkie brązowe pająki z białymi krzyżami na grzbiecie czekają na skraju sieci na swoje ofiary.

- Przed stu, przed dwustu, przed tysiącem lat, ktoś, jak ja dzisiaj - myśli pan Mareczek wiedząc, że może sobie spokojnie pozwolić na takie rozmyślania, jako że borowika z pewnością i tak nie znajdzie - przed dwoma tysiącami lat ktoś mi nieznany, mówiący nieznanym mi językiem, szedł przez ten las, o tędy przechodził, o tu przystanął, tutaj spojrzał w niebo i rozgarniał zaostrzonym kijem gałęzie, rozdzierał koncem kija wilgotne pajęczyny zwisające z sosen. Kim był ten człowiek? Patrzyły na niego z głębi lasu oczy przerażonej sarny, tej samej, która patrzy dzisiaj na mnie. Kim oni byli, ci bracia Prusów i Litwinów, Jadźwingowie? Tutaj, w tym lesie, pod warstwą mchu, pod warstwą próchnicy leży jeszcze grot ich strzały, leży ich przerdzewiały miecz. Gdyby go teraz ktoś znalazł i odgrzebał, ten miecz rozsypałby się w czerwonawy pył pod dotknięciem światła albo dłoni. Nic, zupełnie nic nie pozostało po Jadźwingach. Można pogratulować tym, którzy ich eksterminowali. Odnieśli niebywały sukces, taki, jaki w dziejach mało komu przypadł w udziale. Poszło im znacznie lepiej, niż Niemcom z Cyganami i z Żydami. Znacznie lepiej, niż Rzymianom z Etruskami. Nie został ani jeden dom, ani jeden człowiek. Jadźwingowie zniknęli z powierzchni ziemi razem ze swoimi bóstwami, grzebieniami, pierścieniami, garnkami i językiem. Zostały po nich tylko kurhany przy szosie numer 11, tam gdzie za Suwałkami, za Szwajcarią skręca się na Szypliszki. I zostały jeszcze te strzępy języka, strzępy jego fonetyki zachowane w nazwach miejsco-

wych, te wszystkie su, szy, szut, a także wiż, ejsz, szesz, i jeszcze żaj, lisz, ysz, które szeleszczą, gwiżdżą, poświstują w Kadaryszkach, Maszutkiniach, Wiżajnach, Bondziszkach. Jeśli oczywiście te wszystkie nazwy miejscowe są jaćwieskie, a nie pruskie czy litewskie. Czego pan Mareczek nie jest jednak pewien, nie znając niemal zupełnie historii Jadźwingów. Ale czy mieli oni jakąś historię? Czy istnieje jakaś zapisana, komuś znana historia Jadźwingów? I kto ich właściwie wyeksterminował? Polacy? Czy ich pobratymcy, Litwini i Prusowie? A może Polacy w sojuszu z krzyżackimi komturami? Albo krzyżaccy komturowie w sojuszu z litewskimi książętami? I ktc właściwie leży pod tymi kurhanami przy szosie numer 11? Jeśli w ogóle ktoś tam leży. I czy te kurhany ktoś już kiedyś rozkopał, czy dobrali się do nich etnografowie polscy lub niemieccy? Czy leżą tam królowie Jadźwingów, ich potężni książęta, groźni kapłani ich nieznanej wiary? Czy leżą tam księżniczki o wąskich dłoniach, małych stopach? Ale może te ich księżniczki były przysadziste, brzuchate, cycate, wypukłookie, krowiookie? Jeśli nawet takie były, to i tak pochylali się nad nimi z pożądaniem woloocy jaćwiescy książęta. I poczynali w tych księżniczkach dzieci, które miały zostać potem wyeksterminowane, roztrzaskane przez krzyżackich jeźdźców o belki kurnej chaty, rzucone przez litewskich jeźdźców w żar dopalającego się zamczyska. Kość czołowa z kosmykiem włosów, który rozpadnie się pod wpływem zetknięcia ze światłem, oto co można by wykopać spod takiego kurhanu. Jeśli w ogóle coś tam jest pod tymi kurhanami. Pewnie nic.

Myśli pana Mareczka zmieniają teraz kierunek, ponieważ pod wpływem miłego mu obrazu gnijącej kości czołowej, do której przylepiony jest ostatni kosmyk włosów, zaczyna się zastanawiać, czy i po nim zostanie tylko tyle: kość czołowa i ten kosmyk już zetlały? Ale nie. Zostanie po nim przecież to, co właśnie pisze: ten opis grzybobrania, te rozważania o Jadźwingach, te rozmowy. A także zostaną po nim wszystkie jego wiersze opisujące rozkład, gnicie, próchnienie kości czołowych, piszczeli, nerek, wątroby, płuc, gardeł i łokci. Nie bądź taki pyszny, Mareczku. Bo może po tobie zostać akurat to, co zostało po Jadźwingach: czyli nic, nic, nic. Albo co najwyżej krowiookie, wolookie strzępy fonetyki, która będzie dla nikogo niezrozumiała, nikomu niepotrzebna: szcz, brdź, grdź. Jakiś niezrozumiały, głuchy bełkot, jakiś bełkocik, który z obrzydzeniem wspomni w przypisie zamieszczonym na stronie 729 historyk literatury wieku dwudziestego pracujący w wieku dwudziestym trzecim. Tyle co po Jaćwierzy. Wolookie nic.

- Znalazł pan coś? - dobiega pana Mareczka głos wiolonczelisty.
- Nie.
- Ja też nie. No to idziemy dalej.
- Chodźmy lepiej na borówki, na jagody - błaga pan Mareczek zapadając się w wilgotne poszycie.
- Na borówki pójdziemy za godzinę. Znajdź pan wpierw tego swojego borowika. Żona się ucieszy.
- Żona grzybów nie suszy.
- Jak pan znajdzie, to ususzy. I ugotuje wam na Wigilię zupę grzybową.

I ruszają dalej, rozgarniając kijami ogromne paprocie. A ponieważ los jednostki związany jest zawsze z losem społeczności, a dzisiaj, latem roku 1983, ze względu na to wszystko, co wykonali z nami czerwoni, szczególnie mocno i jak nigdy mocno jest związany, i problematyka indywidualnej egzystencji wydaje się nam unieważniona przez problematykę egzystencjalnego przeznaczenia całej społeczności - znów za sprawą czerwonych, za co zresztą należą się im od nas szczere podziękowania: więc oto tutaj, na tym miejscu, dziękuję wam, czerwoni, i kłaniam się wam nisko za to, że tak nam przyłożyliście, dzięki czemu przestaliśmy się zajmować własnymi prywatnymi bebechami, strasznie zawiłymi problemami indywidualnych bebechów, i znów zaczęliśmy się zajmować tym, czym powinni się zajmować dorośli mężczyźni: historią ojczystą i losami społeczności, w której żyjemy - więc ze względu na to wszystkie myśli pana Mareczka znów zmieniają kierunek i od wizji własnej kości czołowej rozkładającej się pod jaćwieskim kurhanem przy szosie numer 11 przechodzi on do wizji spo-

łecznej. - Ciekawe - myśli - czy dzisiaj, w drugiej połowie wieku dwudziestego, z nami, z Polakami, można by dokonać czegoś takiego, czego myśmy dokonali - albo czego nasi litewscy czy nasi niemieccy pobratymcy dokonali - z Jadźwingami kilka wieków temu? Czy można wyeksterminować wszystkich Polaków i pamięć o nich oraz o ich dziełach wymazać z historii? Tak, aby w historii pozostałe nie więcej, jak utrwalone w nazwach miejscowych wspomnienie o polskim szczu, brzdź, grzdź, wżdź? - E nie - pociesza się pan Mareczek - nie można. Po pierwsze jest nas trzydzieści sześć milionów, a niebawem będzie nas czterdzieści milionów i wyeksterminować się nie damy. Będziemy się bronić, czego Rosjanie słusznie się obawiali, rozważając w roku 1981, czy należy nas załatwić jak Czechów i Słowaków czy jakoś inaczej. A nawet gdybyśmy się dali wyeksterminować - gdyby nagle i ku naszemu przerażeniu okazało się, że bronić się już nie chcemy, ponieważ na skutek czterdziestu czterech lat niewoli upodobniliśmy się do naszych sąsiadów z południa i gotowi jesteśmy pokornie poddać się przemocy - to i tak nie ma takich środków technicznych, przy pomocy których można by to wykonać. Nie tak łatwo jest się pozbyć trzydziestu kilku milionów, o czym przekonali się Niemcy, paląc nas w swoich piecach. Po drugie, Jadźwingowie nie mieli Kochanowskiego ani Mickiewicza, nie mieli zapisanej w księgach - a choćby i na liściach dębowych - historii, nie mieli nauk, rzeźb i poematów. Nie wyartykuowali nic, nie wypowiedzieli w mowie ani w piśmie, nie ustanowili się poprzez dzieła rozumu i wyobraźni, i dlatego zginęli, dlatego nic a nic po nich nie zostało. Choćby nawet jakiś inny naród zdołał wyeksterminować trzydzieści sześć milionów Polaków, to i tak przecież zostanie kilku takich Polaków, których wyeksterminować się nie da: Mickiewicz, Słowacki oraz Chopin i Karłowicz są niewątpliwe nieśmiertelni. Więc nawet jak nie będzie już Polaków, to nadal będzie Polska, bo oni, a może nawet przede wszystkim oni są Polską. Nie można więc wymazać nas z historii, bowiem wprzód trzeba zniszczyć P a n a T a d e u s z a i K r ó l a - D u c h a i pieśni Karłowicza, cc oczywiście jest niewykonalne. Po trzecie, pan Mareczek wierzy głęboko, że istnieje coś takiego, jak sprawiedliwość dziejowa, jak moralność w historii. Istnieje bowiem - choć tego pan Mareczek nie jest już taki pewien - Bóg. Albo przynajmniej Ktoś W Tym Rodzaju, jakiś Duch, który wszystko wie i wszystkim włada. Ten Duch nie może dać zginąć Polakom, nie da im zginąć, nie pozwoli ich wyeksterminować, ponieważ - jak dowodzi tego dotychczasowa historia ludzkości - są mu oni do czegoś niezbędnie potrzebni. Do czego? Nie jest to całkiem jasne, ale ogólnie rzecz biorąc, można powiedzieć, że Polacy są potrzebni, byli potrzebni, a zatem chyba i nadal będą potrzebni do walki z Diabłem. Sprawdzili się w tej walce, nieźle dawali sobie radę. Stawali mężnie i odnosili nie byle jakie sukcesy. Można ich nadal używać i wiadomo, że nie uciekną z pola bitwy. Duch - lub Ktoś W Tym Rodzaju - może więc na nich liczyć, gdy przyjdzie co do czego. To powołanie, jak się zdaje, zapewnia Polakom jaką taką przyzwoitość i chroni ich przed groźbą eksterminacji. Co więcej, jeśli historia jest moralna, jeśli istnieje sprawiedliwość dziejowa, to Polakom - walczącym po stronie Ducha i chyba Dobrego - nie może zagrażać totalne unicestwienie także i dlatego, że ostatecznie zwycięży przecież dobro, prawdą, sprawiedliwość. Czyli to, co zawsze w dziejach zwyciężało. Hitler i Napoleon, właściciele niewolników z południowych Stanów i Turcy na Bałkanach musieli przegrać i przegrali, ponieważ byli po stronie Diabła i Diabeł im pomagał. Byli okupantami, grabieżcami, najeźdźcami. Mordowali, gwałcili, torturowali i palili, i właśnie dlatego przegrali. Tak, dobro zwycięży. A my jesteśmy po stronie dobra i dobro jest po naszej stronie. Zwyciężymy. I pan Mareczek ma ochotę pokazać sosnom, paprociom, pająkom i żukom rozcapierzone w literę V palce. Pałujcie nas, a my i tak zwyciężymy.

- Chwileczkę, panie Mareczku - myśli pan Mareczek. - Zdaje się, że pan się cokolwiek zapędził i nie bierze pan już pod uwagę argumentów strony przeciwnej, czyli Diabła. Właściwa Polakom skłonność do fantazjowania, do szaleńczego nawet fantazjowania, a więc mówiąc inaczej, skłonność do duchowego szaleństwa - którą czerwoni, dwuznacznie się uśmiechając, nazywają dzisiaj brakiem realizmu politycznego - skłonność niewątpliwie piękna, bowiem czyniąca z Pola-

ków nie co innego, jak Polaków właśnie, powinna być, jeśli mamy przetrwać, i jako Polacy właśnie, starannie przez nas pielęgnowana i ochraniana. Czym bardziej będziemy szaleni, im potężniej będziemy w duchu naszym szaleć, tym łatwiej damy sobie radę z tymi, którzy chcieliby nas ujarzmić i wynarodowić. Nie znaczy to jednak, abyśmy - szalejąc i fantazjując - nie mieli zarazem trzeźwo myśleć o tym, co się zdarzało i zdarza w historii. Polacy nie mogą zostać totalnie unicestwieni? Przyjrzyjmy się więc jeszcze raz, naiwny panie Mareczku, panskim naiwnym argumentom. Po pierwsze, nie można wyeksterminować trzydziestu sześciu milionów. Czy naprawdę nie można? A Józef Stalin ile milionów wyeksterminował? Ile milionów, ile narodów załadował do bydlęcych wagonów, ilu milionom odebrał miasta, wioski, ziemię? Co zrobił z krymskimi Tatarami, z Litwinami? Tak, to były małe narody i nawet takich małych narodów fizycznie unicestwić mu się ostatecznie nie udało, ponieważ nie miał środków technicznych, przy pomocy których mógłby to wykonać. Ale co zrobił, co zrobiono w dziejach z Ukraińcami? To wielki naród, większy niż my, więcej jest ich przecież niż trzydzieści sześć milionów. A gdzie oni teraz są, kim są? Kto mieszka dziś w ukraińskich wioskach nad Dnieprem, nad Zbruczem? Jakim językiem mówią tam ludzie, jaka jest ich ojczyzna, jakiej chcą ojczyzny? I ktc dziś mieszka w Kijowie, we Lwowie, czy w Odessie? Co to jest za naród? Czy oni jeszcze chcą, czy potrafią być narodem? A jeśli nawet chcą, potrafią, to jak długo jeszcze będą chcieli? Wygłodzono ten naród w czasie wielkiego głodu lat trzydziestych, wymordowano ten naród w czasie stalinowskich czystek, a potem tych, którzy przeżyli, wymieszano z przybyszami ze wschodu i z północy. A może już i duszę tego narodu zagłodzono na śmierć, zamordowano w łagrach i więzieniach? Może już nie ma tego narodu? Kto to wie. Nie będzie Ukrainy. Ech, panie Mareczku. Po drugie, skąd pan wie, że Jadźwingowie nie mieli Kochanowskiego ani Mickiewicza? Ależ mieli, mieli. Każdy naród ma - na swoją miarę - swojego Mickiewicza. Nasz Mickiewicz szczególnie może jest wielki, bo też nasza miara jest nie byle jaka. Ale ten Mickiewicz, którego mieli Jadźwingowie, ten ich pierwszy wajdelota, pierwszy patriota, też mógł być nie byle jaki. Mieli więc poetów, mieli dzieła wyobraźni i rozumu. Mieli swoją historię, zapisywaną lub wyśpiewywaną. Mieli, musieli mieć to, co ma, musi mieć każdy naród, który powołuje się lub zostaje powołany do istnienia. Bowiem właśnie przez dzieła, które naród z siebie wydobywa, naród powołuje się do istnienia, zwołuje się, jest. I wszystko to, wszystkie te jaćwieskie dzieła, wszystkie ich poematy, rzeźby, garnki zostały zniszczone przez barbarzyńców, którzy przyszli z południa, z zachodu, z północy. Po narodzie, nawet po wielkim narodzie może więc nic a nic nie pozostać i dusza narodu, istność narodu, jego duchowe dzieło, które zamyślał zostawić po sobie w historii, również może zostać unicestwione, wyeksterminowane. Ile było takich narodów, po których nie został ani jeden garnek, ani jedna strofa? Setki. Zwycięzcy niszczą wszystko. Albo przywłaszczają sobie wszystko. Ze zgwałconych przez nich kobiet rodzą się dzieci, ale są to dzieci zwycięzców. Ponieważ, po trzecie, wcale nie jest pewne, drogi panie Mareczku, czy istnieje jakaś dziejowa sprawiedliwość, historyczna moralność. Może coś takiego istnieje, ale może nie. A nie jest to pewne, ponieważ nie jest pewne, co to jest za Duch, kim jest ten Duch, który podobno wszystko wie i wszystkim włada. Bo może na przykład ten Duch, jeśli nawet jest, jeśli nawet wszystkim włada, nic o nas, ludziach, nie wie i nic wiedzieć nie chce? Albo może, odwrotnie, ten Duch, choć wszystko wie, to nie zamierza, nie chce mieszać się do naszej ludzkiej historii, nie chce nią władać, nie chce wprowadzać do niej ani swoich miar, ani swoich poprawek? A jeśli tak właśnie jest, to wynika z tego, że nie istnieje żadna sprawiedliwość dziejowa i istnieje tylko nasza ludzka bardzo niesprawiedliwa sprawiedliwość, nasza ludzka i bardzo niemoralna moralność ustanawiająca się poprzez naszą ludzką historię. Z czego z kolei wynikałoby, że my, Polacy, nie jesteśmy nikomu do niczego potrzebni i żadne Dobro, żadna Prawda nie wzywa nas pod swoje sztandary, ponieważ ludzka historia wcale nie jest terenem walki Dobra ze Złem, taka walka w ogóle się nie toczy, nigdy się nie toczyła, i wszystkim rządzi, zawsze rządził, i na wieki będzie rządził Diabeł, ruski książę tego

świata. A jeśli nie jesteśmy potrzebni Prawdzie, Dobru, Pięknu, jeśli jesteśmy potrzebni tylko samym sobie - a i to nie na pewno - no to możemy zostać w każdej chwili - i bez żadnego powodu, także bez niczyjej szkody - unicestwieni. Zależy to tylko od decyzji Diabła, który może nas unicestwi, a może - jeśli będziemy mu posłuszni - nie. - Uwierzyliście? - pyta Diabeł i dwuznacznie się uśmiecha, głaszcząc się przy tym po długiej, wąskiej brodzie, takiej jaką miał Czerkasow grający Iwana Groźnego w filmie Eisensteina. - Co to, to nie odpowiada Diabłu pan Mareczek. - W takie głupoty, w takie podstępne podstępy, w takie nikczemne nikczemności wierzyć nie zamierzam, nigdy nie uwierzę. Polacy zostaną ocaleni, ponieważ są, zawsze byli i nadal muszą być Przedmurzem Chrześcijaństwa. Czyli Przedmurzem Prawdy, Dobra, Piękna. Pojmij to wreszcie, głupia Europo. Gdyby nie my, Diabeł już dawno posiadłby ciebie i zapłodnił. I rodziłabyś, rozpustna dziwko, diabelskie bękarty. I tylko my, obrzydliwa niewdzięcznico, możemy cię wyrwać z jego szponów, tylko my możemy cię osłonić przed ciosami diabelskiego miecza. I osłaniamy cię, bo te ciosy bierzemy na siebie. I oto za tę myśl, za opowiedzenie się po stronie Prawdy i Piękna, pan Mareczek otrzymuje natychmiastową nagrodę - a zważywszy, że wcale nie jest pewien, jaka jest natura tego Ducha, który działa w dziejach i czy w ogóle w dziejach działa jakiś Duch, można nawet powiedzieć, że niezasłużoną nagrodę - bowiem tuż u jego stóp, o tu pod drzewem, tu gdzie ta gałązka, wysuwa się powoli z wilgotnego mchu brunatny, majestatyczny, ach, nawet nie tknięty przez bezmyślnego ślimaka, ależ tak:

- Borowik!
- Panie Stefanie, borowik!
- Szybciej, o tu, tu!
- O jaki piękny, jaki wielki!
- I nierobaczywy!
- No i co? Znalazłem! To mój pierwszy w życiu!
- Ale ostrożnie, niech pan tak nie szarpie! Bo mi pan złamie! A to ja znalazłem!

Pan Stefan wyjmuje borowika z mchu i pociera palcem różowe denko jego kapelusza, a potem podsuwa palec pod nos panu Mareczkowi.

- Niech pan poliże - mówi.
- Als po co?
- Co się pan pyta? No niech pan poliże.

Pan Mareczek liże i wypluwa kwaśno-gorzką ślinę.

- Gorzkie? - pyta pan Stefan.
- Ale dlaczego? - pyta pan Mareczek, choć już wie, już rozumie, już stracił nadzieję, o grzybie niewdzięczniku, grzybie ty oszuście. I jeszcze żałośniej:
- No ale dlaczego?
- Bo to szatan, panie Mareczku, szatan, a nie żaden borowik - woła triumfalnie pan Stefan i grzybem oszustem - pac! - ciska o pień olchy i szatan kruszy się, łamie, rozpada na brunatne i białe i różowe strzępy, które - jak przez chwilę wydaje się panu Mareczkowi - nagle nikną w rozwierającym się, wyrzucającym kłęby pary, bryzgającym ognistymi płatami poszyciu leśnym. Ale nie. Biało-różowo-brunatne nadal leżą na zielonym mchu, szyderczo urągając wierze i nadziei.

- Jeśli pokazały się szatany - mówi pocieszającym tonem pan Stefan - to znaczy, że prawdziwki będą nie wcześniej, niż za tydzień albo i dwa. Teraz pójdziemy o tam, gdzie ta przesieka. Tam dalej jest taki maliniak, że w pół godziny zbierzemy po litrze. A po drodze będziemy zbierali borówki. Kamionkę pan kiedyś zbierał?

- Co to jest kamionka? - pyta pan Mareczek.
- To te czerwone jagódki - pokazuje pan Stefan. - O te, co mają takie zieloniutkie listki. Można z nich robić wyśmienite konfitury, tylko trzeba dodać dużo cukru. - A ponieważ skojarzyło mu się czerwone z czerwonym, zaraz też pyta: - Myśli pan, że to długo jeszcze potrwa.
- Co?
- No to wszystko. To ich całe imperium.

- Chyba już niedługo - odpowiada pan Mareczek. - Widzi pan przecież, że już się rozlatuje. Na naszych oczach się rozleci. Jeszcze rok, dwa i będzie po nich.

- Tak mnie pan pociesza - mówi pan Stefan. - Ale ja to ich końca chyba nie dożyję. A tak chciałbym zobaczyć, jak będą stąd uciekać. Ten ich dysydent, tan Almaryk czy Amalryk, ten co się zabił w samochodzie, jak jechał do Madrytu, pamięta pan, twierdził, że oni się wykończą już w '84. Ale mnie się teraz zdaje, że to może jeszcze potrwać i ze sto lat. Albo i ze dwieście. Dla takiego imperium sto lat to jest nic. Rzym jak się długo rozpadał?

- No długo - przyznaje pan Mareczek. - Chyba z pięćset lat. Ale zwracam pańską uwagę na fakt, że imperia dziewiętnasto i dwudziestowieczne mają krótki żywot. Hitler rządził w Niemczech tylko dwanaście lat. A Napoleon we Francji nie dużo dłużej. Historia, wie pan, lubi niespodzianki. To zwalnia, to przyspiesza. Ani się obejrzymy, a już ich nie będzie.

- Samo to jednak nie pęknie - mówi pan Stefan. - Musi się coś wydarzyć, żeby się takie imperium rozpadło. Myśli pan, że będzie wojna?

- W to - mówi pan Mareczek - żeby Amerykanie pierwsi uderzyli, to ja nie wierzę. Prezydent musi się zgodzić, senat musi się zgodzić. Naród musi taką wojnę zaakceptować. Potrzeba było Pearl Harbour, żeby oni wtedy zechcieli się ruszyć. A przecież Ruscy tak naprawdę to nic złego im jeszcze nie zrobili. Więc Amerykanie nie mają motywacji. Nie, pierwsi nie uderzą, po co mieliby to robić. Ruski też pierwszy nie uderzy, bo Amerykanie są jednak silniejsi, a jak historia długa i szeroka, Ruski na silniejszego ręki nigdy nie podniósł. Zawsze tylko na słabszych się rzucali. Na takich jak ci górale z Afganistanu. Albo na takich jak my. I to tylko wtedy, kiedyśmy ledwo dyszeli.

- Albo na Gruzinów - mówi pan Stefan. - Choć mi się zdaje, że ci Gruzini to im kilka razy nieźle przyłożyli. Ale dokąd wojny nie będzie, to nic się nie zmieni. Takich kretynów jak Churchill z Rooseveltem, wie pan, żeby tak nas w Jałcie sprzedać, to świat nie widział. Pamięta pan taki wierszyk z pięćdziesiątych lat? Ale nie, nie może pan pamiętać. Za młody pan był. Panie Truman, rzuć ta bania, bo już nie dc wytrzymania. Na Śląsku tak wtedy mówili. Pewnie, wtedy to trzeba było załatwić. Już byłoby po wszystkim i mielibyśmy spokój. Głupi ci Amerykanie.

- Myślę, panie Stefanie - mówi pan Mareczek - że oni i bez wojny też się mogą rozpaść. Może się na przykład zdarzyć, że jakiś generał tam oszaleje, jakiś taki młody, koło czterdziestki. Oszaleje, no i postanowi zostać, ale od razu, pierwszym sekretarzem.

- No i co z tego, że taki generał oszaleje i zechce zostać sekretarzem? - pyta pan Stefan. - Rozwalą go albo zamkną w domu wariatów i koniec.

- A jeśli ten generał - pyta pan Mareczek i raczej do historii zwraca się z tym pytaniem, niż do pana Stefana - zbierze swoją dywizję i postanowi objąć władzę siłą? Doszedłszy uprzednio do wniosku, że musi taki pucz wykonać, bo inaczej nigdy do władzy się nie dorwie? Wystarczy przecież jedna detonacja. A ten generał to byłoby coś w rodzaju zapalnika. I potem wszystko naraz zaczęłoby się walić. Litwini by się ruszyli, Estończycy by się ruszyli. A przede wszystkim muzułmanie. I w dwa tygodnie byłoby po imperium.

- Ładny scenariusz - przyznaje pan Stefan. - Ale całkowicie nierealny.

- Dlaczegóż to? - pyta pan Mareczek.

- Bo tam wojsko nie ma podobno ostrej amunicji. A składów z bronią pilnuje KGB. Czytałem c tym chyba w N o m e n k l a t u r z e Wosleńskiego. To wyszło w podziemiu. Więc taki generał byłby zupełnie bez szans. Ale co do muzułmanów, to ma pan rację. Jest ich coraz więcej i wierzą w Boga, więc kiedyś się ruszą. Tylko co wtedy stanie się z nami? Bo jak ten smok zacznie pękać, to wystarczy jedno machnięcie ogonem, żeby nas zmiotło z powierzchni ziemi. A konwulsje takiego imperium to mogą, wie pan, trwać i dwadzieścia, i pięćdziesiąt lat.

- Jak ten smok zacznie pękać - mówi pan Mareczek i brzęcząc menażką oraz błękitno emaliowanym kubkiem pochyla się nad jagodami - to wtedy trzeba będzie korzystać z okazji. Wtedy będzie nam potrzebny ktoś w rodzaju Piłsud-

kiego. Ktoś taki, co w odpowiedniej chwili potrafi pomaszerować na Wilno i Lwów. I zapewniam pana, że właśnie wtedy ktoś taki się zjawi. Bowiem tacy ludzie zostają dani narodowi akurat wtedy, kiedy naród ich potrzebuje. Zjawiają się w ostatniej chwili, ale i akurat w tej, w której zjawić się powinni.

- Szybki z pana człowiek - śmieje się pan Stefan. - Już pan idzie z tym swoim nowym Piłsudskim na Wilno i Lwów, maluczko, a i po Kijów pan sięgnie. Może i Odessy się panu zachciewa? A jak ten smok nigdy, ale to nigdy nie pęknie? Jak on świat cały pożre i też nie pęknie? To co z nami wtedy będzie?

- Takiej możliwości nie dopuszczam - mówi pan Mareczek.

- Ja też nie - mówi pan Stefan. - Ale jednak dopuśćmy taką możliwość. Oni są przecież naprawdę potężni. I - w przeciwieństwie do Amerykanów - nigdy nie mieli, więc i mieć nie będą żadnych skrupułów natury moralnej - żeby tam kogoś czy coś oszczędzić - co oczywiście powiększa ich szanse. No więc jak się wreszcie ruszą i jednak wygrają, jednak zdobędą całą Europę, a potem i całą kulę ziemską, to co będzie? Myślał pan kiedyś o takiej perspektywie dla ludzkości?

- Tak - przyznaje niechętnie pen Mareczek. - Myślałem. Wtedy trzeba się będzie modlić do Boga, żeby zniszczył tę planetę. Bo wtedy okaże się, że ludzkość nie jest godna tego, żeby w ogóle istnieć.

- A jak się wtedy okaże - ciągnie dalej swoją myśl pan Stefan - że Boga nie ma? Albo jak się okaże, że ta nasza planeta nic go nie obchodzi? To co wtedy poczniemy, jak będziemy żyć?

- Niech mnie pan nie męczy- błaga pan Mareczek. - Daję panu słowo honoru, że Bóg jest. Ma pan też moje słowo honoru na to, że smok nie pożre całego świata, ponieważ niebawem już pęknie. Przecież już pęka. Nie czuje pana zapachu siarki?

- Czuję zapach malin - mówi pan Stefan. - To jest tan mój maliniak. Ta planeta, panie Mareczku, choć przez smoka cokolwiek już zasmrodzona, i tak jest jeszcze, dzięki Bogu, rajem. Chodźmy. Takich malin, jak w tym maliniaku, tc pan w życiu nie widział i już nie zobaczy.

\+

\+ \+

Z P r z e w o d n i k a p o P o l s c e p ó ł n o c n o - w s c h o d n i e j, wydanego przez Związek Polskich Towarzystw Turystycznych w roku 1935 w Warszawie, pan Mareczek dowiaduje się, że w Sejnach można się zatrzymać w hotelu pani Fliegeltaubowej przy ulicy Piłsudskiego, gdzie są trzy pokoje w cenie od 1 zł. 50 gr. do 2 zł. za dobę, oraz że w Suwałkach kawę albo herbatę można wypić w cukierni Ciecierskiego przy ulicy Kościuszki 88, a po porozumieniu się z komendą "Strzelca" łatwo jest sobie zapewnić nocleg w okolicy w kilkudziesięciu świetlicach Związku Strzeleckiego. Można się też dowiedzieć z tego przewodnika, że Suwałki założone zostały w wieku XV, kiedy to w puszczy Uhoł osiadło kilku Litwinów włóczęgów - zwanych w języku litewskim "suwiłkai" - nazwa Sejn natomiast, także w wieku XV założonych, pochodzi od litewskiego słowa "seiniai" czyli starcy, jako że miasteczko to miało zostać zafundowane przez trzech sędziwych rycerzy Władysława Jagiełły, którzy wracając z wyprawy na ziemie Krzyżaków postanowili osiąść nad rzeką Marychą. Są też jednak tacy - na przykład ksiądz Jemiałkowski; ale kto to był? - zastanawia się pan Mareczek - którzy nazwę Sejn wyprowadzają z ruskiego wyrazu "sieno", sianokosy. Uczniami szkoły sejneńskiej - i taką informację warto również zapisać - byli Szymon Konarski, emisariusz stracony w Wilnie z carskiego wyroku, oraz działający na emigracji w Paryżu filozof Bukaty, Suwałki zaś są miastem rodzinnym Marii Konopnickiej i marszałkowej Aleksandry Piłsudskiej.

"Niegdyś kraj Jadźwingów, później Litwy, obecna Suwalszczyzna - wynotowuje sobie jeszcze z przewodnika pan Mareczek - w następstwie unii polsko-litewskiej połączona z Polską, tworzy teren dawnego województwa trockiego. Po

trzecim rozbiorze Polski należy do Prus, od roku 1807 wchodzi w skład Księstwa Warszawskiego. Kongres Wiedeński przydziela ją do Królestwa Kongresowego. Kraj jezior i lasów, o charakterze jeszcze pierwotnym, dostarczyć może dużo niespodzianek i miłych wrażeń. Spływy kajakowe i zawody wioślarskie ściągają liczne rzesze turystów. Puszcze Suwalszczyzny są wspaniałym terenem łowieckim. Moc zwierzyny - wilki, lisy, kozły, dziki, bobry, nawet łosie, zające, głuszce, cietrzewie. W okolicach jeziora Wigry, otoczonego niegdyś przez głuche puszcze, w których polował chętnie Władysław Jagiełło, spotkać można także gronostaje." Pan Mareczek zamyka przewodnik, podnosi głowę i widzi za oknem jezioro - "Największa głębokość 73 m., najwyższa notowana temperatura wody w lipcu dochodzi na powierzchni do 25° C, przy dnie osiąga latem około 7°C" - jezioro, którego środkiem przesuwają się teraz trzy głowy, jedna w czerwonym, druga w zielonym, trzecia w białym czepku. Płyną krytą żabką, niespiesznie, głowy na chwilę nikną w wodzie i znów się pojawiają na powierzchni, towarzyszy im jasnozielona łódka, w której siedzi, kto, z tej odległości nie widać, chłopiec czy dziewczyna, w czerwonej koszuli. Kiedy dopłyną do przystani, będą się wycierać włochatymi ręcznikami, tupiąc przy tym bosymi stopami o szare, wytarte przez wodę i czas deski pomostu, a potem, wieczorem, będą się kochać pod łopoczącymi skrzydłami namiotu, pod białym księżycem. - Jak słodko, jak dobrze jest żyć - myśli pan Mareczek. - Boże, jeśli nie masz nic przeciwko temu, to chciałbym jeszcze trochę pożyć, jeśli nie masz wobec mnie innych planów i nie jestem ci na razie do niczego innego potrzebny, to pozwól mi tu jeszcze pozostać i patrzeć, na tej ziemi, którą nas obdarowałeś i która jest rajem, która byłaby rajem, gdyby nie to, że wszystko tu umiera, a nim umrze, cierpi, ponieważ musi umierać i umrzeć. - Trzy głowy, biała, zielona, czerwona, zniknęły już z pola widzenia pana Mareczka, popłynęły dalej, zostały zasłonięte przez gałązki czeremchy rosnącej na zboczu i ukryte przed nami, przede mną, dalsze dzieje tych płynących, nigdy się nie dowiem, kim byli, kim są i co się z nimi później stało, ich los pozostanie mi nieznany, spełni się, ale nie dla mnie, teraz szczęśliwi, poruszający się zwinnie w półprzeźroczystej zielonkawej wodzie, tupiący buch buch bosymi stopami o nagrzane słońcem deski przystani, brunatne lśniące ciało ocierające się w ciepłym półmroku namiotu o inne ciało, nagła słodka słabość, nagły prąd przebiegający w podbrzuszu, tak, teraz szczęśliwi, będą potem leżeć w wilgotnej, przepoconej pościeli, skręcając się z bólu, z niemocy, ze wstrętu do samych siebie, kiedy dobierze się do nich rak czerniak albo skleroza albo po prostu głupi zwykły reumatyzm, ale tego, jak umierali, jak cierpieli, jak się sobą brzydzili, jak krzyczeli z wielkiego strachu pięć minut przedtem nim ich dosięgło, nigdy się nie dowiem, ukazali się tylko na chwilę w moim życiu, wystarczająco krótką, bym zaraz o nich zapomniał, wystarczająco długą, bym zdążył nacieszyć się ich szczęściem, współczuć ich cierpieniu, i widać już tylko jasnozieloną łódkę, w której porusza wiosłami, niespiesznie, nie wiadomo kto, jakiś chłopak czy jakaś dziewczyna w czerwonej koszuli, ale za chwilę i ta łódka - o jaka piękna! o jasnozielona! o jak dobrze jest żyć! o jaki raj na ziemi stworzyłeś nam, Boże! - więc i ta łódka zaraz zniknie poza gałązkami czeremchy, a potem jest śmierć.

- Gdzie oni są - myśli pan Mareczek - ci wszyscy zmarli? Gdzie jest to miejsce, w którym umieściłeś ich, Boże? Gdzie są te powiaty, te województwa, te miasta, miasteczka, w których poleciłeś im zamieszkać, gdzie są te ich, te Twoje pałace? Są ich przecież miliony, miliardy, tych zmarłych, a ilość ich co dzień raptownie się pomnaża. A jeszcze trzeba do tych milionów dodać biliony, tryliony łosi, wilków, dzików, lisów i głuszców, i wszelkiej innej zwierzyny, i wszelkiego innego ptactwa, i tryliony trylionów komarów, pszczół, much, całe robactwo, bowiem to wszystko też, w co ja, pan Mareczek, głęboko wierzę, nie poszło na zatracenie, nie zatraciłeś, nie zniszczyłeś tego, Boże, bowiem gdybyś to zniszczył, to nie byłbyś Bogiem. Więc gdzie to wszystko jest, gdzie jest to wszelkie życie, co już nie jest, już przestało być życiem? Gdzie to się podziało, gdzieś to ulokował, gdzie to przechowujesz? Wiem, że nie jest, a przynajmniej nie musi to być miejsce i że nie musi to być w cza-

sie, bowiem co jest duchem, nie musi, albo i nie może być przestrzenne i nie musi być mu dane istnienie chronologiczne. Może to być stan jakiś albo bo ja wiem co, jakieś coś takiego, czego nie jestem w stanie pojąć, będąc człowiekiem i będąc w życiu, s więc będąc w przestrzeni i w czasie, i tylko czas i przestrzeń znając, mogąc pojąć, a tego czegoś innego, tego stanu ducha, gdy już jest poza przestrzenią i czasem, nie znając, więc nie mogąc pojąć. Ale mogę to sobie wyobrazić - właśnie dlatego, że będąc tworem przestrzenno-czasowym znam tylko czas i przestrzeń, nic innego - tylko jako coś, co jest przestrzenno-czasowe, nie inne. Więc jako powiat, województwo, krainę. Albo jako pałac, domostwo, zamczysko.

Marszałkowa Aleksandra Piłsudska rozmawis tam - gładząc zmarłego-żywego gronostaja, który leży na jej kolanach - z trzema sędziwymi rycerzami Władysława Jagiełły, a pan Ciecierski, właściciel cukierni przy ulicy Kościuszki 88, podaje herbatę ubranym w skórzane kaptury i futrzane buty litewskim włóczęgom - suwiłkai. Ale któż to się zbliża? Pani Fliegeltaub, poprawiając żółtobiałą perukę, którą strącili jej z głowy esesmani, kiedy kolbami zepchnęli ją z hotelowych schodów, tak, to ona, poczciwa pani Fliegeltaub, która bierze za pokój taniej, niż w Suwałkach - dodatkowe łóżko z pościelą 1 zł., a jeśli pan dobrodziej sobie życzy, to może przyjść panienka, jest czysta i zdrowa, jeśli pan życzy, może być chrześcijanka - tak, to ona idzie pod rękę z księdzem Jemiałkowskim, ale kto to był? A tuż za nimi pani Maria Konopnicka, a z drugiej strony panna Zielonkówna, która ma księgarnię na ulicy Kościuszki pod 84, więc nie opodal cukierni pana Ciecierskiego - były dwie siostry Zielonkówny, obie bardzo ładne, druga, ta mniej śmiała, idzie sobie z tyłu - prowadzą pod łokcie Szymona Konarskiego, który ma na piersi pięć wystrzępionych dziurek z czerwonymi obwódkami, jeśli został zabity salwą plutonu egzekucyjnego, albo siną pręgę na szyi, jeśli został powieszony, bowiem pan Mareczek nie pamięta, jaką śmiercią zginął ten bohaterski emisariusz. I podbiegają do nich trzej wioślarze z warszawskiego AZSu, mają czarne, obcisłe spodenki do kolan i koszulki z biało-zielonym znakiem klubu na piersi, czerwone wiosła oparli o ścianę, i zapraszają obie siostry Zielonkówny - a także Szymona Konarskiego, jeśli nie ma nic przeciwko temu - na przejażdżkę kajakami po Wigrach.

- Popłyniemy do ujścia Czarnej Hańczy i pokażemy paniom bobrowe żeremia, a potem dalej do klasztoru kamedułów na półwyspie i tam zjemy obiad, a po obiedzie autobusem, który odjeżdża spod PTTK, wrócimy do miasta.

- A potem ja - mówi Szymon Konarski - zapraszam miłych państwa na ciastka do cukierni Ciecierskiego. Także i panie - dodaje zwracając się do pani Aleksandry Piłsudskiej i do pani Fliegeltaub.

- Ciastka po śmierci są za darmo - mówi na to pan Ciecierski. - Nikt nie płaci nic, można zjeść i po pięć.

- A to dobra wiadomość, to i my idziemy - cieszą się czterej litewscy włóczędzy, suwiłkai w skórzanych kapturach.

- A te ciastka to będą z kremem? - pyta najstarszy z rycerzy Jagiełły.

- Z kremem i z malinami - zapewnia pan Ciecierski. - A maliny zbierały dzisiaj o świtaniu w lasku pod Płociczynem, tam gdzie szosa do Gawrychrudy skręca w lewo, ku żwirowni w Sobolewie, nasze miłe drogie panny Zielonkówny.

- A krem - pyta rycerz - jaki będzie? Taki z różową polewą, przedwojenny?

- Krem jaki kto lubi - odpowiada pan Ciecierski. - Mamy tu wszystkie kremy, jakie są na świecie.

- No to idziemy, idziemy - wołają panny, rycerze, włóczędzy i Maria Konopnicka także się przyłącza.

- Ale wprzód na kajaki - wołają wioślarze. - Za pół godziny odpływamy z przystani w Gawrychrudzie, będziemy czekać, wie pan gdzie, panie Szymonie, przy tych słupkach, przy tej niebieskiej poręczy.

- Przy tych słupkach - myśli pan Mareczek i dreszcz go przechodzi. - Przy tych słupkach, z których żywi chłopcy skaczą właśnie na bombę, zaciskając przy tym nos dwoma palcami, do zielonej, zimnej wody.

Najwyższy z wioślarzy, ten z jasnym wąsikiem, ma wyraźnie ochotę na młodszą, tę mniej śmiałą siostrę Zielonkównę, a ona, w cienkich jedwabnych pończo

chach, granatowej plisowanej spódniczce i białych pantofelkach z paskiem zapinanym na jeden guziczek, też - jak mi się zdaje - nie jest od tego i chociaż się rumieni, gdy on na nią patrzy, po przejażdżce kajakiem pójdą na spacer do lasu, będzie z tego małżeństwo, a z małżeństwa dzieci. Gdzie oni wszyscy są? Bo nie może być tak - myśli dalej pan Mareczek - żeby już ich nie było, nigdzie, żeby tylko wspomnienie, i to niejasne, znikliwe, pozostało. Nie może tak być, żeby ich zdmuchnęło, żeby poszli do ziemi i zamienili się w gnój, w nic. Nicość, nicość, nicość. Gnój, gnój, gnój. Nicość, nic. Dziura, dziura, dziura. A jeśli tak jest, to nie jesteś Bogiem i jesteś tylko straszną, dziką Siłą, owszem, powiedzmy, że duchową, no i co mi z tego? Siłą, która płodzi, wydaje z siebie nie wiadomo co, nie wiadomo po co. I tak dzień po dniu, wiek po wieku, przez miliony, miliardy lat. I już są ich miliony, biliony, ależ się mrowią, cóż to za mrowisko, kopiec aż do nieba, wyżej niż Wanus i Saturn, kopiec aż do drogi mlecznej, i już są tryliony tych naszych zmarłych, a także tryliony trylionów zmarłych, zdechłych, padłych łosi, wilków, dzików, gronostai, a także głuszców, orłów, sójek, a także pszczół, bąków, komarów, sosen i olch, źdźbeł trawy, wszelkiego istnienia. I wszystko to na nic, po nic? Tyle nadziei, marzeń, wierzeń, tyle schopenhauerycznej i schopenhauerycznie cierpiącej żądzy istnienia, i po nic? O nie, ja w to nie uwierzę, żeby to wszystko poszło w gnój. Mam przeczucie, od lat je mam, od wczesnej młodości, i nie mogę się go pozbyć, intuicyjnie czuję, że oni gdzieś są. Muszą być, te tryliony łosi, ludzi, sójek i komarów, cóż to za siła duchowa, coż to za niezmierzona potęga, nie można przecież nie odczuć jej działania, nie można nie odebrać sygnałów, które ku nam wysyła, nie można nie usłyszeć tego ich wołania, kiedy wzywają nas, krzyczą, wymachują rękami: Słuchajcie, my jesteśmy, jesteśmy, jesteśmy. Potężny jest ich głos, cóż to za mocarstwo. Ale i moja intuicja jest mocna, i moje przeczucie, moje czucie jest potężne, mój głos jest silny, kiedy słysząc ich wołanie, sam też wołam do nich, od lat tak wołam: Słuchajcie, i ja jestem, jestem, i już idę do was, jesteśmy coraz bliżej, zbliżam się, tu jestem, ale powiedzcie, gdzie jesteście, za jaką ruską, litewską granicą. Nic, nic, nic. Gnój, gnój, gnój. Siła, która nie myśli, nie kocha, nie współczuje. Schopenhauerycznie chcenie. Byt bytujący. Przedmiot bez podmiotu. Więc moje współczucie dla was, moja litość nad wami, moi drodzy zmarli, moje łosie, dziki, gronostaje i cietrzewie, moja litość tak ogromna, że obejmuje, co już jest przesadą, wszelkie istnienie, nawet pluskwy w sejneńskim hotelu pani Fliegeltaub, nawet te konie, co z pyskami zanurzonymi w workach żrą owies na hotelowym podwórzu, kiedy na pięterku ten co nimi jeździ, pan dobrodziej, rypie na skrzypiących sprężynach, na brudnym sienniku czystą i zdrową Ryfkę albo Józię, z których jedna jęczy: - Mein Gott, a druga: - O Boże, Boże, co też pan wyrabia - więc to moje, przyznaję powtórnie, przesadne współczucie dla wszystkiego, co ma umrzeć, wszystkiego, co było, jest i będzie, dla każdego źdźbła trawy, każdego istnienia, więc ta moja litość nie wzrusza was, nie porusza? I nie skłoni was do wyraźnego powiedzenia mi, gdzie jesteście? Droga pani Aleksandro Piłsudska, bardzo panią proszę, niech pani będzie tak dobra i łaskawie wyjdzie z tego krzaku czeremchy, w którym - wiem to przecież - chowa się pani przede mną, niech pani przejdzie przez nasz play-ground, od ławeczek aż do komórki gdzie te sągi drzewa, a przechodząc - ja będę patrzył z okna - niech mi pani da znak chusteczką, co będzie znaczyło, że mam iść za panią. Pani wie, gdzie, no właśnie tam, gdzie wszyscy jesteście. Ale może to być pani Fliegeltaub i na znak może zdjąć, a potem znów włożyć perukę. Albo to może być rycerz Władysława Jagiełły i na znak niech na środku play-groundu podniesie w górę czerwone wiosło jasnowłosego wioślarza, narzeczonego panny Zielonkówny. - I pan Mareczek przerywa pisanie i wpatruje się w okno, czekając na ten znak, który wcześniej czy później - jak w to głęboko wierzy - wreszcie otrzyma.

+

\+ +

Jak pisać? Boże ty mój - myśli pan Mareczek siedząc na ławeczce pod krzakiem dzikiej róży, wokół którego kręcą się trzmiele i bąki - Boże ty mój, jeśli w ogóle istniejesz lub jeśli jeszcze istniejesz, co - zważywszy na te wszystkie okropności i okrucieństwa, które nas otaczają, na te dzieci torturowane i mordowane bez żadnego powodu, na te ciężarne kobiety bite pałkami bez żadnego powodu - wcale nie jest takie pewne, więc jeśli jeszcze istniejesz, o Boże, to powiedz mi, jak pisać? Jak mam wypowiedzieć to, co jest we mnie, co myślę i czuję, moją straszną pogardę i moją straszną nienawiść, ale i moją straszną litość dla tych, którzy okradli nas z wolności, dla tych, którzy zabrali nam naszą miłość, naszą nadzieję. I jak mam wypowiedzieć to, co jest w nich, w tych, którzy zostali razem ze mną okradzeni i to, co jest w tamtych, którzy nas okradli, jak mam wypowiedzieć to, co oni myślą i czują, ci jedni i ci drudzy, to co oni przeżyli, ich cierpienia, ich wzajemną nienawiść, ich rozpacz, ich determinację. Ile ust chce się otworzyć, ile głosów chce mówić moimi ustami. Pomóż mi, Boże. Daj mi składnię, daj słowa, powiedz, jak mam pisać. Przecież nie potrafię, nie umiem, nie wiem, jak. Od lat się męczę i ciągle nic z tego, ciągle nie tak mi to wychodzi, jak bym chciał. Jestem bezbronnym kretynem wobec tego, co mnie otacza, jestem nieszczęsnym idiotą wobec tego, co chce być wypowiedziane. Ale choć jestem idiotą i kretynem, racz mnie wspomóc, bowiem wszyscy, którzy jak ja próbowali, byli podobnymi do mnie idiotami wobec tego, czego mieli dokonać. A jeśli innych niegdyś raczyłeś prowadzić za rękę, to i mnie poprowadź. Wiesz, że nie jestem zbyt łapczywy, ani zbyt pyszny. Akurat na tyle jestem pyszny, żeby wziąć pióro do ręki i starać się, jak przystoi temu, który zamierzył coś godnego. Starem się, widzisz. I znam miarę, wiem bowiem, że są też inni, godniejsi ode mnie, którzy coś godniejszego niż ja zamierzyli. Więc im wprzód pomóż, ale potem i mnie. Wiesz również, że nie zależy mi wcale - no, mówiąc szczerze, prawie wcale - na sławie, ani na pieniądzach. Proszę bardzo, niech moje nazwisko zostanie zapomniane. Jeśli chcesz, dmuchnij i niech mnie nie będzie. I proszę bardzo, niech do śmierci już nic z tego nie mam. Ty przecież wiesz, że nie potrzebuję nagród ani pochwał. I proszę bardzo, niech mnie nawet wcale nie drukują, pamiętam przecież, co powiedział Osip Mandelsztem tym młodym poetom, co w Moskwie, na początku lat trzydziestych - niebawem już miał pojechać do łagru na Kołymę - skarżyli mu się, że Stalin nie chce drukować ich wierszy. - A Safonę drukowali? - zapytał ich Osip. - A Jezusa Chrystusa drukowali? - I spuścił tych poetów ze schodów, na pysk ich wyrzucił. Więc proszę bardzo, niech mnie nie drukują. Ale zrób coś takiego, o mój Boże, żeby to, co piszę, na wieki było wierne temu, o czym piszę. I tylko tego chcę, niczego więcej: żeby przetrwało to, co opisywałem. Niech przetrwa stulecia i niech na zawsze pozostanie takim jakim było, gdy po raz pierwszy przeze mnie zostało ujrzane. Więc spraw, żeby trwało. Pomóż mi wypowiedzieć bezruch i ruch, trwanie i przemijanie, chaos i porządek. Chciałbym opisać całe moje tu życie, nasze tu życie. Ale pomóż mi też opisać tego - o właśnie tego, nie innego - trzmiela krążącego nad opadającymi płatkami dzikiej róży. A także łódkę z czerwonym żaglem, która - patrz! - stoi właśnie teraz na jeziorze we mgle rozsnuwającej się nisko nad wodę. Ale jak pisać, o Boże, jak pisać?

Bóg, który być może, czego pan Mareczek wcale jednak nie jest pewny, istnieje, zatrzymuje na chwilę obłoki ciągnące nisko nad jeziorem, a także rozkołysane wierzchołki szesnastu - ale może osiemnastu - topoli i zatrzymuje na chwilę tego - o właśnie tego, nie innego - trzmiela, co krążył sobie ponad dziką różą, i długą niebieską ważkę, która przed chwilą drżała jeszcze nad powierzchnią wody, a teraz - patrzcie! - stoi nieruchoma; i rozsunąwszy - o Bogu tu mowa - te zatrzymane przed chwilą obłoki, mówi do pana Mareczka:

- Pisz prawdę, Mareczku. I ładuj konkret, bo wszelka potomność, jak mi dobrze wiadomo, uwielbia konkrety. - Długa błękitna ważka zaczyna już poruszać czterema przezroczystymi skrzydełkami, ale Bóg, jakby jeszcze sobie coś przypomniawszy, ponownie wychyla się z obłoków i dodaje: - Ta łódka z czerwonym żaglem, Mareczku, lichym wydaje mi się być konkretem, bowiem łódka z czerwonym żaglem to jest coś wiecznego. Znajdziesz ją na przykład, mój Mareczku, u Pou-

ssina, malowali też takie właśnie łódki, o ile sobie dobrze przypominasz, francuscy impresjoniści.

- Ależ ta łódka - próbuję spierać się z panem Bogiem pan Mareczek - toż to jest konkret najkonkretniejszy ze wszystkich konkretów, bo ona właśnie tam, o tam płynie, a teraz właśnie skręciła, o w lewo, i zaraz przybije o tam, do pomostu.

Ale Bóg popchnął juz, skotłował obłoki i wszystko ruszyło, i wszystko żyje, mija, jest i nie jest, i burczą, bzyczą wszystkie, ile ich jest, trzmiele, i warkoczą, terkoczą wszystkie błękitne cztero i sześcioskrzydłe ważki, ile ich tylko bywa nad naszym jeziorem, i jak tu pisać, o Boze, jak pisać. A jeszcze trzeba wyrazić i rozpacz, i gniew.

\+

\+ \+

Krótkie, gnane północno-wschodnim wiatrem fale wypłukują piasek spod suchego pnia sterczącego z wody tuż przy brzegu i biją w nadgniłe, obrośnięte jasnozielonymi glonami bale, na których wsparty jest wychodzący w jezioro pomost. Tutaj, w zatoce, nad którą stoi dom pani Anieli, fale są niskie i tylko marszczą srebrzącą się, połyskującą powierzchnię wody. Ale nieco dalej, tam gdzie Ordów i Ostrów, i jeszcze dalej, tam gdzie trzecia wyspa, Krowa, tam na środku jeziora te fale mogą przewrócić żaglówkę, a już na pewno przewrócą deskę z kolorowym żaglem, na której stoi patrzący w wycięte w żaglu okienko pływak, co nieostrożnie oddalił się od brzegu. - Wiadomo - myśli leżący na pomoście pan Mareczek - skąd się biorą tutaj takie fale. Przed trzystu laty - tak mówi jedna z nadwigierskich legend - kucharz z klasztoru kamedułów, tego który stoi na cyplu nad jeziorem i w którym mieszkają latem jacyś prominenci czy raczej podprominenci, licnsi prominenci przysłani tu przez Ministerstwo Kultury - bo jaki prominent przyjechałby latem nad Wigry, oni jeżdżą do Saint Tropez, w najgorszym razie do Gagry lub do Dubrownika - więc ten kucharz, imieniem podajze Barnaba, zapragnął uczęstować braciszków sieją, rybą niezwykle smaczną, którą stąd, znad Wigier, wozono potem i na carski stół. Ale siei w Polsce wówczas nie było, więc kucharz zawarł z diabłem taki oto pakt: sprzeda mu duszę i przez całą wieczność będzie się smażył na patelni w piekle, za co diabeł dostarczy mu z Włoch żywą sieję. - Proszę bardzo, dla mnie to drobiazg, juz tam lecę. A że jako diabeł istnieje nie tylko w czasie i przestrzeni, ale takze, jeśli tylko zechce, w wiecznym teraz, poza wszelkim czasem i wszelką przestrzenią, zatem będziesz miał tę rybę nie jutro, nie za godzinę i nie za pięć minut, lecz w tej oto chwili, zaraz wracam, arrivederci, mój miły Barnabo, głupia ofiaro diabelskich podstępów. - Wraca więc diabeł, leci nad Wigrami, niesie sieję w pysku, macha skrzydłami, steruje ogonem. Ale sprytny kucharz wcale nie zamierzał piec się na patelni. Wdrapał się szybciutko na kościelną wieżę, chwycił za sznury i bach bach w dzwony, dum dum i bach bum, poniosło się nad jeziorem aż do Gawrychrudy. Diabeł, tym bach bum przerażony, wypuścił sieję z pyska i uciekł w wieczne teraz, żeby tylko nie słyszeć, jak pięknie dzwoni poświęcany metal. No i stąd właśnie sieja jest w jeziorze, a kucharz, w nagrodę za oszustwo, poszedł wprost do nieba. Diabeł jednak, wściekły, mści się teraz na ludziach i co pewien czas zaczyna w głębi jeziora wywracać koziołki, mąci, burzy wodę, przewraca żaglówki, topi wycieczki szkolne i kajakarze, z ustami pełnymi wody, toną nie wiedząc za co są karani. Ale kucharz jest w niebie, więc wszystko w porządku.

Pan Mareczek przewraca się na plecy, deski pomostu są nagrzane słońcem i miło, delikatnie parzą mu łopatki. - Chyba się zaraz wykąpię - myśli i przypomina sobie inne nadwigierskie wydarzenie, o którym ktoś mu przed kilkoma dniami opowiadał. Żołnierze rosyjscy, kiedy przyszli nad Wigry w roku '44 - po raz który oni wtedy tutaj przyszli? - zastanawia się pan Mareczek, ale

oczywiście nie udaje mu się tego ustalić, jako że chodzono po tej ziemi, po tych świętych miejscach Jadźwingów, tam i z powrotem, ze wschodu na zachód, z południa na północ, przez wieki, chodzili tędy, deptali tę ziemię Litwini, Szwedzi, Niemcy i Polacy, a Rosjanie przychodzili tu chyba kilkanaście razy - więc kiedy czerwonoarmiejcy zjawili się tu po raz ostatni, w roku '44, to ryby w jeziorze zostały niemal całkowicie wytrzebione, gdyż żołnierze zabawiali się rzucając do wody odbezpieczone granaty. Kiedy śnięte ryby wypływały, setkami i tysiącami, na powierzchnię, żołnierze wybierali kilka większych sztuk, a reszta, cała ta srebrnobrzucha drobnica, pozostawała w wodzie, gnijąc i zasmradzając jezioro. - Oto właśnie - myśli pan Mareczek - metaforycznie ujęta istota wszelkich diabelskich rządów i to rządów tak nad społecznością, jak i nad jednostką, nad osobą ludzką: niszczyć, ale niszczyć po nic, po to tylko, żeby było zniszczone, żeby coś, co było, przestało być, żeby każdy, kto tym rządom podlega, wiedział, że może w każdej chwili zostać zniszczony bez powodu, ot tak sobie, z diabelskiego kaprysu, a nawet i nie z kaprysu, po prostu z przypadku, dla postraszenia innych, albo i nie dla postraszenia, albo i po nic, i żeby wiedział, że wszystko co jego, każda jego miłość, wszystko do czego się przywiązał, też może zostać zniszczone i też po nic. Jak pisał Miłosz w jakimś wierszu o Europie wschodniej: "Był człowiek i już nie ma człowieka za chwilę", co mu się zrymowało - przypomina sobie pan Mareczek - z: "wcale nie jest mile". Pewnie, że to niemiłe, pyk i już cię nie ma, i nic z tego nie wynika, byłeś po nic i zniknąłeś po nic, pyk, ludność - ulubione słowo czerwonych, coraz częściej pojawiające się w ich prasie, niebawem, kiedy się jeszcze bardziej rozzuchwalą, będą nas zapewne nazywać ludnością tubylczą - więc ludność nic o tym nie wie, żeś zniknął, nie chce wiedzieć, żeś był i że cię nie ma, pyk. Nic, nic, nic. Dziura, dziura, dziura. Ludność. Gnój, gnój, gnój. Pyk. Diabeł, Wielki Psuj, Książę Psuj, cóż on zbudował, co wzniósł, co ufundował? Gdzież są jego budowle, jego wiekopomne dzieła, jego pomniki? Kwatera Führera, te rozwalone betonowe bunkry, powoli pogrążające się w ziemi, które gdzieś niedaleko stąd, gdzieś zdaje się pod Kętrzynem mogą oglądać złaknieni mocnych wrażeń turyści, oto jego dzieło.

- Pokaż mi twoje dzieła - woła pan Mareczek, w lipcowym słońcu, na rozgrzanych deskach pomostu, nad półprzeźroczystą, zielonkawą wodą zmagając się w sobie, barując się w sobie z Księciem Psujem - pokaż mi twoje poematy, twoje symfonie, twoje pałace, ale żeby to było choć cokolwiek warte, no pokaż mi, coś stworzył, a uwierzę w ciebie.

- Śmieszny jesteś, mój Mareczku - mówi na to Książę Psuj i bada przy tym dużym palcem lewej nogi ciepłotę jeziornej wody. - Po cóż właściwie miałbym ci pokazywać moje budowle? Chętnie przyznaję, są z dymu i z mgły. I wcale się nie wypieram tego, że te mgliste konstrukcje wewnątrz cokolwiek śmierdzą, niekiedy okropnie. Sam nie lubię tego smrodu, więc nie myślę ci ich pokazywać. Nie tak zamierzam przekonać cię o mojej wszechwładzy. Ile masz lat?

- Czterdzieści osiem - odpowiada pan Mareczek.

- A to bardzo dobrze - cieszy się Psuj. - To znaczy, że powolutku zaczynasz się starzeć i robisz się trochę niecierpliwy, ponieważ czujesz, że masz już coraz mniej czasu. Czujesz to?

- Czuję - przyznaje pan Mareczek.

- No to popatrz, o na tę tam dwudziestolatkę, na tę słodką kicię, która pływie, o tam, widzisz, w tym kajaku. Jeśli chcesz, to zrobię coś takiego, że ona zaraz podpłynie do tego pomostu i zapyta cię, czy można tu gdzieś w pobliżu rozbić namiot. A ten osiłek w kąpielówkach, ten mistrz w skokach do wody i w pływaniu crawlem, który za nią siedzi, zaraz zniknie, bowiem ja, Psuj, zamienię go w śmierdzącą mgłę. A potem pomożesz jej rozbić namiot, ona da ci do zrozumienia, że chciałaby, że mogłaby się z tobą przespać. No co, chcesz?

- Bo ja wiem - zastanawia się pan Mareczek.

- To będzie bardzo miłe - namawia go Psuj. - Ona ma takie śliczne znamię, nie powiem ci, gdzie. No bądźże mężczyzną, pokaż, co potrafisz. Wdaj się w nią, a jak tylko się w nią wdasz, to zaraz zaczniesz niszczyć wszystko wokół siebie, zniszczysz swój dom i swoje pisanie, i swoją godność, żeby tylko je-

szcze raz się z nią przespać, żeby jeszcze raz wpuściła cię do łóżka.
- O tyle - woła pan Mareczek. - Tu się ręka w łokciu zgina - i pokazuję Psujowi, gdzie się zgina ręka. - Prześpię się z nią, pewnie, bo kto tego nie lubi robić, tylko jakiś zboczeniec nie chciałby mieć wszystkich pięknych kobiet tego świata, razem i osobno, wszystkich kobiet, co żyją i żyły, i zdarza mi się, owszem, że pożądam nawet pani Calergis i Natalii Puszkin i Józefiny Bonaparte, i aż słabo robi mi się na myśl, jak ich mężczyznom było z nimi dobrze, jak carowi Mikołajowi było miło z tą śliczną, kruchą, a taką bezwstydną, taką wyuzdaną Nathalie, aż mi dech zapiera i mam pretensje do losu, że nie umieścił mnie w takiej sytuacji, w której mógłbym te wszystkie śliczne damy oczarować, uwieść, posiąść, więc owszem, prześpię się chętnie z tą dwudziestolatką, ale nie zamierzam przy okazji niczego niszczyć, ani jej, ani siebie, ani niczego wokół; ot tak się prześpię, en passant.
- No to ona się z tobą nie prześpi, o tyle - mówi Psuj i on z kolei pokazuje panu Mareczkowi, gdzie się ręka zgina, i mistrz skoków do wody silniej uderza wiosłem, i kajak odpływa, kieruje się na środek jeziora, by tam, w jednym błysku, zamienić się razem z mistrzem i prześliczną kicią w dym, w śmierdzącą mgłę, za sprawą, oczywiście, Księcia Psuja. Ale Psuj nie rezygnuje, jeszcze się nie poddał i pan Mareczek dobrze wie, że z Psujem nie pójdzie mu tak łatwo, bo to dopiero początek ich zmagań.
- A ta ci się podoba? - pyta teraz Psuj i panu Mareczkowi, gdyby stał na pomoście, nogi ugięłyby się w kolanach i musiałby usiąść z tej słabości, która go ogarnia, ale na szczęście leży już na plecach. To śliczne, które właśnie weszło na pomost, ubrane jest w czerwony kostium kąpielowy, ale albo ten kostium jest trochę za mały albo to śliczne opalało się przedtem w nieco większym kostiumie, bowiem, choć tak ślicznie to prześliczne jest już opalone, choć błyska złotą i brązową skórą, tam gdzie kostium się kończy, ponad piersiami, na brzuchu, na udach widać wąskie paski biało-różowej skóry i na myśl o tym, że to, co kostium zakrywa, jest też tskie właśnie, biało-różowe - o biało-różowe! o rozkoszne prawo utrzymania gatunku! o miły popędzie! o miał Darwin rację! o jak słodko jest pochodzić od włochatej małpy! - panu Mareczkowi znów robi się słabo i zdaje mu się, że zaraz rzuci się z krzykiem na to złotawe i brunatne, na to biało-różowo łyskające, no i oczywiście odwiozą go do czubków jako wariata i zboczeńca.
- Psuju, wzywam cię - woła w sobie pan Mareczek. - Potężny Książę, staw się na wezwanie.
- Czego sobie życzysz, mój miły Mareczku - pyta Psuj udając, że nie wie, o co chodzi.
- Daj mi ją, Psuju - błaga pan Mareczek - zrób coś takiego, żeby wszystko natychmiast zniknęło, ale to wszystko, to jezioro, te drzewa, ten błękit, cała ta planeta, i żeby został tylko ten pomost, na nim ja i ona, i zebyśmy na tym pomoście ulecieli w kosmos, zebyśmy się unosili, pędzili, wirowali, ku mlecznej drodze, pomiędzy gwiazdami. Daj mi ją, błagam cię, Psuju - czołga się pan Mareczek u stóp Psuja i liże książęce stopy, wdycha smród książęcy - a ja za to sprzedam ci moją nieśmiertelną duszę i po mojej śmierci możesz ją sobie zabrać, możesz ją sobie męczyć jak długo chcesz, nawet całą wieczność.
- O tu się ręka w łokciu zgina - odpowiada Psuj. - Ja z twojej duszy, głupi Mareczku, nie będę miał po twojej śmierci żadnego pożytku. A w każdym razie pożytsk niewielki, bowiem ani mnie, ani tobie w tej chwili nieznany. Owszem, dam ci tę dziewczynę, a także wiele innych, wszystkie, które zechcesz, ale chcę mieć twoją duszę już teraz, zaraz, na tym oto świecie, bowiem tym właśnie, nie innym, z wyroku Bożego dano mi zarządzać, tu jestem Księciem Psujem, a gdzie indziej nie. Więc splugaw się natychmiast, zrób jakieś wielkie świństwo, zeświń się, Mareczku, a ona będzie twoja, ja ci to przyrzekam. - Tu Książę Psuj odziewa się w garnitur z bielskiej wełny i koszulę non-iron, zaciska wokół szyi krawat kupiony w Paryżu, pod nosem, na obrzękłej od wódeczki twarzy, występują mu krople potu i powiada: - Mamy dla was taką propozycję. Napiszecie, że Adam Michnik jest manipulowany przez niemieckich odwetowców i że

bierze pieniądze od CIA - Psuj wymawia ten skrót jak się należy po polsku, nie si-aj-ej, ale właśnie ća - oraz od niejakiego Hupki z RFNu, który to Hupka trudni się zawodowo politykierstwem i działalnością antypolską. Macie samochód? - pyta jeszcze Książę Psuj w koszuli non-iron i półbutach ze złotą klamrą, z krokodylej skórki, takich, jakie nosił w latach swej świetności Edward Gierek, tyle że nie pokazywano tych półbutów w telewizji, Gierka cięto w pasie albo brano od kolan, bo jednak operatorzy czuli, że co za dużo to niezdrowo i sami jakby się trochę tych szczerozłotych klamerek wstydzili.

- Samochodu nie posiadam i nigdy nie posiadałem - odpowiada pan Mareczek, chytrze przemilczając istnienie żółtego Renault, które zarejestrowane jest na panią Mareczkową.

- To jakieś nieporozumienie - mówi Psuj w niebywale eleganckim, szarym garniturze Gierka. - Zajdźcie, wychodząc stąd, do mojej sekretarki, wydadzą wam tam talon na Fiata 125 z eksportowym wyposażeniem.

- A biały Mercedes mógłby być? - pyta pan Mareczek i przypomina sobie, że wcale nie chodziło mu o Fiata czy o białego Mercedesa, ale o to biało-różowe w czerwonym kostiumie kąpielowym i uświadamia też sobie, że jeszcze chwila, a chytry Psuj pokona go i strąci do piekła, więc wydobywając się z tego piekielnego niebezpieczeństwa,woła: - O tu, chytry Psuju - i tu pan Mareczek wykonuje stosowny gest - o tu się właśnie ręka zgina. Skórka za wyprawkę, jak napiszę, że Adaś Michnik brał forsę od CIA - pan Mareczek też mówi po polsku, ja należy: ća - jak takie głupkowate kłamstwo z siebie wydobędę, to już żadna porządna polska dziewczyna nigdy nie zechce się że mną przespać. Nie mówiąc już o pani Mareczkowej, która za coś takiego wyrzuci mnie z łóżka, a pewnie i z domu.

- Nie to nie - mówi Psuj. - Jak jesteś taki moralny moralista, to żadna nagroda ode mnie ci się nie należy i romansiku nie będzie, żyj sobie moralnie. - I brunatno-biało-różowe w czerwonym kostiumie kąpielowym, zamoczywszy wprzód stopę w wodzie i zapytawszy pana Mareczka: - Ciepła? - schodzi z pomostu, stukając obcasami drewniaków wspina się po kamiennych schodkach i niknie za pokrzywami, o słodki popędzie. Ale Psuj jednak nie rezygnuje z usidlenia pana Mareczka.

- Nie chciałeś się przespać z takim ładnym stworzeniem - mówi - to twoja sprawa i Bóg cię za to ukarze, nie ja. Pomówmy więc o czymś innym. Może chciałbyś dostać paszport i pojechać zagranicę? Mógłbym cię wysłać do Hiszpanii, przecież chciałbyś tam pojechać. Obejrzałbyś sobie tę katedrę w Barcelonie, na której zawsze ci tak zależało. I kupiłbyś sobie kompletne wydanie Ortegi y Gasseta po hiszpańsku. A także wszystkie i jakie tylko są albumy z reprodukcjami Velasqueza. Przecież uważasz go za największego malarza wszechczasów. No co, ubijamy interes? Cena jest niewielka. Napiszesz tylko, że twój przyjaciel Kazik zdradził Polskę, wydając książkę w Paryżu u Giedroycia. Paszport będzie do odebrania jutro na Krakowskim Przedmieściu. Jedziesz? I doprawdy nie ma najmniejszego sensu, żebyś przed każdym wyjazdem miał składać podanie. Przeniesiemy twój paszport do naszej kasy pancernej i w przeddzień wyjazdu będziesz go sobie po prostu odbierał bez żadnych formalności.

Ponieważ pan Mareczek nie raczy nawet odpowiedzieć na tę propozycję, Psuj, który tymczasem zrzucił już garnitur i półbuty Gierka, i powrócił do swojej normalnej, to znaczy niezbyt wyrazistej i niezbyt kształtnej postaci, spuszcza trochę z tonu i mówi:

- Z tą zdradą to oczywiście odrobinę przesadziłem. Czegoś takiego przyjacielowi nie mógłbyś zrobić, sam bym cię potępił i uznał za świnię. Ale jest do wzięcia Londyn i cena jest znacznie niższa. Pojedziesz na dwa tygodnie i napiszesz tylko, że ten twój Kazik jest lichym prozaikiem. No miejże rozum, za coś takiego nikt przecież słowa ci nie powie. A w Londynie mógłbyś sobie kupić całego Schuberta na płytach. Pomyśl tylko: miałbyś całego Schuberta!

Pan Mareczek, choć chciałby oczywiście - kto by nie chciał? - mieć całego Schuberta, nie ma zamiaru na tym poziomie z Psujem dyskutować, ale wreszcie dochodzi do wniosku, że Psuj nie odczepi się ze swoimi głupimi propozycjami,

pokąd nie powie mu czegoś do słuchu, więc mówi:

- A znasz ten wierszyk, Psuju? "Lepsze polskie gówno w polu, niż fiołki w Neapolu".

Na co Psuj wykrzywia pogardliwie swoją psią mordę i powiada:

- Jak się tak będziesz nadymał, skretyniały Mareczku, tą swoją polskością, to za rok dwa będziesz miał w głowie tylko sieczkę. I bardzo proszę, pamiętaj, że ja cię ostrzegałem. Kto nie wyjeżdża zagranicę, kto nie czyta po hiszpańsku i po angielsku - a hiszpańskiego to jużeś prawie zapomniał, Mareczku - kto nie wie, czym się aktualnie zajmują językoznawcy z Harvardu i filozofowie z Cambridge, kto nie śledzi przemian współczesnej poezji francuskiej i amerykańskiej, ten nie ma żadnych szans. Opętała cię ta twoja polskość, ogłupiła. Oglądałeś ostatni film Bunuela? No właśnie, nie oglądałeś. No to pamiętaj, że ja cię ostrzegałem. Po raz ostatni cię ostrzegam. Pójdź po rozum do głowy, polskie gówno naprawdę nie pachnie rozkosznie. A fiołki w ruinach Paestum, wiesz jak one pachną? Więc jak, pojedziesz do Włoch?

- A wynocha ze mnie - wpada w szał pan Mareczek - ty psujski Psuju, ty zachodni gnoju. Co mnie twój Bunuel obchodzi, co mi tam Paestum, kiedy mi się tu Polska pod nogami pali. - A uspokoiwszy się, pan Mareczek wzdycha i jednak dodaje: - Bunuel to był taki reżyser, że ja bym go w pięty całował, jak nasz Profesor flecista Mandelsztama. To był cudowny, najcudowniejszy w świecie bluźnierca. Jak on wściekle bluźnił. Tak, jakby chciał tymi swoimi bluźnierstwami przymusić Boga do istnienia. Albo, ostrożniej nieco mówiąc, przymusić Go do nieco intensywniejszego, jakiegoś jakby logiczniejszego istnienia. A przy tym jak on wielbił tego Boga, w którego, zdaje się, w ogóle nie wierzył. Jak on go adorował, ukazując nam nasze życie, naszą ziemię jako senny raj. Za to, co wykonał, powinien dostać w nagrodę od Boga, no, choćby jeszcze pięćdziesiąt lat życia. Ale Bunuel już nie żyje, ty Psuju. On był jednym z niewielu tamtejszych, którzy mają jakąś trwałą problematykę. Rzecz bowiem w tym, że oni, ci wszyscy francuscy czy amerykanscy, wszyscy niemal zachodni artyści, pisarze, myśliciele nie mają właśnie swojej trwałej problematyki i wciąż się gubią, wciąż muszą się szukać, wciąż muszą się na nowo odnajdywać i zwykle wprzód są świetni, a potem, inaczej się odnalazłszy, już gorsi. A my nie musimy się szukać, bo Polska nas szuka. I zawsze - niech będzie, że na nasze nieszczęście - znajduje. No już, wynocha ze mnie, Psuju, mam cię dość.

Psuj, nieco przerażony nagłym wybuchem pana Mareczka, a także perspektywą unicestwienia - być wygnanym z Mareczka, to znaczy przecież dla Psuja nie być wcale - postanawia zmienić temat, a że nic sensownego nie przychodzi mu do psujowskiego łba, powraca do problemu kobiet:

- Zrobię coś takiego - proponuje panu Mareczkowi - że twoja żona, pani Mareczkowa, będzie o dwadzieścia lat młodsza. Więc jak, chcesz, Mareczku? Mam ci ją odmłodzić?

- I tak jest przecież piękna - mówi pan Mareczek.

- Nie zaprzeczysz jednak - mówi Książę Psuj - że kiedy miała osiemnaście lat, była o wiele piękniejsza. To jednak było bardzo miłe, że wszyscy ci jej zazdrościli i że nie było takiego, który by nie miał na nią ochoty. No to jak będzie? Chcesz, żeby była młoda, młodziutka, młodziuteńka?

- Kocham ją właśnie taką, jaka teraz jest - mówi pan Mareczek. - Także i za to, że się razem ze mną - chce powiedzieć: postarzała, ale mówi: - posunęła w latach - jako że pani Mareczkowa wcale nie jest jeszcze taka stara, a dla pana Mareczka jest nadal młodziutka, młodziuteńka.

- Niech będzie taka, jaka właśnie jest - mówi więc pan Mareczek. - I wynocha, Psuju.

- Ale ja i ciebie - kusi Psuj - mogę znowu zrobić siedemnastolatkiem. Pokażę ci znowu ten mecz Polonia-ŁKS, kiedy to, pamiętasz, Polonia wygrała w Łodzi cztery do dwóch. Ale to będzie tak, jakbyś po raz pierwszy ten mecz oglądał. A potem po raz pierwszy pójdziesz z dziewczyną do kina, na tę amerykańską komedię, która się nazywała, pamiętasz, "Miodowy miesiąc". Kupię ci poza kolejką bilet - próbuje jeszcze Psuj, widząc, że pan Mareczek zaczyna się nudzić - na "Roberta i Bertranda, dwóch złodziei". Przeczytasz jeszcze raz po raz pierwszy S w i a t Miłosza. I po raz pierwszy na plazy w Sarbinowie do-

wiesz się, po co istnieją kobiety. I po raz pierwszy usłyszysz Schuberta pośmiertny kwintet C-dur z dwoma wiolonczelami.

- Porozmawiajmy poważnie, Psuju - mówi pan Mareczek. - To, co mi proponujesz, jest nie do pogardzenia, ale ciekawe, jak zamierzasz to wykonać. Jeśli jesteś Wielkim Psujem Wszechrzeczy, a jesteś, to twoja propozycja jest chyba zwykłym oszustwem. Będąc bowiem Psujem musisz to, co piękne i młode, młodziuteńkie przerabiać nieustannie na stare, pomarszczone i brzydkie. Ale żebyś na odwrót, Psuju, mógł coś wykonać, żebyś ze starego mógł zrobić młodego, a z brzydkiego piękne, to mi się raczej nie wydaje, bowiem byłoby to wbrew twojej psujskiej, plugawej, uwielbiającej brzydotę i brzydkiej naturze. Pomysł, który miał Goethe, wcale do ciebie, Psuju Wszechpsujący, nie pasuje. Niemiecki mędrzec, wydaje mi się, jednak się pomylił sądząc, że jesteś w stanie go odmłodzić i że Faust może przeżyć po raz wtóry to, co raz już przeżył. Był to, oczywiście, nie tyle czy nie tylko błąd Goethego, raczej błąd całej tamtej epoki, która - co widać i u naszego Mickiewicza w III części D z i a d ó w - Psujności przypisywała jakąś siłę stwórczą, jakąś moc kreatorską, która z samą istotą tej Psujności jest przeciez oczywiście sprzeczna, nie do pogodzenia. Ale może dotykamy tu różnicy między dziewiętnastowiecznym, a naszym, już z końca XX wieku, a moze nawet z początku XXI wieku pochodzącym pojmowaniem diabła. Dla tamtych poetów i myślicieli, dla Goethego i Mickiewicza, diabeł był potęgą właśnie stwórczą, a przynajmniej również stwórczą i dlatego mógł być przedmiotem fascynacji, podziwu, nawet miłości. Nam natomiast, ludziom wieku XX, diabeł ukazał swoją najobrzydliwszą, najwstrętniejszą twarz, co więcej, twarz potąd chyba ludzkości nieznaną - i to jest może najistotniejsza różnica między naszym doświadczeniem społecznym, a także jednostkowym, egzystencjalnym, a doświadczeniem społecznym i egzystencjalnym wszystkich minionych epok - twarz Jeżowa, twarz Eichmanna, twarz anonimowego urzędnika przeliczającego na liczydłach, teraz już elektronicznych, ilość swoich anonimowych ofiar, i dlatego uznaliśmy tego diabła, zgodnie z naszym doświadczeniem, za coś niebywale niskiego, podłego,coś co w żadnym wypadku nie może być przedmiotem fascynacji, jako że godne jest tylko pogardy. I tylko psuje, niszczy, po nic, anonimowo i z anonimowego rozkazu. Dziura, dziura, dziura. Ludność. Gnój.

- Mozna by więc powiedzieć - tłumaczy dalej pan Mareczek Psujowi swoją koncepcję diabła - i tak: że diabeł, którego mieli - lub wymyślili sobie - romantycy i z którym potem obcowali ludzie wieku XIX, a nawet ludzie pierwszej ćwierci wieku XX, miał im wiele, nawet niesłychanie wiele do zaofiarowania. Również i ten diabeł, z którym rozmawia Iwan Karamazow w powieści Dostojewskiego, również i ten, który pojawia się w D o k t o r z e F a u s t u s i e Tomasza Manna - czyz Mann nie był ostatnim wielkim pisarzem XIX wieku, ostatnim wspaniałym produktem tego wieku i czy to właśnie nie w nim akumulowało się całe doświadczenie tego wieku, nie na nim ten wiek się zakończył? - więc i te dwa diabły, choć już i naszego diabła przypominające, bo jakieś takie wyszarzałe, brudnawe, mdnawe, byle jakie, miały ludziom, ludzkości jeszcze coś ciekawego, coś za co warto sprzedać duszę, do zaofiarowania. Różne, oczywiście były propozycje, oferty tych dziewiętnastowiecznych diabłów będących, jak to zwykle bywa, jednym i tym samym diabłem. Ogólnie rzecz ujmując, można by rzec, że ten diabeł otwierał przed ludźmi, przed ludzkością jakąś przyszłość, w której coś ludzkość czekało, jakąś przyszłość szczęśliwszą, ciekawszą, mądrzejszą. A choć to szczęście, ta mądrość - jak to z diabelskimi darami bywa - od razu były podejrzane, to jednak zdawały się warte przynajmneij obejrzenia i posmakowania. Nasz diabeł, ten z drugiej połowy XX wieku, ten diabeł dany nam, przysłany tutaj lub przez nas stworzony /bo jaki jest naprawdę status egzystencjalny diabła, kto to wie?/, nie ma nam nic do zaofiarowania. Jest cały po stronie brudu, podłości, starości, bólu i kłamstwa. I nie czyniąc nam żadnych dwuznacznych propozycji, nie proponuje nam obłudnie żadnej przyszłości, która mogłaby nas zafascynować, którą przynajmniej chcielibyśmy sobie obejrzeć, oświadcza nam wprost: będziecie bici, głodzeni, torturowani,

niewoleni, a potem umrzecie, a potem jest nicość. A jeśli uda się wam uniknąć głodu i tortur, to będziecie się starzeć, będziecie chorować na raka, a potem umrzecie, a potem jest nicość. A ponieważ tak czy tak umrzecie, ponieważ tak czy tak czeka was tylko nicość, zastanówcie się, czy nie warto, nim umrzecie, przejść na moją stronę. Nic wam nie obiecuję, ale ponieważ i tak jest tylko gnój, i tak czeka was tylko gnój, więc zastanówcie się, czy od razu nie warto przejść na stronę gnoju, opowiedzieć się za gnojem, uwielbić gnój. Dziwnie cyniczny, dziwnie prawdomówny jest ten nasz diabeł. Prawdomówny w tym sensie, że niczego przed nami nie ukrywa, że nie usiłuje przedstawić się nam jako ktoś poczciwy, dobroduszny i po cichu nam sprzyjający. Bowiem, oczywiście, jest równie wielkim kłamcą - przynajmniej dla tych, którzy wierzą, że istnieje jeszcze coś poza gnojem - jak tamten, dziewiętnastowieczny. Który z tych dwóch diabłów jest milszy, sympatyczniejszy, to nie ulega chyba wątpliwości. Tamten, dziewiętnastowieczny, jakby jednak nieco bardziej sprzyjał ludziom. Albo nieco chytrzej ich oszukiwał. Był przy tym niewątpliwie barwniejszy, a także miał do dyspozycji różne poddiabły, upiory, wampiry, widma, czarownice oraz inne bękarty z czarciego nasienia. Niektóre z nich w scenie sabatu na górze Broken pokazał nam Goethe. Nasz diabeł nie potrzebuje, nie używa tych wszystkich cudów, dziwów, zasłon dymnych. Jego sabat rozgrywa się w naszej głowie, jego góra Broken to nasze sumienie. Każdy z nas jest z nim sam na sam i każdy, w tej rozmowie w cztery oczy, musi odpowiedzieć na jedno pytanie: czy głosuje za gnojem czy przeciw gnojowi? Kto jest przeciw gnojowi, ten będzie kuszony, a potem torturowany, ale może przetrwa. Kto jest za gnojem, będzie służył diabłu, a potem stanie się mu wedle jego przekonań i wiary: obróci się w gnój. Diabeł, urzędnik o szarej, niezdrowej cerze, wyjmie z kartoteki jego teczkę i pośle ją na przemiał: aby zapomniane zostały czyny i nazwisko. Doprawdy, lepiej jednak było żyć w XIX wieku i mieć do czynienia z tym diabłem, co kusił Fausta czy nawet z tym, który wlazł w Konrada i wypowiedział jego ustami Wielką Improwizację, niż z tą dwudziestowieczną miernotą, z tym gnojem, co wszystko w gnój obraca. A więc, mój Psuju - kończy swój wywód pan Mareczek i sam dla siebie jest pełen podziwu, że tak oto chytrze tego Psuja przygwoździł, ukazując mu jego wstrętną naturę - a więc, mój Psuju, nie obiecuj, bowiem choćbym cię błagał, choćbym czołgał się przed tobą i liżał twe śmierdzące stopy, jesteś tylko Psujem i dlatego nie potrafisz odmłodzić ani mnie, ani pani Mareczkowej, i umrzemy oboje akurat tego dnia, w którym mamy umrzeć, akurat wtedy, kiedy zatriumfuje twe psujstwo, zły Psuju.

Psuj, niemal już pokonany przez pana Mareczka, jeszcze się jednak wije, jeszcze się skręca w konwulsjach na drewnianym pomoście nad zieloną wodą - kiedy położyć się brzuchem na deskach i spojrzeć na wodę, to nie widać dna, nadbrzeżne zbocze spada bowiem stromo także i wtedy, gdy się jest już pod wodą i kilka kroków od brzegu jest straszna, ciemnozielona, czarna głębia, od razu dziesięć, dwadzieścia i czterdzieści metrów, pływać po takiej głębi jest naprawdę bardzo przyjemnie, ma się pod sobą, tuż pod brzuchem, wielopiętrową przepaść, a jednak się nie spada, niewidzialna dłoń nobrotliwie podtrzymuje pływającego, a nurka, który zbyt śmiało zapuścił się w głąb wody, na cztery czy na sześć metrów w bezdenne ciemności, wyrzuca zaraz na powierzchnię, więc choć pływając jest się już w przepaści, to zarazem w niej się nie jest, i to jest właśnie w tym pływaniu takie przyjemne, a nawet rozkoszne - więc Psuj, wijąc się nad przepaścią, pokrzywia się brzydko panu Mareczkowi i chwyta się ostatniego sposobu i trzeba przyznać, nie byle jakiego:

- Dam ci - mówi -taki chwyt na rzeczywistość, taki jej ogląd, takie poczucie i przeczucie jej tajemniczości, taką, krótko mówiąc, dam ci cudowną intuicję, że napiszesz swojego *P a n a T a d e u s z a*. Dam ci taką przenikliwość, że posługując się nią, zadrżysz z przerażenia nie przypuszczając, że coś takiego w ogóle może być dane człowiekowi. Nie obiecuję ci, że będziesz od razu sławny jak Mickiewicz, gdyż wiem, że nie bardzo ci na tym zależy. Ale oczywiście będziesz sławny i będziesz się musiał z tym pogodzić, ponieważ to, co napiszesz, będzie tak samo dobre jak to, co on pisał. No, prawie tak samo. Polacy będą płakać czytając twój poemat, twoją powieść, zresztą co tam chcesz,

jako ze gatunek sam sobie wybierzesz i będzie to, rzecz jasna, całkiem nowy i jeszcze światu nie znany gatunek,który przy mojej pomocy ty, ty, ty sam stworzysz. - I tutaj Psuj, padłszy na kolana, wpatruje się z uwielbieniem w twarz pana Mareczka i woła: - O jaki ty jesteś wielki, mój Mareczku, jaki ty jesteś mądry, jak ty wiele możesz, żebyś ty wiedział ilu ludzi czeka na każde twoje słowo, na każdy twój wiersz, co tam ludzi, ilu Polaków wielbi cię i kocha. - I Mareczek, patrząc na Psuja, dostrzega z przerażeniem, że ten Psuj dziwnie do niego, Mareczka, staje się podobny i ma już takie same jak on, szare oczy, taki sam zadarty nos i nawet w przednich zębach ma w tym samym miejscu bardzo niełądną, czarną dziurę.

- A brzydki Psuju - woła pan Mareczek. - Intuicja i talent i umiejętność układania słów, to od Boga są dane, nie od ciebie, Psuju. Ile On mi dał, ile dać mi raczył, to wykorzystam ja ku Jego chwale. A jeśli o więcej będę prosił, to Jego, nie ciebie. Precz, apage, Psuju.

- No to cześć - mówi Książę Psuj. - Nie dogadaliśmy się. Proszę tylko w przyszłości nie wzywać mego imienia nadaremnie. Ale nie myśl, że to już jest koniec naszych kontaktów. Ja ci jeszcze dopierdolę.

I rzuciwszy w Mareczka tym wstrętnym słowem, Psuj zamierza już zniknąć z jego wyobraźni, ale: - Stój no, Książę, tak się nie odchodzi - łapie go za rękaw pan Mareczek. A łapie go dlatego, że to ostatnie zdanie, ta brzydka pogróżka wywołała w nim jednak jakiś niejasny, nieprzyjemny lęk. Pan Mareczek oczywiście zdaje sobie sprawę z tego, że to on sam powołał w sobie Psuja do istnienia, w celu, który jest mu świetnie znany: po to mianowicie, aby sobie i innym zdać sprawę ze stanu swojej świadomości. Ale ta psujska groźba jakoś tego Psuja od pana Mareczka jakby uniezależniła. I pan Mareczek czuje, że się teraz tego swojego Psuja, choć sam go wymyślił, po prostu boi. Bo taki Psuj, jak się na kogoś uweźmie, no to rzeczywiście może dołożyć, dowalić, do, nazwijmy rzecz po polsku: dopierdolić. Więc żeby wypędzić z siebie lęk przed tym groźnym Psujem, pan Mareczek pośpiesznie, jak napośpieszniej przemienia, przerabia teraz swoje wnętrze na wnętrze cwanego pijaczka, takiego, który na ulicy Noniewicza w Suwałkach, pod kioskiem na którym wisi szyld z napisem: Kiełbąski z rożna. Piwo. Napoje chłodzące, lży swoich kumpli, ich matki, oraz naszą planetę, oraz wszechświat cały, i tak to przerobiwszy swoją osobowość, powiada nieco się zataczając do Psuja: - To się jeszcze okaże, ty skur, ty twoja mać, ty złamany Psuju, kto tu komu przypierdoli. I już cię tu nie ma, ty złamanou, won.

Na co Książę Psuj robi niesłychanie godną i obrażoną minę - że niby się nie spodziewał, aby ktoś tak subtelny jak pan Mareczek mógł się posunąć do takich obrzydliwych wyzwisk - po czym, wymachując włochatym ogonem i łyskając dziewczęcymi pośladkami, i rozsypując na około, garściami, zielone dolary i szaro-niebieskie bony Banku PKO, za które w sklepach Pswexu można kupić whisky i liofilizowaną kawę Nesca i perfumy Masumi, które tak lubi pani Mareczkowa, wykonuje w powietrzu kilka koziołków - salto do tyłu, salto w przód - i odbijając się od rozgrzanych desek spada z pomostu w ciemnozieloną głąb, pięć, dziesięć metrów i już go nie widać, już jest na dnie jeziora, już tam kotłuje, burzy, mąci wodę. A tuz za nim, nie tak jednak zręcznie, jako że salta w powietrzu do tyłu - a prawdę mówiąc i do przodu - wykonać nie umie, więc na bombę, wybijając się z ostatniej deski i dwoma palcami zaciskając nos, nogami do przodu spada, leci do wody pan Mareczek. I zapada się w zimny, zielonkawy mrok.

\+

\+ \+

Pani Mareczkowa i mały-duży Mareczek już zasnęli, i w domu pani Anieli pali się jeszcze tylko jedna lampa. Jej światło pada przez okno na rosnącą pod płotem morwę i wydobywa z mroku białe, wilgotne owoce, wokół których -

jako że bardzo są słodkie - wirują i brzęczą za dnia muchy, pszczoły, osy. W świetle nocnej lampki pan Mareczek rozkłada na łóżku mapy i plany wyjęte z *Przewodnika po Polsce północno-wschodniej*. Te mapy opowiadają o przeszłości, która już nigdy nie powróci, nigdy nie stanie się teraźniejszością ni przyszłością, o przeszłości nieodległej, a przecież również już dla nas dalekiej, jak dzieje króla Piasta lub króla Popiela, bowiem polska Szczara i polska Świsłocz wpadają na tych mapach do polskiego Niemna, polska Mereczanka łączy się na nich z Niemnem tuż za litewską granicą, a polska Lida leży na trakcie z polskiego Nowogródka do polskiego Wilna. Można się też dowiedzieć z tych map, że Olita nazywa się Alytus, Kiejdany to również Kiedafniai, Poniewież to Panevežys, a nadbałtycka Połąga to Palanga. - W te podwójne nazwy - myśli pan Mareczek - wpisany został niegoys, a choć przeszłość już się nie powtórzy, to i nadal jest wpisany wspólny los dwóch narodów. Świadczą one o tym, że - agresorzy ducha - zaatakowaliśmy przed wiekami nie tylko kulturę, nie tylko mity, nie tylko obyczaje Litwinów, ale także ich język, ich słownictwo i ze usiłowaliśmy zabrać im ich słowa i na nasze, polskie słowa je przerobić. Ale świadczy też ta podwójność nazewnictwa - i po dziś trwająca, bowiem my nadal mówimy Kiejdany, a oni nadal mówią Kedafniai - także i o tym, że Litwini nigdy się nam nie poddali, że agresji naszego ducha stawili i stawiali skuteczny opór, i w naszym Poniewieżu trwał ich Panevežys. Trwał i przetrwał. Fakty z dziejów obu kultur świadczą, że ta agresja i ten opór, to zderzenie ducha polskiego z duchem litewskim pięknie dla obu narodów zaowocowało. Choć owszem - przyznaje zaraz pan Mareczek, jako że racje litewskich sąsiadów wydają mu się nie do odparcia - dla ducha litewskiego to zderzenie miłe nie było. Ale jednak zaowocowało. A zatem, zamiast zgłaszać do siebie nadal nawzajem pretensje, zamiast wyrywać sobie nadal miasta i wioski, wyszarpywać sobie poetów i malarzy, powinniśmy chyba, o bracia Litwini, i byłoby to znacznie rozsądniejsze i znacznie bardziej zgodne z duchem naszej i waszej kultury, cieszyć się tym, cośmy wspólnie osiągnęli, czegośmy się razem dorobili, cośmy sobie ofiarowali, wy nam, a my wam. Bądźmy sobie wdzięczni, bowiem mamy za co. Pewnie, męczyliśmy się ze sobą, męczyliśmy się nawzajem. Ale przecież, tak się męcząc, nie byle jakie postawiliśmy na tych ziemiach kościoły, nie byle jakie napisaliśmy poematy, nie byle jaką stworzyliśmy tu kulturę. I nie byle jaki to jest duch, ten duch pograniczny, polsko-litewski, duch jagielloński i mickiewiczowski. A gdy tak właśnie, dzięki tego ducha mając na uwadze, jego owocowanie i jego triumfy, gdy tak właśnie, z takiej perspektywy spojrzy się na problem polsko-litewski, problem, który tylko pozornie nie stoi dziś przed nami, bowiem na pewno, i może niebawem, znów przed nami stanie, to wtedy - myśli pan Mareczek - kwestia, do kogo w przyszłości miałoby należeć, mogłoby należeć Wilno i czyj jest, czyj być mógłby Nowogródek, nie wydaje się trudna do rozwiązania. Olita niech nazywa się nadal również Alytus, a Panevežys, niech nadal będzie także Poniewieżem. Niech te dwie kultury, te dwa duchy nadal zderzają się, ścierają ze sobą. I niech się nadal, owszem, męczą. Byle to nadal było tak owocne, jak w niedalekiej dalekiej przeszłości, której przecież zawdzięczamy, której wielu z nas zawdzięcza coś bardzo ważnego: to mianowicie, że czując się Polakami, czujemy się nadal, czujemy się także Litwinami. I dzięki Bogu, że jeszcze wielu z nas - ale czy wielu z nas? - tak właśnie swój los duchowy odczuwa, tak się dwoiście, w duchu polsko-litewskim, ustanawia. A i nie może być chyba inaczej, gdy wszystko, co w duchu naszym, w kulturze naszej najlepsze, najpiękniejsze, najgodniejsze - od Mickiewicza do Miłosza i Konwickiego - jest stamtąd, z Litwy. A to przecież kultura nasza nas ustanawia, to dzięki niej odczuwamy siebie samych tak a nie inaczej, jesteśmy tacy a nie inni. A więc inaczej być nie może i już na wieki wieków - a przynajmniej pokąd będzie się czytać w Warszawie Mickiewicza i Konwickiego - pozostaniemy, nawet chociażbyśmy wszyscy mieli kartoflane mazowieckie nosy i kartoflane mazowieckie mózgi, tak, pozostaniemy - i jeszcze raz: dzięki Ci za to, Boże - Litwinami. A wy, bracia Litwini, czy czujecie się jeszcze Polakami? A może waszą polskość wybito wam już z głowy? Może zaparliście się waszej polskości?

Poczuwszy się duchem polsko-litewskim pan Mareczek odnajduje na planie Wilna skrzyżowanie Zamkowej i Świętojańskiej. Jest teraz tam, w tym mieście, którego nie zna, w którym nigdy nie był i w którym może - myśli o takiej ewentualności z przerażeniem - nigdy nie będzie. Staje na skrzyżowaniu w tym miejscu, w którym niegdyś stał Mickiewicz, przechodzi jezdnię w tym, o tym właśnie miejscu, w którym niegdyś przeszedł ją Miłosz, i zatrzymuje się przed wystawą, przed którą niegdyś zatrzymał się Konwicki. Jaki tłok na ulicy, ilu tu znajomych! Julo Słowacki zobaczył z dala Ludkę Śniadecką, więc biegnie ku niej, potrąca Miłosza, ale nie poznał go, biegnie dalej. Domeyko spotkał Konwickiego, bierze go pod rękę i wchodzą do księgarni Zawadzkiego. Tam na rogu Čiurlonis rozmawia z Towiańskim i właśnie obaj kłaniają się komuś, kto przejeżdża obok nich odkrytym powozem, ależ tak, to pani Puttkamerowa przyjechała z Bołcienik na spotkanie z kochankiem, który jedzie z Kowna. Młodziutki Tomasz Zan z młodziutkim Tomasem Venclową, zdolny to poeta, wychodzą właśnie z pensji od Deybelów, gdzie - a łobuzy! - magnetyzowali pewnie panienki z prowincji. Mija ich Jan Śniadecki, kłaniają mu się grzecznie, ale ich nie dostrzega, bo dyskutuje o czymś - ależ to impetyk! - z Pigoniem, a śpieszą się obaj na obiad go księcia Witołda.

Pan Mareczek skręca teraz z Zamkowej w Zaułek Bernardyński i - ciężko sapiąc - wdrapuje się na Górę Trzykrzyską. I jakże - myśli patrząc z wysokości na miedzianą kopułę katedry, na jej dorycki gzyms i białe kolumny - można się spierać, do kogo należy to miasto, czyje ono jest, jeśli ze swej najgłębszej istoty jest ono wspólne, litewskie, polskie, żydowskie, białoruskie, jeśli zostało wystawione, stanęło i stoi wspólnym wysiłkiem tylu duchów, tak różnych a tak sobie bliskich, i jeśli tyle duchów nadal je nawiedza. Wspólne święte miejsce, nasze i wasze, bracia Litwini, bracia Żydzi. Jeruzalem północno-wschodniej Europy. Z Góry Trzykrzyskiej pan Mareczek - oglądając w locie ruiny zamku Gedymina, ponad którymi łopocze teraz czerwona chorągiew - na chwilę przenosi się do Grodna - bowiem plan Grodna jest również w tym przewodniku sprzed pół wieku - staje na rogu Witołdowej i Bonifraterskiej, a potem przecina Sienny Rynek z kościołem po-bernardyńskim i przez Plebańską schodzi na brzeg Niemna. Ale zaraz znów wraca do Wilna - może dlatego, że w Grodnie, poza królem Stanisławem Augustem i panią Marią Rodziewiczówną, nie ma żadnych znajomych - więc wraca do Wilna, z Zamkowej wchodzi w Ostrobramską i tuż za Ostrą Bramą kieruje się na lewo, zmierzając tam gdzie Popławy i Pacowskie Góry. Tam wędrując po planie i wspominając tych, którzy przed nim chodzili tymi ulicami, pan Mareczek ma nadzieję, że za swoją wieloletnią wytrwałość i wierną miłość do znanego-nie znanego miasta zostanie wreszcie nagrodzony i kiedy zgasi lampkę i zaśnie, przyśni mu się najprawdziwszy Antokol albo cmentarz na Rosie, albo nawet Jaszuny z domem Śniadeckiego. - Przyśnij mi się, miasto - prosi pan Mareczek zasypiając - chcę dotknąć twoich kamieni, chcę usłyszeć bicie twoich dzwonów. Wysłuchajcie mnie, potężni książęta, wysłuchaj mnie, mocny Gedyminie i ty Olgierdzie, i ty też Kiejstucie, i ześlijcie mi choć ułamek, małą cząstkę waszego odwiecznego snu.

\+

\+ \+

Ale ani Wilno, ani Grodno, ani Nowogródek jakoś nie chcą się przyśnić panu Mareczkowi. Ma całkiem inny sen i w dodatku bardzo niemiły. We śnie zjawia się właścicielka sejmańskiego hotelu, pani Fliegeltaub - jest całkiem łysa, bez peruki, a jej czaszka, jakby fioletowa, ale chwilami żółta, świeci się dziwnym, księżycowym światłem - i głosem polskiej baby ze Smolnik czy Raczek skarży się panu Mareczkowi: - Zabili mnie, synku, zagazowali mnie Niemcy nadludzie. - Potem pani Fliegeltaub znika i Niemcy - ubrani w długie, szaro-zielone płaszcze i hełmy, na których połyskują wielkie, czarne okulary, takie jakie w czasie wojny nosili ich motocykliści, i uzbrojeni w pistolety automaty-

czne - zaczynają gonić pana Mareczka, który ucieka długim betonowym korytarzem, skręcającym to w prawo, to w lewo, i będącym, jak mówi sen, częścią jakiegoś ogromnego labiryntu, z którego nie ma wyjścia. Pan Mareczek właściwie nie widzi tych Niemców, wie tylko, że gonią go i że tak właśnie, w szaro-zielone płaszcze i hełmy, są ubrani, widzi zaś jedynie ten korytarz, który to zwęża się, to rozszerza. Betonowe ściany są potwornie wysokie, mają może kilka, a może kilkanaście metrów wysokości, nie można się więc na nie wdrapać i można tylko uciekać przed siebie. Pan Mareczek wie, że na końcu korytarza będzie betonowa ściana i że pod tą ścianą zostanie rozstrzelany. Niemcy są coraz bliżej, słychać - chyba słychać - ich chrapliwe okrzyki i tupot ich butów. - Nie warto już dalej uciekać - myśli, jeśli we śnie się myśli, pan Mareczek - niech mnie szybciej, niech mnie już teraz zabiją, bo jeśli dobiegnę do tej betonowej ściany i tam mnie złapią, to wprzód będą mnie torturować, a dopiero później rozstrzelają. - Ale już widać betonową ścianę zamykającą betonowy korytarz, łapy w ogromnych skórzanych rękawicach chwytają pana Mareczka, zaraz będą go torturować i budzi się z krzykiem. Ten krzyk budzi także panią Mareczkową.

- Musisz tak wrzeszczeć? - pyta. - Co się z tobą dzieje?

- Śnili mi się Niemcy - mówi pan Mareczek. - Chcieli mnie rozstrzelać.

- Śpij - mówi pani Mareczkowa. - I nie wrzeszcz, bo obudzisz dziecko. Każdemu śnią się Niemcy. No śpij.

I pani Mareczkowa zasypia, a pan Mareczek leży w ciemności z otwartymi oczyma i stara się ich nie zamknąć, bowiem wie, że jeśli je zamknie, to zaraz zaśnie, a jeśli zaśnie, to Niemcy wrócą i znów będzie musiał przed nimi uciekać betonowym korytarzem. Ma trochę pretensji do pani Mareczkowej, że - choć poinformował ją o tym, co mu się przyśniło - nie okazała mu wcale współczucia. Ale po chwili dochodzi do wniosku, że pani Mareczkowa miała oczywiście rację, nie przywiązując wielkiej wagi do jego sennych przeżyć. Każdemu śnią się tutaj Niemcy, więc wszyscy wszystkim musielibyśmy z tego powodu ciągle okazywać współczucie, co byłoby raczej śmieszne. - Już do końca życia będą mi się śnili - myśli pan Mareczek. - A kto wie, może i po śmierci nie uwolnię się od tego snu. Ale jednak trudno przyzwyczaić się do tego, że wciąż jest się torturowanym i rozstrzeliwanym. Co więcej, im dalej posuwam się w latach i im bardziej oddalam się od przeżyć mojego dzieciństwa, tym wyraziste i tym straszniejsze stają się te moje okupacyjne sny. Ci śnieni Niemcy są coraz groźniejsi, coraz okrutniejsi. Właściwie dlaczego? - Ale tego panu Mareczkowi nie uda się przemyśleć, ponieważ po chwili jednak zasypia i do rana już nic chyba nic mu się nie śni.

- Ciekawe - myśli pan Mareczek siedząc rano, po śniadaniu, na ławeczce pod krzakiem czeremchy - jaki jest stopień realności takich śniących się, takich wyśnionych postaci? Czy ci Niemcy, którzy zniknęli, gdy się obudziłem i którzy, gdy zasnąłem ponownie, już się w moim śnie nie pojawili, zostali w chwili tego przebudzenia ostatecznie i całkowicie unicestwieni, czy też przenieśli się gdzie indziej, weszli w inny sen i gonili kogoś innego, kto ich sobie przyśnił? A pani Fliegeltaubowa z fioletową czaszką? Czy to tylko mój sen, tylko przeze mnie - i tylko raz - wyśniony, a wywołany lekturą P r z e w o d n i k a p o P o l s c e p ó ł n o c n o - w s c h o d n i e j? A może ta pani Fliegeltaubowa śniła się już kiedyś komu innemu? I może komuś znów kiedyś się przyśni? Czy - inaczej rzecz ujmując - takie senne zjawy, jak ci Niemcy, należą tylko do tego, kto ich wyśnił, bytują, mogą bytować tylko w śnie indywidualnym i tylko przez chwilę lub przez kilka chwil, czy też - przeciwnie - są tworami jakiejś podświadomości społecznej, bytami, które w tej właśnie podświadomości nieco trwalej - ale na ile trwale? - bytują, a przeto mogą śnić się wielu śniącym, może nawet naraz, mogą odchodzić i powracać, przechodzić ze snu w sen, z mózgu do mózgu, i mogą trwać, nawet nikomu się nie śniąc, jako jakaś możliwość naszych snów, jakby w jakimś oceanie, w jakimś zbiorniku, do którego wpływają i z którego wypływają wszystkie nasze sny? Ale to problem odwieczny - uświadamis sobie pan Mareczek - i mieli go już Grecy, kiedy mówi-

li o bramach, którymi wychodzą i wchodzą sny. Ciekawe też, ilu jeszcze Polakom - i to już nie jest problem odwieczny, ale nasz, tutejszy - śnią się dzisiaj Niemcy? Ilu jeszcze Polaków gonią we śnie, rozstrzeliwują, torturują? I czy śnią się tylko tym Polakom, którzy pamiętają - choćby niejasno - tamtą wojnę, a więc urodzili się, powiedzmy, gdzieś do trzydziestego dziewiątego, do czterdziestego roku? Nie jest nas już tak wielu, tych Polaków, co urodzili się przed wojną lub na początku wojny. Ale jest nas jednak chyba kilka, może kilkanaście milionów. I te kilka, kilkanaście milionów ma wciąż ten sam sen. Tym kilku, kilkunastu milionom wciąż śni się to samo: śnią się mordercy w niemieckich mundurach. Ale może ci mordercy śnią się i tym Polakom, co już ich nie pamiętają, nie mogą pamiętać, ponieważ urodzili się w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych? Przecież moje dziecko, mój mały-duży Mareczek jeszcze niedawno bawił się w okupację, w Polaków i Niemców. Więc ta pamięć wciąż tu jest jeszcze żywa. Wtedy ten nasz społeczny sen - bo to jest przecież sen całej społeczności - byłby snem niemal czterdziestu milionów. A gdyby tak właśnie było, gdyby ten straszny polsko-niemiecki sen był snem całego narodu, to trzeba by dopuścić i taką, prawdziwie okropną możliwość: że te zjawy nigdy się już nie rozwieją, że nic ich nie unicestwi, że ten sen nigdy już nie zniknie z życia polskiego, ze polska podświadomość nigdy się już nie pozbędzie tego traumatycznego przeżycia, jakim była okupacja niemiecka.

- Zagramy w badmintona? - pyta Witek-Janek i siada na tej ławeczce, z której jest najlepszy widok na jezioro.

- Ale przedtem wypijemy kawę - mówi pan Mareczek. - A kiedy ty się urodziłeś?

Witek-Janek nie mieszka w pensjonacie pani Anieli, ale przychodzi tu niemal codziennie, właśnie po to, aby z panem Mareczkiem zagrać w badmintona. Ma dwa imiona, ponieważ trzynastego grudnia, po wprowadzeniu stanu wojennego, zeszedł do podziemia i nadal, choć to już półtora roku minęło, ukrywa się przed czerwonymi. Jedno jego imię jest jawne, a drugie podziemne. Jedno jest fikcyjne, dla tych, co go nie znali przed trzynastym grudnia, a drugie prawdziwe, dla starych przyjaciół. Pan Mareczek nazywa go więc albo Witkiem, albo Jankiem, albo Witkiem-Jankiem. Ponieważ Witek-Janek jest prawdziwym konspiratorem i nie należy do tych, którzy o swoich konspiracyjnych działaniach wszystkim naokoło opowiadają, pan Mareczek, choć zna jego oba imiona, właściwie już niewiele więcej wie o nim i o jego podziemnym życiu. Witek-Janek uważa bowiem, że ten, kto konspiruje, powinien - tak jest bezpieczniej - wiedzieć skurat tyle, ile powinien wiedzieć, ale już nic więcej. Pan Mareczek akceptuje to przekonanie i też, gdy o konspiracji mowa, nie chce wiedzieć nic ponadto, co mu wiedzieć wolno.

- Więc kiedy ty się urodziłeś, Witku-Janku?

- W czterdziestym ósmym - odpowiada Witek-Janek.

- No to ty jesteś dziecko tego reżimu - mówi pan Mareczek. - On cię wychował, wykształcił, wykarmił. A ty mu teraz taką przykrość robisz, takie cierpienia mu zadajesz. A śnią ci się Niemcy?

- Nie - odpowiada Witek-Janek i już nic więcej poza tym "nie" z siebie nie wydobywa, jakby się nawet nie dziwiąc dziwnemu pytaniu pana Mareczka, co oczywiście można wytłumaczyć jego konspiracyjnymi przyzwyczajeniami, bowiem kto konspiruje powinien być z natury rzeczy małomówny.

- A Rosjanie ci się śnią? - pyta dalej pan Mareczek.

- Nie. Dlaczego mieliby mi się śnić?

- I nikt cię we śnie nie goni, nie rozstrzeliwuje, nie torturuje?

- Nie.

- I nie śnią ci się obozy koncentracyjne, lagry, cele śmierci?

- Nie.

- I nie śni ci się nigdy wojna?

- Która ? - pyta Witek-Janek.

- Którakolwiek. Tamta, albo ta ostatnia, polsko-polska.

- Nie - odpowiada Witek-Janek - żadna wojna nigdy mi się nie śni.

- No to wszystko jest jasne - mówi pan Mareczek. - Należymy do różnych pokoleń i to tylko mojemu pokoleniu dane są te okropne sny, w których jesteśmy rozstrzeliwani i torturowani. Pewnie dlatego, że mieliśmy wtedy, w czasie tamtej wojny, po kilka lat, i w naszej dziecięcej świadomości czy podświadomości Niemcy zajęli miejsce należne Czarnemu Ludowi albo Babie Jadze. A wszystkim następnym pokoleniom, i dzięki Bogu, śniły się i śnią już tylko różne Baby Jagi. A jeśli tak właśnie jest, to znaczyłoby to, że kiedy umrzemy, kiedy umrą wszyscy ci, co należą do mojego pokolenia i jeszcze może do następnego pokolenia, ten straszny sen wreszcie się urwie i Niemcy przestaną już śnić się Polakom. Polska podświadomość zostanie wreszcie uleczona, rak trawiący ją wessie się i zniknie, rana się zabliźni i nikt już nie będzie tu we śnie ścigany i rozstrzeliwany.

- Jeśli - mówi Witek-Janek - znów ktoś z nami czegoś strasznego nie zrobi. Bo jeśli coś takiego się wydarzy, to ten ktoś znów się będzie śnił kilku pokoleniom.

- Powiedz mi - mówi pan Mareczek - dlaczego nam ciągle ktoś robi coś strasznego? Dlaczego są takie narody, których inne narody w ogóle nie męczą i męczyć nie chcą, które więc przez stulecia żyją sobie, mogą sobie żyć spokojnie i takie, jak my czy Litwini, z którymi ciągle coś okropnego się wyrabia? To dzielą nas na troje, to zabierają nam nasze święte miasta, w których urodzili się nasi najwięksi poeci, to wymordowują nam połowę inteligencji, to próbują nas wynarodowić i zniszczyć naszą religię, to znów zabierają nam jedną trzecią naszej ziemi i pół narodu przesiedlają ze wschodu na zachód. Dlaczego coś takiego ciągle nas spotyka? Pomyśl też o naszych braciach Litwinach. Dlaczego oni ciągle kogoś mają na karku, dlaczego ktoś ciągle pragnie ich wymordować, unicestwić, zetrzeć z powierzchni planety? Przecież nie można tego wytłumaczyć położeniem geograficznym. Hiszpanie na przykład mają idealne, wydawałoby się, położenie geograficzne, a także ciągle spotyka ich coś okropnego. To mają Maurów, to inkwizycję, to Francuzów z Polakami, to wojnę domową i rządy faszystów. Wytłumaczenie mesjanistyczne - że to Bóg tak nas męczy, bowiem chce, abyśmy cierpiąc uduchowili się, wyszlachetnieli, a następnie mogli zostać użyci do Jego tutaj tajemniczych celów - też jakoś nie trafia mi do przekonania. Dlaczego Bóg nie męczy Szwedów, którzy, łagodni blondyni, świetnie nadają się do męczenia i na pewno, gdyby ich tylko trochę pomęczyć, zaraz by się uduchowili? Mógłby się nimi posłużyć do swoich dziejowych celów, do zbudowania na tej ziemi Państwa Bożego, równie przecież dobrze, jak nami. No więc dlaczego to właśnie my, Litwini, Ormianie, także Irlandczycy, także kubańczycy - jeszcze jeden przykład wprost idealnego położenia geograficznego - dlaczego to właśnie te narody, a nie inne, zostały skazane na takie dziejowe cierpienia? Czy ktoś nas wybrał? Czy coś nas tak ukształtowało, że staliśmy się łupem, nagrodą, o którą biją się inne narody? Ale kto i co? I czy na takie pytanie jest w ogóle odpowiedź?

- Nie - mówi Witek-Janek. - Na to pytanie nie ma odpowiedzi. To znaczy jest, bo nie sądzę, żeby przypadek decydował o losach narodów i żeby te losy nie dały się jakoś wytłumaczyć. Ale ta odpowiedź jest tak dobrze przed nami ukryta, że pewnie nigdy jej nie odnajdziemy.

- A może - zastanawia się pan Mareczek - my wyczuwamy jakiś taki szczególny zapach, który przywabia historię, który skłania ją do zadawania nam ran, który jej mówi: szarp, rozdzieraj, pij tę krew, bo to smaczne? Może to jest sprawa naszego charakteru narodowego? Może te nasze straszne dziejowe przygody wynikają z tego, że my jesteśmy tacy, a nie inni? Może my naszą łagodnością, naszą niewątpliwą szlachetnością, naszą jakąś marudnością po prostu kusimy naszych niezbyt łagodnych sąsiadów? Patrzcie, jacy jesteśmy łagodni, marudni, mówimy, no to pomęczcie nas trochę, a będzie wam miło, bo miło jest przecież męczyć taką łagodną marudę.

- Nie - mówi Witek-Janek. - Charakterem narodowym czegoś takiego, takich dziejowych przygód, wytłumaczyć się nie da. Mówisz o Litwinach. Oni chyba nie byli i nie są ani łagodni, ani marudni. A jakie mieli, jakie mają dzieje?

- Więc nie dowiemy się nigdy - pyta pan Mareczek - dlaczego ciągle spotyka nas coś strasznego?
- Nie - mówi Witek-Janek. - I może lepiej, że się nie dowiemy. Bo może lepiej nie znać odpowiedzi na takie pytanie.
- No to możemy się spodziewać najgorszego - mówi pan Mareczek. - I nadal będą tu się śniły ludziom różne okropności.
- Ale może być i tak - mówi Witek-Janek - że nagle wszystko się odmieni i przez kilka następnych stuleci nie przydarzy się nam już nic okropnego. I też nie będziemy wiedzieli, dlaczego.
- A jeśli nie śnią ci się Niemcy - pyta pan Mareczek - to właściwie co ci się śni?
- Śni mi się maszyna - odpowiada Witek-Janek i porusza przy tym swoimi wspaniałymi konspiracyjnymi wąsami.
- Jaka maszyna? - pyta pan Mareczek.
- Ta, na której składamy tygodnik - mówi Witek-Janek. - Śni mi się, że znów mi się popsuła i że nie umiem jej naprawić. Albo śni mi się, że robią rewizję i zabierają mi maszynę, a ja nie mam na czym złożyć tygodnika.
- Straszny sen - mówi pan Mareczek. - Ale żebyś tylko takie sny miał, mój konspiratorze.
- Chodźcie na kawę - woła pani Mareczkowa ukazując się w oknie wychodzącym na play-ground. - Woda już się zagotowała.
- A masz śmietankę do kawy? - pyta Witek-Janek.
- Niech Mareczek spyta pana Ludwika - mówi pani Mareczkowa. - Miał nam kupić rano śmietankę w spółdzielni. Ale nie wiem, czy dostał. Chcecie, żeby do kawy były jeżyny?
- I napijemy się po kieliszku - mówi pan Mareczek do Witka-Janka, kiedy przechodzą pod dwoma morwami. - Co ty na to?

A potem, stukając się kieliszkami nad stołem nakrytym ceratą w biało-czerwoną kratę, mówią wszyscy troje, niemal równocześnie, ogarnięci nagle - choć wszyscy troje tacy są przecież łagodni i delikatni - wściekłą nienawiścią:
- Na pohybel im. I żeby szybciej zdechli.

\+

\+ \+

Czterokilogramowy szaro-srebrny szczupak leży na stojącej na śroku playgroundu białej miednicy i czarnym okiem wpatruje się w leżącego tuż obok na czerwonym nadmuchiwanym materacu pana Mareczka. Szczupak ma brudno różowe płetwy i złote plamki na brzuchu, a jego oko, choć niewątpliwie martwe, patrzy na pana Mareczka, na stojącą pod jesionoklonem srebrną Toyotę i na obłoki lecące nad domem - a więc na wszystko, co temu szczupakowi obce, co dla niego niepojęte, bo nie z jego świata - chwilami z pogardliwą obojętnością, a chwilami z zimną nienawiścią.
- Mnie się zdaje, panie Gieniu - mówi pan Mareczek - że ten szczupak nas nienawidzi.
- Bo też za co miałby nas kochać? - pyta pochylający się nad miednicą pan Gienio. - A morderca. Kiedy go pan rozkroisz, to okaże się, że ma w brzuchu jednokilogramowego pobratymca swojego, też szczupaka. Ech, natura. Żadnej litości, żadnego uważania dla faktu, że istnieje Bóg.
- Jeśli Bóg istnieje - mówi pan Mareczek - to jest to nasz, tylko człowieczy Bóg, a nie Bóg szczupaków czy tam jakichś innych wiewiórek i jagódek. Niech pan zapyta księdza. Szczupak nie ma duszy.
- Skąd pan to wie? - pyta pan Gienio.
- Od świętego Tomasza z Akwinu.
- Byłoby bardzo dobrze, szanowny panie Mareczku - z wyszukaną grzecznością odpowiada na to pan Gienio - gdyby razem ze swoim świętym Tomaszem zechciał

się pan nie wypowiadać na temat istnienia Boga. Bo albo On istnieje i wtedy powinniśmy milczeć i adorować jego dzieło, albo nie istnieje, a wtedy nie ma o czym mówić. Pojedzie pan na raki?

- Nie pojedziesz na raki - mówi pani Mareczkowa czytająca na stojącym tuż przy studni leżaku - bo przy studni nawet w południe jest miły, chłodny cień - S h o s h ę Izaaka Singera. - Wiesz, że kiedy Singer przyszedł do swojego ojca, to było jeszcze na początku lat trzydziestych, w Warszawie, i powiedział mu, że chce się nauczyć polskiego, to ten ojciec, który był wielkim rabinem chasydów, odpowiedział: Czyś ty oszalał, Izaak? Jutro może przyjść Mesjasz, a ty chcesz się uczyć polskiego?

- Jeśli Bóg - mówi pan Mareczek - po tych wszystkich cierpieniach dał Żydom na pocieszenie Singera, to znaczy, że oni naprawdę są narodem wybranym.

- Kiedy jakaś cywilizacja, jakaś kultura zostaje zniszczona - mówi pani Mareczkowa - to zawsze zjawia się ktoś taki, jak Singer, kto zapisuje to, co właśnie zostało zniszczone.

- Albo nikt się nie zjawia - mówi pan Mareczek - i jakaś cywilizacja znika bez śladu. Jak nas kiedyś zniszczą i znikniemy, to wcale nie jest powiedziane, że właśnie wtedy zjawi się jakiś Singer czy Mickiewicz i opisze nasze całe życie przed zniknięciem.

- Myśli pan - pyta pan Gienio - że czerwoni nas zniszczą?

- To bardzo prawdopodobne - odpowiada pan Mareczek. - No to kiedy pojedziemy na te raki?

- Nie chcę, żebyś jechał na raki - mówi pani Mareczkowa.

- Właściwie dlaczego - pyta pan Mareczek - nie miałbym pojechać na raki?

- Bo mi się utopisz - odpowiada pani Mareczkowa. - Pamiętaj, że masz dziecko. Dzisiaj znowu pływałeś na środku jeziora.

- Zapewniam panią, pani Ewuniu - mówi pan Gienio - że pan Mareczek się nie utopi. Będziemy łapać w kanale między Mulicznym a Długim, a tam jest wody po kolana.

- No to o której?

- Wypłyniemy jak się ściemni - mówi pan Gienio. - Ale niech pan włoży gumiaki, bo łódka przecieka. - I schodzi po zboczu, żeby sprawdzić, ile wody zebrało się w łódce przywiązanej zardzewiałym łańcuchem do wystającego z wody pnia i czy wieczorem będzie można się nią posłużyć.

- Czy ty rozumiesz - pyta pan Mareczek - na czym właściwie polega siła takiego Singera? Bo ja nie.

- Gdyby Żydzi - mówi pani Mareczkowa - po tym wszystkim, co przydarzyło im się w naszym wieku, nie dali światu wielkiego pisarza, to byłoby naprawdę bardzo dziwne. Ale nie mów już do mnie, bo to jest strasznie ciekawe, ta S h o s h a.

- Gdyby Żydzi - myśli pan Mareczek wpatrując się martwe, wściekłe oko wielkiego szczupaka - po tym wszystkim, co przeżyli, nie dali światu żadnego wielkiego pisarza, to nie byłoby w tym nic dziwnego. Naród tak strasznie umęczony, naród zdziesiątkowany mógł przecież, a nawet powinien był całą swą siłę duchową skupić wyłącznie na tym, żeby przetrwać, przeżyć. I mógł nie mieć już siły na nic więcej. A jeśli, mimo wszystko, zdołał jeszcze w tym strasznym wieku, w tej strasznej swojej sytuacji wydać z siebie wielkich pisarzy, wielkich artystów, wielkich myślicieli, jeśli miał takie rezerwy duchowe, które mu to umożliwiły, to świadczy o tym, że siła duchowa naszego brata starszego, Izraela, jest doprawdy niezmierna i nadal możemy po nim oczekiwać niezwykłych dzieł, niezwykłych dokonań. Siła Singera, wielkość Singera - a pan Mareczek uważa, że Singer jest największym i może jedynym wartym czytania prozaikiem drugiej połowy wieku - więc wielkość Singera polega oczywiście na tym, że dał on świadectwo. Ale jednak nie tylko na tym i nie przede wszystkim na tym. Nie wystarczy bowiem dać świadectwo i kto świadczy, musi spełnić jeszcze jakieś inne warunki, żeby stać się potrzebny swoim współczesnym. Świadczących było przecież w naszym wieku wielu, świadczyli także polscy pisarze pochodzenia żydowskiego, a jednak żadnemu z nich nie udało się osiągnąć tego,

co osiągnął Singer, żaden nie próbował nawet czegoś takiego osiągnąć. Siła Singera nie polega też na tym - nie polega jedynie na tym - że zamierzył on sobie rzecz dość wreszcie w naszym wieku niezwykłą, że miał epicki program i postanowił ukazać pewną całość, a mianowicie dzieje polskich i amerykańskich Żydów, ich obyczaje, ich mity, ich wierzenia. Dzieje, obyczaje wiele ważą w tej prozie, są jej istotnymi elementami, ale nie na opisie obyczaju polega jej siła. Gdyby Singer był pisarzem obyczajowym, epikiem przedstawiającym to, co już zniknione, czytaliby go zapewne tylko ci, których interesuje żydowska przeszłość, żydowski obyczaj. Zdaje się, że dziś - myśli pan Mareczek - kiedy niemal wszyscy polscy Żydzi są już w szeolu, albo w Izraelu, albo w Ameryce, bardzo wielu Polaków niezwykle, i nic w tym dziwnego, interesuje się tym, jak niegdyś, w wieku XVII czy XIX, wyglądało życie w Janowie, Radzyminie czy Frampolu. Ale Singera czyta się przecież nie tylko po to, żeby się czegoś dowiedzieć o tym żydowskim życiu w galicyjskich lub kresowych miasteczkach. Więc po co się go czyta, na czym polega jego dziwna siła? Singer pisze tak, jakby nie było przed nim Prousta, Joyce'a, Faulknera czy Becketta. Jakby nie było żadnego z awangardowych prozaików XX wieku. Jakby w ogóle nie słyszał, nie wiedział o kłopotach, jakie mieli oni z narratorem, z fabułą, z czasem i z językiem. Jakby nie słyszał, jakby nie doszła do niego wieść o końcu, o śmierci powieści. Pisze więc tak, jak pisano w wieku XIX, jak pisali wtedy w Polsce Eliza Orzeszkowa i Bolesław Prus. Opowiada jakąś fabułę i stara się, aby mu uwierzono, że to, co opowiada, wydarzyło się naprawdę, i jeszcze, żeby to było ciekawie opowiedziane. Bardzo to niedzisiejszy sposób pisania. Nazwisko Prusa jest wspomniane w jednej z jego powieści - chyba w S h o s h y ? - i wydaje się, że ten prozaik, tak nam miły, był jednym z mistrzów Singera. Ale gdyby Singer pisał właśnie tak jak Prus i tylko tak jak Prus, to byłby tylko żydowskim Prusem, dziewiętnastowiecznym malarzem obyczajów, może, jak Prus, ze skłonnościami do metafizycznych zamyśleń, i czytelnikom z drugiej połowy wieku XX nie na wiele by się jednak przydał. Wracając do dziewiętnastowiecznego modelu powieści, ponawiając dziewiętnastowieczne sposoby kształtowania fabuły i dziewiętnastowieczne sposoby przedstawiania obyczaju, Singer wpisał w ten model wcale nie dziewiętnastowieczną - choć należałoby tu powiedzieć raczej tak: także, ale nie tylko dziewiętnastowieczną - problematykę losu ludzkiego. Ta problematyka zawarta jest w pytaniach, które Singer stawia swoim postaciom, w pytaniach, które te postacie same sobie stawiają, w pytaniach które stawia im - a także nam - życie. Wracając do takich sposobów pisania, które zostały już zarzucone, Singer również i wtedy, kiedy stawia te swoje pytania, jakby wracał wstecz: pyta bowiem o takie rzeczy, o które literatura już niegdyś pytała, a potem pytać przestała A przestała, ponieważ się tych pytań zawstydziła, jako że zaczęły się one w pewnej chwili wydawać zbyt naiwne, zbyt proste, a może nawet bezsensowne. Uznając za niebyłe wszystkie doświadczenia prozy dwudziestowiecznej - choć to chyba, myśli pan Mareczek, nie całkiem prawdziwe byłoby stwierdzenie, gdyż niewątpliwie uczył się i u Tomasza Manna - Singer odrzucił zatem i to jej doświadczenie, które mówiło, że nie wypada stawiać takich pytań, które już niegdyś postawiono i na które nie uzyskano odpowiedzi, ponieważ takich odpowiedzi nie ma i być nie może. O co pyta Singer, jakie pytania męczą jego bohaterów, czego chcieliby się dowiedzieć ci jego handlarze z Gęsiej czy Żelaznej, uczniowie jesziwy z Radzynia czy Zamościa, opętani przez demony polscy obszarnicy i żydowscy intelektualiści z kafeterii na East Broadwayu? Chcieliby się dowiedzieć, czy Bóg istnieje, czy człowiek jest na coś potrzebny Bogu, czy ziemia dana jest we władanie szatanowi, czy życie tu na ziemi jest karą czy nagrodą, czy ma w ogóle jakiś sens? Wielkie pytania. I zarazem jakby naiwne, dziecinne lub raczej młodzieńcze, właśnie takie, jakich pisarze XX wieku wstydzą się zadawać. Ale ludzie je sobie zadają, mówi Singer. Że nie ma na nie odpowiedzi? No i co z tego - myśli pan Mareczek - czy to znaczy, że nie powinniśmy już sobie ich zadawać, że nie powinniśmy się zastanawiać, po co tu jesteśmy i co z nami będzie potem gdy już się znajdziemy w żydowskim szeolu lub w chrześcijańskim piekle? Kto

czyta Singera, ma więc korzyść podwójną. Po pierwsze, dowiaduje się o życiu innych ludzi i jest to - gdy w sposobie dziewiętnastowiecznym opowiedziane - bardzo ciekawe. Po drugie, dowiaduje się - zostaje mu to przypomniane - że jest bytem metafizycznym i że na pytania, które z tego faktu wynikają, musi znaleźć, sam, swoją własną odpowiedź, co jest oczywiście niemożliwe, ale jednak należy się starać. Lecz czy na tym, właśnie na tym - to znaczy na umiejętności ciekawego opowiadania i na umiejętności wyprowadzania z fabuły takich metafizycznych pytań - polega siła Singera? Jeszcze pewnie i na czymś innym - dochodzi do wniosku pan Mareczek - na czymś, co trudno nazwać, a co jest także i u Prusa właśnie, ale inaczej się u Singera artykułuje, i co dałoby się określić jako czułość czy współczucie, bo czuję, że ogarnia on nas wszystkich, tych uczniów jeszywy, tych polskich obłąkanych grafów, tych żydowskich szewców, pachciarzy, grabarzy, a także i mnie, pana Mareczka, wszystkich, swoim wielkim współczuciem, czuję, że mój los, moja ludzka kondycja, moje duchowe kalectwo wzrusza go i przeraża, i jestem mu za to wdzięczny, wiem, że jest pan bardzo starym człowiekiem i chyba niezbyt interesuje się pan tym, co się pisze po polsku, więc moje słowa pewnie do pana nie dojdą, ale chciałbym jednak jakoś wyrazić moją wdzięczność, chciałbym, żeby pan wiedział lub choćby tylko odczuł - jest przecież, myślę, możliwe, jeśli skupi się, ześrodkuje wszystkie siły duchowe, przekazanie przez ocean, stąd do Nowego Jorku mojego do pana posłania - więc chciałbym, żeby pan odczuł, jak jestem panu wdzięczny, panie Izaaku, za to, co pan dla nas napisał.

- Popatrz, jaki on jest ładny na tym zdjęciu - mówi pani Mareczkowa i pokazuje panu Mareczkowi fotografię Izaaka Beshevisa Singera na obwolucie S h o s h y. Na tym zdjęciu Singer, bardzo elegancko ubrany, w ciemny garnitur, ciemny krawat i białą koszulę, której mankiety spięte są dużymi, metalowymi, może srebrnymi spinkami, pisze coś na kartce papieru wiecznym piórem, które - jak sądzi pan Mareczek - z pewnością ma złotą stalówkę, i wszystko to, ten garnitur, te spinki, ta stalówka, poświadcza jego dziwną dziewiętnastowieczność, bo który z pisarzy drugiej połowy wieku dałby się sfotografować w ciemnym garniturze i krawacie, i kto pisze dziś wiecznym piórem ze złotą stalówką.

- Czy nie wydaje ci się - pyta pani Mareczkowa - że on jest trochę podobny do Antoniego Słonimskiego?

- Nie - mówi pan Mareczek. - Antoni miał coś ironicznego w twarzy. Jakby coś w nim nieustannie, ale bardzo cicho, chichotało. A on jest jakiś taki zatroskany. I chyba trochę smutny.

- Musi być bardzo miły - mówi pani Mareczkowa. - Ale pewnie nas nie lubi.

- Dlaczego miałby nas nie lubić? - pyta pan Mareczek.

- Bo uważa nas za antysemitów.

- A dlaczego miałby nas uważać za antysemitów?

- Przecież wszyscy uważają nas za antysemitów.

- Czy to ciągłe gadanie o naszym antysemityzmie - pyta pan Mareczek -nie wydaje ci się podejrzane? Przecież '68 rok chyba ostatecznie wszystko tu już wyjaśnił. I jeśli ktoś tego nie rozumie lub nie chce zrozumieć, to znaczy, że jest kretynem albo ma złą wolę. Pewnie, że kiedyś było tu mnóstwo antysemitów. A gdzie ich nie było? Ale jeśli w kraju, w którym niemal nie ma Żydów, w którym Żyda spotyka się na ulicy równie często jak Murzyna czy Hindusa, w którym więc antysemityzmu po prostu już być nie może, jeśli w takim kraju nadal istnieje problem antysemityzmu i jeśli o tym, że taki problem istnieje, nadal mówi się w Europie, to przecież jest chyba jasne, że to jest sztucznie rozdmuchiwane, sztucznie utrzymywane przy życiu, krótko mówiąc, manipulowane. Komuś zależy na tym, żebyśmy byli antysemitami, a ponieważ antysemitami już być, choćbyśmy i nawet chcieli, nie możemy, ten ktoś stara się, żebyśmy przynajmniej uchodzili za antysemitów, żeby cały świat gardził nami jako narodem obrzydliwych antysemitów. Ktoś chce nam stworzyć problem i chce też, żeby ten nasz problem - jako właśnie nasz wielki problem - był dobrze znany światu. Może dlatego, żebyśmy, mając ten problem naszego antysemityzmu, nie mieli już

czasu zajmować się naszymi prawdziwymi problemami i żeby świat, mając nas za antysemitów, nie chciał nic wiedzieć o naszych prawdziwych problemach? Antysemityzm jest wstrętny. Ale to manipulowanie problemem antysemityzmu, ze swej istoty też antysemickie, jest jeszcze wstrętniejsze.

- Nawet jeśli to jest manipulowane - mówi pani Mareczkowa - to trzeba przyznać, że niezwykle zręcznie, bo jednak przynosi efekty i uchodzimy za naród antysemitów.

- Niech ci przeklęci Europejczycy, co mają nas za antysemitów - mówi pan Mareczek - zajmą się lepiej swoimi przeklętymi antysemitami. Pewnie, że to nie jest miłe - dodaje po chwili - że oni tak o nas trzymają, ale wreszcie co można na to poradzić? Przecież nie możemy krzyczeć na cały świat: słuchajcie, my już nie jesteśmy antysemitami, bo to byłoby i głupie, i niegodne. Ale żeby taki stary mądry Żyd jak Singer, jeśli choć cokolwiek wie o naszej sytuacji, uważał nas za antysemitów, w to nie uwierzę. Stary, mądry Żyd to jest ktoś taki mądry, że ja chciałbym być Żydem, żeby móc być taki mądry.

- Powiedziałeś to jak stary, mądry Żyd - mówi pani Mareczkowa.

- Wiesz, że ja Żydom - mówi pan Mareczek - to niekiedy zazdroszczę. Przydarzyły im się w tym wieku rzeczy nieopisanie okropne, lecz przydarzyło im się też coś zupełnie cudownego: odzyskali swój kraj, po wiekach wygnania wrócili do ziemi obiecanej i znów, jak w czasach proroków, są u siebie, w swoim Jeruzalem. Coś takiego nie przydarzyło się jeszcze nigdy chyba żadnemu narodowi. Wyobraź sobie, że jesteś Żydówką i wracasz do miasta, w którym przed dwoma tysiącami lat mieszkali twoi przodkowie. Ale chyba nie sposób sobie nawet wyobrazić, jak się przeżywa coś takiego, taki cud. I pomyśl: cały naród wraca, całemu narodowi dane jest takie przeżycie. Ciekawe, jak oni sobie z tym radzą, ci tamtejsi Żydzi. Chciałbym to obejrzeć. Czy można żyć normalnie, czy można jeść, pić, handlować i spółkować w atmosferze cudowności, pod ciężarem cudu? A przecież jedzą, piją, handlują, spółkują. Dobrze jest być Żydem. A przede wszystkim strasznie ciekawie być Żydem. Ale i straszno jest być Żydem ponieważ oni są bardzo blisko Boga, na pewno bliżej niż my i może nawet za blisko. Każdy kto coś tam, w Tel Avivie czy Hajfie, robi, czy pisze książkę, czy handluje na targu rybami, czuje chyba na sobie, musi czuć na sobie wzrok Boga, który z niezbyt wielkiej wysokości patrzy na rękę trzymającą banknot albo pióro. Stąd pewnie bierze się siła Singera: że on to czuje i pisze tak, jakby Bóg, którego istnienie zresztą wątpi, wciąż patrzył i to z wielką ciekawością na tę jego kartkę papieru i na to wieczne pióro ze złotą stalówką.

- No to pisz tak - mówi pani Mareczkowa - jakby na twój długopis też patrzył. Bo jeśli jest, to przecież patrzy.

- Tu nie chodzi o to - mówi pan Mareczek - czy On patrzy, czy nie, ale o nasze, o moje poczucie. Oni są narodem wybranym, więc muszą czuć, na pewno czują, że są bardzo blisko, a my jesteśmy daleko, może coraz dalej.

+

+ +

Wypływają po zachodzie słońca, kiedy powoli zaczyna się już ściemniać i pierwsza gwiazda zapala się nad stojącymi na drugim brzegu jeziora sosnami. Płyną w trójkę, pan Gienio, pan Mareczek i pan Rysio, który najlepiej wie, gdzie mogą być raki, bowiem dzieciństwo i młodość spędził nad tym jeziorem, ubrani w grube swetry i gumowe kurtki, gdyż noce są już chłodne, a raki mają łapać aż do rana. Łódka przecieka i pan Mareczek żółtym plastikowym kubkiem wylewa z niej wodę. Kiedy wypływają na środek jeziora, robi się zupełnie ciemno, w tej ciemności nie widać już brzegów i kierunek wskazują im tylko ogniska rozpalone na przylądkach przez turystów.

- Miłe jest takie pływanie w ciemności, pod gwiazdami - myśli pan Mareczek - kiedy zgasły już światła w oknach nadbrzeżnych domostw i świecą się tylko

dogasające ogniska na brzegu, tam gdzie binduga, o i tam, gdzie mostek. Kto wpływa w taką ciemność, w nocną mgłę stojącą nad jeziorem, wypływa jakby ze swojego czasu, a nawet ze wszelkiego czasu i - minąwszy niewidzialną granicę, która jest w nim, ale może i gdzieś na jeziorze - wiosłuje poprzez wieczną chwilę, wieczne teraz, i może sobie wyobrazić, tak wiosłując, że jest kimś innym, kimś, kto płynął w tej ciemności sto, dwieście, nawet i tysiąc lat temu, litewskim rybakiem, co wybrał się na nocny połów albo jaświeskim wojownikiem patrolującym jezioro, nad którym, o czym wieść doszła do naszego księcia, pojawili się jeźdźcy z obcego plemienia, z żelaznymi mieczami, w żelaznych pancerzach. Plusk wody, gdy zanurzają się w niej pióra wioseł, jak tysiąc lat temu, i wiosła skrzypią w dulkach, jak tysiąc lat temu, ten sam dźwięk, i pan Mareczek, jaświeski wojownik w skórzanych onucach i futrzanym kapturze, stara się przeniknąć wzrokiem nadbrzeżne ciemności, stara się wypatrzyć między czarnymi sosnami, świerkami tych obcych jeźdźców w żelaznych pancerzach, których niespodziewane pojawienie się - jak dobrze o tym wie - oznacza śmiertelne zagrożenie dla jego plemienia, dla jego dziecka i jego kobiety, która śpi spokojnie w kurnej chacie nad Czarną Hańczą, nie wiedząc, że śmierć jest tak blisko. Jadźwingowie - pan Mareczek przypomina sobie informacje, które wyczytał w przewodniku P u s z c z a A u g u s t o w s k a wydanym w Warszawie w roku 1980 - zostali wytępieni ostatecznie w końcu wieku XIII, a tereny, które zamieszkiwali, zaczęła wówczas powoli zarastać puszcza. W roku 1422 ziemie Jadźwingów podzielone zostały między Litwinów i Krzyżaków, ale ani ci, ani ci nie zamierzali się tutaj osiedlić i z puszczy uczynili niezamieszkałą ziemię niczyją, pas strategiczny mający oddzielić Wielkie Księstwo Litewskie od terytoriów, którymi władał Zakon. Pierwsze osady ludzkie pojawiły się w puszczach Przełomskiej i Perstuńskiej - bowiem tak wtedy tę dzisiejszą Puszczę Augustowską nazywano - nad brzegami Czarnej Hańczy, Marychy, Rospudy dopiero w końcu wieku XVI, przez trzysta lat nikt więc na tych ziemiach nie mieszkał, lasem władał król-niedźwiedź, jeziorem król-bóbr. Pan Mareczek jest teraz ostatnim Jadźwingiem, któremu udało się przeżyć najazd obcych wojowników i który - kiedy kurne chaty i książęcy zamek z dębowych bierwion zostały spalone, a jego współplemieńców zakuto w żelazne łańcuchy i pognano ku wybrzeżom Bałtyku - uszedł w głąb puszczy i ukrył się w stuletnim, rozłupanym przez piorun jesionie. Mieszka teraz - w tej wiecznej chwili, która nie przemija - nad tym jeziorem, żywiąc się poziomkami i grzybami, od wielu lat nie widział człowieka, jego przyjaciółmi są niedźwiedź i lis. - Ale czy można, czy zdołam - myśli ostatni Jadźwing wybierając żółtym plastikowym kubkiem wodę z dna łódki - wyobrazić sobie rozpacz tego ostatniego Jadźwinga, kiedy pojął, że jest sam, że nie ma dokąd pójść, że nikt nigdy nie przemówi już do niego językiem jego plemienia, że spędzi resztę życia wśród lisów, głuszców i niedźwiedzi, i umrze w dziupli wyścielanej mchem? Straszne poczucie obcości, które musiał mieć ten ostatni Jadźwing, obcości jego życia wobec życia puszczy, straszne poczucie osobności, jedyności. - Los ostatnich Jadźwingów, tajemnicze i niczym właściwie nieuzasadnione przeczucie, że ten los jest także jego losem, a nawet jeśli nie jest z nim tożsamy, to jest to los do jego losu podobny, choć nie wiadomo, dlaczego, i wynikające z tej przeczuwanej wspólnoty losów poczucie obowiązku, jakie ma wobec wyeksterminowanego plemienia, to wszystko układa się panu Mareczkowi w wiersz, który zapisze następnego dnia.

Wiersz dla plemienia Jadźwingów
napisany nad ich jeziorem

O jaświescy książęta co po was zostało
Te dwie zapinki z brązu to jest bardzo mało

A ten rozbity garnek to jest świadek lichy
I cóż po waszym męstwie i co z waszej pychy

Wasz król w lasanku zgubił drewnianą koronę
Berło z gałęzi dębu było wyrzeźbione

Waszą królową uwiódł święty wąż z zatoki
Wchodząc w wodę liczyła odbite obłoki

Królewski syn na brzegu zamyślony siedział
Porwali go Litwini lub siostry niedźwiedzia

Wasze dzieje spisane na brzozowej korze
Są jak dzieje tych muszel które śpią w jeziorze

Albo jak dzieje raków pod korzeniem w wodzie
Jak łatwo jest zapomnieć o całym narodzie

O jaćwiescy książęta co teraz poczniecie
Po polsku mówi naród w sejneńskim powiecie

A po litewsku mówi tam gdzie Kalwarija
Warczy traktor na szosie i kurhany mija

Ja jednak myślę o was więc pewnie jesteście
Ale gdzie mam was szukać w jakim Bozym mieście

Może tu nad jeziorem kiedy śnieg już pada
Nocą stukacie w okno polskiego sąsiada

A może za Islandią gdzieś na oceanie
Macie podwodne porty sekretne przystanie

Jaka wasza historia jakie przeznaczenie
Pod mchem w głąb ziemi idą splątane korzenie

Stoi mgła na jeziorze nad nią księżyc biały
Usnęliśmy w olszynie a dzieje mijały

Po godzinie dopływają do mostku, tam woda jest płytka i trzeba wysiąść z łódki, aby przepchnąć ją po kamienistym dnie. Nie opodal mostku stoją namioty i pan Mareczek zastanawia się, czy tym, którzy w nich śpią, śnią się te same sny, które śniły się tutaj ostatnim Jadźwingom. Ale pewnie nie. Potem wpływają do kanału między Długim a Mulicznym i pan Gienio składa wiosła. Płyną teraz tuż przy brzegu, odpychając się rękami od wystających z wody suchych albo zmurszałych pni i oświetlając muliste dno kanału trzema latarkami.

- Myśli pan, że tu są raki? - pyta pan Mareczek.

- Powinny być - odpowiada pan Gienio. - Kiedyś to setkami się je tu łapało. Potem je wyeksterminowano, ale teraz powolutku wracają.

- A jak my te raki będziemy łapać?

- A ręką - mówi pan Gienio. - Kiedyś to łapano takimi widełkami wyciętymi z rozcapierzonej gałęzi. Ale można i ręką. Tylko niech pan włoży rękawicę, żeby pana rak nie uciął szczypcami. I niech pan pamięta, że one się lubią zagrzebywać w piasku. Tyłem właźą w piasek, więc trzeba je brać od tyłu.

Noc jest ciemna i kiedy gasną latarki, nie widać nawet olch, rosnących nad kanałem. Gdzieś niedaleko, na drugim brzegu Mulicznego, tam gdzie turyści rozbijają namioty, ktoś gra na flecie.

- Komu on tak gra po nocy? - zastanawia się pan Gienio.

- O, gwiazda spadła- mówi pan Rysio.

- Trzeba sobie coś pomyśleć i to się spełni - mówi pan Gienio. - Pomyślał pan coś sobie?

- Pomyślałem - mówi pan Mareczek.

- A co?

- Żeby znowu była "Solidarność"

- "Solidarności" to juz nigdy nie będzie - mówi pan Gienio. - Czerwony to ma taki talent do niszczenia, że jak coś postanowi zniszczyć, to już nic z tego nie zostaja. A zresztą, prawdę mówiąc, ta nasza "Solidarność" to była dość okropna.

- Jak to okropna? - pyta pan Rysio.

- Ano okropna. Ilu tam cwaniaków się zapisało, ilu karierowiczów. Nie było

przecież tak, żeby tylko najlepsi, najszlachetniejsi się zapisywali. No a ci karierowicze, ci cwaniacy, jak to oni, ciągnęli do siebie. Pamięta pan, jak prawdziwi Polacy walczyli w regionie Mazowsza z ludźmi Kuronia czy Bujaka? Przyzna pan, że nie było to miłe widowisko.

- Może i niemiłe - mówi pan Rysio. - Ale nie widzę w tym nic gorszącego, że w takiej organizacji walczono o miejsca w zarządzie, o władzę. Pamięta pan, jak to było w hali Olivii na pierwszym zjeździe?Jedni chcieli, żeby przewodniczącym został Wałęsa, a inni woleli Gwiazdę. No i co w tym złego? To były demokratyczne wybory, takie, jakich w tym kraju od lat nie mieliśmy.

- Ale karierowiczów strasznie dużo jednak się nawpychało - upiera się pan Gienio.

- Byłoby nawet dziwne - mówi pan Rysio - gdyby do takiego wielkiego ruchu, jakim była "Solidarność", nie przemknęli różni podejrzani karierowicze. Przecież każdy ruch społeczny, który ludziom coś obiecuje, który stwarza im jakieś nadzieje, musi przyciągać i takich, co tylko własny interes mają na widoku. Co mnie w tym dziwi, to raczej naiwność tych naszych karierowiczów, którzy sądzili, że ten związek to będzie dobry interes. Co oni sobie wyobrażali? Że "Solidarność" będzie istniała wiecznie? Że czerwoni jej nie zniszczą? Trzeba było być naiwnym dzieckiem, żeby w coś takiego wierzyć.

- Wszyscy wierzyliśmy - mówi pan Mareczek - że to się uda. Ja przynajmniej wierzyłem. Choć rozum mówił mi, że to się udać nie może, bo czerwoni jeszcze nigdy z nikim władzą się nie podzielili i nigdy się nie podzielą. A jednak wierzyłem, że stanie się cud, że jakimś cudem zmusimy ich do ustępstw i że wreszcie, nawet dalej nami rządząc, pozwolą nam jednak żyć tak, jak chcemy.

- No to niech mi pan wybaczy, panie Mareczku - mówi pan Gienio - ale głupio pan wierzył. I ta pańska naiwna wiara przyczyniła się do tego, że "Solidarność" została zniszczona. Trzeba było przewidzieć, co oni wykonają. I Komisja Krajowa miała obowiązek to przewidzieć, bo po to ją sobie wybraliśmy.

- A gdybyśmy nawet przewidzieli - mówi pan Rysio - że to się skończy tak, jak się skończyło, gdybyśmy przewidzieli, że oni poślą przeciwko nam czołgi, to co by to pomogło? Nie posłaliby tych swoich czołgów? "Solidarność", bez względu na to, co robiła i jak się zachowywała, musiała zostać zniszczona.

- Trzeba było politykować - mówi pan Gienio. - A Komisja Krajowa powinna nas była ostrzec, na co się zanosi.

- A nie ostrzegała? - pyta pan Mareczek. - A politykowanie również na nic by się nie zdało. Wałęsa przecież politykował. Ale choćby nawet padał na kolana i prosił o litość, też by niczego nie uzyskał. I musimy sobie wreszcie otwarcie powiedzieć, że "Solidarność" od początku nie miała żadnych realnych szans. Ta władza nie dopuszcza bowiem możliwości istnienia jakiejkolwiek instytucji czy organizacji, która nie byłaby przez nią kontrolowana. I ze swojego punktu widzenia ma oczywiście rację, bo to jest taka władza, która ma swoje albo-albo: albo kontroluje wszystko albo nie kontroluje niczego.

- Ale mieliśmy jednak - mówi pan Gienio - te nasze szesnaście miesięcy.

- I nagle, chwytając za nadbrzeżną gałąź i hamując w ten sposób powolny ruch łódki, woła: - Niech go pan łapie, panie Rysiu, jest tam, pod korzeniem.

Szaro-żółty rak leży na dnie kanału w szaro-żółtym mule i wydaje się, że śpi, choć oczywiście nie śpi, lecz czeka na zdobycz. Pan Rysio zanurza w płytkiej wodzie dłoń w starej skórzanej rękawiczce, po krótkiej walce wyciąga raka - razem z pękiem wodorostów i gałązek - na powierzchnię i wrzuca go do stojącego na środku łódki wiadra z wodą. Pan Mareczek nachyla się nad wiadrem i widzi, że rak zmienił teraz kolor, nie jest szaro-żółty, lecz szaro-zielony, ze stalowym odcieniem. Przez chwilę rzuca się w wodzie, próbując wdrapać się na emaliowaną ściankę wiadra, ale potem rezygnuje i opadłszy na dno powoli porusza wąsami.

- Ten rak - mówi pan Gienio - to coś jakby przymały.

- Bo to rak dziecko - mówi pan Rysio. - Ale jednak rak.

- No to może go wypuścimy - proponuje pan Mareczek. - Niech sobie podrośnie.

- Amnestionujemy go - mówi pan Gienio - jak ich więcej nałapiemy. A na ra-

zie niech pływa w wiadrze.

- A wracając do "Solidarności" - mówi pan Mareczek - to rzeczywiście trzeba powiedzieć, że popełniła ona mnóstwo, i okropnych, błędów, że powinna działać ostrożniej czy rozważniej, że nie doceniała siły czerwonych i ich przebiegłości, a przede wszystkim jakby nie dostrzegała, że oni zostali przyparci do ściany, a więc nie mają już nic do stracenia. Ale czy te wszystkie błędy zaważyły na jej losie? Bardzo w to wątpię.

- Gdybyśmy byli mądrzejsi - mówi pan Gienio - to mogłoby to jednak trwać nie szesnaście miesięcy, ale trzy czy cztery lata. A wtedy, po trzech, czterech latach może jakoś inaczej, lepiej wszystko by się ułożyło.

- Ale spróbujmy spojrzeć na tę sprawę - myśli pan Mareczek - jeszcze z innego punktu widzenia, takiego, który tylko z wielkim trudem możemy przyjąć, ale z którego będzie się można patrzeć na to wszystko, co dane nam było przeżyć, a więc i na "Solidarność", za sto albo i za dwieście lat. Otóż z takiego punktu widzenia, który będzie kiedyś dany naszym prapravnukom, "Solidarność" może się okazać - bo może była? - dziełem Bożym, wielkim darem, który Bóg ofiarował Polakom, aby ich pocieszyć po latach nieszczęść i rozpaczy. Bo że doświadczenia tych szesnastu miesięcy jakoś nas pocieszyły, jakoś nas umocniły duchowo, a przede wszystkim przywróciły nam poczucie, że jednak nie jest jeszcze z nami tak całkiem źle, że jednak jeszcze coś jesteśmy warci, że na coś możemy się przydać światu, a przede wszystkim Polsce, to jest chyba całkiem oczywiste. A jeśli tak nas te doświadczenia szesnastomiesięczne wzmocniły i pokrzepiły, to jest też oczywiste, że i nadal będą one działały pokrzepiająco, bowiem pamięć o nich, pamięć o tym naszym wielkim duchowym sukcesie przecież pozostanie i będzie nas podtrzymywać na duchu przez wiele dziesięcioleci. Więc może to Bóg chciał nas pocieszyć, pokrzepić w naszych nieszczęściach i cierpieniach? A jeśli by tak było, to trzeba powiedzieć, że ten dar Boży był też darem zupełnie niezasłużonym. Dano nam ten wielki dar, to pocieszenie, choć popełniliśmy wielki grzech. I może właśnie dlatego ten dar został nam dany? Łaska jakże często spada, i nieoczekiwanie, na wielkich grzeszników. Na czym polegał nasz grzech? Wiele wskazuje na to, że gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych, więc pod rządami dobrotliwego Gierka - ale może nawet wcześniej, może już w latach sześćdziesiątych - Polacy zostali ogarnięci czymś, co dałoby się nazwać manią samobójczą. Doszli do wniosku - a myśląc o Polakach, myślę tu o duchu narodowym, czy o, jeśli coś takiego istnieje, podświadomości narodowej - że nie warto już dłużej się męczyć, ponieważ męczą się już bardzo długo, za długo, przynajmniej od roku 1939, i nic nie wskazuje na to, aby ta ich męka miała się kiedykolwiek zakończyć. Nie jest pewne, czy warto żyć, jeśli życie składa się z samych klęsk i upokorzeń. Nie jest też pewne, czy warto jest żyć bez wolności, bez godności i bez nadziei, że kiedykolwiek odzyska się wolność i godność. Czy naród może chcieć umrzeć? Czy duch narodowy może popełnić samobójstwo? Polacy zaczęli w pewnej chwili zachowywać się jak człowiek, który - gdy zbyt już jest umęczony - kładzie się i powiada: mam tego dość, teraz niech się dzieje co chce, bo mnie już jest wszystko jedno i nie obchodzi mnie, co się ze mną stanie. Świadomość samobójczych zamysłów ducha polskiego łatwo dziś odnaleźć, przyglądając się stanowi polskiej ekonomiki, polskiej kultury, polskiej nauki, stanowi, w jakim znalazła się cała cywilizacja polska. Nie warto oczywiście cywilizować, gdy wszystkie wysiłki cywilizacyjne z jakiejś przyczyny - przyczyna jest znana, ale mniejsza nawet o nią - idą na marne. A kiedy wysiłki cywilizacyjne ustają, zaczyna się umieranie cywilizacji. Można by rzec, że przed dylematem: żyć czy umrzeć, duch polski - w czym nie ma zresztą nic pocieszającego - stanął nie po raz pierwszy. Ten sam problem mieli bowiem nasi przodkowie, decydując się raczej na śmierć, niż na życie bez wolności i bez godności, w tekście "Warszawianki":

Kto przeżyje, wolnym będzie;
Kto umiera, wolnym już.

Dar Boży, jakim była "Solidarność", przywrócił duchowi polskiemu wolę ży-

cia. Dzięki temu darowi wydobyliśmy się z grzechu, porzuciliśmy myśl o rychłej śmierci naszej ojczystej cywilizacji i postanowiliśmy żyć, postanowiliśmy, pocieszeni, przebudować i naprawić nasze życie. A jeśli tak właśnie - jako na dar pocieszający - na ten nasz związek spojrzymy, to musimy się teraz zastanowić, jaki użytek powinniśmy z tego daru zrobić w przyszłości, jak mamy z niego korzystać, aby go nie zmarnować, nie roztrwonić. Bo jeśli teraz zmarnujemy, cośmy otrzymali, to rzeczywiście nic już nas innego nie czeka poza powolną agonią, śmiercią ducha polskiego. A jeśli ja, pan Mareczek - myśli pan Mareczek - jestem w stanie, i to już teraz, zaledwie kilkanaście miesięcy po zniszczeniu "Solidarności", wydobyć z siebie taką myśl - myśl o tym związku jako o darze ofiarowanym Polakom przez Boga - jeśli jestem w stanie już teraz spojrzeć na tę naszą "Solidarność" z takiego właśnie punktu widzenia, to nie ulega wątpliwości, że tym bardziej po wielu latach, wielu wiekach, będzie ona oceniana przede wszystkim jako fakt, który zaistniał w sferze ducha polskiego i który duchowe, może nawet wyłącznie duchowe miał znaczenie, i nie ulega wątpliwości, że nasi potomni patrząc z odległości wieków na nas i na to nasze doświadczenie powiedzą: im, choć byli tak nieszczęśliwi, że pragnęli umrzeć, Bóg dał dar, dzięki któremu przezyli, a więc Bóg nie zapomniał o Polakach. I jeszcze może tak powiedzą o nas ci nasi potomni, a przynajmniej ja, pan Mareczek, chciałbym, żeby tak o nas powiedzieli, żeby tak nas ujrzeli, bowiem sądzę, że zasłużyliśmy sobie na to: przypominają nam oni, ci Polacy z drugiej połowy XX wieku, łazarza, któremu - kiedy umarł i został złożony pod nagrobną płytą - Chrystus kazał wyjść z grobu i wrócić do życia.

- Gdyby to trwało - mówi pan Rysio - nie szesnaście miesięcy, ale trzy czy cztery lata, to wtedy, panie Gieniu, mielibyśmy już naszą samorządną Rzeczpospolitą i skończyłoby się to nie taką małą wojną jak ta, co ją przeżyliśmy, ale jakąś zupełnie okropną masakrą.

- Czy naród - pyta pan Mareczek - może popełnić samobójstwo?

- A dlaczego mielibyśmy popełniać samobójstwo? - pyta pan Rysio. - Już kilka razy wybijaliśmy się na niepodległość, więc znów się kiedyś wybijemy.

- A Jadźwingowie? - pyta pan Mareczek wiedząc, że pan Rysio jest wielkim znawcą jaświeskich dziejów i jaświeskiego obyczaju. - Czy nie dopuszcza pan takiej myśli, że to, co wydarzyło się tu w końcu XIII wieku, mogło być czymś w rodzaju zbiorowego samobójstwa? Może ci ostatni Jadźwingowie, kiedy pojęli, że to już koniec, że nic ich nie ocali, że okrutnych najeźdźców nie da się ubłagać, postanowili umrzeć, ponieważ nie chcieli dłużej przyglądać się własnemu konaniu? Może mieszkańcy ostatniej wioski, która jeszcze nie została spalona przez Litwinów czy Krzyżaków, sami ją podpalili i zginęli w płomieniach? Albo odeszli do puszczy i nigdy już z niej nie wyszli, słuch o nich zaginął? I tylko wśród bobrów i niedźwiedzi przechowała się niejasna wieść o tym, jak zakończyły się dzieje plemienia Jadźwingów?

- Poetyzuje pan, panie Mareczku - mówi pan Rysio. - W zniknięciu Jadźwingów nie ma nic tajemniczego. To plemię musiało zostać wchłonięte przez potężnych sąsiadów, ponieważ ci sąsiedzi po prostu stali od niego wyżej pod względem cywilizacyjnym.

Poetyzuję - odpowiada na to niezbyt sensownie pan Mareczek - ponieważ jestem ostatnim Jadźwingiem. Ile mamy tych raków?

- Pięć - mówi pan Gienio. - Dwoje dzieci i trzy duże. Najeść to się tym raczej nie najemy.

- No to wracamy - mówi pan Rysio. - Widać nie jest to pora, w której raki wychodzą na żer.

- Niech pan zauważy - mówi pan Mareczek - jak krótką pamięć ma ludzkość. Raki zniknęły przecież z naszych rzek i jezior zaledwie kilka czy kilkanaście lat temu, a już nie pamiętamy, o jakiej porze nocy należy je łapać.

Łódka wypływa spod kamiennego mostku, pióra wioseł rozgarniają przybrzeżne trzciny i z cichym pluskiem zanurzają się w smolistej wodzie. Gdzieś nie opodal, przy brzegu, słychać klaśnięcie, potem drugie, to bóbr, świadek jaświeskich dziejów, bijąc ogonem o wodę ostrzega nas, że znaleźliśmy się na je-

go.terytorium. Ogniska na brzegu już zagasły i tylko gwiazdy wciąż spadają, jak to w sierpniu. - Gdyby historia tak nas nie męczyła - myśli pan Mareczek - to moglibyśmy być niewysławialnie szczęśliwi, wśród bobrów, sosen, gwiazd i jezior. A jednak nie mogę powiedzieć, abym pragnął takiego właśnie szczęścia. Przyjmuję z wdzięcznością pocieszenia, jakie ofiarowuje nam natura, ale gdyby ktoś potężny zaproponował mi, że wyjmie mnie z historii i zostanę uwolniony od losu, który zgotowały mi tu dzieje, chyba odmówiłbym. Nie wiem doprawdy dlaczego i mogę tylko stwierdzić, że taka decyzja wynika zapewne z faktu, że jestem człowiekiem, a więc że tak a nie inaczej zostałem skonstruowany. Z czego znów wynikałoby, że dla człowieka lepiej jest być nawet ostatnim Jadźwingiem, niż przyjacielem jego, bobrem lub niedźwiedziem.

Goście pani Anieli powoli układają się do snu - słychać cichy warkot radioodbiorników, a potem szczęk wiader i chlupotanie wody, a potem skrzypienie łóżek, a potem łomot i dudnienie snów, ale tego już nikt, poza śniącymi, nie słyszy, chyba tylko Bóg, jeśli nas słucha - i gasną, jedno po drugim, okna w domu stojącym na zboczu. Świecą się jeszcze tylko dwa: to na pięterku, to za za którym mieszkają pani Aniela i pan Ludwik, i to za którym mieszkają państwo Mareczkowie. Spoza tego okna, na wpółprzymkniętego, dobiegają do przechodzącego przez play-ground pana Mareczka wrzaski i łomoty, co dowodzi, że pani Mareczkowa wodzi się za łby z małym-dużym Mareczkiem, usiłując go skłonić do umycia zębów albo do zmówienia pacierza. Pan Mareczek siada na ławeczce- tej środkowej, z której widać całkiem duży kawałek jeziora - i zapalając papierosa patrzy na księżyc przesuwający się powoli nad sosnami stojącymi na drugim brzegu. Księżyc jest wspaniale biały, kolisty, przecięty czarnym i wąskim obłokiem. I miło jest pomyśleć - ale zarazem i straszno jest pomyśleć - że ten sam księżyc, który w tej oto chwili, właśnie teraz, świeci tu nad jeziorem panu Mareczkowi, świeci również, i też w tej oto chwili, i też właśnie teraz, wielu innym ludziom i wielu miastom, wielu krajom nawet: leci nad Litwą, nad Wilnem i Kownem, i ponad Rygą, i ponad Tallinem, i nad starym Dorpatem, i nad Królewcem czyli Kalinigradem. Oświetla miedziane, zielone dachy kościołów i czerwone, wycięte z kamienia gwiazdy na wojskowych cmentarzach, i długie lufy czołgów ukrytych w nadmorskich lasach i czekających na swoją chwilę. - Co z nami teraz będzie? - myśli pan Mareczek. - Co się z nami stanie, kiedy już to się zacznie i potem, kiedy już to się skończy? - Ale co się zacznie? Na to pytanie pan Mareczek nie potrafi sobie jasno odpowiedzieć. - Polsko - myśli - czego ty właściwie od nas chcesz, czego żądasz? I czego, Polsko, my od ciebie chcemy?

Księżyc, niemal w pełni, zanurza się teraz w chmurach, jego promień wpada między sosny na drugim brzegu jeziora i odbija się od tajemniczego przedmiotu leżącego wśród wysokich paproci: błyska, zapala się, świeci ukryta w paprociach korona pierwszego króla Litwinów, Mendoga. Pan Mareczek patrzy na gwiazdy nad sosnami. Ile ich jest, nie wiadomo. Akurat tyle, ile ich było sto lat temu, akurat tyle, ile ich będzie za sto lat. Natura jest doprawdy okrutna. I nic jej nie obchodzą nasze tu cierpienia, nasze nadzieje i nasze szaleństwa. I robi się coraz zimniej, bo to już sierpień. I lato niebawem się skończy, i czas już iść spać. Pan Mareczek gasi papierosa o krawędź ławeczki i wraca do swojego pokoju. Rozbiera się po ciemku - bo pani Mareczkowa i mały-duży Mareczek śpią już i przez sen gwiżdżą, śpiewają, trelują - i stara się ułożyć jak najwygodniej na skrzypiącym łóżku. Przez półprzymknięte okno, między poruszanymi nocnym wiatrem firankami, świeci mu niemal prosto w twarz ten biały, wielki księżyc przecięty czarnym i wąskim obłokiem: świeci od Nowogródka, od Wilna i Grodna. Nie męcz mnie, księżycu. Dajże spokojnie usnąć panu Mareczkowi, który naturę ma nieco lunatyczną i łatwo pozwala ci się wodzić po manowcach niespokojnych i męczących snów. I biały księżyc przecięty obłokiem, jakby posłuszny temu wezwaniu, odchodzi powoli za szesnaście - ale może za osiemnaście - topoli, i dalej, ku szosie numer 11, ku Suwałkom, Szypliszkom i ruskiej granicy. I pan Mareczek zasypia spokojnie, a może usnąć spokojnie, ponieważ, jak sam uważa, ma czyste sumienie, no może nie całkiem jednak czyste,

ale niemal czyste, jako że nie pisze scenariuszy do reżimowych filmów, nie występuje w reżimowej telewizji i nie drukuje wierszy w reżimowych gazetach. Dobranoc, panie Mareczku. Pani Anielo, pani Olu, dobranoc paniom. I panu mówię dobranoc, panie Stefanie. Niech się panu przyśni najpiękniejszy dźwięk, jaki można wydobyć z wiolonczeli. I niech ten dźwięk kiedyś pan powtórzy przed zdumionymi słuchaczami w naszej Filharmonii. Dobranoc, mały-duży Mareczku. Niech ci się przyśni wolna Polska. I obyśmy jej obaj, ja i ty, dożyli. Dobranoc, wysokie sosny, księżniczki Jadźwingów. Dobranoc, mieczu pogrzebany na dnie jeziora. Dobranoc, zmarli, śpijcie spokojnie pod swoimi kurhanami. Dobranoc, szoso numer 11. Dobranoc, moja cudowna, moja tajemnicza Suwalszczyzno. I do pogwizdów, poświstów i trelów małego-dużego Mareczka i pani Mareczkowej dołącza się głęboki bas pana Mareczka. Dobranoc, Polsko. I bardzo cię prosimy, nie męcz nas tak strasznie.

Takie to były rozmowy, takie zabawy nasze latem roku 1983, kiedy to Polska - po rozwiązaniu "Solidarności" przez Jaruzelskiego - znowu dostała się pod panowanie komunistów. A na jak długo się dostała? Tego wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy.

+ + + + + + +

URSZULA KOZIOŁ

1

tej zimy śnieg był głęboki oddech płytki komunikacja niepewna zbyt wcześnie nadciągał pomruk godziny milicyjnej niczyjne telefony zmuszały do krążenia per pedes wśród zajęczych uszu sterczących ze ścian przyjaciół i ich klatek schodowych które stały się istotnie klatkami

2

czy mam to spalić wyrzucić czy powinnam to schować okrągłe oczy E. wskazywały kolekcję jasnych znaczków z minionej epoki - dziś od nich wiało horrorem stroniczki nabite maczkiem liter stroiły przerażające miny daj spokój mówiłam zostaw nie dajmy się na dobitkę zwariować.

3

wieści listy i wszelkie ludzkie związki urwały się lub ugrzęzły w zaspach widujemy się bodaj czasami przy stoisku sklepowym lub w bramie skoro bierze tęgi mróz warto puścić parę z ust na ulicę los nas puścił z torbami.

4

pisze mi Z. z Ł. na pieniężnym przekazie bo ten jeszcze dociera bez przeszkód i umknął spod zasięgu ołówka twój brat jest w internacie ślę ci 9 pudełek masz tam 13 sportów i caro 22 klubowych oraz 1 z zefirem.
o święta Petronelo no i sam popatrz Adamie co z tym mówieniem wprost wracają zastępcze języki pod niewprawną fabułę cyfr podkładam jak ongiś alfabet i wiem przynjmniej tyle że L. wylądował w Iławie.

5

nasz polski czarny humor staje się tak specyficzny tak różny od humoru pozostałych narodów że na dobrą sprawę trzeba by go pisać przez "ch" i "ó" z kreską kto nie wierzy niech się wsłucha w głos dziecka kiedy wraca ze szkoły i żeby rozbawić smutną mamę wykłada z teczki niczym kawa na ławę najnowszy dowcip polityczny przenicowany zazwyczaj z bardzo starych wzorów.

6

jak tylko nam przyznano w wigilię wychodne za miasto zjawił się Jurek z T. z karpiem pod pachą i kotletem schabowym biegaliśmy po domach dzieliliśmy się opłatkiem ziarnkiem kawy listkiem herbaty i bliskim słaliśmy owijane w bawełnę słowo.
tym razem nie brakło nikomu ni śniegu ni mrozu długo w oknach świeciliśmy oczami czarny i biały pospołu szykowaliśmy obrus. na stypę karnawałową a w ciemnościach klaksony ujadały wciąż ujadały.

7

Ja w mej chacie spać nie mogę
zbyt wiele tu czuwania nad moim snem nie mogę spać za wiele

miarowych kroków nocą pod oknami ozuwam z czuwającymi do białego dnia próżno sen także wyruszyć chce w czeluść na urywanym sygnale

Ja w mej chacie spać nie mogę

zanucić ci do snu?
za siedmioma spustami za siedmioma murami leży ten kraj leży ten kraj a w tym kraju murowana pogoda a w tym kraju murowana swoboda za siedmioma wieżami za kluczami za drzwiami tracę czas tracę czas tracę czas

8

Tak, Zosią byłam, dziewczyną z tej wioski. zostałam zawieszona w paru naraz planach myśl moja znów się ze słowem nie splata czego się dotknę to z rąk się wymiga i w inną stronę ode mnie odlata chociaż idę nie dochodzę ciągle mam przeszkody w drodze pókiż mam czoło o chmurki rozbijać... z porą roku się rozmijać na czym znów ten dzień mi schodzi że już nawet chwil nie czuję zawsze dotąd brakowało mi czasu a teraz gdy mam go aż tyle jeszcze bardziej mi go brakuje stój ty biała pusta kartko znów odfruwasz mi sprzed nosa próżno macham rękami przestępuję z nogi na nogę

Ani wzbić się pod niebiosa
Ani ziemi dotknąć nie mogę.

9

na sygnale wozy krążą do kolejki ludzie dążą dom się wali patrzą gapie każdy się za kieszeń łapie
święta Rąkąpąsato święta Rukumpunsato święta Rykumpynsato racz pofolgować.

10

dobranoc nogo bardzo dzielnie stałaś
dobranoc ręko co się dźwigałaś
dzień dobry głowo a więc wolisz znowu
z myślami bić się niźli nlec snowi
dobranoc słowo kto znów gwałt ci czynił
ucisz się łokciu to nie z twojej winy
nie tłucz się serce bo nogę obudzisz
która znów jutro steniem się utrudzi
dobranoc życie losie niewygrany
czasie nie w czasie wniwecz obracany
przyjdźcie anieli i z białej pościeli
sypnijcie śniegiem co mi aen wybieli.

11

ruszyła międzymiastowa rozmowa kontrolowana można mówić tylko trzy minuty mamo ojcze krzyczysz w przestrzeń tysiąckilometrową oni też nie potrafią nic wyrzec uwieszeni kurczowo twojego imienia i juz koniec widzenia koniec słyszenia dudnią słowa wypchnięte za druty pojmujesz ostro ich sens reszta jest milczeniem.

12

zamykut-otwirut pamiętasz dziecinne zabawy w niebiańskim zakolu Tanwi jak w zakreślonym kredą kole rysowanie palcem w powietrzu bram które nie istniały gry z przepuszczaniem przez most pierwszych siedmiu koni na tę drugą lepszą zapewne stronę podczas gdy po tej gorszej ósme pechowe konie

zawsze zostawały - -
nasze znaki magiczne i sekretne zaklęcia amulety z guzika i zajęcze lusterka - -
dziś M. od trzecich uszu odcina się ścianą muzyki
J. kiedy go odwiedzasz wyłącza z gniazdka telefon
Z. z tarczy aparatu podciąga zero do góry i przekręconą tak tarczę utwierdza zatkniętym ołówkiem -
i jak dzieci się puszą i drżą tym z przejęcia że tak chytrym sposobem ustrzegą się od nieszczęścia.

13

w ciasnej salce sądowej szeroki rozziew między językiem prawniczym a potoczną mową · między literą prawa a literą życia
wiem co mówię nie od dziś ucho mam wyczulone na słowo
szczeliną więc między artykulacjami niczym głębokim jarem wśród ścian niestycznych pospólnego urwiska ciurkają ustalone z nużącą pedanterią zwyczajne fakty, które w nagle odmienionej sytuacji nabierają tak zwanego posmaku w miarę jak ulatnia się z nich poryw przyglądasz się temu z bliska i widzisz jak twój aż dotąd uchowany złoty środek nagle zaczyna miewać lewoskrętne narowy
to był szok mówi chłopiec łamiącym się głosem niech spróbuje od sprintera zażądać kto by przed metą jak wryty w miejscu zamarł nawet supermaszyna gdy ją w biegu hamować potoczy się siłą bezwładu w stronę pierwej obraną.

14

w twoim pokoju mieszka sterta papieru nie wyrzucasz jej może się przydać w twoim pokoju mieszkają puste butelki
nie wyrzucasz ich mogą się przydać w twoim pokoju mieszkają garnki z nałapaną wodą - może tą nabieraną do ust - nie wylewasz jej może się przydać stąpasz po domu jak czapla podnosząc wysoko nogi nie dla rozrzutnej nogi są te skrzętne podłogi · sterta papieru się zachwiała nabrana woda się rozlała pękło puste szkło miarka się przebrała widać dno.

15

tosi - tosi łapki zawieź mnie do matki a gdzie twoja matka matka jest w Gołdapi zdrowo nam się dziecię chowaj
pojedziemy do Grodkowa do twojego tatki

16

trzynastego maja spiker TV oznajmia w wieczornym dzienniku że żyto jest już w fazie strzelania w źdźbło s pszczoły rozpoczęły intensywny oblot kwiatów wkrótce zapewnie napomknie coś o mundur/k/ach ziemniaków w każdym razie jak dotąd dopisał ład i nawet słońce się dzisiaj podporządkowało świat dał się wpuścić w Malwiny już woli sen naftowy prześnić w malwiniaku niż doglądać kapryśnej gruszki z naszej oklepanej wierzbiny
policz ziarenka maku rzuć je przez ramię ptakom może przynajmniej ból głowy tymczasem minie.

17

chciałabym się porozumieć ale jak ręce w próżni zwisają i słów brak nie mam ruchu nie masz ruchu znowu stanął dzień w bezruchu zaczarowany król przeklęta wieża pat - kto pójdzie górą kto pójdzie dołem kto spodem kto rękę poda a komu ręki nie podam nie masz ruchu nie mam ruchu znowu

stanął dzień w bezruchu pik-pik serduszko czyjeś znów za kwadraturę chocholego koła spada jak zbędny pionek.

18

tej wiosny nie chodzimy na spacer odwiedzamy w szpitalu
chorych na sytuację albo odprowadzamy na spoczynek rówieśników którzy już dłużej nie mogli wytrzymać -
czy ten świat wart by go brać nadto do serca dostajemy od nieznajomych paczki z Niemiec próżno moja pamięci robisz okrągłe oczy kwestia niemiecka w coraz to innej formie punktualnie wyskakuje u nas jak kukułka z zegara i rwie twej opowieści raz oswojony wątek inny dyktując jej koniec niż to zamierzał początek pik-pik koło historii z drwiącym piskiem na przestrzał serca zazwyczaj się toczy przeto wolniej
serduszko wolniej migać się staraj -
dostajemy więc paczki rozdajemy paczki rozpakowujemy je zapakowujemy je zrywamy nici wiążemy nici wywiązujemy się zobowiązujemy się zasupłujemy się w podawany z rąk do rąk węzeł który grubieje z miesiąca na miesiąc ów woli go rozplątać a tamten znów przeciąć trzeba by się porozumieć ale jak nie mam ruchu nie masz ruchu znowu stanie dzień w bezruchu
tracę czae traciaz czas tracę czas.

19

pan Piw.paf osobiście fatygował się z Warszawy
żeby zapytać co sądzę o tym całym stanie.
może to się nadaje na wiersz
może to się nadaje na pieśń
ale wiecie-rozumiecie panie
łaskawy
na życie to się nijak nie nadaje

Urszula Kozioł

pisane z miesiąca na miesiąc XII/81 - V/82

+ + + + + + +

OD REDAKCJI:

Poemat Urszuli Kozioł, zdjęty przez cenzurę w kilku pismach, krąży w odpisach maszynowych. Publikujemy go bez zgody i wiedzy autorki.

ABRAHAM M.ROSENTHAL

D R Z E W A
czyli
POWRÓT DO POLSKI

Od Redakcji:

A.M.Rosenthal był korespondentem "New York Times'a" w Polsce w latach 1958-1959. Wydalony stąd za swoje reportaże, otrzymał za nie Nagrodę Pulitzera. Obecnie jest redaktorem naczelnym "New York Times'a". Reportaż, który drukujemy w tłumaczeniu, ukazał się w niedzielnym dodatku "New York Magazine" z dnia 7 sierpnia 1983. Tłumaczenie to zamieszczamy bez zgody Autora, za co przepraszamy.

Gdy powróciłem do Polski, ujrzałem drzewa okryte liśćmi. Przyglądałem się im ze zdumieniem i nie mogłem się z nimi pogodzić. Bo kiedy pracowałem w Warszawie, nigdy nie widziałem drzew.

Tu nie było wcale drzew, kiedy byłem korespondentem w Polsce; tak mi się zdawało w tych pierwszych chwilach, gdy znalazłem się znów w Warszawie i jechałem na pogrzeb zamordowanego chłopca.

W ciągu następnych dni, gdy Polacy pytali mnie co zmieniło się w mieście w ciągu ćwierćwiecza i co zobaczyłem powróciwszy tu po raz pierwszy, odpowiadałem: - Drzewa; tyle jest drzew w Warszawie. Niektórzy uśmiechali się na to i mówili, że tak, od tamtych czasów posadzono wiele drzew, no i to dobrze na taki upał. Pewna pani odpowiedziała prawie z gniewem, że w Warszawie zawsze były drzewa, i co ja sobie myślę, że Warszawa nie miała drzew? Zupełnie, jakbym znieważył cały naród polski.

Dopiero później zrozumiałem dlaczego mnie te drzewa tak zaskoczyły. Moja Warszawa, w 14 lat po wojnie była szara i posępna, i jeszcze naga wśród ruin. Lecąc znów do Warszawy, myślałem, że wracam nie do miasta, lecz do smutku.

A tu naraz widok drzew w wiosennym listowiu zdumiał mnie swym nieoczekiwanym, niepamiętanym wdziękiem. I w tych pierwszych chwilach myślałem sobie: może jest lepiej, albo może nareszcie zmierza ku lepszemu, kto wie, może cuda się dzieją. Śmiałem się potem z siebie, że ledwom się znalazł z powrotem w Warszawie, już myślę jak Polak: wierzę w cuda.

Teraz Powązki, cmentarz. Przyjechałem tu wprost z lotniska, bo chowano Grzegorza Przemyka. Był to najnowszy polski męczennik. Hotel może poczekać. Dobra historia, obskoczę ją, powęszę, strzelę kawałek do gazety, pstryknę może jakieś zdjęcia.

Potem, w ciągu następnej godziny, coś się stało, coś we mnie weszło. Zna-

lazłem się poza sobą i poza moimi myślątkami o powrocie i poza moimi zapiskami o pierwszych wrażeniach, i nagle przestałem się przyglądać Polsce, lecz byłem w Polsce, i Polska była we mnie; nagle ujrzałem i poczułem coś, czego nie widziałem, ani nie odczułem w Polsce nigdy przedtem, ani też nie spodziewałem się zobaczyć i odczuć.

Bardziej niż kiedykolwiek w ciągu półtora roku, kiedy byłem korespondentem w Polsce, bardziej niż kiedykolwiek od owego czasu, poczułem, jakbym był cząstką Polski, i że kamyk w moim sercu stopniał, lub zaczął się topić. To właśnie poczułem na Powązkach.

Ten chłopiec, dziewiętnastoletni Grzegorz, został parę dni przedtem pobity przez policję na śmierć, po prostu pobity na śmierć.

Wyszedł z domu z kolegami, świętować odbytą rundę egzaminu po szkole średniej, jak to jest w polskim zwyczaju; czekała ich potem następna egzaminacyjna runda. Zabawiał się na Starym Mieście, to klejnot Warszawy, pierwsza rzecz, jaką Polacy odbudowali po wojnie. Odbudowano kamień po kamieniu, po fanatycznym zniszczeniu przez hitlerowców, odtworzone jako dowód wierności Polaków dla ich historii. To tutaj, na Stare Miasto, młodzi Polacy przychodzą spacerować, flirtować, popijać, a czasami - gdy mają dosyć - protestować.

Grzegorz został złapany i odstawiony na posterunek i bity - czy dlatego, że policjanci byli akurat szczególnie źli na kipiącą młodzież, czy też wiedzieli, że był synem kobiety czynnej w "Solidarności", czy z obu przyczyn. Był bity, bity, potem wzięty na pogotowie, gdzie zmarł.

"Solidarność" została zakazana. Gorący zapał sierpniowych dni został ugaszony prawem stanu wojennego. Policja była wszędzie. Wszyscy byli zmęczeni. Walka toczyła się teraz o codzienne utrzymanie. Ważyscy czekali na Papieża. Opuszczono głowy.

Ale tego właśnie było za duzo, i nagle Grzegorz Przemyk został męczennikiem polskim, i w historii Polski jego imię będzie zapisane czerwienią.

W dzień pogrzebu młodzież Warszawy stawiła się w tysiącach. Szli, wyprzedzając trumnę z kościoła na cmentarz parę mil. Ich twarze były posępne i przeszli te dwie mile w całkowitym, lodowatym milczeniu /.../

Każdy krok każdego dziecka, każdy kwiat, każdy znak "V" był aktem zniewagi dla rządu. Tak samo były nimi czyściutkie koszule i spodnie chłopców, świeżo wyprasowane sukienki dziewcząt, miarowy krok, powaga. Kontrolowali się wzajemnie, idący na czele upominali uprzejmie widzów, aby rozsunęli się na boki i przepuścili orszak. Policja trzymała się przezornie z dala.

Młodzi zanieśli Grzegorza Przemyka do grobu, tysiące ich były na cmentarzu. Wielu było z dala od grobu, ale uczestniczyli w nabożeństwie tak, jakby trumnę mieli przed oczyma. Stali wsłuchani w głośniki i śpiewali pieśni polskiego Kościoła.

Pieśń, która kończy się słowami "Ojczyznę, wolność pobłogosław, Panie", zmienili na wyzywające "Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie".

Podnieśli dłonie w znaku "V", potem je opuścili, a po chwili podnieśli je znowu i śpiewali polski hymn narodowy, ten prawdziwy polski hymn, który nie mówi o polskich zwycięstwach, lecz o wrogiej okupacji, i jest wołaniem o wyzwolicieli.

Śpiewając, wspominali generała, który bił się niegdyś za Polskę, ale żyje w sercach Polaków. Wywoływali śpiewem jego imię, jakby jeszcze żył i niósł na swym mieczu ich nadzieje z Włoch do Polski: "Marsz, marsz, Dąbrowski!"

Oczywiście, stojąc w tłumie na cmentarzu, czułem żal. Ale zrozumiałem także, i byłem zaniepokojony, gdym sobie z tego zdał sprawę, że jest we mnie jakaś rezerwa, uczucie odosobnienia, które mnie oddalało od żałobnego zgroma-

dzenia. Szybko zrozumiałem o co chodzi, bo znałem już to oddalenie z czasów, kiedy mieszkałem w Polsce.

Z moich reporterskich czasów w Polsce czułem, że niezależnie od tego jak dalece zrozumiałem Polaków, i jak bardzo im życzyłem poprawy, zawsze będzie dystans między mną a nimi. W moich reporterskich czasach znałem powód i znałem go także teraz, na cmentarzu.

Kiedy byłem reporterem, odczuwałem sympatię dla kraju i jego ludu. Współczułem polskiej historii i cierpieniom Polaków. Miałem dla nich wiele politycznej serdeczności z powodu ich antykomunizmu, który podzielałem. Miałem ciepłe uczucia dla polskiego rządu za jego stanowczość w opieraniu się Niemcom, którzy chcieliby powrócić na swe terytoria oddane Polakom, /.../ po II wojnie światowej.

Miałem nawet ciepłe uczucia dla tych polskich komunistów, którzy robili co mogli, aby resztki polskiej suwerenności uchronić przed całkowitym wchłonięciem przez Związek Radziecki.

Ale nie byłem romantykiem w kwestii polskiej. W sercu moim tkwił kamyk, który nie pozwalał mi na sentymentalizm, i z niego zrodziło się we mnie uczucie obcości w stosunku do udręczonego narodu, uczucie, którego zawsze chciałem się pozbyć.

Tym kamykiem była świadomość, że historia Polski jest zatruta antysemityzmem. Nie mogłem o tym nigdy zapomnieć, choć bezpośrednio tego nie odczuwałem /.../

Stojąc teraz i słuchając pieśni, zastanawiałem się czy Polacy wylegliby tak licznie, gdyby zamęczony chłopiec był Żydem, i zastanawiałem się czy byłaby taka publiczna żałoba, i czy demonstrowano by ją tak kiedykolwiek i gdziekolwiek w Polsce na cześć ofiar żydowskiej "Holocaust", których wiele zginęło w straszliwy sposób właśnie w Polsce. Zawstydziły mnie trochę te myśli w takim momencie.

Potem pomyślałem, że nie, te myśli nie były pozbawione sensu, ani wspomnienia nie były bez wartości; bez sensu i wartości było to uczucie odosobnienia.

Na cmentarzu byli młodzi ludzie, wielu z nich było młodszych od moich synów. Cóż oni mieli z tym wspólnego? A dorośli, którzy mogli być ich rodzicami, którzy mogli być moimi braćmi i siostrami, cóż ja wiedziałem o ich uczuciach i myślach?

Nic, oczywiście. Więc skąd to oddalenie?

Zrozumiałem wtedy, że choć nie mogę zapomnieć o Żydach, którzy tak strasznie cierpieli, nie przyniosę im chwały, gdy odwrócę się od żałoby po zamordowanym chłopcu, czy odczuć żałobnego tłumu, który mnie otacza. I nagle wszyscy młodzi stłoczeni wokoło grobu stali się moimi dziećmi; chciałem zbliżyć się do nich, aby ich ucałować. Rozgrzeszyłem ich z historii i tak oszczędziłem sobie ciężkiego błędu, jaki popełniłbym przypisując grzech bezgrzesznym. Poduałem się.

W kilka dni później siedziałem w wielkim gabinecie człowieka, którego znałem w moich reporterskich czasach w Polsce. Mieczysław Rakowski. Teraz był bardzo wysoko w rządzie .. Wicepremier. Będąc czymś w rodzaju intelektualisty i uważany za "liberała" w terminologii komunistycznej, był teraz szczególnie znienawidzony przez intelektualistów, bardziej nawet niż większość tych, co swe losy złączyli z wojskowym reżimem.

Opowiedziałem mu o pogrzebie; przyznał smętnie, że zamordowanie Grzegorza Przemyka było dla rządu katastrofą. Powiedziałem: - Te dzieci, tam... Oni was nienawidzą. Zdaje się, żeście ściągnęli na siebie nienawiść całej młodzieży Warszawy. Jak możecie rządzić? Czego się spodziewacie? Jak zdołacie ich kie-

dykolwiek odzyskać?

Rakowski się nie rozgniewał. Ma zbyt wiele władzy i zbyt uporządkowane myśli, aby je trwonić w gniewie. Ani też nie zaprzecza oczywistości. To prawda, powiedział, ale niektórzy z młodych to zrozumieją i może wrócą.

+ + +

Dopiero na lotnisku w Zurychu o dwie godziny lotu od Warszawy zacząłem zastanawiać się, dlaczego w ogóle powracam do Polski.

Inne kraje, w których pracowałem jako reporter, stały się częścią mojego życia. Wracałem do nich raz za razem. Wracałem do Indii, wracałem do Japonii, wracałem do innych krajów azjatyckich, i to z przyjemnością. Ale Polskę, jak mi się zdawało, zostawiłem za sobą tego dnia, kiedy po wyrzuceniu mnie przekroczyłem granicę.

To z pewnością nie był strach, który mnie trzymał z dala od Polski. Wiedziałem, że niektórzy Polacy chcieliby, abym wrócił, i że rząd traktowałby mnie uprzejmie. Nigdy nie poprosiłem o wizę.

Nie był to też gniew, niesmak polityczny, czy gwałtowna zmiana uczuć. Przed moim pobytem w Warszawie i potem spotykałem rządy dziwaczniejsze i nawet bardziej brutalne od rządu polskiego, i ludzi żyjących w ucisku, wobec którego życie w Polsce mogłoby się wydać miłe.

Trzymałem się z dala, bo wtedy gdy opuszczałem Polskę miałem na resztę życia dość szarzyzny, tępoty, lenistwa, ociężałości mowy i myślenia, napuszenia, które się uważa za elokwencję, tłustych banałów uważanych za dowcip, totalnego braku podniety umysłowej, który jest istotą komunistycznego społeczeństwa i które komunizm narzuca tym, którymi rządzi. Miałem dość, najadłem się tego w bród.

Gdy w końcu, po 24 latach poprosiłem o wizę, przyszła bardzo prędko. Powiedziałem sobie w Nowym Jorku, że wracam po prostu, żeby się wyrwać z biura, coś napisać, albo zebrać notatki do książki, czy odświeżyć myśl.

Na lotnisku w Zurichu wiedziałem, że wszystko to nonsens.

Mogłem się znaleźć na lotnisku w jakimkolwiek wolnym kraju, ale to był Zurich. Wszystko tu było dostępne i swobodne - kiełbaski i piwo przy kontuarze, sklepy pełne czekolady, wina i wódek, lady zawalone perfumami, złotymi zegarkami i pięknymi strojami. Wszystko dostępne, wszystko swobodnie wystawione na sprzedaż, na to, by to kupić, lub zignorować wedle chęci.

W kiosku z gazetami i książkami wystawiono dzienniki we wszystkich językach, i klasycy, i bzdury, i opinie, i fakty, obojętnie. Czytaj co chcesz, czytaj cokolwiek!

I przede wszystkim dotykalność fizycznej wolności. Elektroniczne rozkłady lotów i głośniki proponowały wolność do wyboru. Chcesz lecieć do Paryża, czy do Tripolisu, albo może do Londynu? Do Chicago czy do Madrytu? Do Neapolu?

Leć. Bitte, leć gdzie chcesz, dokądkolwiek chcesz.

Pomyślałem: ach, szwajcarska pani, która ogłaszasz kierunki lotów, czy wiesz, że o dwie godziny lotu stąd są ludzie, którzy płakaliby, słuchając ciebie, a gdy oznajmiasz Warszawę, pojawią się ludzie, którzy pójdą zająć miejsca w tym samolocie świadomi, że może nigdy więcej nie zobaczą tego lotniska i nie usłyszą więcej twego głosu wyśpiewującego przypadkowe kierunki wolności?

A kto ty jesteś, piękna Włoszko, śpiesząca dokądś ze ślicznymi dziećmi, kto ty jesteś, żeś taka szczęśliwa? A ty, panie mówiący po niemiecku, kim jesteś: Szwajcarem, Niemcem, Austriakiem - co za różnica! - który w kiosku z gazetami korzystasz z przypadkowej wolności?Dlaczego ty, piękna Włoszko i ty, po niemiecku mówiący panie, a nie Polacy z sąsiedniego domu?

A ty,dziennikarzu amerykański, który możesz jechać gdzie ci się podoba i pisać jak ci się podoba, który nigdy nie zaznałeś biedy, ani prawdziwego strachu przed policją, kim jesteś i dlaczego jesteś tu, wolny, podczas gdy inni, tacy sami jak ty, są tam, związani i zakneblowani?

Zrozumiałem więc, że wracam do Polski, aby odwiedzić ludzi takich jak ja, nie gorszych, nie lepszych, ale których nieszczęścia zostały mi oszczędzone nie dla mej zasługi, lecz z błogosławionego przypadku, jakim było miejsce urodzenia.

Wracałem po prostu dlatego, że zbyt długo nie zapłaciłem tej najmniejszej ceny wolności, jaką jest iść i dać świadectwo.

Nigdy nie widziałem Polski w spazmach wolności. W 1958, kiedy przybyłem, "wiosna październikowa", krótki a głośny wybuch wolności, od dawna był na śmierć zduszony przez swego pierwszego bohatera - Władysława Gomułkę. I zostałem wyrzucony przed spazmami lat sześćdziesiątych.

Zostałem wyrzucony na osobisty rozkaz Gomułki za coś, co polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych było łaskawe nazwać "zbyt dogłębnym wnikaniem w wewnętrzną sytuację Polski". W terminologii polskich komunistów był to wyrok skazujący, w terminologii zachodniej tytuł do chwały. Nie byłem pewien czy zasłużyłem na ten honor, ale przyjąłem go skromnością na jaką pozwolił mi mój charakter.

Zdecydowałem się wróoić do Warszawy i opuścić ją tuż przed wizytą Papieża. Zawsze sądziłem, że najlepiej dowiedzieć się czegoś o kraju wtedy, gdy nie dzieje się nic, co zaciemnia rzeczywistość codziennej egzystencji i polityki - gdy nie ma wyborów, katastrofy żywiołowej, święta narodowego, ani przypływu radości, jaki z pewnością spowoduje wizyta Papieża. Po prostu Polska.

Moje doświadczenie Polski, które tworzyło się na podłożu głębokiej niechęci do despotyzmu i totalitaryzmu, pouczyło mnie o dwóch rzeczach. Po pierwsze, że Polacy nienawidzą swego rządu tak, jak mało który lud na świecie. A po drugie, że nie mają w gruncie rzeczy żadnej nadziei zrzucenia go, czy zmiany.

Nauczyłem się tego, co wszyscy Polacy wiedzą, lecz od czasu do czasu wydają się zapominać, że jednym z najistotniejszych składników polskiej rzeczywistości jest Armia Czerwona.

Rosjanie mogą pozwolić polskim komunistom odkręcić kurek i pozwolić, aby kapnęło parę kropel wolności. Ale gdy pojawi się jakikolwiek sygnał realnego niebezpieczeństwa, Rosjanie nakazą zakręcenie kurka na powrót, posługując się narzuconą z Moskwy dyscypliną partyjną, która obowiązuje polskich przywódców, połączoną z groźbą ekonomicznego zaduszenia.

Gdyby groźba i presja zawiodły, jest zawsze Armia Czerwona; parę dywizji stale w kraju na mocy Paktu Warszawskiego, reszta wszechobecna na granicach.

Wtedy gdy stąd wyjeżdżałem, wydawało mi się to oczywistością tak dotykalną i niezmienną, jak Bałtyk na północy a góry na południu Polski.

Ani wtedy, gdy byłem w Polsce, ani gdy ją opuściłem, nie wierzyłem, aby Związek Radziecki zgodził się kiedykolwiek na wolną Polskę.

Po prostu wydawało mi się nieprawdopodobne, aby Związek Radziecki zgodził się udzielić Polsce choć tyle swobody co innym "ujarzmionym narodom" - a to z powodu niebezpieczeństwa wolności tuż u granic Związku Radzieckiego. To niemożliwe, jeżeli Związek Radziecki ma istnieć. Ludzie na Kremlu nigdy nie przejawiali najmniejszych skłonności do samobójstwa.

I dlatego, w dniach sierpnia 1980, gdy zrodziła się w Stoczni Gdańskiej "Solidarność", i rozwinęła się w ruch narodowy obejmujący nie tylko robotni-

ków, którzy ją wyłonili, lecz intelektualistów, rolników, studentów - wszystkich Polaków, którzy tęsknili do wolności - czytałem o tym w "New York Times'ie" ze zdumieniem.

Byłem zdumiony nie nową eksplozją tęsknoty do wolności, lecz tym, że Polacy i ich sympatycy za granicą uwierzyli, iż w jakiś sposób ta nowa polska rewolucja przyniesie sukces, podczas gdy wszystkie inne w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych upadły; uwierzyli, iż Rosjanie rzeczywiście zgodzą się na tak antysowieckie pomysły jak wolne związki zawodowe i wolność wypowiedzi.

Potem, gdy cele "Solidarności" rosły - pragnienie wolności rośnie nieuchronnie wraz z wolnością - i gdy przyszły żądania od społeczeństwa, aby mogło mieć wpływ na rządy, aby wybory były wolne, aby Komunistyczna Partia podzieliła władzę z innymi elementami społeczeństwa i aby sama partia poddana została reorganizacji, wtedy nie miałem już po prostu żadnych wątpliwości, że koniec buntu jest bliski.

Byłem tak zdumiony, jak zdumieni musieli być sami Rosjanie, dowiedziawszy się, że Polacy rzeczywiście wierzą iż Moskwa pozwoli na powstanie takiego niebezpieczeństwa dla własnego systemu. Nietrudno było zrozumieć, że ludzie rządzący Rosją pojmą, iż jeśli Polacy mogliby być wolni, czemuż nie mogliby być wolni Rosjanie?

Koniec rzeczywiście przyszedł i Rosjanie wymietli cały ten nonsens wolności socjalistycznej, nakazując wewnętrzny zamach wojskowy. Po cóż wystawiać na ryzyko rosyjskie życie, używając Armii Czerwonej; ten młot tam zawsze będzie. Sądziłem więc, że to nie mogło stać się inaczej.

W rok później zdecydowałem się pojechać do Polski z powodów, które stały się dla mnie jasne dopiero na lotnisku w Zurychu.

Gdy byłem zagranicznym reporterem, zwykłem zaraz po przybyciu do nowego miasta i rzuceniu gdzieś moich bagaży, wałęsać się pieszo po mieście, tak sobie chodzić, tu i tam wsadzić nos, chłonąć rzeczywistość i przeżyć radość jej odkrywania /.../

Czy Polakom żyje się na co dzień lepiej w roku 1983, niż się żyło w 1959? I jak Polacy mogli kiedykolwiek pomyśleć, że zmienią swe życie społeczne wbrew Rosjanom? Czy zdało im się, że - jak mówią moi polscy przyjaciele - żyją na księżycu?

Ale szukając odpowiedzi na te parę pytań, dowiedziałem się jeszcze czegoś, co powinienem był może zrozumieć wcześniej.

Nie, życie Polaków się nie poprawiło. Jeżeli się zmieniło, to na gorsze. Czułem się jak uderzony, gdy to odkryłem, i czuję uderzenie gdy to piszę.

Poprzednio wyjeżdżałem w momencie, gdy Polacy wiedli posępną, męczącą egzystencję pełną braków i wyrzeczeń, gdy życie polegało na wystawaniu w kolejkach, żeby kupić, to czy owo; w końcu okazywało się, że tego czy owego nie ma. Wszystko było obrzydliwe, w najgorszym gatunku, wszędzie był tłok i było nieprzyjemnie, i musiałeś się pchać, robić łokciami, aby się utrzymać, twarze były ściągnięte, trzeba było mieć dwie prace, łapówkarstwo, oszustwo i omijanie prawa były uważane za konieczność, bo jak inaczej mógłbyś żyć, gdy życie było codzienną obelgą. Tłoczno, grząsko, paskudnie, bez przyjemności, wśród mnóstwa braków życie było zniewagą.

Wszyscy wiedzieliśmy, i cudzoziemcy i Polacy w Warszawie, że tym co utrzymywało Polskę w zacofaniu, podczas gdy inne kraje szły naprzód, był ten system - system, który wymiótł z kraju zdolności twórcze i inicjatywę, i sprawił, że krętactwo i oszustwo przestały być kwestią moralności, lecz stały się warunkami przetrwania.

Ale składałem to - nie bez uzasadnienia, jak sądzę - na karb II wojny

światowej. To prawda, że inne kraje też ucierpiały na skutek niemieckich zniszczeń i poszły naprzód. Ale kto widział straszliwe, planowe zniszczenie przez hitlerowców Warszawy i innych miast, kto widział hitlerowskie potworności wciąż dostrzegalne w gruzach dookoła, nie mógł zżymać się na Polskę za powolny postęp. Ja z pewnością nie mogłem.

A Polacy cierpieli nie tylko na skutek nikczemności Niemców, lecz także wyssania ich przez Sowietów - zaborów wschodnich prowincji, któremu towarzyszył rabunek polskich maszyn i surowców z obszaru całego kraju.

Polsce trzeba trochę więcej czasu, mówiliśmy sobie, trochę więcej czasu.

Teraz jest już po czasie. Czas doprowadził nie do polepszenia, ale do pogorszenia.

Czas pogłębił nienawiść do komunistycznego rządu, dopuścił do upadku kilku pyszałkowatych reżimów, do zmarnowania miliardów dolarów pożyczonych przez zachodnie banki i do bankructwa Polski, do którego te banki boją się przyznać.

System - nie naród, który jest zupełnie czym innym - system zawiódł, całkowicie, zawiódł sromotniej, niż gdziekolwiek we wschodniej Europie.

Żyje podpierany przez zachodnie banki ze strachu. Żyje podpierany przez trwałą świadomość narodu polskiego - przez Kościół i ludność, i ich współdziałanie - że nacisk całą mocą wywierany na rząd może nie tylko doprowadzić polskich komunistów do upadku, lecz także sprowadzić rosyjskie wojska do kraju.

Banki mogą coś pokręcić z odsetkami i odroczyć ich płatności - główną sumę uznano za wyrzuconą przez okno - aby uniknąć oficjalnego polskiego bankructwa, które mogło by zagrozić rozklekotanej strukturze międzynarodowych kredytów dla zachodnich krajów.

Ale nic nie może ukryć rzeczywistego bankructwa, rzeczywistego upadku polskiego komunizmu - niezdolności systemu do zapewnienia ludziom godnego życia bodaj w przybliżeniu.

Wyżywienie wystarczające, aby przeżyć, trochę ubrania i zatłoczone, klaustrofobiczne schrony - to system umiał zapewnić. Ale na każdym kroku, w każdym polskim mieście czy miasteczku, co dzień potwierdza się niezdolność systemu do udzielenia czegoś więcej, do podniesienia się choćby do poziomu, który zadowoliłby najbiedniejszego z zachodnich Europejczyków czy najbiedniejszego z Amerykanów /.../

Nikt nie jest nagi, nikt z głodu nie umiera, nikt nie śpi na ulicy. Ale twarze są szare i zmęczone. Pracujesz aby żyć i żyjesz aby pracować. Stań w kolejce, czekaj, stań, czekaj, szukaj, patrz, wymień, kombinuj, przekup, stań w kolejce. Widzisz kolejkę to stań, potem się dowiesz co sprzedają - jakieś łachy, transport drewnianych krzeseł, trochę ryb, książki. Wkręć się do kolejki, nigdy nie wiadomo kiedy będzie następna okazja. Jeżeli spóźnisz się do pracy, któż się nie spóźnia? /.../

W sobotę rano pojechałem z Johnem Kifnerem korespondentem "Times'a" na przedmieście Warszawy. Co tydzień na dużej łące odbywa się tu giełda, która ściąga tysiące Polsków w każdą sobotę między godziną 9 a 12. W pierwszej chwili poczułem się podniecony widokiem tłumu, krzątaniny, i ludzi handlujących między sobą. Powiedziałem Kifnerowi, że nie ma to jak mały, prywatny handel na ożywienie gospodarki. Nic nie powiedział, tylko oprowadził mnie wkoło.

Ten widok doprowadził mnie prawie do łez. Były to rozciągnięte na przestrzeni wielu akrów, ułożone w stosy na ziemi, lub na małych stojakach, rupiecie, po prostu rupiecie, wiele akrów żałosnego, zużytego rupiecia.

Polacy przechodzili, przyklękali, aby obejrzeć zardzewiałe śrubokręty, używane gwoździe albo zdarte buty, czy stare książki troskliwie opakowane w plastik, jakiś parasol, nadpsute zabawki. Przychodzili popatrzeć na cokolwiek,

na wszystko, wygłodzeni wszystkiego, co mogło by ich życie uczynić choć odrobinę przyjemniejszym.

Przez całe pole wiją się długie szeregi ludzi stojących obok siebie i trzymających w rękach bodaj jedną rzecz do sprzedania. Jakaś dziewczyna godzinami wyciąga przed siebie cieniutki, wyświechtany szalik; mężczyzna pokazuje koszulę; z tuzin kobiet stoi, każda ze starym płaszczem w rękach. Jeden człowiek trzyma parę butów, inny tubkę pasty do zębów.

Było tam trochę młodych, wędrownych handlarzy płyt jazzowych. Ale naprawdę tym, co przyciąga tysiące Polaków na tę łąkę w każdy sobotni ranek i co ich skłania do wielogodzinnego grzebania i szperania, to jest zbiorowisko rupieci, które w Ameryce znalazłoby się w kuble na śmieci.

To było jawne, naoczne świadectwo niezdolności rządu polskiego do produkcji wystarczającej liczby butów, spodni, książek, śrubokrętów, części radiowych, koszul i zaoszczędzeniu ludziom kilometrowych podróży i spędzania całego ranka na grzebaniu w stosach używanego rupiecia.

W cztery dekady po wojnie, po czterdziestu latach ciężkiej pracy i wyrzeczeń leżała tu na łące rozciągnięta zniewaga.

Nikt z głodu nie umiera. W pewnym mieście widziałem wystawiony na sprzedaż, ot tak, koszyk małych brzoskwiń.

* * *

Wszystko to było przykre, ale dopiero w Krakowie zacząłem gotować się ze złości. Tym razem to nie był "brak", ani puste półki, ale widok czegoś całkiem dobrego na wystawie w pobliżu Rynku Głównego, mianowicie widok porządnych, mocnych, amerykańskich dżinsów.

- Nieźle - powiedziałem do Kifnera. - Dostali widocznie transport dżinsów. Dziwne, że ich jeszcze nie rozerapano.

Kifner pokazał mi szyld nad drzwiami sklepu: Pewex. Był to sklep dolarowy. Możesz kupić, jeżeli masz dolary.

Za moich czasów były też sklepy dolarowe, ale mało i ukryte dyskretnie; rząd był na tyle delikatny.

Teraz rząd polski zgłodniały dolarów zakłada je wszędzie - sprzedaje kosmetyki, lekarstwa, ubrania, artykuły powszechnego spożycia. Tylko za dolary. Nie ma wielkiego wyboru w tych dolarowych sklepach i nic takiego, czym zainteresowałby się człowiek z zachodu, ale w Polsce są te rzeczy nie do zaobycia gdzie indziej.

Widok tych dżinsów na sprzedaż tylko za dolary doprowadził mnie do wściekłości. To znaczy, że rząd polski mówi otwarcie Polakom, że złoty, pieniądz, dla którego pracują, nie ma wartości. Jeżeli chcesz coś porządnego, zakręć się i poszukaj dolarów, od krewnych z zagranicy, z jakichś ciemnych interesów, co to kogo obchodzi skąd. Kurs na czarnym rynku jest dziesięciokrotnie wyższy od "legalnego", którym oszukuje się turystów. Tak więc Polacy po prostu łapią dolary, i do diabła z pieniędzmi, dla których napociłeś się w kopalni i fabryce; szukaj dolarów.

Za moich reporterskich czasów w Polsce często próbowałem wyobrazić sobie jak by wyglądało polskie życie w Nowym Jorku, i jak byśmy się z tym czuli.

Usiadłem więc sobie na rynku w Krakowie wyobrażając sobie jak to po pracy wracam, w przepoconym, wytartym ubraniu, ulicą West Side do mojego dwupokojowego mieszkania, które zajmuję wraz z moją rodziną.

Postałem w kolejce po chleb, potem po rybę i zdecydowałem się postać po kiełbasę na Columbus Avenue. Postałem godzinę, ale skończyło się na "nie ma".

Potem na Brodway'u w jednym sklepie były dżinsy. Pośpieszyłem tam, żeby zdobyć przynajmniej jedną parę na trzech chłopców, ale zobaczyłem szyld ogłaszający, że moje dolary są na nic, przyjmują tylko obcą walutę.

Czy miałbym ochotę rzucić kamieniem w szybę, czy tylko wrócić do domu, położyć się i płakać? Jedno i drugie.

Tego dnia w Krakowie nie sprawiło mi ulgi przypomnienie niektórych amerykanskich korespondentów, którzy mówią, że życie w Rosji jest jeszcze gorsze. Polacy nie najechali na Rosję, ani jej nie narzucili swojego systemu - powiedziałem do siebie.

Pewna pisarka w Warszawie powiedziała mi drugiego dnia po moim powrocie, że życie w polskim komunizmie przyczynia się do długowieczności; spytałem dlaczego.

- Kiedy pan dorośnie - powiedziała - musi pan czekać 15 lat na mieszkanie, osiem lat na samochód, siedem lat na telefon, 14 na lodówkę a 20 na paszport. I tak dalej. Tak więc, aby przeżyć pełne polskie życie, musi pan mieć przynajmniej 110 lat.

+ + +

Polska osobistość rzuca głową przez prawe ramię, wykonuje lekki, wprawny ruch ramion i podnosi brwi. Nie potrzebuje nic mówić. To znaczy: "Rosjanie".

Nie zmienili się zupełnie od moich czasów. Kiedy polski urzędnik, przywódca partii, albo dyplomata chce wyrazić bezradność, wykonuje gest. Może to oznaczać po prostu: "Rosjanie", albo: "Nie chcieliśmy tego robić, ale Rosjanie nam kazali", albo: "Chcieliśmy to zrobić, ale Rosjanie nie pozwoliliby nam", albo "Raison d'etat", co jest ze strony polskich biurokratów ostrzeżeniem: "jeżeli będziecie za mocno na nas naciskać, będziecie ich tu mieli zamiast nas, a co wolicie?"

Przeważnie jest to nonsens. Rząd polski potrafi być nieprzyjemny sam przez się, bez nacisków, czy wskazówek Kremla. A czasami te potrząsania, wzruszania ramion i ruszanie brwiami jest po prostu wykrętem od odpowiedzialności za własną nikczemność popełnioną, lub planowaną, albo usprawiedliwieniem swej całkowicie oryginalnej bezczynności czy nieudolności. Jest to również sposób, w jaki polscy komuniści zaznaczają swe wysoce intelektualne koleżeństwo z ludźmi Zachodu.

Ale chociaż ta gestykulacja jest osłoną i wybiegiem, mówi coś, co jest w istocie prawdą: na los Polaków rzuca cień, kształtuje go i dominuje nad nim radziecka siła wojskowa, a od tej prawdy jeszcze ważniejsza jest inna, również znana każdemu Polakowi, że Związek Radziecki jest całkowicie zdecydowany użyć tej siły, aby zmieść z powierzchni ziemi wszelki bunt lub ruch niebezpieczny dla radzieckich interesów, zgodnie z tym, co ZSRR uważa za swe interesy.

A to znaczy wszelki bunt, czy nieprawomyślny ruch, który ukazałby innym ujarzmionym narodom oraz narodowi rosyjskiemu, że jądro radzieckiego systemu władzy - samo-odnawiające się kierownictwo partii kontrolujące wszystkie aspekty życia - mogło być skutecznie zagrożone.

Dość wcześnie, za mojego pierwszego pobytu w Polsce, dowiedziałem się ważnej rzeczy: że Rosjanie nie dlatego tłumią polskie bunty przez organizowanie wojskowych puczów, czy przez nacisk gospodarczy, czy groźbą inwazji, że lubią siać grozę dookoła. Robią to dlatego, że się naprawdę boją, nie Polski, lecz zwycięskiego buntu Polaków, który mógłby naprawdę zagrozić systemowi sprawowania władzy.

Zrozumiałem, że skoro przyjdzie dzień, gdy radzieccy przywódcy dojrzeją do zmian w radzieckim społeczeństwie, Polacy może otrzymają wolność jako naród, ale nie wcześniej.

Gdy więc spotykałem ludzi "Solidarności", lub ich sympatyków, to znaczy prawie wszędzie, stawiałem to samo pytanie: czy rzeczywiście spodziewaliście się, że Rosjanie zezwolą Polakom tworzyć życie społeczne w wolności? Nie wiedzieliście, że nigdy nie pozwolili na to i nigdy nie pozwolą? A jak wyobrażaliście sobie wasz sukces bez rosyjskiego zezwolenia? Czy rzeczywiście uwierzyliście, że życie na księżycu?

Pytałem tak delikatnie jak tylko mogłem, i z pewnym zakłopotaniem, ponieważ to był ich kraj, i to było ich życie wystawione na ryzyko w nadziei, którą uważałem za próżną; to nie był mój kraj, i nie moje życie.

Pytałem kilku dziennikarzy, jednego nawet wybitnego, który ma zakaz publikowania, ale wciąż broni nie składa i działa na rzecz powrotu "Solidarności".

Najpierw jeden z nich powiedział mi, że to wcale nie Rosjanie zrobili, i w ogóle, gdzie są ci Rosjanie. Był pełen pogardy i nienawiści dla Polaków tworzących rząd, nie mógł im wybaczyć upokorzeń stanu wojennego i doszedł do wniosku, iż wszystko to był spisek polskiej partii komunistycznej, której zresztą kiedyś sam był członkiem. Powiedział, że to partia popchnęła "Solidarność" do rozszerzania żądań, a potem użyła tych żądań za pretekst do wojskowego zamachu stanu. To wcale nie był rosyjski nacisk.

W parę minut później ten sam człowiek i jego kolega mówili, że Rosjanie gotowali się do marszu na Polskę już na rok przed puczem i że potem ich nacisk zakończył się przejęciem władzy przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego.

Byli to dzielni, inteligentni ludzie, którzy sami odkryliby brak logiki w tej dyskusji, więc ja nie próbowałem tego robić za nich.

Czasami mówili twardo, że będą się bić na ulicach, jeżeli trzeba będzie walczyć o resztę życia. W chwilę potem twarze im się rozjaśniały, gdy ktoś rzekł, że kto wie, może kiedyś jakaś inna grupa dojdzie do władzy w Moskwie, na przykład jacyś młodzi biurokraci, którzy okażą się rozumniejsi. Miejmy nadzieję.

Żądałem te same pytania robotnikowi ze stoczni. Miał czterdzieści lat i był jednym z przywódców "Solidarności". Został skazany na 9 lat więzienia za przestępstwa polityczne. Przenoszono go z więzienia do więzienia, nie bito tak jak innych; "może dlatego, że jestem stary".

Dostał urlop z więzienia i miał nadzieję na rewizję wyroku. Było to część operacji zwalniania niektórych aktywistów; operacja była na tyle znaczna, aby ją ludzie ostrzegali, ale na tyle powolna, aby struny nie popuścić. Był to krzepki, spokojnie mówiący mężczyzna, który zrobił na mnie wrażenie, jak ktoś, kogo chciałbym mieć za przyjaciela. O Rosjanach powiedział mi tak:

- Musimy mieć nadzieję. Powiedzieliśmy im, że oddamy im sejm. Mogą mieć 51%. Powiedzieliśmy im, że gwarantujemy pozostanie w Pakcie Warszawskim. Zdawało nam się, że może zrozumieją. Po prostu muszą zrozumieć. Tak, wszystko to im oddamy. Wszystko, czegosmy od nich chcieli, to, żeby nam oddali nasz kraj. Żeby nam pozwolili być.

A teraz? Teraz wie, powiedział, że nie zrozumieli i nie rozumieją. Może kiedyś... Trzeba mieć nadzieję, prawda?

Nie odpowiedziałem, ale przypomniałem sobie, że pomyślałem: nadzieja, nadzieja, wciąż ci Polacy mówią o nadziei.

Pewnego wieczoru, na przyjęciu spotkałem jednego z najmilszych, najserdeczniejszych ludzi, z jakimi rozmawiałem w ciągu ostatnich lat - otwarty, szczery, uprzejmy. Był członkiem partii, znaną postacią telewizyjną, i przyłączył się do "Solidarności", bo po raz pierwszy w życiu poczuł, że ma okazję pomóc historii.

- Poza tym, gdybym tego nie zrobił - powiedział - o czym rozmawiałbym z moimi dziećmi w ciągu lat, które przyjdą?

Był ważną osobą w "Solidarności". I oczywiście po wojskowym zamachu został usunięty z telewizji. Teraz zarabia na życie jako taksówkarz, ale jest nadal pełen radości i dowcipu. Zadałem mu moje sakramentalne pytanie - czego spodziewaliście się od Rosjan - że zgodzą się na wolne społeczeństwo na swej granicy?

- Tak, myśleliśmy, że Rosjanie muszą się z nami ułożyć - powiedział. - Że chyba zrozumieją. Zrozumieją, że stało się coś nowego, że my nie jesteśmy niebezpieczeństwem. Reprezentujemy lud. Muszą to zrozumieć.

Uśmiechnął się łagodnie ze swej własnej naiwności, ale powiedział:
- Trzeba mieć nadal nadzieję. W każdym razie mam teraz o czym rozmawiać z dziećmi.

Czasem wstydziłem się pytać. Spotkałem dziennikarza, którego znałem, gdy był bardzo szanowany jako pisarz i robił furorę w Warszawie. Teraz jest na boku i nie wolno mu publikować. Zarabia na życie tłumaczeniami. W ciągu lat komuniści zrozumieli, że najlepszym sposobem uspokojenia dysydenta jest zajęcie go pracą na życie.

W czasie przyjęcia staliśmy w kącie, zbyt zaprzyjaźnieni na to, by sobie powiedzieć wzajemnie, że wyglądamy trochę starzej.

- No i co, Stefan - spytałem - jak idzie?
- Smutno - odparł. - Wiesz jak to jest, Abe. Chciałbym sobie powiedzieć, że moje dzieci mogą tu żyć i że mają przyszłość. Ale tak nie jest.

Pomyślałem o moich synach, o ich życiu pełnym pomyślności i możliwości, i nie zapytałem go czy był na tyle głupi, aby uwierzyć, że Związek Radziecki pozwoli kiedykolwiek polskiej młodzieży na takie życie, którego podstawą jest wolność wyboru.

Nie zadałem mojego stałego pytania również wysokiej, młodej kobiecie, którą spotkałem innego wieczoru na kolacji. Parę dni temu wzięła ślub w więzieniu.

Jej mąż był w kierownictwie "Solidarności" i został aresztowany na kilka dni przed planowanym ślubem. Postanowili nie odkładać ślubu. Strażnik był ich świadkiem.

Mówiła o swoim mężu, nie wiedziała, jak długo będzie w więzieniu. Starała się być silna i wesoła, wznieśliśmy toasty za nią i za niego. Nie miałem cienia wątpliwości, że spędzi resztę swego życia w walce, jeżeli będzie trzeba. Postanowiłem nie zadawać jej żadnych politycznych pytań na temat Rosjan, czy na inne tematy, nie pytać o nic tej młodej kobiety, która wiedziała kim jest, dokąd zmierza i jaka może być cena, którą zapłaci.

Ale to pytanie tkwiło w moich myślach - jak mogli nie wiedzieć tego, że Rosjanie pokonają ich tak lub inaczej, i co przewidują na przyszłość - że Rosjanie się zmienią? Zadałem nawet te pytania zupełnie obcemu człowiekowi.

Wyszedłem z mojego hotelu rano, aby pójść do grobu Nieznanego Żołnierza, gdzie młodzi żołnierze stoją na wieczystej warcie i chodzą dookoła gęsim krokiem, którego muszą nienawidzić, i myślą o nim pewnie tak jak ja, że jest śmieszny. Dlaczego rząd kraju, który tyle wycierpiał od hitlerowców, lubi ten komiczny krok, który każdemu kojarzy się z hitlerowcami, tego nigdy nie zrozumiem.

Po drugiej stronie ulicy rozciąga się obszerny plac otoczony płotem; jest to sam środek miasta. To dziwny plac, dziwny pomnik.

Nazywa się plac Zwycięstwa, tu spoczął na katafalku kardynał Stefan Wyszyński, stary, twardy człowiek, który był niegdyś najwyższą władzą w Polsce, i stąd przemawiał Papież w czasie swej pierwszej podróży do Polski w roku 1979.

Po wizycie Papieża ludzie przychodzili na plac i ułożyli ogromny krzyż z kwiatów. Policja zmyła go wodą z armatki wodnej. Krzyż został odtworzony. Został znowu zmyty i znowu odtworzony. W końcu sfrustrowane władze kazały zerwać

bruk z całego placu, otoczyć go płotem i oświadczyły, ze wybrukowanie go potrwa wiele lat. I płot stoi.

Nie ma kwiatów na placu Zwycięstwa. Zamiast tutaj, ludzie noszą kwiaty i układają krzyż na dziedzińcu kościoła św. Anny na Starym Mieście. Tu stworzyło się nowe polityczne centrum dla turystów zagranicznych i dla Polaków, którzy przybywają z całego kraju modlić się i umieszczać wśród kwiatów małe skrawki papieru z wypisanymi na nich słowami nienawiści do policji.

Gdy szedłem wzdłuż płotu na placu Zwycięstwa, zaczepił mnie mówiący po angielsku Polak, który mieszkał kiedyś w Stanach Zjednoczonych i chciał się dowiedzieć jak tam jest teraz.

W ciągu paru minut nawiązaliśmy jedną z tych warszawskich rozmów politycznych, które są tak szczere, ze cudzoziemcy biorą je za wolność słowa. Oczywiście to nie jest wolność słowa - spróbuj powiedzieć to samo z publicznej mównicy!

Ale rozmawia się dobrze i to właśnie jest Warszawa, czy pod wojskowym prawem, czy pod innym.

Ten Polak, którego nie zapytałem o nazwisko, był gorącym zwolennikiem "Solidarności". Było mu obojętne czy ktoś wie o tym. Był drobnym, emerytowanym urzędnikiem państwowym i nie sądził, żeby ktoś mógł mu zaszkodzić.

Więc zapytałem go skąd mu przyszło do głowy, ze Rosjanie mogliby pozwolić Polsce wymknąć się etc., etc. Z całkowitą powagą powiedział mi, ze Polskę utrzymują cuda, że Maria Dziewica, Królowa Polski, wstawi się za Polską do Boga, zrobi to teraz, tak jak robiła to w przeszłości. Czyż Polak nie został Papieżem? - zapytał, jakby to był rozstrzygający argument. I powiedział mi, ze wierzy, iz cud zbawi Polskę, może zmiękną serca Rosjan. Powiedział, ze nie wie jaki to będzie cud, ale on przyjdzie, muszę w to uwierzyć i mieć nadzieję.

Nie śmiałem się i nawet nie miałem ochoty do śmiechu. Polska żyje w swej historii, narodowości, patriotyzmie, wśród swych cudów, snów, klęsk, nadziei. Wszystko to razem jest związane z Kościołem rzymsko-katolickim i jego polskim wyrazem.

Było już tak, gdy opuszczałem Polskę. Teraz to jest chyba jeszcze mocniejsze. Znów zobaczyłem tę szczególną intensywność, namiętność polskiej modlitwy. W kościele każdy modli się głośno, każdy śpiewa. Każdy hymn, każda odpowiedź to wspólny głos wszystkich. Pewien znawca judaizmu, pisarz, powiedział mi, ze polscy katolicy modlą się jak chasydzi.

Odwiedziłem znowu Częstochowę, święte miasto, do którego Polacy pielgrzymują co roku. Idą piechotą do Częstochowy, setki tysięcy, ze wszystkich stron kraju. Gdy zbliżają się do klasztoru, tysiące ich przeczołgują ostatnie 100 yardów nie na nogach, lecz na kolanach, nawet gdy nie mogą przedostać się w pobliże klasztoru, aby ujrzeć cudowny obraz Czarnej Madonny.

Często słyszałem najpoważniej w świecie wypowiadany argument, ze cuda ocaliły Polskę i cuda znów ją ocalą. Słyszałem to od człowieka na placu Zwycięstwa i od innych.

Marya ocaliła Polskę od Szwedów w XVII stuleciu. Kiedy Polska została wymazana z mapy Europy, powstała znów po I wojnie światowej na skutek klęski wszystkich swych nieprzyjaciół - Rosjan, Austriaków, Węgrów, Niemców. Czy to nie był cud - Polska odrodzona na skutek klęski swych wrogów w wojnie, w której nie wzięła wcale udziału? A wybór Jana Pawła II?

Niebezpiecznie jest wziąć to wszystko za naiwność. Byłby to błąd. Dlatego nie usmiechnąłem się do człowieka na placu Zwycięstwa. Wspólnym mianownikiem polskiego uczucia narodowego nie jest ani naiwność, ani wyrafinowana myśl. Jest nim namiętność.

Pewnego razu, było to w 1959, zobaczyłem Amerykankę stojącą przed klaszto-

rem na Jasnej Górze. Podczas gdy setki i tysiące Polaków klęczało wokół niej, i gdy mijały ją kościelne sztandary, ona stała samotnie. Spytałem ją czemu nie uklękła.

Odpowiedziała, że Polacy osiągnęli głębię doświadczenia, w którym ona nie uczestniczy. Powiedziała, że według niej najuczciwiej jest stać, chociaż też jest katoliczką; stać, gdy oni klękają w swej namiętności.

W parę dni po moim powrocie do Polski stary przyjaciel, dyplomata na dość wysokim stanowisku, powiedział mi, że gdyby miał młodemu Polakowi doradzić jaką zrobić karierę, powiedziałby mu: "idź do policji, albo do Kościoła". Nie potrzebował mi tłumaczyć. Policja reprezentuje realną władzę w polskim rządzie. A Kościół reprezentuje realną władzę w polskim narodzie.

Kościół katolicki w Polsce i polski rząd komunistyczny są nieprzyjaciółmi. Są jednakże sojusznikami o tyle, o ile łączy ich wspólny strach.

Odkąd sowiecki system został narzucony Polsce przez radziecką przemoc za przyzwoleniem Zachodu, rząd komunistyczny był swiadom siły Kościoła. Próbował skrępować Kościół, stosując restrykcje, przepisy prawa i wszelkiego rodzaju naciski.

Kościół bronił się i chociaz przegrywał czasem prawne i polityczne bitwy, w codziennym życiu Polski był rzeczywistym ośrodkiem władzy - okazywał to w masowych zgromadzeniach wiernych, w kwietnych krzyżach układanych tam, gdzie zginęli męczennicy, w wizerunkach Madonny na piersiach strajkujących. Komuniści rządzą, Kościół panuje.

A ponadto ani rząd, ani Kościół nie może powalić swego przeciwnika na kolana, i nawet tego nie próbuje.

Rząd wywiera presję na Kościół, poczem ją rozluźnia, w obawie, że zbyt silna presja spowoduje ludowy bunt. mogła by doprowadzić rzeczywiście do upadku rządu, a to sprowadziło by Rosjan. Byłaby to klęska, której ani polski rząd, ani polski episkopat nie chcą oglądać. Tak więc Kościół i rząd są jak dziwaczna para zapaśników "Sumo", którzy wzajemnie przepychają się, tarmoszą, starają przewrócić, ale żaden nie próbuje przeciwnika wyrzucić poza maty, polski ring.

Kiedy mieszkałem w Polsce, Kościołem polskim rządził kardynał Stefan Wyszyński, mając zapewnione całkowite posłuszeństwo swego ludu i kleru, oraz napotykając na totalną wrogość i pełny respekt ze strony rządu komunistycznego.

Polska tożsamość narodowa jest teraz bardziej niż kiedykolwiek związana z katolicyzmem na skutek utożsamienia się przywódców "Solidarności" z Kościołem. Ale jak sam wyczułem, i jak mi mówili Polacy, wielki bunt "Solidarności" doprowadził niektórych Polaków do podania w wątpliwość nie własnego katolicyzmu, lecz przywódczej roli Kościoła.

Następca Wyszyńskiego na urzędzie prymasowskim, arcybiskup Józef Glemp nie ma takiej władzy nad ludem i klerem. Nawet niektórzy biskupi skarżą się na niego, że nie poparł "Solidarności" ani dość mocno, ani dość konsekwentnie.

Uważano, że w trosce o uniknięcie chaosu był zbyt delikatny w rozmowach z rządem. Sądzi podobno, że aspiracje Polski i Polaków są reprezentowane przez Kościół, że więc Polacy powinni słuchać Kościoła, a nie ruchów społecznych oraz ich przywódców. Istnieje więc w Polsce problem Glempa. Oczywiście, prymasem Polaków nie jest arcybiskup Warszawy, lecz ich rodak w Rzymie.

Na dzień przed opuszczeniem Polski i powrotem do domu, poleciałem z Kifnerem do Gdańska, aby zapytać Lecha Wałęsę o to, co myśli o zamiarach Rosjan i w jaki sposób Polacy będą mogli spełnić swe nadzieje.

Najpierw poszliśmy do Stoczni im. Lenina, gdzie zaczęła się "Solidarność". Przypomniałem sobie, że byłem tu ćwierć wieku temu, kiedy była to tylko stocznia, a nie historyczne gniazdo buntu. Ciekawy jestem co się stało z młodym, energicznym dyrektorem, który mnie z taką dumą oprowadzał. Przypuszczam, że był sympatykiem "Solidarności", ale nie próbowałem się dowiedzieć.

Na świecie jest dużo pomników, ale żaden mnie tak nie wzruszył, nie zdumiał, nie wstrząsnął mną tak, jak ten pomnik, który robotnicy Gdańska wznieśli ku upamiętnieniu swego buntu. Poświęcony jest pamięci robotników zabitych przez policję w 1970 roku. Jednakże to nie jest wspomnienie przeszłości, lecz upamiętnienie roku 1980 zwrócone ku przyszłości, i wyraz robotniczej determinacji.

I oto one: trzy krzyże stalowe tworzące jakby trójnóg wzniesiony na 130 stóp ponad stocznię i ponad Polskę. Robotnicy je zaprojektowali, zbudowali, przywieźli przed bramę stoczni i wpuścili głęboko w ziemię.

U ramienia każdego krzyża wisi ogromna kotwica - stocznia, naród, unia narodu i Kościoła - tłumacz sobie jak chcesz.

U podstawy widać olbrzymi fryz przedstawiający robotników pracujących w pocie czoła, robotników z wyrazem bólu na zniszczonych twarzach.

Niżej wypisana nazwa "Solidarności" zakazana w Polsce, ale tu, na pomniku jawna, potężna.

Gdańscy robotnicy zbudowali ten pomnik szybko, przywieźli szybko, a potem szybko wpuścili do ziemi i zabetonowali głęboko, głęboko, głęboko, prędko, prędko, jakby mieli tylko chwilę czasu.

Wszędzie dookoła są tablice od oddziałów "Solidarności" w całym kraju wyjętych teraz spod prawa.

Więc oto on, potężny, masywny, wyzywający pomnik przez lud wzniesiony, i ku czci ludu, oraz ruchu, które rząd uznał za swych nieprzyjaciół, memento dla robotników, którzy tędy codziennie przechodzą, stałe wyzwanie dla rządu i partii, jak pięść przysunięta do ich twarzy.

Rząd i partia mogą go tylko wysadzić w powietrze, a w ten sposób wysadzić pewnie całą Polskę. To nie jest pomnik ku czci zamkniętej epoki, to jest deklaracja w betonie, to pięść.

\+ + +

Lech Wałęsa zajmuje z żoną i siedmiorgiem dzieci mieszkanie w jednym z tych cherlawych bloków robotniczych, które rząd pobudował w ciągu ubiegłych lat. Ma sześć pokoi, to luksus na polskie warunki. Wałęsa dostał je, kiedy był przywódcą "Solidarności". Nie przyjął willi, którą mu rząd ofiarował.

Przed budynkiem nie było policji, co wziąłem za oznakę siły ze strony rządu. W dużym pokoju było wielu współpracowników Wałęsy - jego żona przywitała się i wyszła - w kuchni było biuro.

Wałęsa nie wrócił jeszcze z pracy - jest dobrym elektrykiem, bardzo dumnym z tego - przypuszczam, że zrobił to umyślnie, chcąc dać czas swoim współpracownikom na wybadanie mnie, a może spławienie.

Wałęsa jest człowiekiem przystępnym, w pełni świadomym znaczenia, jakie on sam i "Solidarność" mają dla zachodniej prasy. Ale moment był drażliwy - akurat parę tygodni przed przyjazdem Papieża.

Wałęsa trzyma się na uboczu, nie chcąc zrobić nic, co by władzom dało powód do odwołania wizyty. Jego współpracownicy powiedzieli mi to, a ja powiedziałem, że naprawdę nie chcę sprawiać kłopotów i że sobie pójdę, i może wrócę na przyszły rok. Mieli podzielone opinie co do tego i spierali się między sobą.

Otwarły się drzwi, Wałęsa wszedł do mieszkania, odbyła się krótka konferencja bez mojego udziału, poczem on sam zdecydował, że porozmawia ze mną. Tylko bez pytania o Rosjan, o którym wspomniałem współpracownikom. Zgodziłem się.

Wałęsa jest młodszy, drobniejszy, lżejszy, niż wydaje się w telewizji czy na fotografiach. Wydał mi się podobny do kogoś, nie tyle z twarzy, co z typu,

postaci; nie mogłem sobie przypomnieć do kogo.

Usiadłszy na otomanie obok mnie podniósł oczy na sufit i rzekł:
- Jesteśmy na posterunku policji, rozumie pan, panie Rosenthal?

Roześmiałem się, bośmy dokładnie tak samo mówili sobie w naszym domu w Warszawie, w latach pięćdziesiątych - podsłuchów tu od groma, więc bądźmy ostrożni.

No, i był ostrożny. Rozmawialiśmy około godziny, a ja zrozumiałem, że to, co miał do powiedzenia wchodzi w skład recitalu, który wykonuje dla wszystkich cudzoziemców, którzy go odwiedzają, oraz od czasu do czasu dla polskiej publiczności - to recital przeznaczony do ujawniania myśli, ale nie planów.

Ale mówił to, co myśli, jeśli nawet nie wszystko co myśli, i mówił do mnie, a nie dla mnie, i bardzo go polubiłem.

Kiedy w parę dni później przepisywałem moje gryzmoły, zrozumiałem, że nawet gdybym je przepisał dosłownie, nie oddadzą w pełni, tego co powiedział. Nie tylko słowa miały znaczenie, lecz ich ostrożna selekcja, pauzy, posługiwanie się telegraficznymi skrótami, wypraktykowane uniki, sztuka chodzenia po polu minowym, które w totalitarnym ustroju stanowi część życia.

- To przyjdzie - powiedział Wałęsa - przyjdą zmiany społeczne w Polsce. Nie ma powrotu, rozumie pan, zbyt dużo osiągnęliśmy, za daleko zaszliśmy, aby wracać. Rząd to kiedyś zrozumie. Zrozumieją, że my nie chcemy wszystkiego niszczyć. System musi zostać, ale my chcemy stworzyć coś nowego wewnątrz systemu, i to wszystko.

Byliśmy obaj świadomi ukrytych mikrofonów oraz szczególnej sytuacji Wałęsy w tym momencie - na wpół więzień, wciąż przywódca, człowiek, który nie usuwa się w cień, lecz w tym szczególnym momencie, przd wizytą Papieża, jest niechętny do przyciągania uwagi.

Przyjął mnie, bo chciał być uprzejmy dla mnie i dla gazety, i okazać szacunek dla jej korespondentów - Kifnera i Johna Darntona, który był przed Kifnerem. Ja też byłem uprzejmy, nadzwyczaj uprzejmy. Ani razu nie użyłem słowa "Sowieci", czy "Rosjanie". Nie chciałem mu sprawiać kłopotów na posterunku policji.

Ale zapytałem go czy myśli, że Polska mogła by rzeczywiście utworzyć wolne społeczeństwo, w tym, co nazwałem delikatnie "kontrolowaną sytuacją".

- To jest jak trenowanie skoku w dal - rzekł Wałęsa. - Najpierw mały skok, potem trochę dłuższy. Trzeba wciąż próbować. Skoczmy dalej, może skoczyliśmy za daleko, ale jeszcze potrenujemy. To bardzo polskie, ale bardzo jasne - zdawało nam się, że możemy więcej, niż potrafiliśmy, przepędzili nas, to spróbujemy jeszcze raz.

Ale trzeba mieć nadzieję, trzeba mieć nadzieję - to miałem wiele razy nagryzmolone w notesie.

Wyszedłem a tym razem było pełno policji przd domem, więc śmiałem się z mojej prostoduszności. Albo jechali za nami z lotniska, albo agenci w cywilu odkryli nas z okna po przeciwnej stronie ulicy, albo policja jest zawsze ukryta w sąsiedniej ulicy - a najpewniej wszystko naraz.

Stała ogromna, szara, opancerzona i okratowana buda, parę karetek oraz trochę "nieoznaczonych", jasnozielonych i pomarańczowych Fiatów z cywilami, którzy starali się o to, aby ich zobaczyć; faceci o wyjątkowo nieprzyjemnych twarzach wyglądali przez okna, gapiąc się. Nie przestraszyło mnie to gapienie się. Ale gdybym był Polakiem, przstraszyłbym się bardzo.

Odjechaliśmy i dopiero gdyśmy byli ze dwa bloki dalej, wóz i karetki ruszyły za nami z rykiem, i dano nam znak, byśmy zjechali na bok. Policjanci zabrali nam dowody, przetelefonowali je do komendy, potem pozwolili nam odjechać Nie mieli za zadanie ustalić naszej tożsamości, lecz uprzytomnić całej okolicy

że odwiedziny u Wałęsy to sprawa z policją.

Wiele dni potem myślałem kogo mi Wałęsa przypomina. Wreszcie zrozumiałem. W latach trzydziestych był strajk okupacyjny w fabrykach w Detroit. W gazecie było zdjęcie działacza związkowego skulonego pod pałkami, którymi okładali go wynajęci przez dyrekcję chuligani. Twarzy jego prawie nie było widać. Nie był to jakiś przywódca, ale robotnik, który stał się organizatorem. To był człowiek, którego przypominał mi Wałęsa i do którego był podobny; robotnik, organizator, przeznaczony do bicia pałami, i dość twardy, aby to wytrzymać.

\+ + +

Wtedy, gdy opuszczałem Warszawę, cała Polska żyła obsesyjnym pytaniem: jak będzie mówił Papież, gdy przybędzie? Dyplomatycznie i eliptycznie z uprzejmością należną rządowi, który go gości? Czy będzie mówił otwarcie o niedoli i gniewie ludu?

Prawie od chwili, gdy ucałował polską ziemię, Papież był nie tylko otwarty i bezpośredni, lecz także surowy i twardy. Od pierwszego przemówienia dał do zrozumienia, że widzi Polskę podzieloną na naród i władzę. Dzień po dniu oskarżał ucisk, modlił się za więźniów politycznych, i pobudzał tłumy do entuzjazmu, powtarzając słowo "solidarność".

Wizyta zamieniła się w jedną, ogromną, wędrującą demonstrację przeciw rządowi, za Kościołem i za "Solidarnością". Zakazane flagi zdelegalizowanego związku rozkwitały wszędzie, a polski rząd patrzył z przerażeniem na to, co świat - łącznie z Moskwą - widział i słyszał w Polsce.

Świat widział, słyszał i czytał, że stan wojenny Jaruzelskiego zdołał wzmóc uczucia ludzkie do "Solidarności" i Kościoła, i że w tych uczuciach Kościół i "Solidarność" zrosły się w jedność.

Wszystkie symbole narodowe przeszły z rąk rządu w ręce Kościoła i "Solidarności". Nawet śpiewanie hymnu narodowego było oczywistym aktem opozycji, modlitwa o wyzwolenie aktem antyrządowym, i na kilka wspaniałych dni Papież stał się generałem Dąbrowskim bez miecza.

Wszystko to było tak jasne, że po kilku dniach Jaruzelski musiał prosić o drugie, nie przewidziane i bardzo prywatne spotkanie z Papieżem. Generał wpadł w kłopoty: wizyta przybrała okropny obrót dla jego rządu.

Nie wiadomo co się stało podczas tego spotkania. Ale później Polacy przyszli do przekonania, że generał musiał powiedzieć Papieżowi, iż wizyta zagroziła stabilności rządu, a jeśli on upadnie, zostanie ustanowiony rząd marionetkowy i że może Rosjanie znów wejdą do Warszawy - znów "Raison d'etat".

Możliwe też, że arcybiskup Glemp poparł Jaruzelskiego, którego uważa za przedstawiciela centrum. Cokolwiek się stało, Papież wyświadczył generałowi wielkie dobrodziejstwo, albo nawet dwa. Jednym było wspaniałomyślne oświadczenie Watykanu, że bulwersujące przemówienia Papieża o "Solidarności", oraz jego oskarżenie rządów wojskowych i ucisku nie miały w istocie tak politycznego charakteru, jak to donosiła brzydka prasa zachodnia. Była to jedna z najcudowniejszych, z zimną krwią zagranych komedii politycznych, jakie ostatnio można było zaobserwować.

Potem nastąpiła prawdziwa tajemnica podróży - prywatne spotkanie Papieża z Wałęsą w ostatni dzień - spotkanie, któremu sprzeciwiał się rząd, lecz które dla Papieża było warunkiem przyjazdu.

Zdarzyły się dwie zagadkowe rzeczy. Watykan nie opublikował zdjęć ze spotkania. I dziennik watykański " l'Osservatore Romano" ogłosił artykuł sugerujący, że dla dobra narodu Wałęsa musi ustąpić. Ksiądz, który napisał artykuł, został usunięty, ale treści artykułu nie zaprzeczono.

Stąd urosła teoria wyznawana przeważnie poza Polską, że Papież oddzielił kościół od "Solidarności" i umniejszył jej znaczenie oraz zażądał od Wałęsy usunięcia się i przyrzeczenia, że nie będzie więcej takich demonstracji jak w maju, kiedy posypały się kamienie przeciw władzy.

Innymi słowy, teoria głosi, że został zawarty pakt Papież-Jaruzelski kosztem "Solidarności".

Nie bardzo w to wierzę i dowiaduję się, że w Polsce traktuje się ją sceptycznie. Jest to nadal ciemne, nie można wyjaśnić poszczególnych fragmentów łamigłówki, albo ich brakuje.

Natomiast wydaje mi się prawdopodobne, że Papież przekazał Wałęsie obawy Jaruzelskiego i Glempa, że nowe demonstracje "Solidarności" sprowadzą nieszczęście na naród, i być może powiedział Wałęsie, że on sam także jest tym zmartwiony.

Jest też takie przypuszczenie, że Glemp uważa, iż Wałęsa zanadto się wybił i że powstało niebezpieczeństwo przejęcia przez charyzmatyczne i czynne kierownictwo "Solidarności" wpływu, który - wedle prymasa - powinien zachować episkopat.

Wydaje mi się, że artykuł w "l'Osservatore" i wstrzymanie zdjęć mogło stanowić odbicie stanowiska Glempa oraz stanowić gest wobec Jaruzelskiego.

Nieprawdziwa wydaje mi się koncepcja, że Papież zechciałby i mógłby po prostu podjąć decyzję o pomniejszeniu znaczenia "Solidarności" po tym jak ją sam podniósł w tak dramatyczny sposób, albo że chciałby i mógłby po prostu wykopać Wałęsę. Wydaje mi się też niemożliwe, by Wałęsa po zepchnięciu go na bok, był nadal na tyle potężny, by kontrolować całą "Solidarność" oraz emocje narodu.

Papież mógł prosić Wałęsę, aby przemawiał ostrożniej i mniej często, ale nie mogę go sobie wyobrazić mówiącego mu, by zniknął na zawsze.

"Solidarność" jest wyjęta spod prawa, ale przyszłość pokaże, czy została zmuszona do milczenia.

Co do Wałęsy, pierwszą rzeczą jaką zrobił po wyjeździe Papieża, było poszukanie okazji do publicznego starcia z rządem. Uparł się, aby wbrew zakazowi wziąć wczesny urlop, być z powrotem w Gdańsku w sierpniu i świętować rocznicę układów rządu z "Solidarnością", które potem reżim Jaruzelskiego zerwał. I Wałęsa wygrał.

A potem, na parę dni przed ogłoszeniem przez rząd "zniesienia" stanu wojennego, Wałęsa ogłosił jedno ze swych najważniejszych i najbardziej prowokacyjnych oświadczeń, że owo "zniesienie" stworzy w Polsce sytuację gorszą niż była kiedykolwiek. Jeżeli zajął tylne siedzenie, to nie jest ono tak bardzo w tyle.

Wałęsa miał rację co do tego "zniesienia" stanu wojennego i każdy Polak o tym wie.

Tego samego dnia, gdy rząd polski uroczyście ogłosił zniesienie stanu wojennego, który Jaruzelskiemu umożliwił sprawowanie władzy, John Kifner podsumował sytuację w następujących słowach:

"Zakończenie po 19 miesiącach wojskowych rządów nie przyniesie wielkiej różnicy w codziennym życiu. Wiele klauzul prawa wojennego, narzuconego dla złamania "Solidarności" zostało utrwalonych w kodeksie karnym. A dziś parlament uchwalił serię tymczasowych regulacji prawnych, które zapewniają ścisłą i stałą kontrolę politycznego i ekonomicznego życia".

Trochę więźniów miano zwolnić i Jaruzelski oczywiście liczył na to, że "zniesienie" stanu wojennego zyska mu trochę szacunku na Zachodzie, a kto wie, może więcej kredytów zachodnich.

Ale prawda była taka: Polska była policyjnym państwem przed narzuceniem

stanu wojennego i stawała się nim w jeszcze większym stopniu po "zniesieniu". Wszystko to była szarada, kawałek ironii politycznej, który mógł oszukać i usposobić dobrze kogoś na Zachodzie, ale nie Polaków. Ani jednego z nich.

Na lotnisku w Zurichu zrozumiałem dlaczego wracam do Polski - aby złożyć świadectwo. Przez prawie cały czas mojego powtórnego pobytu w Polsce widziałem i słyszałem to, czego oczekiwałem - ekonomia w ruinie, nieszczęśliwi ludzie, obrzydliwa nędza codziennego życia, namiętność religijna, znienawidzony system i rząd utrzymywany przez radziecką potęgę wojskową.

Ujrzałem Polskę zawsze niespokojną, ale bezpiecznie związaną - pokrzywdzone państwo. Pokrzywdzone przez geografię, przez radziecką potęgę i zgodę Sojuszników na opanowanie jej przez Sowiety po II wojnie światowej, przez własną niezdolność do wyłonienia właściwego kierownictwa - od faszystów o ułańskiej umysłowości oraz prawicy przedwojennej do komunistycznych partaczy po wojnie.

Byłem również przekonany - przed moim powrotem i w czasie pobytu tam - że nie ma dla Polski realnej ucieczki, nie ma możliwości przeskoczenia do wolnego życia społecznego, ponieważ tam jest związek Radziecki. Dla Moskwy to, czego chcą Polacy, jest nie tylko herezją, ale nosi w sobie niebezpieczeństwo zawleczenia infekcji do serca radzieckiej władzy. Tak myślałem przed powrotem do Polski, i tak myślę teraz.

Ale od pierwszych chwil na pogrzebie Grzegorza Przemyka, i potem, w czasie podróży, zacząłem rozumieć, że brak mi czegoś, co tam powinienem był zobaczyć, a nie zobaczyłem.

Dopiero kiedy opuściłem Polskę i przemierzałem Atlantyk na pokładzie "Queen Elizabeth 2", mając czas na wspomnienia i myślenie z dobrodziejstwem dystansu, zrozumiałem, że istotnie coś mi umknęło podczas mej podróży do Polsce i być może umyka mi nadal.

Sądziłem, że jestem politycznym realistą, ale umknęło mi coś stanowiącego polską realność. Był to nieprzerwany strumień polskiej nadziei, stanowiący część polskiej rzeczywistości i historii na równi z innymi elementami politycznego równania.

Rozumiałem zawsze jakie znaczenie ma nadzieja, jako polityczna, ekonomiczna i historyczna realność. Jak inaczej potrafiliby na przykład Amerykanie spróbować dźwignąć swą rozpaczliwie nędzną gospodarkę - czy byliby tak szaleni, czy tak odważni? - jak inaczej mogliby to zrobić, jeśli nie dzięki nadziei i jak inaczej mogliby osiągnąć sukces?

Ale nie wiedziałem jakie znaczenie ma nadzieja w Polsce, może dlatego, że znalazłem się tam po raz pierwszy wkrótce potem, jak pierwsza antyrządowa rebelia po wojnie została stłumiona. Może niewiele wtedy było do ujrzenia. Może, a nawet na pewno trwała potęga nadziei nie była w Polsce tak widoczna, jak po powstaniu "Solidarności".

Wspominając moją podróż, uprzytomniłem sobie, że widziałem Polaków młodych i w średnim wieku, w których nadzieja wyrosła jak te drzewa warszawskie - wysoko i wspaniale. Chłopcy i dziewczęta na cmentarzu, Wałęsa, młoda kobieta, która wzięła ślub w więzieniu, człowiek z telewizji, który został taksówkarzem, oni wszyscy i tylu innych, nie tylko mają nadzieję, lecz skoncentrowali całe swe życie na nadziei i w niej zapuścili swe korzenie.

Byłoby niewłaściwe z mej strony i ze strony innych cudzoziemców powiedzieć, że podzielam nadzieję Polaków. Nadzieja dla Polski należy do Polaków. Tylko oni płacą jej cenę.

Ale zrozumienie siły i przenikliwości tej nadziei - nadziei na to, że Sowietom odmieni się serce, nadziei na cud, nadziei pokładanej w sobie, nadziei nieokreślonej - poruszyło mnie. Nie zmieniło mnie, ale otworzyło mi trochę umysł, pozwoliło jaśniej widzieć. Otwarcie i rozjaśnienie to dosyć jako nagroda za podróż.

Jestem nadal politycznym realistą i nie wierzę w to, że istnienie jednego elementu siły - nadziei - musi przyczynić się do uzyskania innych. Polską nadzieja istnieje. Armia sowiecka także.

Wierzę jednak, że dzięki potędze nadziei Polacy kiedyś, jakoś powstaną znowu. Wierzę, że zostaną znowu pokonani. I wierzę, że potem pomaszerują znowu.

Młodzi ludzie, którzy szli w milczeniu z kościoła na cmentarz, będą wśród tych, którzy pomaszerują, i to będzie bardzo niebezpieczne. Mam nadzieję, serdeczną nadzieję, że nie ucierpią za bardzo.

\+ + +

Mojego ostatniego wieczoru w Polsce poszliśmy z Johnem Kifnerem i jego żoną na obiad na Stare Miasto, a potem rozmawiając wędrowaliśmy, krzywo brukowanymi uliczkami.

Przypomniałem sobie nagle mój pierwszy spacer tymi uliczkami, pierwszego wieczoru w Warszawie, gdyśmy tu z moją żoną Anną przybyli w lipcu 1958 roku. Poszliśmy do kawiarenki w piwnicy, która nazywała się "Manekin", coś zjedliśmy, było hałaśliwie i wesoło. Spotkaliśmy młodego pisarza, który powiedział, że chciałby nam pokazać Warszawę jeszcze tej samej nocy.

Była 2 lub 3 nad ranem, a on wyprowadził nas ze Starego Miasta i zawiódł w ciemną, okropną pustkę. Zapytałem: co to jest?, a on odpowiedział, że tu było ghetto. Było tam trochę budynków mieszkalnych na skraju pustki, wyglądały dziwacznie, ustawione na czymś, co przypominało hałdy.

- Dlaczego tak je zbudowali? - zapytałem, a on powiedział, że postawiono je na ruinach i zgliszczach - i kościołach ghetta, bo tak było taniej.

Pustka i świadomość tego, co leży pod budynkami zmroziły nas tego letniego wieczoru. Moja żona płakała, ja oczywiście też. Młody pisarz też płakał.

Rozmawialiśmy jeszcze z godzinę lub dwie z pisarzem, poczem rozeszliśmy się. Powiedział nam, że nie jest Żydem. Ale był nim. Jego przyjaciele nam to później powiedzieli, i on sam też nam to powiedział.

To Niemcy wymordowali polskich Żydów. Byli Polacy, którzy ich ratowali i byli Polacy, którzy ich szczuli. Ostatni poważny wybuch antysemityzmu nastąpił w partii komunistycznej i spowodował wyjazd prawie wszystkich pozostałych przy życiu Żydów - z milionów pozostały tysiące, teraz pozostała garstka, zbyt mała, aby się realnie liczyć.

Czasem zdarza się w rządowej prasie jakiś obrzydliwy, antysemicki kawałek. Tego dnia, gdy składałem wniosek o wizę w polskim konsulacie w Nowym Jorku, egzemplarze polsko-amerykańskiego, po angielsku wydawanego pisma ociekającego antysemityzmem były przemyślnie rozłożone w poczekalni.

Tego lata rząd patronował obchodom rocznicy powstania w ghetcie. "Solidarność" zorganizowała własne obchody i różne rzeczy z tej okazji zostały powiedziane. Ani przygodne obrzydliwa, ani przygodne pochwały nie poruszyły mnie zbytnio. Nic już nie przywróci do życia polskich Żydów.

Polska jest teraz krajem młodych ludzi i większość młodych Polaków nigdy nie widziała Żyda. Kiedyś może Żydzi staną się romantycznymi postaciami polskiej historii. I co z tego. Żydów nie ma.

Ale pomyślałem o pogrzebie Grzegorza i byłem szczęśliwy, że mój kamyk topniał. Powiedziałem sobie, że kiedyś położę różę na jego grobie. Kamienie w sercu do niczego nie służą i nic nie znaczą; liczy się tylko wspomnienie i nauka, która ze wspomnień płynie.

Kiedyśmy z Kifnerami wracali do hotelu, myślałem o Polakach i Rosjanach, o Niemcach, i o papieżach, i o klęskach, i o nadziejach. Rozmawialiśmy do ra-

na o tym, co widziałem i co to znaczy, jeśli znaczy. Wznieśliśmy szampanem toasty za zdrowie wzajemne, za Polaków i za generała Dąbrowskiego.

Gdy zostałem sam, myślałem jeszcze o Polsce i o Wałęsie, i o obcym z placu Zwycięstwa, o młodej kobiecie, która wzięła ślub w więzieniu, o młodych na cmentarzu, i o ich rodzicach. Wzniosłem za nich milczący toast - stary polski toast - sto lat , żyjcie sto lat - i położyłem się spać.

\+

\+ \+

Mało kto tak dobrze jak Rosenthal zrozumiał ponury idiotyzm codziennego życia w Polsce. Trudno mu natomiast zrozumieć polski sposób myślenia i w tym kierunku zmierzają jego badania i wywiady. Nie może mianowicie pojąć dlaczego Polacy,którzy wiedzą wszystko o Rosjanach i o Związku Radzieckim nie biorą pod uwagę ich reakcji, które dla nikogo na świecie - poza Polską właśnie - nie są zagadką. Rosenthal zastanawia się ponadto co w polskim języku politycznym znaczy "cud", na który zdają się tu czekać wszyscy: lud, elita, nawet zawodowi politycy.

Warto się nad tym również zastanowić.

Przede wszystkim: skąd czerpiemy wskazówki na temat prawdopodobnego zachowania Sowietów? Otóż odgadujemy je z postępowania "naszych" komunistów, podobnie jak więzień ocenia intencje władz a nawet sytuację polityczną w kraju wedle zachowania strażników. Gdy klawisz łagodnieje i pozwala w dzień wylegiwać się na pryczy, to znaczy, że szykuje się zmiana rządu, dyktator umarł, albo wojna wisi w powietrzu. Więzień oczywiście łatwo popełnia omyłki i ulega złudzeniom, myli bowiem skale wydarzeń, nie bierze pod uwagę nieprawidłowości systemu, a swe życzenia łatwo bierze za rzeczywistość. W lecie 1980 wszystkich nas zwiodło zachowanie naszych nadzorców. Dlaczego tak miękko przyjęli strajki lipcowe, w tym prawie generalny strajk w Lublinie? Dlaczego wysyłali na prawo sygnały, że strajki trzeba zalegalizować i głośno mówili, że cały system sprawowania władzy jest przestarzały, że opozycja jest koniecznością i - zanim doszło do utworzenia "Solidarności" - sami przestali liczyć się ze starymi związkami, uznawali przedstawicielski charakter komitetów strajkowych i biernie przyglądali się błyskawicznemu wyrastaniu nowych związków? Dlaczego nawet wtedy gdy w Gdańsku i w Szczecinie do postulatów płacowych i socjalnych dołączono polityczne, i gdy powstały międzyzakładowe komitety strajkowe tworzące rzeczywiste ośrodki władzy w skali krajowej, rządowi negocjatorzy, pomimo okresowych usztywnień i uników, tak łatwo godzili się na wszystkie warunki? Wszystko to stworzyło fałszywe wyobrażenie o upadku systemu, a brak jakiejkolwiek reakcji z Moskwy wskazywał na ich ciche przyzwolenie dla strukturalnych zmian, które - jak sądziliśmy - Moskwa uznała za konieczne wobec rozkładu gospodarki w niespotykanej dotychczas skali.

Nie wzięliśmy pod uwagę dwóch okoliczności: że - po pierwsze - głównym motorem postępowania polskiego kierownictwa był strach przed ujawnieniem prawdziwych rozmiarów kryzysu, że - po drugie - Moskwa reaguje powoli, dużo czasu potrzebuje na zebranie informacji, a tym polskim kryzysem była po prostu zaskoczona, i że - po trzecie - kłamstwo, które nie działa ani na społeczeństwo, bo ono zna prawdę, ani na niższy aparat, bo sam te kłamstwa produkuje, działa na najwyższe kierownictwo. To co nam się wydawało oczywiste, że mianowicie gospodarka leży, nie było oczywiste ani dla Gierka, ani dla Breżniewa. Obaj potrzebowali dużo czasu, aby zorientować się w sytuacji, czyli wygrzebać się spod kłamliwych raportów. Sekretarze wojewódzcy, wicepremierzy, ministrowie prawdę znali bardzo dobrze; reagowali szybko i na serio lękali

się wieszania na latarniach.

Na przyszłość nie należy po zachowaniu "dołu", czy "średniego szczebla" wnioskować o intencjach i planach "góry". Klawisze wiedzą często coś, czego jeszcze nie wie kancelaria; są blisko nas, od nas się uczą i nas się boją. Ale decyzje podejmuje kancelaria. Rakowski, Jagielski, Żabiński, Barcikowski, Fiszbach, Kołodziejski bali się nas w 1980 roku, a myśmy myśleli, że boją się nas ci, co są nad tymi, którzy ich wysłali. Myśleliśmy więc, że boi się także Moskwa i że gotowa jest na wiele ustępstw, aby uniknąć owego wieszania na latarniach i konieczności interweniowania. Ale Moskwa zrozumiała bardzo szybko, że żadnego wieszania nie będzie i że czas pracuje dla niej. Czas pracuje zawsze na korzyść silniejszego.

A te cuda polskie? Wiara w cud jest następstwem błędu. "Cud nad Wisłą" w 1920 roku był następstwem błędów Piłsudskiego popełnionych w polityce wobec Rosji bolszewickiej: rozejmu, jaki z nią zawarł, aby jej umożliwić pokonanie Denikina, i wyprawy na Kijów. "Cud", którego teraz oczekujemy, jest następstwem nowych błędów, właśnie tych, które wyniknęły z fałszywej oceny postępowania władz średniego szczebla.

Każdy taki błąd kosztuje nas utratę wolności. Od XVIII wieku nie ma w tym kraju alternatyw suwerennych. Jest tylko jedna możliwa polityka całkowitej, lub częściowej suwerenności, której niepowodzenie przynosi utratę i tej całości, i tej części. Z pokonaną Polską nie zawiera się bardziej lub mniej upokarzających traktatów, jak z pokonaną Francją, czy z pokonanymi Niemcami; pokonaną Polskę likwiduje się w całości, więc gdy Polska przegra na skutek błędu własnego, czy przemocy, nie pozostaje jej nic innego jak błagać o cud, któryby ją ocalił, i który jest jedyną możliwą poprawką błędu, lub rewanżem za przemoc.

Rosenthal przekłada słowo "cud" na "namiętność". "Rozpacz" byłaby słowem właściwszym.

+ + + + + + +

Mika CUlka

Marianowi Brandysowi

Wawel. Przygnębiająca szara bryła koszarowych murów na szczycie wzgórza, ozdobiona paroma barokowymi hełmami wież i dzwonnic. Przedziwne składowisko dumy narodowej i zacnych królewskich kości. Mieszanina stylów i epok, wpływów włoskich i niemieckich, tureckich i bizantyńskich, romańszczyzna skrzyżowana z Orientem, wydaje się, że nie znajdziesz tu nic własnego, oryginalnego, miejscowego - a jednak jest coś, czego nie ma nigdzie indziej, przynajmniej w tym wydaniu, jest coś, co wyrasta tylko na skrzyżowaniu dróg, z posiewu rzucanego przez wędrowców i pielgrzymów, zdobywców i jeńców. Majestatyczny zaścianek.

W jednym z okien części rezydencjonalnej Wawelu, zwykle niedostępnej dla zwiedzających, stał człowiek w białej sutannie i w charakterystyczny dla siebie sposób założywszy ręce na piersiach patrzył w arkadowy dziedziniec. W górze niebo było jeszcze jasne. W dole gęstniał już wieczorny mrok. Pod jedną z arkad stało dwóch agentów ochrony, skrętnie kryjąc się za kolumną; jeden ze służby papieskiej, drugi z miejscowej milicji. Poczęstowali się wzajemnie papierosami, strzeliły dwie zapalniczki - identyczne, w kształcie małych pistolecików - i zajarzyły się dwa ogniki rozpalone od chciwie wciąganego w płuca dymu. Przez dziedziniec na przełaj, ślizgając się po kamiennym bruku, przebiegł mały gruby ksiądz z białym arkuszem papieru, widać nieskończenie ważnego, w ręku - ochroniarze z zawodową czujnością wycofnęli się za kolumny, ale uśmiechnęli się tylko na widok biegnącego księdza.

Człowiek w białej sutannie uśmiechnął się również.

Jego pielgrzymka, jak się mówiło oficjalnie - jego misja, jak nazywał ją w myślach - dobiegała końca. Pozostał mu tylko ten jeden wieczór, ściśle osobisty, który zamierzał spędzić sam ze sobą, z własnymi myślami, właśnie tutaj, w otoczeniu skłaniającym wprost do dokonania ostatecznego rachunku, do podsumowania wrażeń, do wyciągnięcia wielokrotnego pierwiastka z sumy doświadczeń historycznych i współczesnych, własnych i tych milionów, dwudziestu - trzydziestu milionów ludzi z którymi spotkał się osobiście lub pośrednio, jednoczącej do głębi systemów krwionośnych i nerwowych wspólnocie. Jutro miał jeszcze tylko rzucić okiem z lotu ptaka... nie, helikoptera - na rodzinne miasteczko u stóp Karpat, zagłębić się na chwilę między tatrzańskie szczyty, dotknąć stopą ukochanej Doliny Chochołowskiej - i po południu znowu oficjalna pompa pożegnań na krakowskim lotnisku, rzeka słów, z których każde jak dotychczas będzie mielone i rozszczepiane na literki przez rzeszę oblegających go nieustannie gazeciarzy, doszukujących się ukrytych sensów i znaczeń w tym, co tak prosto i jasno zawsze chciał wyrazić: jestem z wami w dobrym i złym... coż, tego dobra tak niewiele, tego zła o wiele za dużo, rzeka zła, istna powódź... ale to zło tym małym dobrem trzeba i można zwalczyć.

Mały gruby ksiądz z sekretariatu stanu, który gnał przed chwilą przez wawelski dziedziniec, stanął zadyszany w progu komnaty. Człowiek w białej sutannie przebiegł oczami podany mu arkusik papieru.

- Prowadź mnie do telefonu, synu... bracie... - poprawił się - jeśli mogę cię o to prosić... - łagodny uśmiech wystarczał zawsze za wszelkie przeprosiny i grzeczności, których zresztą nigdy i nikomu nie szczędził. Przeszli do sąsiedniego pomieszczenia. Tu przy baterii telefonów dyżurował młody krakowski kleryk. Nim dotknęło go powołanie ukończył technikum radiotelekomunikacyjne i został tu właściwie spożytkowany. Jeden z aparatów łączył się bezpośrednio z odpowiednim numerem w Warszawie.

- Otrzymałem właśnie pana depeszę - mówił człowiek w białej sutannie. Grubasek Włoch mimo wysiłków niewiele rozumiał z tej pro-

dzonej w języku polskim rozmowy,a kleryk uważnie zapamiętywał każde słowo,czując jak owiewa go historia. - I oczywiście proszę.Czekam na pana.A muszę się przyznać: zanim dotarła do mnie ta wiadomość,miałem ochotę sam do pana zadzwonić.

W słuchawce przez chwilę zapanowała cisza.Słychać było tylko szybki oddech drugiego rozmówcy.Wreszcie padło krótkie słowo:

- Dziękuję.

I po chwili jeszcze:

- Czy w związku z tym,co usłyszałem,moglibyśmy tak to przedstawić opinii publicznej?

- To znaczy?

- Że to ja zostałem zaproszony?

Człowiek w białej sutannie uśmiechnął się , czego ten drugi nie mógł widzieć.

* * *

Pilot odwrócił się,stuknął obcasami,zniknął w kabinie odrzutowca zamykając za sobą wahadłowe drzwi.Generał zasiadł w jednym z foteli w saloniku samolotu.Adiutant troskliwie nachylił się nad nim przypominając o zapięciu pasów.

Silniki już huczały,maszyna kołowała na pasie startowym lotniska - chwila próby motorów,kolejno jeden,drugi - chwila mocowania się z losem,wywoływania przypadku z łasu prawdopodobieństwa do teraźniejszości - i za moment byli już w powietrzu.Kompresor gwiżdżąc przeraźliwie wyrównywał ciśnienie we wnętrzu samolotu.W głośniku odezwał się głos pilota:

- Kapitan pilot Trzos melduje: lecimy rejsem nadzwyczajnym numer 357...

Trasę podał pilotowi wojskowego odrzutowca Tu-134 będącego stale w dyspozycji szefa rządu tuż przed startem,kiedy ten podszedł do niego na lotnisku z lekka akcentując mocniejszym przytupem butów obowiązujący w armii ceremoniał.Zwykle wszystko wszyscy wiedzieli co najmniej na dzień przed podjęciem decyzji,ale tym razem dwór chyba rzeczywiście został zaskoczony.Warszawa - Kraków,lotnisko Balice. Adiutant trwał z nieprzeniknionym wyrazem twarzy,piastując wypchaną papierami skórzaną teczkę,dla pewności przewiązaną w tali paskiem.

- Rozkaz!

Z głośnika płynęły rutynowe zdania meldunku:

- Lecimy na wysokości dziewięciu tysięcy metrów z prędkością 850 kilometrów na godzinę.Temperatura powietrza za burtą wynosi minus trzydzieści dziewięć stopni Celsjusza.Rejs potrwa trzydzieści pięć minut.Obecnie znajdujemy się nad Radomiem.

Głośnik trzasnął i ucichł,wyłączony,Generał nie słuchał go już od małej chwili.Bezwiednie znalazł się w innej rzeczywistości,w jakiś niejasny sposób nie była ona jednak całkiem pozbawiona związku z tą,w której znajdował się naprawdę.Ale na czym ten związek polegał trudno byłoby mu wyjaśnić.Trzydzieści dziewięć stopni mrozu nad Radomiem wywołało w pamięci obraz zasypanego śniegiem lasu w mroku polarnej nocy,rozjaśnionej płonącymi na trzebieżach ogniskami,przy których rytmicznie przytupują wartownicy;wyłoniła się z pamięci młoda ale już posiwiała kobieta,wysupłująca odmrożonymi palcami ułomki czarnego chleba z podartej wełnianej chusty; widzi potem tę staro-młodą kobietę,umarłą z zimna i głodu,a siebie stojącego bezradnie - kilkunastoletniego chłopaczka,niedorostka z owrzodzoną głową i ślepnącymi,wyblakłymi z braku witamin oczami - w aresztanckim tłumie,gdy lichą skrzynię z byle jakich desek uwozi zielona ciężarówka,znikając w obozowej bramie.Wzdrygnął się,zdjął ciemne okulary,z którymi ostatnio prawie się nie rozstawał /"Tego już nie nadrobimy,towarzyszu generale - przypomniał sobie głos wojskowego lekarza - los pokolenia"/ i

przetarł je starannie wydobytą z kieszeni munduru irchową chusteczką. W kabinie było ciepło, jakaś kropla potu z generalskiego czoła osiadża na szkłach. Samolot schodził do lądowania.

Adiutant nachylił się w stronę szefa.

- Telegrafowałem o wóz i eskortę. Wszystko załatwione.
- Po co eskorta? - skrzywił się niechętnie.
- Radio podało już wiadomość o spotkaniu. Nasz rzecznik natychmiast skomentował.
- Treść?
- Uzgodniona.
- To znaczy?

Adiutant podał przygotowany papier, generał szybko przebiegł oczyma równe rządki liter. Zanotował w pamięci najważniejsze zdanie komunikatu: "Na zaproszenie strony kościelnej..."

- Nie było sprzeciwu?
- Wprost przeciwnie. Pełne zrozumienie.
- Dobrze.
- Duży sukces dyplomatyczny - adiutant usłużnie podsunął wygodny sposób myślenia. Ostatnio coraz częściej pozwalał sobie na wnioski. Gdyby powiedział propagandowy, byłby bliższy prawdy. Ale kto dziś wierzy takim komunikatom? Generał skrzywił się niechętnie i zaraz swoim zwyczajem mocno zacisnął wargi.

Dwa kroki od podstawionego trapu oczekiwała czarna limuzyna. Przed nią i za nią kilka innych samochodów, wśród nich odkryte gaziki z literami MO i WSW na burtach.

Energicznym i dosyć sportowym jak na zbliżającą się sześćdziesiątkę krokiem zbiegł na płytę lotniska.

- Baczność - usłyszał głos komendy. Ktoś składał raport, padały jakieś rozkazy. Generał mechanicznie salutował, przyjmował meldunki, podawał komuś rękę. Był już myślami przy tym, kto go oczekiwał. Po kilku minutach czarny samochód otoczony wozami eskorty wiózł go szosą dojazdową i następnie ulicami Krakowa w stronę Wawelu.

* * *

Człowiek w białej sutannie w charakterystyczny dla siebie sposób założywszy ręce na piersiach patrzył w arkadowy dziedziniec, stojąc w głębokiej gotyckiej wnęce jednego z okien. Wieczorny mrok gęstniał. Zapalono już niektóre światła, co wypłoszyło resztki dziennej poświaty z zakamarków pod krużgankami.

Zaczął się ruch w bramie wjazdowej. Błysnęły flesze ukrytych tam fotoreporterów. Na dziedziniec energicznym krokiem wszedł wysoki i szczupły wojskowy w generalskim mundurze, za nim oficer z teczką, a w pewnej odległości paru cywili, wykazujących w ruchach nadzwyczajne podniecenie. Generał nagle zatrzymał się, rozejrzał wkoło, zdjął czapkę - jakby odetchnął. Cywile również zatrzymali się parę kroków z tyłu i uspokoili, popatrując to na siebie, to wokół. Naprzeciw generała jak kryjąca się kulka toczył się podskakując po bruku dziedzińca grubasek ksiądz z sekretariatu spraw zagranicznych, zapominając ze zdenerwowania wszystkich słów po polsku, których nauczył się dotąd idąc w tym za przykładem swego szefa, monsignore Casaroli.

Człowiek w białej sutannie uśmiechnął się, dla wygody zakasał nieco swej szaty i poszedł w stronę schodów, by zdążyć spotkać gościa w przedsionku na dole.

Telewizyjny uścisk dłoni potrwał nieco dłużej niż wymagała tego zwykła konieczność przywitania. Ograniczona do minimum ekipa telewizyjna za pośrednictwem kamery zdążyła jeszcze zanotować ciepły jak zwykle uśmiech z jednej strony i nerwowo zaciśnięte wargi, siłą skłonione do niby-miłego grymasu z drugiej. Człowiek w białej sutannie serdecznie i familiarnie ujął swego gościa pod rękę i szerokim gestem

zaprosił go do wnętrza.Po chwili oliwkowy mundur i biała sutanna znikły w portalu prowadzącym do historycznych komnat wawelskiego zamku.

Ciężkie żelazne drzwi zamknęły się za nimi.

I tak oto w tej czytance z dziejów ojczystych w stylu przedwojennych wypisów szkolnych,o głowach wprawdzie nie koronowanych,ale przecie panujących - nadszedł czas na ujawnienie się autora.Ze zrozumiałych chyba względów pozostanie on ukryty pod pseudonimem,ale zabierze głos jako świadek wydarzeń,których nikt - w przeciwieństwie do opisanych dotąd - nie obserwował.

Autor przedstawił na razie to,co widzieli wszyscy lub też mogli widzieć,tak jak rzeczy się działy lub też mogły się dziać zgodnie z ich zwykłym,wszystkim znanym przebiegiem.Na marginesie zdarzeń snuł z rzadka refleksje związane z historią owego zaścianka świata,z którego pochodzi on sam i jego bohaterowie,albo z biografiami bohaterów opowieści.Zastanawiał się między innymi i nad tym - czego dotychczas nie zdążył zapisać - jak to się stało,że właśnie z tej głuchej europejskiej prowincji wyniesiony został na szczyty świata ów tyleKroć tu wymieniany człowiek w białej sutannie,biskup Rzymu,papież, kroczący w tej chwili przez historyczne sale Wawelu ramię w ramię z wojskowym w generalskim mundurze.

Europa. To przecież tylko tak się mówi,i właściwie tylko u nas - a to,że tak często u nas o tym się mówi,nasuwa pewne podejrzenia. Wbrew teoriom miejscowych pożykaczy ognia dumy narodowej kraj nasz leży na uboczu świata,w kącie między wiecznie zaziębioną Rosją a na wpół jeszcze azjatyckimi Bałkanami... Należymy do Europy. Europa bez nas byłaby kaleka. E,tam... My bez Europy bylibyśmy kalecy,o,to jedno jest prawda.Nasza obecność w Europie wymaga bezustannego dowodzenia, widać nie rzuca się to w oczy tak bezdyskusyjnie,jak obecność Belgii czy Szwecji,a nawet Grecji czy Portugalii.Przyciśnięci do muru kładziemy na szale jednego astronoma,paru muzyków,że dwie aktorki,które zdobyły sławę w świecie,jakby to była nasza zasługa.I jeszcze kilku literatów,w tym jednego,co pisał wyłącznie po angielsku... a tak naprawdę argumenty są tylko dwa: wielka europejska wojna,która wybuchła z naszego powodu,choć nie my ją wywołaliśmy,i wkrótce ogarnęła cały świat; i tysiącletnia przynależność do kościoła rzymskiego.

Po tysiącu lat doczekaliśmy się wzajemności.

Kopernik mógł sobie być lub nie być Niemcem czy Polakiem,Chopin Francuzem,Joseph Conrad Anglikiem a Izaak Singer Żydem przypadkowo urodzonym w Radzyminie albo Amerykaninem; ani Polska niczego na tym nie zyskała,ani oni nie stracili.Ale gdyby teraz,dziś,człowiekiem w białej sutannie,przewodniczącym kościoła rzymskiego nie był Polak, miejsce naszego kraju w Europie zostałoby skutecznie zachwiane,a Europa straciłaby może bezpowrotnie jedno ze swoich małych serc, położone w szczególnie czułym miejscu,którego nieustanne skurcze,tak często bolesne dają jej wciąż znać,że mimo wszystko jeszcze żyje, jeszcze istnieje,jeszcze jest komuś potrzebna.

Jak to się stało? Nie wiem.Zawdzięczamy to być może tylko jego osobistym walorom - albo też jest to jeszcze jedna piekielna niemiecka intryga,obliczona na sianie niepokoju na Wschodzie - bo wiadomo przecie,że to właśnie niemieccy kardynałowie sprzymierzeni z filadelfijskim Johnem i warszawsko-gnieźnieńskim Stefanem wydźwignęli krakowskiego biskupa Karola na ten najwyższy w rzymskim kościele stolec.

Gdyby ostatnie konklawe potoczyło się inaczej,wiele wypadków historycznych przybrałoby zapewne całkiem inny obrót. Kto wie,czy doszłoby w naszym kraju do demokratycznej i pokojowej rewolucji robotniczej osiemdziesiątego roku,a jeśliby doszło - tak,bo nagromadzona rozpacz,złość i poczucie krzywdy musiałyby wreszcie wybuchnąć! - czy odbyłoby się to tak elegancko,w tak wzorowym dżentelmeńskim stylu: negocjacje,pertraktacje,partnerskie kolokwia w fabrycznych świe-

tlicach i ministerialnych gabinetach? Jak Polak z Polakiem... Tylko że jeden z tych Polaków poczuł się dotkliwie obrażony, ba, wprost znieważony koniecznością rozmów z byle robotnikiem czy inteligentem. Zobaczył w tym, i słusznie, zamach na swe nadane prawa. O, gdyby polała się krew, gdyby poleciały zęby, jak dobrze wtedy by się poczuł, jak sprawnie wziąłby się do swojej katowskiej roboty. A tu trzeba było się cackać przez półtora roku z tą kulturą, z tą solidarnością, nowoczesnym wydaniem starej chrystusowej, ewangelicznej miłości bliźniego... Pewnie z tej niewyżytej złości ów partner Polak tak nafaszerował upragnioną a nieprzelaną w dostatecznej ilości krwią swoją zbrodnią i złosiejną propagandę stanu wojennego.

Jak to się stało? Tak się stało, że Polska w ostatnich latach dała światu dwie nieznane mu przedtem wartości, które zbliżyły ją do demokratycznej Europy i zarazem zachwiały Europę ku niej. Obie wsparte na paradoksie: jakby konserwatywne, wsteczne, tkwiące korzeniami w zamierzchłej przeszłości, w zapomnianej tradycji - a na tle martwoty rzeczy i idei współczesnego świata, wobec jego zdawałoby się nierozwiązywalnych problemów, wywołujących krew, pożogę, rozliczne zbrodnie - uderzające nowoczesnością, postępowością, perspektywizmem.

Jedna, to polski papież ze swoją niesłychaną społeczną teologią wyrosłą z dobrze ugruntowanego, konserwatywnego porządku myślenia, która poszerzając ku wszelkiemu dobru granice Boga skutecznie zajmuje miejsce po zbankrutowanym, skompromitowanym przez swych brutalnych realizatorów marksizmie; druga to Solidarność, buntowniczy ruch społeczny szerzący hasło miłości bliźniego, przenikający wszystkie klasy i warstwy łącznie z dzisiejszą nową klasą, choć przeciw niej skierowany; dobro gołymi rękami walczące z uzbrojonym po zęby złem, słowo prawdy zmagające się z ufryzowanym, utytułowanym, uteoretyzowanym fałszem; siła jakaś mityczna i mistyczna, baśniowa, już legendarna, choć dotykalna jeszcze tak niedawno - współczesny święty Jerzy! - Zagalopowałem się. Ale jakże to opisać, ten zniecierpliwiony ruch powalonego olbrzyma, po którym bezkarnie nasały lilipucie ludki, wyrywając mu włosy z brody i wgryzając się łakomymi zębatymi pyszczkami w mięso i naczynia krwionośne; olbrzym drgnął, uniósł się na łokciu i siadł, delikatnie zrywając oplatające go nitki i sznurki, zgarniając z siebie lilipucie pijawki tak, by nie skrzywdzić, z dobrodusznością ludową życzliwości dla wszelkiej żywiny; niewiele brakowało, a poniósłby się z kolan - lecz w tej chwili ujrzał wlepione w siebie czujne i bezwzględne, a z lekka podbarwione wyrazem ironicznego humoru oczy gigantów z sąsiedniego Brobdibnagu. Zawahał się, zacisnął pięści, opadł; po krótkiej walce z samym sobą raczej, niż z odrażającym go ponownie robactwem, położył się na wznak i znieruchomiał. Zwolna pokryła go mozolnie połatana i powiązana na supły stara pajęcza siatka.

Miało być o paradoksie: ta druga wartość, gdy odkryć jej zródła i korzenie, gdy oskrobać do żywej tkanki, to nic innego, jak stara polska kultura szlachecka, wsparta paradoksalnie na niewolniczym poddaniu ideałowi wolności - osobistej i narodowej. Tu nowy paradoks: najsilniej tym szlacheckim ideałem złotej wolności przesiąkł dzisiejszy chłop i robotnik polski.

Polski biskup Rzymu zródła jego ukochania wolności znajduje w Ewangelii. Czy to nie on odkrył, że niewola jest grzechem?

* ** *

Ma ich jeszcze, czuje ich przy sobie, miliony ludzi z którymi rozstał się przed dwiema godzinami i których już może nigdy więcej w życiu nie zobaczy; miliony, których oddechami oddychał, których myślami myślał i słowami mówił; miliony, które padszy na kolana - przed nim czy przed Bogiem? - wołały wielkim głosem o wolność i godność. A przed sobą małomownego, a teraz głucho milczącego, jakby ze ściśniętym gardłem człowieka, który jest z nakazu losu panem życia i

śmierci tamtych milionów.

- Najmniej wolny z nich wszystkich - pomyślał i przez chwilę miał wrażenie, że obaj powiedzieli na głos to samo. Ale generał milczał. Nerwowo zagryzał usta.

Coś w rodzaju współczucia? Może zakłopotanie? Papież wie przecież, że przekroczył uświęcone w poprzedzających jego pielgrzymkę mozolnych i stale łamiących się pertraktacjach granice; wywołał serię politycznych manifestacji, chociby wszyscy rzecznicy prasowi wszystkich stron i państw jednocześnie usiłowali temu zaprzeczyć; stanął na czele mas i mógł je poprowadzić wszędzie, gdzie tylko by zechciał, a najłatwiej i najprościej przeciwko władzy tego smutnego człowieka; czy powiedzieć mu, że nie było to jego celem?

- Wiem, że nie mogło być inaczej - odezwał się generał i obaj złapali się na tym, że myśleli o tym samym.

Szli przez sale przepełnione jagiellońskim majestatem i szczególnie charakterystycznym dla tego miejsca powściągliwym przepychem, dwaj tak rożni, a równoprawni dziedzice i spadkobiercy tego bogactwa i tego majestatu. Równoprawni?

- Przygotowanie psychologiczne? - zastanawiał się generał.

- Nauka odpowiedzialności - odpowiadał mu w myślach papież.

Ta milcząca rozmowa trwała już kilkanaście minut. Przystawali przed arrasami ze zbiorów Zygmunta Augusta, przed portretami królów, hetmanów, biskupów, przed widokami okrwawionych pól bitewnych i miast, wypełnionych ludzką pracą. Generał niecierpliwił się. To było bardzo interesujące, w swojej ciężkiej pracy i służbie tak mało miał okazji do kontemplowania sztuki, ale...

- Zostało nam niewiele czasu - odezwał się wreszcie.

- To nic nie szkodzi - uśmiechnął się papież. - Przecież niezależnie od tego, co sobie tu powiemy, najważniejsze już jest za nami: raz jeszcze spotkaliśmy się. Świat ma tę swoją dobrą wiadomość.

- Czy ona jest dobra, i dla kogo? Cui prodest?

Papież spojrzał z zainteresowaniem. Mały drobny ślad humanistycznego wychowania, w starej dobrej szkole czy w rodzinie? Obu jednocześnie przemknął przez wyobraźnię wywołany łacińskim cytatem obraz brzydkiego dorastającego chłopca w komży, służącego do mszy w parafialnym kościele. Czy każdy z nich pomyślał o sobie, czy o tym drugim?

- Z całej tej potęgi - mówił papież - zostały tylko małe części ziemi i ludzi, a z nimi kultura; ci ludzie na tej ziemi stworzyli naród, który przetrzymał najstraszliwsze doświadczenia dziejów. Pośród rozbiorów, najazdów i okupacji zachował własną tożsamość i suwerenność nie w oparciu o jakiekolwiek środki fizycznej potęgi, ale tylko o własną kulturę, która okazała się w tym wypadku potęgą większą od od wszelkich innych tamtych mocy. I tylko tym trzem sprawom warto i trzeba służyć, im przynosić pożytek: ziemi, ludziom i kulturze.

- Ale państwo? Państwa! Jedyna gwarancja trwałości i siły! Jedyne jakie mamy!

- Twoje państwo, panie generale, ma tylko jedną rzecz dobrą: granice. Wszystko inne, cała jego struktura, jego ideologia i propaganda, jego niepowstrzymany pęd do ogarniania swym wpływem wszystkich dziedzin życia i przy tym nieporadność, niezdarność organizacyjna, jego małe kłamstwa i wielkie oszustwa, jego zasada panowania nad obywatelem zamiast służenia mu, jego automatyczna zdolność do niszczenia ludzi i rzeczy, marnotrawienia dorobku ludzkiej pracy, poniżania godności obywateli i narodu, to wszystko jest więcej niż złem, jest wielkim złym głupstwem - oto jakie jest twoje państwo.

- Ale to jest państwo. Naród bez państwa... - zaczął replikę.

- Państwo bez narodu, państwo przeciw narodowi, czym jest? I po co? Jest tylko najeżoną bagnetami obróconymi do wewnątrz fortecą. Pustym szkieletem istniejącym sam dla siebie, i może jeszcze dla cudzych, obcych interesów. Jeśli to się nie zmieni, ten szkielet kiedyś

runie.

- Nie runie.To jest mocna konstrukcja.Może trwać.

- Nie może trwać.Nie może trwać państwo,z którym nie utożsamia się większość obywateli,które większość obywateli traktuje jak niewygodną,zamkniętą klatkę,do której zostali siłą wpędzeni i siłą są w niej przetrzymywani.Państwo,które wy sami,rządzący w nim i sprawujący rozmaite urzędy i dostojeństwa,traktujecie jak więzienie dla współrodaków. Każdy kocha ojczyznę.Kto kocha to państwo,które bezmyślnie traktuje i niszczy własną ziemię,wodę i powietrze,prześladuje i ogranicza w każdym ludzkim działaniu swoich obywateli, kompromituje wielką przeszłość i piękną tradycję narodu używając ich do usprawiedliwienia swej dzisiejszej nicości - państwo,które sponiewiera godność swych urzędów i funkcji dobierając do ich pełnienia najciemniejszych i najpodlejszych łobuzów,złodziei i oszustów? To byli pańscy koledzy. Czym pan różni się od nich? Czym różnią się,czym wyróżniają się ludzie,którzy stoją na czele tego państwa? Kto ich wybrał? Czyim szacunkiem się cieszą,jaką powagą są obdarzeni? Kto w kraju i na świecie gotów jest oprzeć się na ich zdaniu,kto uwierzy ich słowu? Wreszcie państwo,które zamiast być jak dom rodzinny własnością wszystkich jego mieszkańców,jest własnością grupową waszej mniejszości,nadaną wam przez obcą potęgę.Czy fakt,że stało się to za sprawą wielkiej zdrady,jakiej się dopuściły wobec nas światowe mocarstwa - czy fakt, że nie możemy tego zmienić własnymi siłami,zdejmuje z was piętno zdrady i hańby? Czy rezygnacja,zobojętnienie na sprawy publiczne,pogodzenie się ludzi ze złem,którego nie można zwalczyć,ma być tym fundamentem,na którym utrwali się to wasze państwo? Ono runie. Musi runąć,grzebiąc całe to zło,którego nikt nie jest w stanie naprawić, pod swoimi ruinami. Co wtedy z was zostanie?

- My i wy to jedno.Co z nas zostanie?

- Zostanie naród,kościół i kultura.Zostaną ludzie.Będzie ich,bo już nie nas,czekać nowa walka o granice... o miejsce na ziemi,przesuwane już tylekroć przez wieki z zachodu na wschód i ze wschodu na zachód... O nowe państwo,które jako wyraz suwerenności narodu będzie prawidłowym urzeczywistnieniem porządku społecznego.

- Nie mówmy o tym,Mówmy o tym,co dziś.

Czy kto uwierzy,że w czasie tej rozmowy padły te słowa?

* * *

Znaleźli się na wstępie komnat,urządzonych dla królów z dynastii Wazów; ciężkie meble,obite kurdybanem ściany mimo ogromu sal sprawiały wrażenie zamknięcia,przytłoczenia.

- Zostało nam niewiele czasu - odezwał się generał i z zawodową sprawnością rozejrzał się wokół,by upewnić się,czy jest to właściwe miejsce dla rozpoczęcia rozmowy.

- Zapraszam pana do siebie.Wszystko przygotowane,kawa herbata... Generał spłoszył się.

- Nie,nie... Wolałbym gdzieś tutaj... Bez świadków.

- Rozumiem.

I nagle ta olśniewająca myśl,można powiedzieć rezyserska.Jest tu kaplica przylegająca do sypialni królewskiej,wbudowana w jedną z wawelskich baszt,niewielkie ciemne pomieszczenie z wczesnobarokowym ołtarzykiem i dwoma klęcznikami - miejsce,gdzie arcykatoliccy i dewocyjni Wazowie,co to w Szwecji jeszcze wybrali wiarę miast korony i w nagrodę Bóg ich obdarzył Królestwem Polskim wraz z Wielkim Księstwem Litewskim,Ruskim,Pruskim etc.etc... - oddawali się dziękczynnym modłom i zażowali za grzechy.

Generał wprawnym okiem dokonał przeglądu ścian i zakamarków kaplicy. Grube mury izolowały skutecznie od wszelkiej ludzkiej ciekawości.Nikomu też w ciągu wieków ubiegłych,ani w teraźniejszości nie

przyszło do głowy założyć w tak ustronnym i dalekim od spraw świeckich miejscu choćby jednego mikrofonu podsłuchowego.Na przeszkodzie stanęły zapewne najpierw trudności techniczne - brak odpowiedniej aparatury,późne przyjście na świat Edisona - a potem brak wyobraźni właściwych pracowników właściwych służb.

Byli sami.

- Ponoszę odpowiedzialność -odezwał się wreszcie po krótkiej walce wewnętrznej. - Ponoszę odpowiedzialność,chociaż oni wierzą bardziej panu... waszej świątobliwości - poprawił się i spojrzał z zakłopotaniem,papież machnął ręką - wierzą bardziej panu niż mnie.

- Oni panu wcale nie wierzą,po tym co pan zrobił.Ale nie zdejmuje to z pana odpowiedzialności. Ani ze mnie. I co jest dla mnie w tej sytuacji szczególnie trudne i przykre,to że muszę dzielić ją z panem.Jak cały kościół polski.Proszę tej przykrości nie brać do siebie osobiście.Jako osoba prywatna może pan być,i pewnie jest pan kimś,kto ma o sobie całkiem inne wyobrażenie.Ale nie jest pan osobą prywatną.

Generał słuchał z uczuciem krzywdy.Czy musi mi to mówić? Mam tych wiadomości w nadmiarze,znoszą mi je w naszłuchach wrogich rozgłośni, w wycinkach z zagranicznej prasy,w badaniach moich własnych biur informacyjnych i ośrodków analiz opinii publicznej.Z tym,że wyniki tych ostatnich dzielę przez cztery i otrzymuję od wielu miesięcy stale ten sam rezultat,oscylujący pomiędzy trzema a siedmioma procentami obywateli okazujących zaufanie do rządu...

- Władza nie musi być lubiana... - zaczął wygłaszać frazes zaczerpnięty z jednego ze swych ostatnich przemówień,w stylu opracowanym przez osobistych doradców pewnych swej demagogicznej zręczności. - Władza... - tu urwał,zdając sobie nagle sprawę z anachroniczności tego sposobu myślenia i bezprzedmiotowości tego rodzaju określeń.Nie musi być lubiana,nie musi być akceptowana... Władza! Owo godne i pożyteczne władanie,zawierające w sobie istotny zródłosłowny element ładu i piękna - pozbawione zaplecza zgodnej ludzkiej wspólnoty zamieniło się w zwykłą przemoc,w brutalną niewolę wzajemną rządzonych i rządzących. Władza! Nie odczuwał żadnej przyjemności nasycającej szekspirowskich bohaterów,gdy wymawiali to słowo.Nie cieszyło go poczucie,że ją sprawuje,że ją ma - przeciwnie,przygniatało szczególnie przykrym brzemieniem i gdyby nie wyuczone przez lata służby wojskowej poczucie obowiązku przyznałby się zaraz tu na miejscu,w cichości, wobec tego przyjaźnie /dlaczego?/ i ze zrozumieniem /czy to możliwe?/ uśmiechniętego człowieka,albo choćby tylko przed samym sobą,na co również nigdy sobie nie pozwalał,że ma ochotę ciapnąć to wszystko do diabła i zwiać /z żoną czy z córką? - żadna mnie nie rozumie/ do małego drewnianego domku,wybudowanego z oficerskich oszczędności nad jeziorem,na pograniczu Warmii i Mazur.

- Nie to chciałem powiedzieć - rzekł. - Nie to. Chciałem powiedzieć,że nie mam innego wyjścia.

Dalszy ciąg tej konstrukcji myślowej także miał już gotowy. Główna jej słabość techniczna,niezależnie od merytorycznej,polegała na tym,że raz już z niej skorzystał wobec tego samego człowieka w białej sutannie,który patrzył teraz na niego cierpliwie wsparłszy obie dłonie na szeroko rozwartych kolanach,gestem zaobserwowanym wielokrotnie u odpoczywających na zwalonym pniu syberyjskich drwali.

Siedzieli obok siebie w półmroku wawelskiej kaplicy na drewnianej ławce pod ścianą.

Mógł więc,tak jak na początku wizyty papieża,w tasiemcowym przemówieniu znienacka wygłoszonym w Belwederze,co zresztą zrujnowało dostojnemu gościowi porządek dnia,ale za to wypełniło telewizyjną transmisję z tej uroczystości tak zwaną słuszną treścią - mógł więc tak jak wówczas zacytować KOściuszkę: "Jest czas,w którym trzeba poświęcać wiele,aby wszystko ocalić".a potem tłumaczyć się,tłumaczyć, usprawiedliwiać,w oględnych słowach sugerować nieuniknione zagrożenie

ze strony wielkiego Sąsiada bez wstydu zwanego przyjacielem,najaśniejszego gwaranta swojej własnej wolności i suwerenności rabowania Polski do spółki z jej miejscowymi właścicielami. Mówić o prawie,o prawdzie,o pokoju, o porozumieniu,o odnowie,mówić,mowic... i nie przekonać nikogo,nawet samego siebie.

Papież miał także Kościuszkę świeżo w pamięci."Finis Poloniae!" - krzyczał we snach widząc siebie na czele walczących przeciw radzieckim czołgom szeregów Solidarności,i padając tanny na ręce czerwonoarmistów o mongolskich twarzach budził się zlany potem. Nie,to nieprawda,że wysłał list do Breżniewa,gdzie ta senna figura wpisana została jakoby w rodzaj groźby czy ostrzeżenia... Takiego upadku dyplomacji watykańskiej nie spowodowałby żaden,nawet najbardziej zagorzały w swych patriotycznych uczuciach wobec ojczystego kraju papież. Ale ksiądz Levi z "Osservatore Romano",najbliższy sprawom polskim ze wszystkich obcych urzędujących w stolicy Piotrowej,powiernik Wojtyły i Wałęsy,gdyby przełamał swą uprzejmą lęcz stanowczą dyskrecję,wiele mógłby opowiedzieć o podtekstach owej plotki,która w swoim czasie obiegła świat...

Poświęcić wiele,ocalić wszystko... Ileż to razy z tym smutnym wojskowym,beznadziejnie zaplątanym w nierozwiązywalne dylematy swojej osobowości i państwa,na czele którego stanął by rozwiązać wszystkie jego problemy i natychmiast je pokomplikował do granic możliwości; pogrążonym po uszy w sprzeczności szarpiące go na równi z każdym obywatelem tej społeczności mimo pozornego chłodu i dystynkcji,jakie stara się zachować publicznie - nie teraz,w tej kaplicy, gdzie nie musiał,ani nawet nie próbował - ileż to razy zdarzało się,że używali wspólnie z nim tych samych słów,podobnych zwrotów frazeologicznych, prawie identycznych formuł... a zawsze mając na myśli coś zupełnie innego.Wiele,wszystko... O ileż to za wiele poświęcono,jak dalece za mało ocalono? Zastanawiał się nad granicami ludzkich wyborów,nad niesprawiedliwością rzekomych pewników,dzięki którym ludzie potrafią utrzymać się w granicach zadowolenia z własnych czynów i słów.Ten tu nie wygląda na szczęśliwego.Czytając jego przemówienia,które od dwóch lat tak często przynoszono mu w codziennym serwisie prasowym /Boże, co za nudy!/ zawsze zdumiewał się,skąd tyle pewności siebie w tak mało doświadczonym człowieku,który większość życia spędził po wojskowych kancelariach,w otoczeniu umundurowanych kukieł,zdala od prawdziwych żywych ludzi i ich życiowych problemów.Ta sztywna wojskowa rzeczowość,rozkazowo-meldunkowy styl myślenia... Zawsze podejrzewał, że kryje się za tym totalna niekompetencja,z wyjątkiem spraw związanych z czyszczeniem broni,obsługą wyrzutni rakietowych i organizacją dużych podchodów,czyli manewrów.Coś infantylnego.W tym zapewne tkwiło źródło charakterystycznej dla wszystkich wojskowych reżimów frustracji i neurastenii,prowadzącej wręcz do histerii.No,bo jakże to: wielkie talenty organizacyjne,niesłychanie rozwinięty organizatorstwo,ułożone w najdrobniejszych szczegółach marszruty i kosztorysy,plany gier i terminarze - a wszystko całkowicie nieskuteczne,dziki bałagan,narastająca sterta spraw do załatwienia,piętrzące się wciąż nowe sprzeczności i konflikty... Nic tylko siąść i płakać,albo dać komuś w mordę.Jak w kolekcji znaczków pocztowych przebiegły mu przed półprzymkniętymi oczyma ozdobione wyniosłymi wojskowymi czapami główki Horthy'ego,Franco,Mussoliniego /ta jedna w hełmie/,Hitlera, Pinocheta,Idi Amina... Wzdrygnął się.Chyba jednak trochę przesadziłem - pomyślał.

Siedzący obok niego człowiek nie robił wcale wrażenia pewnego siebie.Nie można także powiedzieć: był roztrzęsiony.Ale,że opanowywał się z najwyższym trudem,to było widać.Czy mógłby mu przyjść z pomocą? Wymagało to czegoś więcej,niż chrześcijańska miłość bliźniego, choć naprawdę trudno wyobrazić sobie coś,co może przekroczyć tę uniwersalną dobroć.Pomyślał sobie po raz nie wiadomo który z rzędu,że

zrozumieć to przebaczyć, i zastanawiać się nad możliwością współczucia bez przebaczenia i przebaczenia bez akceptacji. Jeśli człowiek tego nie potrafi, czy Bóg tak przebacza?

Czy moja koncepcja chrześcijaństwa, moja wiara, w której centrum stoi człowiek - pierwsza i podstawowa droga Kościoła, jak napisał w encyklice "Redemptor hominis" - pozwala mi odepchnąć tego może najbardziej łaknącego wsparcia i zrozumienia ze wszystkich niezrozumianych i odepchniętych? A potem w skutkach skazać na nienawiść i zemstę miliony ludzi zależnych od stanu nerwów i samopoczucia tego człowieka... Czy jego los własny, jego równowaga psychiczna i zdolność do prawidłowej samooceny mogą mi być obojętne, skoro od nich zależy los milionów? A może mniejszym złem byłoby przyjęcie grzechu pychy, która pozwala uznać siebie sędzią innych, i skazanie tego człowieka, będącego jak wszyscy inni wierni obrazem i podobieństwem Boga, na samotność pośród wzgardy i nienawiści, odpłacanej coraz gorszą monetą? Czy podnieść go z kolan, na których klęczy pełen bólu i skruchy - Boże, co on robi? On klęczy? - podnieść, pocieszyć, rozgrzeszyć, i w ten sposób choć trochę przyczynić się do przywrócenia tych wartości, które życie społeczne w moim rodzinnym kraju uczynią godnym człowieka, stworzonego na obraz i podobieństwo boże?

Czy jest tu albo na świecie inny człowiek, który miałby tę samą moc uczynienia dobra lub zła? Czy jest tu lub na świecie inny, choć jeden człowiek, który umiałby w tej możliwości oddzielić dobro od zła, albo też z góry przesądzić, że cokolwiek zrobię, będzie dobre?

- Przychodząc tu obudziłeś nadzieje - mówił generał - których spełnienie nie jest możliwe. Spełnienie ich nie leży ani w twoich, ani też w moich możliwościach. Tliły się zawsze, czywając czasem żarliwszą iskrę, albo wybuchając płomieniem, który stawał się natychmiast sygnałem alarmu dla straży pożarnej. Podsycając tę iskrę, czy przybliżyłeś choć trochę czas spełnienia? Przeciwnie. Obudziłeś tylko większą czujność. Zmusiłeś nas do szukania innych, lepszych metod gaszenia pożarów. Do tłumienia ognia w zarodku. Wyzbycie się nadziei uczynimy obywatelskim obowiązkiem, przedmiotem nauczania w szkole, warunkiem zawodowego awansu, będziemy za nie nagradzać orderami, zapłacimy pieniędzmi albo - z powodu stałej dewaluacji - towarami.

- Czy bez tego płomyka można w ogóle żyć?

- Można żyć, i to nawet lepiej. Jest to warunek poprawy życia. Czy możliwe, czy potrzebne jest zbawienie w życiu doczesnym? Po cóż nauka o odkupieniu? Czy te próby, jakie przechodzi człowiek, nie są z nakazu Boga? Czy wzorem innych papieży nie powinieneś raczej nakłaniać naszych wspólnych owieczek do cierpliwości i pokory, niż do buntu i egzekucji domniemanych praw? Niech Polaki się modlą, czczą cara i wierzą.

- Królestwo Boże na ziemi - uśmiechnął się w myślach do siebie - to obecność Boga w człowieku. Dobra w człowieku. Dobra?

Przypomniał sobie tylekroć dawniej oglądane i tak często przez księży dziś będących bliżej prawdy życia opisywane sceny degeneracji moralnej tego społeczeństwa i tych ludzi, ich spodelnia w życiu bez godności, zapijaczenia i utraty poczucia więzów ze społecznością, z rodziną, z tradycją... Utraty szacunku dla pracy, dla drugiego człowieka, dla siebie samego wreszcie. Człwiek - jako dzieło Boga i obraz Boga? Czy tym ludziom, czy temu tłumowi, bo nie społeczeństwu, należy się lepszy los niż ów generalski ład i porządek?

Otrząsnął się od złych myśli. Oto dlaczego duchowego posłannictwa Kościoła nie mógł, nie umiał oddzielić od spraw politycznych. Oto dlaczego, panie generale, w runki w jakich człowiek bytuje, które pogrążają go w grzechu lub od niego uwalniają, które go uszlachetniają lub upadlają, które mu przywracają lub odbierają nadaną przez Boga godność ludzką, nie są i nie mogą być obojętne dla duchowego pasterza, dla sternika łodzi piotrowej... Dla każdego księdza. Dla każdego zresztą

człowieka,jeśli polska...

Jeśli Polska ma żyć,pan musi...

- Nie mogę - wołał generał.

- Pan może.

- Nie mogę! Nie mogę - bronił się przed każdą,nawet najbardziej delikatnie sformułowaną propozycją koniecznych zmian.

- Pan może.

To słowo "pan",tak naturalnie brzmiące w jego ustach,trafiało do uszu generała z pewnym utrudnieniem,które można nazwać psychiczną barierą dźwięku.Był to skutek wieloletniego treningu,stałego przebywania w środowiskach,które usiłowały same siebie skłamać przez odkształcenie wrażliwości.Oficjalna tytulatura "obywatel","towarzysz" pozwalała schować się wewnętrznie,ukryć pod skorupą.Słowo "pan" mimo mobilizacji całego systemu obrony otwierało tajemną szczelinę prowadzącą do wnętrza,a za nim wdzierała się treść wypowiadanych miękkim, pełnym serdeczności i ciepła głosem,a tak nieodparcie przekonywających argumentów.

Dysonansem odezwał się w pamięci równie miły i ciepły,a tak różny w odbiorze głos marszałka Kulikowa,naczelnego dowódcy wojsk paktu warszawskiego,będącego z tego tytułu bezpośrednim przełożonym naszego generała; do i raz zwykł on urządzać porodniowe rekolekcje swemu suwerennemu koledze,w czasie których wykładał co trzeba i należy; dawało mu to odczuć cały gorzki smak tej niepodległości.I rzecz nawet nie w tym,że obaj chcą całkiem różnych rzeczy,że istnieją między nimi jakieś różnice polityczne czy ideowe; obaj,radziecki marszałek i polski generał jednakowo wiernie służą temu samemu systemowi,ten system akceptują i umacniają,z nim się identyfikują,popierają go i bronią z całego serca i ze wszystkich sił,z przekonaniem,jakie praktykujący a niefilozofujący marksista pielęgnuje w sobie dla uświadomionej konieczności.Chodzi,bo ja wiem? - zastanawiał się - o styl? O smak? O smak bycia sobą,podejmowania własnych,choć tak ograniczonych przez to,co można,do tego,czego się chce,decyzji; o gust? O gust do tego,aby być panem na własnych śmieciach? O suwerenność wewnętrzną - sformułował wreszcie - równie ważną,a może nawet ważniejszą niż ta nieosiągalna zewnętrzna?

Gdy słuchał o potrzebie zapewnienia elementarnej podmiotowości obywatelom swego państwa ,jako niezbywalnym warunku jego istnienia i rozwoju,odnowy i porozumienia,stawała mu w oczach jego własna podmiotowość w całej swej ironicznej krasie.

- Pan może...

Skurcz w gardle,potem w okolicy żołądka,może serca -ból promieniujący przez obojczyki do szczęki,do dziąseł pod zęby; przez ściśnięte gardło ledwie mógł wymówić słowa,które z trudem docierały do uszu papieża:

- Gdy ciebie nie było,łatwiej było mi żyć,a zwłaszcza rządzić; rządzić i żyć.Zdegradowałeś mnie,rzuciłeś w proch,obnażyłeś nicość moją i moich ludzi; czy tak się godzi,czy to po chrześcijańsku?Czy nie za wiele w tym pychy,a nie za mało pokory? Jakiej świętości,jakiego poświęcenia chcesz ode mnie,aby wypełniła się moja ofiara?

x x x

Nie chcę ani trochę przesadzić,nic dodać nic ująć.Piszę tylko to co wiem.W pewnej chwili generał bez względu na nieskazitelność swych wojskowych spodni,zaprasowanych w przepisowy kant i ozdobionych granatowym lampasem po bokach wzdłuż zewnętrznych szwów,padł na kolana, chwycił dłoń Ojca Świętego w swe ręce i musnął ją wargami.Człowiek w białej sutannie opanował przenikający go dreszcz.

Bóg na ołtarzu wawelskiej kaplicy zamkowej trwał nieporuszony. Tylko przyćmione światło elektrycznego lichtarza jakby zamigotało.

- Spowiadam się Panu Bogu Wszechmogącemu,w Trójcy Świętej jedynemu...

Człowiek w białej sutannie słuchał zasłoniwszy twarz rękami.

Mroczną kaplicę wypełnił przenikliwy,świszczący szept i porwany,przyśpieszony oddech klęczącego z pochyloną głową człowieka w mundurze.Słowa goniły słowa,rozpoczęte zdania urywały się,gdy nowe już biegły w potowie,choć nie miały się wcale zakończyć; gorączka myśli wywoływała febrę słów.

Tragedie,które sam przeżył i tragedie,które sam spowodował; niepomszczona i zapomniana,nie tyle darowana co przepłacona śmierć bliskich i śmierć,którą przywołał do swej służby grożąc nią tłumom za nieposłuszeństwo; zdrady,których się sam dopuścił i bunty przeciw sobie,które karał bezprawnie; zagarnięcie władzy i ograbienie milionów ludzi z ich praw; zła wola i dobre chęci; zło w sobie,zło wokół,zło w ludziach,plamy krwi,liszaje brudu na rękach i na sumieniu,to wszystko jak prześladowczy sen,który snuje się na pograniczu jawy nie pozwalając ani zasnąć,ani wrócić do rzeczywistości,pomieszane w bezładnym strumieniu słów płynęło jak krwotok z otwartej rany; nie wiadomo,przynosząc ulgę czy nowe cierpienia?

Nagle umilkł.

Z wyrazem swej zwykłej dobroci na szerokiej,otwartej twarzy polskiego chłopa,papież uniósł nieco lewą dłoń i rozpostartą położył na rzadkich włosach porastających głowę generała.Cóż za pogmatwane kłębowisko sprzecznych uczuć! Tragiczna postać - pomyślał.Zdumiało go, że była w tym sama konstatacja,ani śladu współczucia,Powinienem się z tego wyspowiadać - uśmiechnął się wewnętrznie.

- Mea culpa,mea culpa,mea maxima culpa - wyszeptał prawie bezgłośnie klęczący.

Papież stuknął trzykrotnie kostką wskazującego palca prawej dłoni w drewniany klęcznik.

Parę minut później w wawelskiej sieni znów błysnęły jupitery, zaterkotała kamera, trzasnęły ze sprężynowym sykiem aparaty fotograficzne,Przygotowany uprzednio lakoniczny komunikat biura prasowego Watykanu pomknął w świat,spóźniając się nieco za informacją Polskiej Agencji Prasowej:

"Na zakończenie oficjalnej części wizyty papieskiej w Polsce strona kościelna zaproponowała spotkanie Jego Świątobliwości Jana Pawła II z prezesem Rady Ministrów PRL,generałem armii Wojciechem Jaruzelskim.Spotkanie miało miejsce na Wawelu dnia 22 czerwca 1983 roku.Było ono kontynuacją rozmów przeprowadzonych dnia 17 czerwca br. w Belwederze.Wyrażono nadzieję,że wizyta przyczyni się do pokojowego i pomyślnego rozwoju życia społecznego w Polsce oraz do umocnienia pokoju w Europie i na świecie.Uznano także,że dalsze kontakty między Stolicą Apostolską a Polską Rzeczą pospolitą Ludową będą służyć dobru państwa i Kościoła."

15 sierpnia 1983.

+++

Ten człowiek dosyć płakał po chlebie i soli.
Chleb normalnie,w bałkańskim sklepiku, kupuje.
Na czarnym miodzie, według starego porządku,
Trafia się kłos zapiekły jak paproch w żywicy.
A w ogóle nie pamięta soli tak prawdziwej
Starannie nieczyszczonej, anty-rakotwórczej.

Tu punktualne kwiaty pilnują się strefy.
Owady są na miejscu i zioła w komplecie,
Specjalne służby dbają, żadnego nie zbraknie
Ptaki według atlasu, przyloty, odloty.
Upartemu znajoma muzyka w ogrodzie,
Niech się dalej ogląda dopóki nie zaśnie.

Kto pragnie spotka w leaie klasyczne maliny,
Poznaje śniegi, pierwszy, średni i ostatni,
Podobnie iskrzy rosa, zagrzewa ognisko,
Że dęby są jaśniejsze można machnąć ręką,
Jest wolny, jakby dzisiaj się urodził
W chmurach nocnego lotu nad morzem niczyim.

+ + +

Błysnęły trąby wojenne, stryj ucałował i poszedł
Ciotka wyczekiwała z drżeniem na samą myśl
Do tej powrotnej nocy pięć lat się szykowała
Sprawdzała się przed lustrem wieczornym i porannym
Kuzynek dorastał podglądał ciotkę przez dziurkę od klucza
Wzbraniała sobie łez zmarszczek od śmiechu słońca
Budziła się, usypiała, modlitwą, gimnastyką
Kręcili się bezskutecznie gotowi do śmierci mężczyźni

Aż nadszedł dzień triumfu, kuzynek położył się z ciotką
Otwarte oczy ciotki, za oknem pryskają rakiety
W tydzień później zaginął i ciała nie znaleziono
Stryj ożeniony w Australii, ciotka dostaje paczki
Wreszcie spotkała na wczasach kulturalnego pana
Stryj-ciotka jeszcze raz zobaczą się przed śmiercią
Przypadkiem gdzieś w Europie, dokoła plac z fontanną
Opowiedzieli sobie trzydzieści parę lat życia
Fotograficzne dzieci, pies, kot, auto, ganek
Tu zima a tam lato, sposoby na choroby
Wszystko jest jak najlepiej i czas się rozstać na zawsze
Wtedy ciotka wyznaje wojenny grzech z kuzynkiem
Ani się śmiać ani płakać. Patrzą. Żadnego bólu
Jeden skrócony oddech. Jedno przymknięcie powiek.
I tak się kończy wojna zwycięska dla ciotki i stryja.

MARTIN ESSLIN

G O R Z K I C H L E B W Y G N A N I A

/Brecht pomiędzy Związkiem Radzieckim a Stanami Zjednoczonymi/

Exodus niemieckich intelektualistów z "Reichu" Hitlera po jego dojściu do władzy w styczniu 1933 roku - niemal pół wieku temu - należy do najdonioślejszych przesunięć kulturalnego środka ciężkości, jakie zna świat zachodni; można je porównać tylko z napływem uczonych bizantyjskich do Italii po upadku Cesarstwa Wschodniego.

Dola pisarzy - licznych wśród tych wygnańców - była szczególnie tragiczna. Żyli z języka, a jeszcze przed wybuchem wojny coraz bardziej kurczyła się strefa, gdzie można było swobodnie wydawać niemieckie książki, gazety i czasopisma: z początku bardziej czy mniej otwarta była dla nich Szwajcaria, Austria i niemieckojęzyczne rejony Czechosłowacji - dopóki kraje te pozostawały wolne od władzy hitlerowskiej. Oczywiście również rosnące kolonie uciekinierów w Holandii, Francji, Belgii i innych krajach, w których niemieccy intelektualiści znajdowali schronienie, stanowiły dodatkowy choć ograniczony rynek zbytu dla dzieł niemieckich pisarzy.

Sam pamiętam - byłem wtedy dzieckiem - szereg osowiałych, nieco obdartych, choć jeszcze starannie ubranych postaci przewijających się przez dom mojego ojca w Wiedniu w pierwszych miesiącach 1933 roku. Owi pisarze i dziennikarze mówili o swoich dokonaniach, znakomitych stanowiskach, jakie zajmowali, książkach, jakie napisali; wszyscy oni szukali stałej pracy. Każdy z nich miał projekt nowego czasopisma, które chciał wydawać, czy nowej rewolucyjnej książki, która by zdemaskowała hitlerowski fałsz przed światem, jak dotąd nieświadomym niebezpieczeństwa grożącego ze strony tego rządu bezwzględnych gangsterów. /Tak jak gdyby świat zachodni interesował się tymi przestrogami, które wkrótce okazały się aż za dobrze uzasadnione!/ Pamiętam wśród tych gości zasępioną smagłą twarz Juliusa Haya, węgierskiego pisarza, który zaliczał się do czołowych dramaturgów przedhitlerowskiego Berlina: łagodny głos, głębokie, melancholijne spojrzenie. Jego najnowszą sztukę wystawił właśnie Max Reinhardt w "Deutsches Theater" - ostatnie przedstawienie przed przejęciem teatru przez hitlerowców. Jako komunista Hay naraził się władzom austriackim po krótkiej wojnie domowej w lutym 1934 roku /kiedy socjaldemokraci zostali zgnieceni przez partię katolicko-faszystowską/. Spędził kilka miesięcy w więzieniu, a po zwolnieniu wyemigrował do Związku Sowieckiego.

Julius Hay zajmuje poczesne miejsce w książce, zawierającej pierwszą szczegółową relację o losie niemieckich pisarzy, którzy wyemigrowali do "ojczyzny światowego socjalizmu" /1/. Autor, David Pike, amerykański uczony, któremu udało się dotrzeć do archiwów niektórych głównych wydawnictw emigracyjnych w Związku Sowieckim, a także do dokumentacji znajdującej się na Węgrzech / na przykład do archiwum György Lukácsa/ i we wschodnioniemieckiej NRD, podaje niezwykle odkrywczą relację o tragicznej historii tego odłamu niemieckiej emigracji literackiej. Wśród bohaterów opowieści znajdujemy Bertolta Brechta, tego wzorcowego przedstawiciela niemieckiej literatury na wygnaniu. Chociaż Brecht sam nie stał się jednym z niemieckich emigrantów w

---

/1/ D.Pike: G e r m a n W r i t e r s i n S o v i e t E x i l e 1 9 3 3 - 1 9 4 5. University of North Carolina Press. Wyd. oryginalne: D e u t s c h e S c h r i f t s t e l l e r i m s o w j e t i s c h e n E x i l 1 9 3 3 - 1 9 4 5. Frankfurt, Suhrkamp.

ZSRR, to jednak był wplątany w tamtejsze wydarzenia jako gość, jako przyjaciel wielu wybitniejszych emigrantów a także jako redaktor - korespondencyjny - czołowego niemieckiego czasopisma emigracyjnego w Moskwie. Niedawne opublikowanie pierwszego zbiorowego wydania listów Brechta /2/ - choć niekompletnego i niewątpliwie ocenzurowanego ze względów politycznych i personalnych znanych najlepiej spadkobiercom Brechta i jego zachodnioberlińskim wydawcom - korzystnie uzupełnia tę stronę historii niemieckich pisarzy-wygnańców w imperium Stalina. Oparte na gruntownych badaniach i przejrzyście napisane studium o latach, jakie Brecht spędził na swoim amerykańskim wygnaniu, wydane w 1980 roku, stanowi pouczający kontrast /3/.

Brecht stanowi w ten sposób korzystny przykład dla pewnych refleksji nad "szokiem kulturowym" i wynikłym zeń procesem bolesnego dopasowywania się - lub całkowitą niemożnością adaptacji - kształtującym los wielu wybitnych emigrantów literackich, którzy osiedli na dwu przeciwległych krańcach niehitlerowskiego świata. Zjawisko to warte jest niewątpliwie pewnej uwagi, bowiem pozwala ujrzeć los Europejczyków skonfrontowanych z całkowicie obcymi im postawami i tradycjami dwu nowych supermocarstw, które wkrótce miały wywrzeć największy wpływ na przebieg wydarzeń światowych w drugiej połowie stulecia, mocarstw będących spadkobiercami europejskiego dziedzictwa kulturalnego, ale jednocześnie odbiegających od niego w sposób skrajny i zasadniczy.

W Związku Sowieckim niemieccy pisarze i intelektualiści zetknęli się ze światem bizantyńskiej intrygi, podejrzeń i skorumpowanej biurokracji, a udali się tam z nadzieją wkroczenia w świat utopijnej przyjaźni i światła, spełnienia wszystkich swoich marzeń o humanistycznej doskonałości. W Stanach Zjednoczonych Brecht i jego współwygnańcy napotkali rzeczywistość równie obcą i niepokojącą, kraj nic nie wiedzący o prestiżu, jakim intelektualiści cieszyli się w Europie, i nieświadomy jakichkolwiek zobowiązań okazywania im czci.

W ostatnich latach Republiki Weimarskiej Związek Sowiecki miał coraz lepszą opinię wśród lewicowych intelektualistów niemieckich. Rozbudowana organizacja propagandowa i imperium wydawnicze Williego Münzenberga oraz produkcja takich wydawców jak Malik Verlag łącznie z tryumfalnymi objazdami sowieckich teatrów /MCHAT, zespoły Meyerholda i Tairowa/ a także niezwykłe uznanie, jakim cieszyli się sowieccy reżyserzy filmowi, jak Eisenstein, Pudowkin i Wiertow, podbiło serca wielu artystów i pisarzy. Piscator i Brecht, George Grosz i Alfred Döblin, Heinrich Mann i Arnold Zweig należeli do tych, którzy uważali Związek Sowiecki za ostatnie światło wolności i humanizmu w mroczniejącym świecie.

Nic zatem dziwnego, że po pożarze Reichstagu /27 lutego 1933 roku/, kiedy hitlerowcy zaczęli aresztować i internować swoich przeciwników, i rozpoczął się exodus pisarzy, wielu z nich żywiło głęboką nadzieję na pomoc i przywództwo ze strony sowieckiej. Brecht przede wszystkim spodziewał się, że Związek Sowiecki przejmie inicjatywę i zdobędzie, upolityczni i zradykalizuje wielu zdezorientowanych liberalnych uchodźców przebiegających Pragę i Wiedeń, Zurich i Amsterdam w poszukiwaniu miejsca zamieszkania i stałego źródła zarobków. Jednak ani ze strony partii komunistycznej ani Związku Sowieckiego nie przychodziła żadna wskazówka ani inicjatywa. Znalazłszy schronienie w Danii Brecht pisał - 28 czerwca 1933 roku - do swojego przyjaciela, poety komunistycznego /i dawnego ekspresjonistycznego awangardzisty/ Johannesa R.Bechera, że odwiedzając kolejno Pragę, Wiedeń, Zurich, Paryż i Lugano "... napotykał wszędzie najbardziej skrajny brak odwagi, najwyższy stopień dezorientacji. Oderwani od proletariatu, w coraz większym stopniu pochłonięci zarabianiem na skromne utrzymanie /co zawsze prowadzi do kompromisów we wszystkich istotnych sprawach/ i w dodatku rozproszeni po wielu bardzo odległych miastach pisarze

---

/2/ B.Brecht: B r i e f e. Bd 1-2. Wyd. G.Gläser. Frankfurt 1981.
/3/ J.K.Lyon: B r e c h t i n A m e r i c a. Princeton University Press.

proletariaccy będą mieli największe trudności w dalszym prowadzeniu swojej działalności rewolucyjnej. Już projektują nieszkodliwe książki dla dzieci, «aluzyjne» powieści dla mieszczańskich wydawców, tandetne filmy dla mieszczańskich wytwórni itd.

Ogólnie biorąc lewicowi pisarze mieszczańscy dostosowują się do dłuższego okresu wygnania, a może nawet usiłują dostrzec możliwość powrotu. Brak im punktu oparcia do walki z faszyzmem. Nie dajemy im tego korzystając tylko co jakiś czas z ich nazwisk. A właśnie okoliczność, że oni sami, przynajmniej w niektórych wypadkach, czują brak tego punktu oparcia i uświadamiają sobie własną bezbronność, daje nam realną szansę oddziałania na nich, szansę, która jednak będzie trwała bardzo krótko".

Wielu pisarzy komunistycznych, którzy uważali zawsze Związek Sowiecki za "ojczyznę wszystkich prawdziwych socjalistów", miało nadzieję, że znajdą tam schronienie i środki utrzymania. Jednak okazało się wkrótce, że wizy przyjazdowe do tej twierdzy antyfaszyzmu było otrzymać równie trudno jak do wielu innych krajów, które wówczas broniły się argumentem, że masowe bezrobocie i światowa depresja utrudnia im przyjmowanie wielkiej liczby uchodźców szukających pracy.

David Pike cytuje artykuł z "Die Neue Weltbühne" /założonej w Pradze kontynuacji czołowego lewicowego tygodnika berlińskiego/ otwarcie pytając, dlaczego w Związku Sowieckim "nie można znaleźć miejsca dla kilku tysięcy ludzi, których życie i wolność można jeszcze ocalić z rąk faszystów..." Zarzut ten wywołał odpowiedź w liście do redakcji podpisanym "Przyjaciel Sowietów", który dowodził, że przywódcy sowieccy "... nienawidzą faszyzmu nie mniej niż my, ale potrzebne im są niemieckie maszyny do budowy socjalizmu. A ponad wszystko inne - a to jest całkowicie w naszym wspólnym interesie - potrzebują trwałego pokoju i dlatego muszą zachowywać dobre stosunki ze swoim wielkim i groźnym sąsiadem z zachodu, nawet jeżeli skłonności popychają ich w innym kierunku. Przesądzają nie sentymenty, ale przesłanki Realpolitik".

Zatem Związek Sowiecki był o wiele mniej liberalny w postawie wobec politycznych i rasowych uchodźców z Niemiec hitlerowskich niż niektóre z krajów zachodnich często oskarżanych o zamykanie przed nimi granic czy stawianie trudności w uzyskaniu wiz. Austria i Czechosłowacja /aby wymienić choćby dwoje sąsiadów Niemiec hitlerowskich o wiele bardziej zależnych od dobrej woli Hitlera/ przyjęły wiele tysięcy uchodźców, podobnie jak Holandia, Francja i kraje skandynawskie. Brecht ostatecznie osiadł w Danii bez większych trudności, mając przedtem okazję zaznać warunków panujących w Austrii, Czechosłowacji, Szwajcarii, Francji i Anglii.

W tym samym czasie Związek Sowiecki prowadził energiczny nabór techników i "specjalistów" z Niemiec. Lewicowych uchodźców uważano za bardziej pożytecznych w krajach "kapitalistycznych", gdzie wywieraliby wywrotowy i dywersyjny wpływ. Jak pisze David Pike, w 1934 roku Elena Stassowa, generalny sekretarz Międzynarodowej Czerwonej Pomocy /organizacji mającej pomagać lewicowym uchodźcom/ powiedziała przedstawicielowi Ligi Praw Człowieka, że "najbardziej chodzi nie o schronienie w ZSRR ale o «wymuszanie prawa azylu na krajach kapitalistycznych»...".

Przy tym wszystkim kazano wybitnym działaczom, a wśród nich pewnej liczbie pisarzy, zgłaszać się do Związku Sowieckiego, gdzie otrzymywali różne zadania w aparacie propagandowym, w zarządach związków pisarzy, przy organizowaniu kongresów międzynarodowych itp. Po zmianie oficjalnej linii na rzecz zalecenia "Frontu Ludowego" wszystkich sił antyhitlerowskich owi niemieccy działacze będący pisarzami /jak Johannes R.Becher, który później został ministrem kultury NRD/ zaczęli odgrywać coraz większą rolę. Ale nawet wtedy intelektualiści komunistyczni rzeczywiście niezbędni w tych przedsięwzięciach często napotykali wielkie trudności w otrzymaniu wiz / i zwrotu kosztów/ na podróż do Związku Sowieckiego.

Na tych, którym udało się znaleźć schronienie w Związku Sowieckim, wywierano znaczną presję, aby przyjęli obywatelstwo sowieckie. Gdy się poddali temu naciskowi, nie musieli przedłużać zezwoleń na zamieszkanie i byli wolni od różnych innych ograniczeń. Później,po rozpoczęciu pierwszej fali terroru stalinowskiego, decyzja wybrania sowieckiego obywatelstwa okazała się zgubna dla wielu spośród tych intelektualistów. Ci, którzy wahali się i zatrzymali swoje niemieckie paszporty, ryzykowali deportację, natomiast obywatele sowieccy byli uważani za zdrajców i często skazywani na śmierć.

Pike dokumentuje ofiary terroru stalinowskiego wśród niemieckich pisarzy, dziennikarzy i aktorów, a lista jest długa i tragiczna: Herwarth Walden /wydawca czołowego berlińskiego periodyku ekspresjonistycznego/, Vali Adler /córka psychologa Alfreda Adlera/, Hans Günther /czołowy teoretyk komunistyczny, który napisał znaną książkę o ideologii hitlerowskiej, a został aresztowany jako szpieg, bowiem, aby ją napisać, musiał zgromadzić wydawnictwa hitlerowskie/, Heinz Neumann /którego działalność w roli agenta Kominternu w Chinach stała się materiałem arcydzieła Brechta D e c y z j a/ i wielu przyjaciół Brechta, Niemców i Rosjan. Wśród nich był jeden z najbliższych współpracowników Brechta w czasie jego pobytu w Szwajcarii, awangardowy powieściopisarz Ernst Ottwald i jego żona, Waltraut Nicolas, jego sowiecki doradca, który przełożył kilka jego wczesnych sztuk, rosyjski pisarz Siergiej Tretiakow, i jedna z największych miłości życia Brechta, aktorka Carola Neher, niezapomniana Polly w filmie G.W.Pabsta O p e r a z a t r z y g r o s z e.

Zetknięcie z realiami terroru stalinowskiego stanowiło dla człowieka o przekonaniach marksistowskich i realizatora sowieckiej linii partyjnej bardzo trudny egzamin. Listy Brechta ukazują aż za dobrze, jak daleko się posunął w usiłowaniu akceptowania tego, co się działo, jako rzeczy sprawiedliwych i nieuniknionych. U człowieka o tak wysokiej inteligencji sprowadzało się to do samobójstwa umysłowego, "sacrificium intellectus", a jego listy dowodzą, że uświadamiał to sobie aż za dobrze.

W pierwszych latach emigracji Brecht wielokrotnie zajmował wspólnie mieszkanie z Waltraut Nicolas i Ernstem Ottwaldem. Ottwald wyjechał do Związku Sowieckiego i w listopadzie 1936 roku został aresztowany. Brecht na pewno dowiedział się o tym bardzo szybko, ale w trzy miesiące później, w lutym 1937 roku pisał do Bernarda von Brentano, innego swojego przyjaciela, który był nieco zrażony do komunizmu:

"Słyszałem, że Ottwald miał być rzekomo aresztowany, ale nic poza tym. A nawet ten fragment wiadomości pochodzi wyłącznie z prasy burżuazyjnej. Sam nie stykałem się z nim od lat. Jeżeli o mnie chodzi, nadal uważam, że partia bolszewicka jest ściśle związana z rosyjskim proletariatem i jestem zdania, że gospodarka sowiecka dokonuje wielkiego rewolucyjnego przeobrażenia..."

Inaczej mówiąc: "miejmy nadzieję, że wiadomości o aresztowaniu jednego z moich najbliższych przyjaciół są fałszywe, ale jeżeli tak nie jest, nadal uważam, że rewolucyjne wydarzenia w Rosji są ważniejsze niż zagłada jednego niewinnego człowieka".

Kiedy chodziło o osobę bliższą mu niż tylko pisarz biorący jego stronę w walce o literaturę awangardową przeciw filistrom partyjnym, Brecht wił się jeszcze bardziej boleśnie. Jedną z takich osób była Carola Neher, z którą miał długi i gorący romans w Berlinie, aż zakochała się w sowieckim dyplomacie, stała się żarliwą komunistką i wyemigrowała z mężem do Związku Sowieckiego. W szczytowym stadium stalinowskiego terroru Carola Neher została aresztowana. Przyjaciela i współpracownika Brechta z jego okresu monachijskiego, znanego powieściopisarza Liona Feuchtwangera, zaproszono do Moskwy, aby zatarł złe wrażenie, jakie uczyniły wśród zachodnich intelektualistów oskarżenia André Gide'a o brak wolności w tym kraju. Feuchtwanger, który po powrocie do Francji posłusznie napisał książkę wysławiającą obiektywizm procesów moskiewskich, był przedtem honorowany przez wysoko postawione osobistości a nawet

przyjęty przez samego Stalina. W maju 1937 roku Brecht pisał do niego:

"... przy okazji: czy nie mógłby Pan zrobić czegoś dla Caroli Neher, która podobno została w Moskwie aresztowana; nie wiem zresztą za co, jednak nie uważam jej za osobę, która przedstawiałaby szczególne zagrożenie dla dalszego istnienia Związku Sowieckiego. Może zaplątała się w coś przez jakiś romans. W każdym razie jest człowiekiem bardzo wartościowym i nie wiem, czy zdaje Pan sobie sprawę, że nie ma tam warunków do ukazania swoich możliwości. Gdyby mógł Pan wstawić się za nią, uczyniłby Pan dla niej wiele dobrego. Sam nie byłem w stanie uzyskać od nikogo odpowiedzi na moje pytania, z czym zupełnie nie mogę się pogodzić..."

W liście tym widać udrękę, a także ironię. Można wyczuć zniecierpliwienie przebijające przez demonstrację lojalności partyjnej, a także obawę przed popadnięciem w kłopoty. Po paru tygodniach, w czerwcu tegoż roku, Brecht ponawia prośby do Feuchtwangera:

"Szanowny Panie Doktorze,czy nie widzi Pan jakiejś możliwości zasięgnięcia informacji w sekretariacie Stalina w sprawie Caroli Neher?W toku najzupełniej uzasadnionej akcji podjętej obecnie w ZSRR przeciwko agenturom Goebbelsa może oczywiście dochodzić niekiedy do pomyłek. Wie Pan, że Gorki niekiedy interweniował w sprawie artystów i uczonych. Carola Neher rzeczywiście brała udział w działalności szpiegowskiej, nie możemy jej pomóc, ale może przez zwrócenie uwagi na jej wielki talent aktorski można by doprowadzić do przyspieszenia śledztwa i wyodrębnienia jej sprawy /co wobec sławy, jaką się cieszy w Niemczech, Czechosłowacji i Szwajcarii, byłoby z pożytkiem również dla Związku Sowieckiego/. Zwykłe /nie publiczne/ pytanie mogłoby tylko podkreślić jej wartość jako aktorki bez wchodzenia w kompetencje wymiaru sprawiedliwości. Byłbym jednak bardzo zobowiązany, gdyby Pan zechciał potraktować moją prośbę z największą dyskrecją, bowiem nigdy nie chciałbym wzbudzić jakichkolwiek podejrzeń o działanie przeciwko Związkowi Sowieckiemu ani też dać pewnym ludziom podstawy do głoszenia takich rzeczy o mnie..."

W ten sposób Brecht usiłował przebrnąć przez prawdziwe pole minowe sprzecznych względów: chęć dopomożenia dawnej kochance, przy obawie ujawnienia swoich wątpliwości co do postępowania władz w wypadku, o którym wiedział, że nie mają słuszności - do czego dochodziła jeszcze większa obawa przed ujawnieniem jego usiłowań zakłócenia biegu sowieckiej sprawiedliwości i wykorzystaniem tego dla skompromitowania go przed stalinowskimi władzami.

Interwencja Feuchtwangera, którą z pewnością lojalnie podjął, była bezowocna. W końcu listopada, dawno po powrocie Feuchtwangera do Francji, Brecht jeszcze raz usiłował zmobilizować go do pomocy:

"... co możemy naprawdę zrobić dla biednej Caroli Neher? Nie wiem, czy K., kiedy wróci, będzie mógł coś dla niej zrobić, przyjechawszy z zagranicy i będąc bardzo zajęty. Może Pan mógłby mimo wszystko pomyśleć o wysłaniu depeszy? Jeżeli została uznana za winną, to z pewnością nie mogło się to dokonać inaczej niż na podstawie niewątpliwych dowodów jej przestępstwa, ale oni nie uważają, że "szczypta zbrodni" zasługuje na "szczyptę kary", oni po prostu chcą ochronić państwo sowieckie, a w tym wypadku obcokrajowcy mogliby być po prostu wydaleni. Jest przy tym wszystkim wartościowym człowiekiem, wielką aktorką. Uczonym, którzy zostali skazani /jak Ramzin/, dano, zupełnie słusznie, możliwość prowadzenia pracy naukowej. Nie można tego zrobić z N. tam, bo ona nie gra po rosyjsku. Ale może się nam to udać..."

Zatem Brecht rozpaczliwie trwał w niezachwianej wierze we wczesną bolszewicką tezę propagandową, że w Związku Sowieckim przestępcy właściwie nie są karani a tylko leczeni ze swojej choroby społecznej - idealistyczna koncepcja zagubiona prawie natychmiast w potwornościach wojny domowej i przymusowej kolektywizacji.

Dodatkowa i szczególnie okrutna ironia leży w tym, że działacz partyjny

wysokiego szczebla, Michaił Kolcow, ów "K" z listu Brechta /redaktor "Prawdy" i funkcjonariusz Związku Pisarzy odpowiedzialny za zagranicznych gości/, sam został aresztowany po powrocie z Francji i Hiszpanii i nigdy już o nim nie słyszano. Brecht bardzo cenił jego pomoc w czasie swoich krótkich wizyt w Związku Sowieckim w poprzednich latach i przyjaźnił się również z jego konkubiną, Marią Osten, Niemką, która wówczas kierowała paryskim biurem literackiego czasopisma "Das Wort". /Rozpoczęto jego wydawanie w Moskwie, aby spopularyzować literacki Front Ludowy, a Brecht w Danii i Feuchtwanger we Francji byli jego korespondencyjnymi redaktorami./ W końcu 1938 roku lub na początku 1939 Brecht pisał zatrwożony do Marii Osten:

"Droga Mario, Twoja wzmianka o Kolcowie ogromnie mnie przeraziła. Nic o tym nie słyszałem. Słyszy się teraz, że w gazetach kopenhaskich pojawiły się plotki o jego aresztowaniu. Bardzo chciałbym wierzyć, że te plotki się nie potwierdzą. Napisz, proszę, czy wiesz coś pewniejszego, albo czy wiesz coś w ogóle. Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, co on mógłby takiego zrobić. Zawsze uważałem go za niestrudzonego działacza na rzecz Związku Sowieckiego. Czy wiesz cokolwiek o tym, o co został oskarżony?"

Maria Osten, będąc nadal w Paryżu, chciała wrócić do Związku Sowieckiego, żeby zrobić, co można, dla dopomożenia Kolcowowi. David Pike odtworzył wydarzenia, które zaszły, gdy przyjechała do domu swojego - i Kolcowa - przybranego syna, Huberta Lohtsego / zaopiekowali się nim będąc w Saarze podczas kampanii plebiscytowej w 1935 roku/. Sowiecka prasa bardzo chwaliła Marię Osten i Kolcowa za to, co zrobili dla dziecka biednych górników z Saary, a oni napisali nawet książkę o jego reakcji na sowiecki raj, pod tytułem H u b e r t w k r a i n i e c z a r ó w. Kiedy Maria Osten wraz z drugim przybranym synem, Josém, hiszpańskim sierotą wojennym, zadzwoniła do drzwi Huberta, ten razem ze swoją żoną:

"... zabronił im wejść. /Hubert/ powiedział Marii Osten, że są sprawy społeczne ważniejsze od prywatnych spraw «komsomolca» i że nie chce rzucać cienia na swoje nazwisko. Następnie zabrała głos żona Huberta, mówiąc przybyłej, że osobiście mają dla niej wielki szacunek, ale «dopiero zaczynają życie». Inaczej mówiąc, Hubert odmówił wszelkich kontaktów z matką, ze względu na jej związki z aresztowanym Kolcowem".

Brecht przejechał przez Związek Sowiecki w maju 1941 roku w drodze do Władywostoku, gdzie wsiadł na ostatni statek odpływający do Kalifornii przed niemieckim najazdem na Związek Sowiecki. W czasie przejazdu przez Moskwę Maria Osten należała do jego najbliższych znajomych. Towarzystwo Brechta, składające się z jego żony, jego sekretarki i kochanki Margarete Steffin, drugiej kochanki, aktorki Ruth Berlau, i dwojga dzieci, musiało przerwać podróż z powodu zasłabnięcia Margarete Steffin, chorej na gruźlicę. W końcu, kiedy stan jej zdrowia się nie poprawiał, zostawili ją w szpitalu pod opieką Marii Osten.

Dnia 30 maja 1941 roku, na dzień przed wyjazdem z Moskwy, Brecht pozostawił wysokiemu funkcjonariuszowi Związku Pisarzy, Michaiłowi Apletinowi, następujące polecenia:

"... w razie śmierci towarzyszki Steffin prosiłbym Was o spełnienie następujących życzeń:
1. wysłać mi jej dokumenty i świadectwo zgonu;
2. zatrzymać dla mnie będące w jej posiadaniu rękopisy /zapieczętowane i otwarte/, fotografie i listy;
3. przekazać mi pieniądze, które jej tylko pożyczyłem;
4. odszukać w jej bagażu i zatrzymać dla mnie małe figurki i słonie, a także komplet szachów podróżnych; wszystko poza tym należy przekazać Marii Osten, która tym rozporządzi;
5. na wszelkie pozostałe potrzeby skorzystać z kwoty w rublach, którą pozostawiłem na koncie oszczędnościowym Liona Feuchtwangera;
6. Maria Osten obiecała zrobić maskę pośmiertną Margarete Steffin w razie

jej śmierci; proszę zachować ją dla mnie..."

Pike kontynuuje opowieść:
"Dnia 5 czerwca Maria Osten wysłała Brechtowi depeszę o śmierci Margarete Steffin i została prawdopodobnie aresztowana przed upływem miesiąca. Niedługo przedtem przyjęła obywatelstwo sowieckie, co mogło przypieczętować jej los. Nie wiadomo jednakże, kiedy ją aresztowano, ani kiedy zmarła. Nie jest także jasne, co się stało z Josém..."

Carola Neher również zaginęła w Związku Sowieckim mimo starań Brechta i Feuchtwangera. I w tym wypadku Pike podaje fakty:

"... Carola Neher została aresztowana i oskarżona o przekazywanie do Moskwy przesyłek od «trockisty» Wollenberga. Skazano ją na dziesięć lat więzienia. Będąc jeszcze w Łubiance przecięła sobie żyły w usiłowaniu samobójstwa. W czasie śledztwa była torturowana przez umieszczenie w karcerze, zagłodziła się prawie na śmierć i miała atak tyfusu".

W więzieniu Carola Neher spotkała Eugenię Ginsburg, która opisała ją w swoich słynnych wspomnieniach K r u t o j m a r s z r u t:

"Natychmiast rozpoznałam niemiecką gwiazdę filmową... tę, która ukryła pierścionki we włosach w czasie pierwszej pamiętnej rewizji w Butrykach. Od tego czasu bardzo się zmieniła. Złoto jej włosów straciło swój połysk a w kątach warg pojawiły się wzruszające małe zmarszczki. Była mimo to jeszcze bardziej urzekająca niż przedtem. Jej twarz była koloru kości słoniowej, bez najmniejszego śladu rumieńca. Miała dziecinny uśmiech i smutne, bursztynowe oczy".

Po zawarciu paktu Hitler-Stalin wielu emigrantów niemieckich,aresztowanych w czasie czystek, zostało przekazanych Gestapo. Należała do nich Margaretę Buber-Naumann, żona tajnego agenta Kominternu, którego przeżycia w Chinach Brecht wykorzystał w sztuce D e c y z j a.

Jednak Caroli Neher nie było wśród nich. Pike opowiada:
"... próbowano wciągnąć Carolę Neher do NKWD, ale odmówiła. Nie została repatriowana i Margarete Buber-Naumann była ostatnią osobą, która ją widziała. Podobno rozstrzelano ją 28 czerwca 1942 roku".

W przypisie Pike dodaje:
"Mąż Caroli Neher /sowiecki dyplomata, którego poznała w Berlinie/ został rozstrzelany już w 1937 roku. W 1968 roku jej syn, Georg Becker, został umieszczony w Odessie, nie wiedząc do tego czasu, kim była jego matka. Po aresztowaniu rodziców w 1936 roku, Beckerem zajęło się niemieckie małżeństwo, ale i im nie udało się uniknąć czystki. Hermann Taubenberg został rozstrzelany w latach trzydziestych, a jego żonę Else wywieziono na Syberię. Dopiero w 1972 roku pozwolono jej wyjechać do Niemiec Zachodnich, gdzie zmarła w kilka miesięcy później. W 1975 roku zezwolono Georgowi Beckerowi na wyjazd z ZSRR. Na krótko przed jej aresztowaniem praski «Arbeiter Illustrierte Zeitung» zamieścił zdjęcie Caroli Neher z następującą wypowiedzią: «Od dawna chciałam mieć dziecko, ale tam nie miałam odwagi; dopiero w ZSRR moje marzenia mogły się spełnić»..."

Korespondencja Brechta daje obfite dowody na to, że uświadamiał sobie naturę terroru, który pochłonął wielu jego najbliższych kolegów. Tym bardziej znamienna jest wytrwałość, z jaką pozostawał na pozycji przynajmniej zewnętrznej lojalności, żarliwie broniąc Stalina i jego rządu wobec świata zewnętrznego. Pewien niemiecki komunista /któremu udało się wydostać ze Związku Sowieckiego, zanim terror go dosięgnął/ powiedział mi, że kiedy zwrócono się do Brechta, aby podpisał petycję do Stalina w sprawie Caroli Neher, ten z oburzeniem odmówił. W świetle teraz opublikowanych listów wiemy, dlaczego tak zrobił. Bał się, że podpis widniejący czarno na białym napiętnuje go jako jawnego przeciwnika poczynań władz sowieckich, oraz że mógłby osłabić skutecz-

ność poufnych zabiegów, jakie podjął Feuchtwanger bezpośrednio u Stalina.

Ponadto nigdy nie można być pewnym, czy ludzie zbierający podpisy nie byli właściwie prowokatorami czy agentami policji. Książka Davida Pike'a obfituje w mrożące krew w żyłach opowieści o wzajemnych oskarżeniach i kontroskarżeniach, donosach i oskarżeniach o donosy wśród emigracyjnych pisarzy i dziennikarzy w Związku Sowieckim. Za każdym razem, kiedy któryś z nich zostawał aresztowany, w umysłach znajomych ofiary powstawało pytanie, kto na niego doniósł /i za co/. Nieprzychylna recenzja czyjejś książki napisana przed laty mogła być przyczyną donosu złożonego teraz. Zawsze występowały gorące kontrowersje wokół estetyki marksistowskiej, a także taktyki propagandowej, i wynikłe stąd motywy oskarżeń również były bardzo liczne.

Będąc jeszcze w Berlinie Brecht pozostawał w środku tych konfliktów. Alfred Kurella, wpływowy działacz partyjny, który w 1930 roku gwałtownie zaatakował D e c y z j ę, wielkie oratorium Brechta na temat dyscypliny partyjnej, zajmował teraz wysokie stanowisko w organizacji pisarzy emigracyjnych w Związku Sowieckim; był jednym z redaktorów jej organu, "Internationale Literatur" /niemieckojęzyczna wersja periodyku literackiego, który ukazywał się we wszystkich głównych językach/. Kiedy w ciągu 1935 roku linia polityczna Kominternu zaczęła przewidywać "Front Ludowy", uznano, że to ortodoksyjne czasopismo literackie należy uzupełnić niemieckojęzycznym periodykiem o szerszej, mniej otwarcie partyjnej platformie. Czasopismo to, "Das Wort", zostało utworzone na początku 1936 roku; jego pierwszy numer ukazał się /ze znacznym opóźnieniem powstałym wskutek wszelkiego rodzaju trudności technicznych i biurokratycznych/ 21 czerwca. Miejscem wydawania i siedzibą redakcji była Moskwa, ale z trzech naczelnych redaktorów, których nazwiska pojawiły się w nagłówku, tylko jeden, Willi Bredel, rzeczywiście tam mieszkał. Pozostali, Brecht i Feuchtwanger, mieszkali jeden w Danii, a drugi na południu Francji.

Wydaje się, że Brecht nie otrzymywał regularnej pensji za swoją pracę, ale mógł liczyć tylko na honoraria za drukowane materiały płacone w twardej walucie oraz niekiedy na pewne kwoty pokrywające wydatki na korespondencję i sekretariat. Od samego początku praca redakcyjna była skomplikowana i trudna. Brecht domagał się prawa zatwierdzania i odrzucania rękopisów, jednak w praktyce sprowadziło się to do wysyłania materiałów, które uważał za warte publikacji, a często nawet te zostawały odrzucane z przyczyn związanych z wewnętrzną polityką Sowietów i partii. Kiedy jego przyjaciel, Bernard von Brentano, skarżył się na gwałtowną napaść w recenzji w "Das Wort" na jedną z jego książek, Brecht odpowiadał, w marcu 1937 roku:

"Nieszczęsną recenzję w pierwszym numerze «Das Wort» zobaczyłem dopiero kiedy zajrzałem do numeru w londyńskiej księgarni. Zalicza się ona do rzeczy, które mnie bardzo złoszczą - podobnie jak wydrukowanie opery tego bydlaka Kerra /berliński krytyk Alfred Kerr, który był głównym oponentem Brechta w jego berlińskich czasach/. Sytuacja tak wygląda, że wobec mojego oddalenia łatwiej mi coś umieścić w «Das Wort» niż z niego wycofać."

Z drugiej strony Willi Bredel, redaktor pozostający w Moskwie, niech chciał być traktowany przez ważniejszych redaktorów jako urzędnik odbierający pocztę. Marii Osten /która wówczas odwiedzała często Brechta w Danii i służyła za kuriera między nim a Bredelem/ powiedział zupełnie otwarcie /w lipcu 1936 roku/:

"... przynosisz zlecenie: wydrukować natychmiast - Bredel ma to przeczytać. Kropka. Sprawa załatwiona. W innym liście czytam: trzeba drukować. Brecht tak powiedział. Kropka. Koniec. Czy zapomniałaś w czasie podróży, że ja też jestem redaktorem a nie tylko organem wykonawczym /aby nie powiedzieć dosadniej/?"

Ostatecznie Bredel zrezygnował. Pojechał do Francji, a później do Hiszpanii, gdzie odegrał pewną rolę w wojnie domowej. Jego miejsce zajął Fritz Er-

penbeck, drugorzędny funkcjonariusz partyjny, który później doszedł do wysokich stanowisk w NRD.

Wszyscy zainteresowani czynili znaczne wysiłki, aby zachęcić wybitniejszych uczestników niemieckiej emigracji literackiej do współpracy z "Das Wort". Szczególnie uwodzicielskim zabiegom był poddany ze wszystkich stron Heinrich Mann. Ale choć był o wiele przychylniej usposobiony do linii partyjnej niż jego brat Tomasz, on również odmówił współpracy - może dlatego, że kiedy na początku 1936 roku zwrócono się do niego o współwydawanie pisma, zapytał, czy dostanie regularną pensję, i usłyszał, że to niemożliwe.

Rozpoczęcie moskiewskich procesów pokazowych w miesiąc po ukazaniu się pierwszego numeru "Das Wort" równie utrudniało przyciąganie pożądanego zespołu współpracowników. Jedno z pierwszych wydarzeń w życiu pisma skupiło się wokół recenzji powieści Ignazia Silone, C h l e b i w i n o. Zaproponowano Ernstowi Ottwaldowi napisanie polemicznej recenzji, ale Brecht:

"... sprzeciwił się jakiejkolwiek polemice z Silonem a Maria Osten w liście do Moskwy zapowiedziała zrobienie «awantury», jeżeli wydrukuje się napaść Ottwalda. Jednak zanim list jej dotarł do Związku Sowieckiego Ottwald napisał już osobisty list do Silonego, a ten ostatni zgodził się odpowiedzieć; zatem oba listy miały być opublikowane w «Das Wort»".

Zanim jednak Silone mógł napisać odpowiedź, zaczęły się procesy moskiewskie. Silone uznał za niedopuszczalne drukowanie w czasopiśmie mającym siedzibę w Moskwie. Zamiast tego wydrukował otwarty list do "Das Wort" w czasopiśmie szwajcarskim, gdzie napiętnował rażące fałszerstwa oskarżeń wysuniętych przeciwko takim ludziom, jak Trocki, Bucharin i Radek. Wskazał tam, że metody zastosowane przez terror stalinowski były identyczne z metodami faszystów i hitlerowców, których przez tak długi czas był aktywnym przeciwnikiem, i i "odmówił zostania faszystą, choćby nawet czerwonym faszystą...". Oświadczenie Silonego /opublikowane w Bazylei 24 września 1936 roku/ wprawiło w wielkie zakłopotanie redaktorów "Das Wort". Ernst Bloch, znakomity, dobroduszny i ideowy filozof przyjazny komunistom, mieszkający wówczas w Pradze, zgodził się napisać odpowiedź. Rzeczywiście napisał, ale jej nie wydrukowano. Na pytania przyjaciół Blocha w Pradze Bredel musiał odpowiedzieć 4 stycznia 1937 r.:

"Coś idiotycznego stało się w związku z Blochem. Za dużo cytował, a to nie jest tu dobrze widziane; nie wiem, jak mu to wyjaśnić..."

W listopadzie aresztowano Ottwalda i Hansa Günthera. Nazwiska te znikły ze spisu współpracowników na tylnej okładce czasopisma. A wyczuleni ludzie za granicą zauważyli to pominięcie.

Praktyczne trudności w zdobywaniu rynku dla czasopisma i w przekazywaniu materiałów do Moskwy były tak wielkie, że pod koniec 1937 roku Feuchtwanger i Brecht wystosowali ultimatum. Jeżeli nie dokona się radykalna zmiana, zrezygnują z funkcji redaktorów. Ostatecznie został założony paryski oddział "Das Wort" z Marią Osten jako miejscowym zastępcą redaktora.

Kłopoty Brechta miały również poważniejszą stronę. Od jesieni 1937 roku, kiedy Klaus Mann ogłosił artykuł atakujący czołowego poetę ekspresjonistycznego Gottfrieda Benna za poparcie hitleryzmu, "Das Wort" stało się widownią tego, co później było znane jako "wielka dyskusja nad ekspresjonizmem", która w praktyce sprowadzała się do próby nakłonienia niemieckich pisarzy emigracyjnych, aby się podporządkowali linii "realizmu socjalistycznego" wytyczonej przez Stalina i jego pomocnika w sprawach kultury Andreja Żdanowa.

Wśród niemieckich pisarzy na wygnaniu głównym rzecznikiem tej oficjalnej linii był /czy też okazał się/ György Lukács /4/, cieszący się największym

/4/ Lukács był oczywiście Węgrem, podobnie jak Julis Hay, dramaturg, który mistrzowsko opanował pisanie tradycyjnych sztuk o zwartej kompozycji

autorytetem marksistowski teoretyk literatury i krytyk, który gorąco wielbił wielkich dziewiętnastowiecznych realistów od Waltera Scotta do Balzaca i uważał Tomasza Manna za największego współczesnego pisarza, mimo jego zasadniczej "burżuazyjności". Dyskusja ta, przeprowadzana za pomocą zargonu marksistowskiego i nieskończonego cytowania nielicznych wypowiedzi Marksa i Engelsa na temat estetyki literackiej, sprowadzała się do bardzo prostej głównej tezy: literatura awangardowa i eksperymenty formalne są trudne do zrozumienia dla mas, a zatem nie są bardzo skuteczne jako środek propagandowy. Nawet "realizm", jeżeli zostałby posunięty zbyt daleko w opisie rzeczywistości społecznej takiego kraju jak Związek Sowiecki, również byłby nieefektywny. Zatem "realizm socjalistyczny" musi nie tylko być tradycyjny w sensie wierności dziewiętnastowiecznym zasadom narracji, ale musi również skupiać się na pozytywnych stronach rzeczywistości. Musi być optymistyczny, afirmujący życie, musi widzieć rzeczy nie takimi, jak naprawdę się przedstawiają przesadny naturalizm"/, ale jak powinny się przedstawiać w idealnym społeczeństwie socjalistycznym. Wobec tego hyperrealistyczny i impresjonistyczny, "reportażowy" i dokumentalny styl takich sowieckich pisarzy, jak Tretiakow, oraz ekspresjonistyczne, nieco surrealistyczne i fantastyczne eksperymentowania, jak u Brechta, zostało zakazane.

Z punktu widzenia tych, którzy nadal chcieli dokonywać wyraźnego rozróżnienia między faszyzmem a komunizmem - tymi dwoma ustrojami totalitarnymi - kampania przeciwko ekspresjonistycznym, surrealistycznym i eksperymentalnym składnikom nowoczesnej literatury i sztuki fatalnie się zbiegła z atakiem Hitlera na ściśle te same tendencje w jego kampanii przeciwko "sztuce zdegenerowanej". Pike wyłobył z archiwów "Das Wort" list Ernsta Blocha, który - będąc niezmiennie gorącym wielbicielem Brechta - pytał redaktorów, czy ich ataki na ekspresjonizm były napisane przed czy po słynnej napaści Hitlera na nowoczesność w sztuce, z okazji otwarcia monachijskiej wystawy "Sztuki zdegenerowanej". Hitleryzm i stalinizm jeszcze raz upodobniły się nie do odróżnienia. Brechta nieustannie zapraszano do udziału w dyskusji w czasopiśmie, którego przecież był jeszcze nominalnie redaktorem. Z właściwą sobie ostrożnością usiłował uniknąć takiego starcia z linią oficjalną - i z władzami.

W liście do Willi Bredela, napisanym latem 1938 roku, otwarcie wyraził swoje obawy:

"Praca dla «Das Wort» staje się, niestety, coraz bardziej problematyczna. Wydaje się, że pismo stopniowo zmierza w kierunku sytuacji, w której drobna grupka, niewątpliwie pod kierunkiem Lukácsa i Haya, narzuca ściśle określony ideał formy literackiej zakładający potępienie wszystkiego, co nie jest zgodne z modelem opartym na zasadach zaczerpniętych z mieszczańskich powieści ubiegłego stulecia. W ten sposób doniosła walka z formalizmem sama przekształca się w pewien rodzaj formalizmu, który polega na tym, że wszystko ocenia się ze względu na formę /w tym wypadku formę anachroniczną/. W siódmym numerze «Internationale Literatur» Lukács po prostu napada na mnie i wsadza do jednego worka z mieszczańskimi dekadentami, a wszystko to dzieje się w czasie, kiedy, na Boga, mamy większe troski niż sama forma! Już parokrotnie Erpenbeck zapraszał mnie do wzięcia udziału w tej dyskusji, ale oczywiście się nie kwapię, uważając takie dyskusje za przykre i żenujące, w sytuacji, kiedy zawsze na koniec uznaje się stanowisko zajęte przez poczciwego Lukácsa /a przynajmniej uznaje sam Lukács/ za jedynie prawdziwie marksistowskie. Co dobrego się sprawi przez ogłoszenie światu, że mój opis Trzeciej Rzeszy nie jest zgodny z faktami /bo co innego oznacza twierdzenie, że nie jest realistyczny?/ i że moje poglądy nie są socjalistyczne... Z redakcji «Das Wort» zawsze otrzymuję materiały już przebrane, a moje zastrzeżenia nie są nigdy brane pod uwagę. Jestem przekonany, że to nie może trwać długo. A mimo wszystko warto mieć takie czasopismo i byłoby rzeczą największej wagi poprawić jego poziom. Co możemy zrobić?"

Jedno z największych odkryć Davida Pike'a w moskiewskich archiwach "Das

Wort" dotyczy podejmowanych przez Fritza Erpenbecka i Alfreda Kurellę /który zastępował go w czasie urlopu na Krymie/ starań o nakłonienie Brechta nie tylko do udziału w dyskusji, ale o narażenie go w ten sposób na oficjalne potępienie partii. Dla jednego z najbliższych numerów "Das Wort" Lukács napisał artykuł, w którym gwałtownie zaatakował bliskiego przyjaciela Brechta, kompozytora Hansa Eislera a także Blocha, za ich stanowisko w obronie ekspresjonizmu. Brecht, któremu posłano artykuł Lukácsa do aprobaty, gwałtownie sprzeciwił się drukowaniu. 8 czerwca Kurella pisał do Erpenbecka:

"Pokrótce o nowym wydarzeniu: przyszedł właśnie załączony list Brechta. Hu, ha! Niedźwiedź wreszcie wysuwa głowę z jamy. Zwłaszcza w postscriptum. /Nawiasem mówiąc,miałeś dobrego nosa, kiedy prosiłeś Lukácsa, żeby załagodził fragmnet odnoszący się do Eislera./... Ale do rzeczy... Moim zdaniem musimy zrezygnować z druku ze względów formalnych. Formalnie Brecht ma rację, że artykuły mogą się ukazywać w czasopiśmie w imieniu komitetu redakcyjnego tylko wtedy, kiedy żaden z redaktorów nie ma zastrzeżeń... Chyba się z tym zgodzisz. Dam odpis listu Walterowi [to znaczy Walterowi Ulbrichtowi] a także porozmawiam z nim i zobaczę, co powie. Najważniejsze jest to, iż teraz [Brecht] jest tak «pobudzony», że na pewno coś napisze. A to w każdym razie jest sukces. Jak ładnie ujawniają się powiązania, których istnienie dotychczas tylko podejrzewaliśmy. Oczywiście kampania Blocha-Eislera /bo z tym mieliśmy do czynienia/ ma głębsze korzenie".

Radosne pohukiwania tak onomatopeicznie wyrażone na początku wiążę się z ujawnieniem ukrytej roli Brechta jako inspiratora kampanii przeciwko oficjalnej doktrynie "realizmu socjalistycznego". List ten dowodzi również bezsprzecznie, że takie sprawy należało uzgadniać z Ulbrichtem, oficjalnym autorytetem partii. A jaki był wynik jego interwencji? Artykuł Lukácsa, któremu Brecht się tak zawzięcie sprzeciwiał, ukazał się w najbliższym numerze czasopisma - mimo uznania pełnego prawa Brechta jako jednego z redaktorów do zatrzymania materiału, którego nie aprobował.

Brecht rzeczywiście napisał artykuł, V o l k s t e u m l i c h k e i t u n d R e a l i s m u s /"Volksteumlichkeit" znaczy "ludowość", ale może również znaczyć "rodzimość" w znaczeniu stosowanym przez hitlerowców/, zawierający wielokrotne, słabo zamaskowane aluzje do tego, że "realizm socjalistyczny" jest spokrewniony z hitlerowskim ideałem nacjonalistycznej sztuki ludowej; artykuł ten nigdy nie ukazał się w "Das Wort". Natomiast inny artykuł teoretyczny, U b e r r e i m l o s e L y r i k m i t u n r e g e l m a s s i g e n R h y t m e n, sprzeciwiający się oficjalnie przyjętej linii tylko pośrednio /Becher i jemu podobni sięgnęli do tradycyjnych rymów i rytmów przy układaniu pseudo-ludowych pieśni dla partii/, ukazał się w numerze z marca 1939 roku. Był to jednak ostatni numer czasopisma. Po zniknięciu Michaiła Kolcowa /był on orędownikiem czasopisma w wyższych sferach partii sowieckiej/ i rozpoczęciu przez Stalina i Mołotowa przygotowań do zawarcia paktu z Hitlerem, tego rodzaju antyhitlerowskie przedsięwzięcie kulturalne stało się kłopotliwe. 31 marca 1939 roku trzej redaktorzy zostali krótko poinformowani, że czasopismo zostanie połączone z "Internationale Literatur", bowiem zajęcie Pragi wywołało zbyt wielkie trudności w jego rozpowszechnianiu.

Brecht, jak można sobie wyobrazić, był wściekły. W następnych numerach miało się ukazać szereg jego materiałów / a między nimi kolejne odcinki przekładu obszernych pamiętników słynnego duńskiego socjalistycznego pisarza Martina Andersena Nexö, przekładu podjętego dla zarobku wspólnie z Margarete Steffin/. Uważał, że za te materiały musi dostać pieniądze, zwłaszcza że "Internationale Literatur" połączyła się teraz oficjalnie z "Das Wort" zostając jej naturalnym dziedzicem i spadkobiercą. Otrzymał jednak honorarium tylko za to, co zostało już wydrukowane w ostatnim numerze zlikwidowanego czasopisma. 25 lipca 1939 roku Brecht napisał do Erpenbecka ze Szwecji /dokąd się przeniósł z Danii/:

"Pańskie rozliczenie moich materiałów do numeru 3 «Das Wort»... jest zdu-

miewające: 180 koron! Początkowo mówiło się, że praca przyjęta /i zamówiona/ musi być w każdym razie honorowana a także, jezeli to w ogóle możliwe, wydrukowana. Co do drukowania pamiętników Nexö, to musi o tym zdecydować "IL". Rozumiem oczywiście, że czasopismu niełatwo drukować jednocześnie kilka długich dzieł epickich w odcinkach. Ale to, że nam /i przypuszczalnie również samemu Nexöe?/ zapłacono nie za całą pracę, ale tylko za kilka skromnych pierwszych stron, i że uważa się to za uregulowanie wszelkich zobowiązań wobec nas, stanowi najbardziej łajdackie traktowanie, jakiego doznałem od jakiegokolwiek czasopisma w ciągu piętnastu lat działalności pisarskiej. Zdaje pan sobie sprawę, w jak trudnych warunkach znajdujemy się obecnie pracując za granicą, i nie mogę uwierzyć, że uświadomił to Pan należycie władzom, gdyż wydaje mi się zupełnie niemożliwe, żeby jakikolwiek organ władzy w Związku Sowieckim mógł postępować w ten sposób w sprawach polityki kulturalnej, jeżeli został należycie poinformowany. Czy rzeczywiście trzeba było uzupełniać oryginalny i wyzywający sposób, w jaki «poinformowano» redaktorów o likwidacji czasopisma /Feuchtwanger napisał do mnie bardzo cierpki list na ten temat/ tym łajdackim i nieuczciwym załatwieniem finansowej strony sprawy? Ma Pan absolutny obowiązek poinformowania o tym towarzyszy odpowiedzialnych za to, naprawdę. /Czy Pan w ogóle im mówił, że pamiętniki zostały przyjęte przez «Das Wort»?/. Pomijam już pytanie, dlaczego za materiały dostarczone ostatnio otrzymałem o wiele niższe honorarium niż za poprzednie, ale nawet zwrot kosztów opłat pocztowych, przepisywanie na maszynie itd., który otrzymywałem co roku, wydaje się dziś nieosiągalny. Nie uważał Pan nawet za stosowne wspomnieć o tym..."

W tym czasie położenie niemieckich pisarzy i intelektualistów emigracyjnych w Związku Sowieckim stawało się rzeczywiście coraz trudniejsze. Nieliczni uniknęli aresztowania, wielu zniknęło na zawsze; inni, a wśród nich bliski przyjaciel i współpracownik Brechta, Bernhard Reich, wyrostali się po latach z obozów i syberyjskiego wygnania; a wszyscy bez wyjątku żyli w nieustannym strachu przed poranną wizytą tajnej policji. Nawet György Lukács został aresztowany i spędził ponad dwa miesiące w więzieniu /z powodów, które nigdy się nie wyjaśniły; prawdopodobnie wzięto go za kogoś o podobnym nazwisku/. Wielu zostało po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow wydanych Gestapo i zginęło w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, do których zostali natychmiast wtrąceni, lub było wypuszczonych gdzies w Polsce tylko po to, żeby w parę miesięcy później zginąć w komorach gazowych.

Brecht, jak tego dowodzi aż za dobrze jego list, dokładnie orientował się w sytuacji. Już w listopadzie 1937 roku napisał do swojego przyjaciela, niezależnego komunisty niemieckiego Karla Korscha:

"Po aresztowaniu Tretiakowa /chyba jako szpiega japońskiego/ moje kontakty literackie ze Związkiem Sowieckim znacznie się rozluźniły".

Po przeniesieniu się z Danii, coraz bardziej zagrożonej niemiecką inwazją, do Szwecji, a potem do Finlandii, Brecht zapragnął całkiem opuścić Europę. Podjął usilne starania o wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Dla tego celu skorzystał z pomocy innego marksistowskiego człowieka teatru, który próbował szczęścia w Związku Sowieckim i doznał zawodu, Erwina Piscatora, awangardowego reżysera. W maju 1940 roku pisał do Piscatora, starającego się o uzyskanie dla niego stanowiska wykładowcy w Nowej Szkole Badań Społecznych /gdzie sam Piscator prowadził "warsztat teatralny"/:

"Mam wrazenie, ze obecnie USA należą do niewielu krajów, w których można swobodnie prowadzić pracę pisarską..."

Właśnie dzięki pomocy Piscatora, który uzyskał dla niego pracę w Nowej Szkole /Brecht jej zresztą nigdy nie podjął/, udało mu się ostatecznie otrzymać wizę amerykańską od konsula USA w Helsinkach. Ironicznym zrządzeniem losu, jedynym sposobem, w jaki Brecht ze swoim "dworem" mógł jeszcze przedostać się do Ameryki, była podróż morska z Władywostoku. Dlatego też musiał przeje-

chać przez cały Związek Sowiecki - z postojem w Moskwie z powodu zasłabnięcia Margarete Steffin - aby wsiąść na ostatni statek odpływający do portów amerykańskiego Zachodu przed najazdem Niemców na Związek Sowiecki.

Brecht juz wcześniej, na początku swojego wygnania, spędził jakiś czas w Ameryce. Pojechał do Nowego Jorku w 1937 roku, aby nadzorować przygotowywanie swojej sztuki, M a t k a, w komunistycznym "Theatre Union". Był wtedy przerażony wywodzącym się od Stanisławskiego naturalizmem, który panował na amerykańskiej scenie lewicowej, zdecydowanie zraził sobie dyrektorów teatru i został ostatecznie odsunięty od prób. Zatem nie miał najmniejszych złudzeń co do swoich mozliwości na scenach Stanów Zjednoczonych.

Po przybyciu do San Pedro, portu Los Angeles, Brecht postanowił spróbować szczęścia w przemyśle filmowym, gdzie miał wielu przyjaciół i wiele kontaktów. Znaczna liczba niemieckich aktorów, scenarzystów i reżyserów osiedliła się w Hollywood jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy, a wielu innym udało się znaleźć pracę i uznanie po 1933 roku: Ernst Lubitsch, Fritz Lang, William Dieterle, Berthold Viertel /uwieczniony w powieści Christophera Isherwooda P r a t e r V i o l e t/ i jego żona Salka /która stała się powierniczką i i główną scenarzystką Grety Garbo/, Peter Lorre, Elisabeth Bergner, aby wymienić kilku najwybitniejszych. Lion Feuchtwanger, który uszedł z Francji w 1940 roku, zyskał już powodzenie jako autor scenariuszy. Zatem Brecht osiadł w stolicy filmu /wynajął dom nr 817 przy Dwudziestej Piątej ulicy w Santa Monica; przeniósł się później do większego domu, nr 1063 przy Dwudziestej Szóstej ulicy, który w końcu zakupił za 4500 dolarów/.

Książka Jamesa Lyona, oparta na licznych wywiadach z ludźmi, którzy zetknęli się z Brechtem w latach czterdziestych, a także na wielu źródłach pisanych /łącznie z doniesieniami agentów FBI na temat Brechta, dostępnymi obecnie na podstawie Ustawy o swobodzie informacji/, wyraźnie ukazuje, że reakcja Brechta na Stany Zjednoczone była typowa dla intelektualisty europejskiego, przerażonego tamtejszym materializmem, ale przede wszystkim brakiem przywództwa intelektualnego w społeczeństwie, w którym zawodowi pisarza czy aktora nie towarzyszył żaden szczególny status społeczny a lektura najnowszej powieści czy rozprawy socjologicznej nie była niezbędna dla zaliczania się do kręgu "wykształconych /gebildete/ ludzi.

Ponadto sprawy europejskie były oczywiście bardzo odległe. W październiku 1942 Brecht pisał do swojego starego przyjaciela i nauczyciela, Karla Korscha - niezależnego marksisty, którego usunięto z Niemieckiej Partii Komunistycznej:

"Izolacja intelektualna jest tutaj niesłychana. W porównaniu z H.[Hollywood] Svendborg [miasteczko w Danii, w którym przedtem mieszkał] jest stolica świata".

W liście do poety H.R.Haysa /który podpisał poręczenie za niego i tłumaczył jego poezję/ napisał:

"Mieszkam tu... jak na Tahiti, wśród palm i artystów. Sprawia to, że jestem niespokojny".

A w kilka miesięcy później notował w dzienniku:

"Mam wrażenie jak gdybym był Franciszkiem z Asyżu w akwarium, Leninem na Praterze /czy na "Oktoberfest"/ albo chryzantemą w kopalni węgla".

Znaczyło to, że z jednej strony uważał się za kogoś niesłychanie poważnego, zatroskanego o ostateczny los świata, a pozostającego w otoczeniu skrajnie trywialnym i pospolicie hedonistycznym; z drugiej strony - za wrażliwą osobowość /chryzantemę/ w środowisku pochłoniętym obrzydliwym materializmem. Czuł się osaczony przez panujący tam poziom smaku. "Tania ładność psuje całe wrażenie", zanotował w dzienniku. Kiedy jego żona po przeprowadzeniu się do większego domu znalazła jakieś piękne stare meble, zanotował, że przecież w

Ameryce istniała jakaś tradycja projektowania: "wspaniałe stare stoły ze znakomitą stolarką i miedziane spluwaczki przerobione na lampy... Wydaje się oczywiste, że Ameryka kiedyś była narodem kulturalnym..."

Znamiennym wyrazem jest tutaj "Kulturation", wyraz pochodzący ze słownika niemieckiego Bildungsbürgera, który dzieli cały świat na plemiona kulturalne i niekulturalne /to znaczy "barbarzyńskie"/. Nie jest bez znaczenia, że hitlerowcy uzasadniali zagładę Żydów twierdzeniem - głoszonym przez takich ludzi jak Spengler czy Gobineau - że nie są zdolni do stworzenia oryginalnej "Kultur". Niewątpliwie według Brechta Amerykanie również pozostawali poza kręgiem społeczeństw, które były w stanie stworzyć "wyższą kulturę". Hollywood stał się dla niego miejscem, w którym wyrafinowana kultura sprzedawała się Mamonowi. W jednej ze swoich E l e g i i h o l l y w o o d z k i c h pisze o tym zupełnie wyraźnie:

Pod zielonymi drzewami pieprzowymi
Muzycy łajdaczą się na wyprzódki
Wraz z pisarzami. Bach
Napisał kurewski kwartet. Dante wierci
Swoim wyschniętym kuprem.

Jednak na życie trzeba zarabiać. Brecht napisał ogromną ilość scenariuszy filmowych, a nawet jeden udało mu się sprzedać za pomocą Fritza Langa, starego przyjaciela berlińskiego, a obecnie zaś wybitnego reżysera filmowego w studio hollywoodzkim. Nakręcono film H a n g m e n a l s o d i e, choć oryginalny scenariusz Brechta został przerobiony. Kiedy jego nazwisko jako współautora scenariusza nie pojawiło się w czołówce, Brecht oddał sprawę pod arbitraż Stowarzyszenia Scenarzystów, ale nie zdołał dowieść swojej racji.

W dwa dni po Pearl Harbour Brecht zaoferował swoje usługi amerykańskiemu wysiłkowi wojennemu. W liście do Archibalda MacLeisha z 9 grudnia 1941 roku napisał /list jest po angielsku/:

"Po tułaczce przybyłem tu z rodziną latem tego roku. Zezwolenie na pobyt otrzymałem na mocy wizy imigracyjnej. Przez kilka pierwszych miesięcy byłem zajęty urządzaniem się. Teraz, skoro kraj ten również znalazł się w stanie wojny, pragnę najgoręcej wziąć udział w walce z hitlerowcami, tymi opryszkami światowymi... Na podstawie mojej znajomości Niemiec mam silne przekonanie, że nadszedł właściwy moment psychologiczny, aby zacząć nadawać stąd prosto do Niemiec audycje przekazujące prawdę, która podziała jako bodziec do buntu w nadchodzącej godzinie rozpaczy. Zdaję sobie sprawę z tego, że takie przedsięwzięcie może okazać się obosieczne, jeżeli nie zostanie mądrze przeprowadzone. Z radością będę uczestniczył w tej pracy. Chyba wie Pan, że mogę się przydać".

Ze swojego schronienia w Danii Brecht regularnie posyłał antyhitlerowskie utwory poetyckie i skecze do Radia Moskwa. Teraz chciał robić to samo w Voice of America. Jednak jego zgłoszenie nie zostało przyjęte. Natomiast jego kochanka, duńska aktorka Ruth Berlau /która porzuciła swoją karierę i męża, aby towarzyszyć Brechtowi na wygnaniu/, znalazła pracę w duńskich audycjach Głosu Ameryki i przeniosła się do Nowego Jorku. Spowodowało to w następnych latach szereg długich wizyt Brechta na Wschodnim Wybrzeżu i wywołało szereg kryzysów w jego stosunkach z aktorką, która przypominała, że Brecht obiecał porzucić swoją żonę, Helenę Weigel, kiedy postanowiła z nim pojechać. Ruth Berlau zaszła w ciążę, pozbyła się jej i musiała jakiś czas spędzić w sanatorium dla chorych psychicznie. Nieliczne listy z obfitej korespondencji z nią, jakie znalazły się w wydaniu Gläsera - przez wiele lat Brecht pisywał do niej prawie codziennie - ukazują, jak napięta bywała niekiedy sytuacja.

Ruth Berlau spełniała rolę kogoś w rodzaju agenta teatralnego Brechta w Nowym Jorku. Niektóre z projektów, z jakimi tam występował, niemal zostały zrealizowane. K a u k a s k i e k r e d o w e k o ł o napisał dla austriackiej aktorki, Luise Rainer, która odniosła ogromny sukces i zdobyła Oskara za rolę żony w ekranizacji powieści Pearl Buck, B ł o g o s ł a w i o n a

z i e m i a. Chciała wykorzystać ten sukces w dalszych rolach o charakterze orientalnym i prosiła Brechta o napisanie dla niej sztuki. Nakłoniono W.H. Audena do współpracy nad przekładem. Jednakże w końcu nic nie wyszło z zamiarów wprowadzenia sztuki na Broadway. Jej fabuła bardzo przypominała projekt S z w e j k a w d r u g i e j w o j n i e ś w i a t o w e j, który miał być początkowo musicalem zrealizowanym wspólnie z Kurtem Weilem. I w tym wypadku było wiele trudności z przekładem i nieporozumień z amerykańskimi reżyserami. Wystawienie serii szkiców Brechta na temat życia w Niemczech hitlerowskich, P r y w a t n e ż y c i e r a s y p a n ó w, w końcu urzeczywistniło się w Nowym Jorku, chociaż poza Broadwayem. Ale i tu wystąpiły wielkie trudności. Początkowo miał reżyserować przedstawienie Erwin Piscator, ale jego koncepcja odbiegała od zamiarów autora i w końcu Berthold Viertel w ostatniej chwili przejął pracę. Kiedy przedstawienie doczekało się w końcu premiery w City College na Dwudziestej Trzeciej ulicy, Hitler popełnił samobójstwo w swoim berlińskim bunkrze i sztuka straciła rację bytu. Dopiero w 1947 roku Brecht uzyskał powodzenie jedną ze swoich sztuk: Ż y c i e G a l i l e u s z a, przetłumaczone przy współpracy Charlesa Laughtona, zostało wystawione w Hollywood latem 1947 roku w reżyserii Josepha Loseya, a późną jesienią przeniesione do Nowego Jorku. Jednak w dniu nowojorskiej premiery Brechta już nie było w Ameryce.

Brecht w stosunkach z amerykańskimi ludźmi teatru - jak pisze i co obszernie ilustruje James Lyon - okazał się bezkompromisowy aż do arogancji. Kiedy Harold Clurman, krytyk teatralny i reżyser oraz jeden z założycieli Group Theatre, zamierzał reżyserować G a l i l e u s z a na Broadwayu, Brecht go ordynarnie odprawił.

"Wkrótce po przybyciu Brechta do Nowego Jorku pod koniec września 1946 roku [Clurman] i Kazan złożyli mu wizytę. [Clurman] miał zamiar nakłonić pisarza, aby pozwolił mu wystawić i reżyserować sztukę wspólnie z Kazanem. Clurman przypomina sobie wynikłą stąd rozmowę i sposób, w jaki Brecht mu stanowczo odmówił: «Zapewniłem Brechta o moim zachwycie dla sztuki i powtórzyłem z naciskiem moją deklarację, że będę szczęśliwy, gdyby zechciał mnie w czasie pracy pouczyć o wszelkich popełnionych błędach w rozumieniu sztuki.»

Odpowiedź Brechta była stanowcza. - Nie!
- Wolałbym dyrektora cyrku - ciągnął. - Należy pan do ludzi Stanisławskiego i nie jest pan w stanie zrozumieć jak podejść do mojej sztuki.

Nie wytrzymałem. - Nazywam się Clurman! - wrzasnąłem.

Ale on wrzasnął, jeżeli to możliwe, jeszcze głośniej. - Nie rozumie pan, nikt nie rozumie, nawet Piscator nie rozumie... Będzie pan próbował wydobyć «atmosferę», ja nie chcę atmosfery. Będzie pan tworzył «nastrój», ja nie chcę nastroju.

Zacząłem krzyczeć z całej siły. - ... Niech mi pan powie, o co panu chodzi, a zastosuję się do pańskich wskazówek. - ... Kazan nie powiedział ani słowa."

Incydent ten, który Lyon przytacza za pamiętnikami Clurmana, dowodzi, że Brecht uważał się za prześladowanego przez dokładnie tę samą opozycję artystyczno-ideologiczną, co w Związku Sowieckim, gdzie Stalin i Żdanow wynieśli Stanisławskiego na pozycję oficjalnego wzoru i gwiazdy przewodniej teatru. Naturalizm Stanisławskiego stał się w oficjalnej doktrynie "realizmu socjalistycznego "w teatrze tym, czym Balzac, Walter Scott i powieść dziewiętnastowieczna była dla Lukácsa. Ironicznym zbiegiem okoliczności, poprzez wpływ rosyjskiej antybolszewickiej emigracji aktorskiej, właśnie estetyka i metoda pracy Stanisławskiego stała się wzorem niewolniczo naśladowanym przez amerykańskich aktorów i reżyserów. I jeżeli poglądy Hitlera na ekspresjonizm stanowiły wierne odbicie poglądów Stalina, to również obowiązująca metoda w amerykańskim teatrze "artystycznym" /w odróżnieniu od musicalu i popularnej farsy/

ściśle odpowiadała oficjalnej tezie sowieckiej.

Brutalność i arogancję Brechta, tak rażącą dla amerykańskich ludzi teatru, z którymi się zetknął /i których opinie zebrał Lyon/, można chyba wytłumaczyć jako wyraz jego osłupienia wobec takiego stanu rzeczy, i pogardy dla poglądów estetycznych, jakie napotkał. Przyłączyła się do tego pogarda dla zapóźnienia technicznego i ubóstwa repertuaru opartego na zasadach komercyjnych systemu teatralnego, który nie dysponował hojnymi dotacjami należącymi do niemieckiej tradycji kulturalnej. Jak pisze Lyon, "wielka niemiecka kolonia uchodźcza w Nowym Jorku... nigdy nie wyzbyła się bezwzględnej pogardy dla teatrów amerykańskich, opartej częściowo na słusznych zarzutach, a częściowo na ignorancji". Brecht ujawnił podobną postawę już przy pierwszym zetknięciu się z amerykańskim teatrem w 1935 roku:

"Manuel Gomez przypomina go sobie jako człowieka «niezwykle próżnego... niezwykle aktywnego, niezwykle upartego, niezwykle złośliwego, niezwykle trudnego». Albert Maltz, który czuł się obrażony jego «kłótliwą arogancją», otwarcie przyznaje, że czuł wstręt do jego osoby, częściowo dlatego, że odór jego niemytego ciała /Brecht nie lubił się kąpać/ czynił pozostawanie w jego obecności bolesnym przeżyciem. George Sklar porównywał Brechta do Hitlera i dostrzegał u niego «te same apoplektyczne wybuchy, te same deklamacje i wrzaski, jakie charakteryzowały niemieckiego dyktatora». Nie był to pierwszy ani ostatni wypadek dokonywania takich niepochlebnych porównań..."

Eric Bentley, jeden z najwierniejszych zwolenników i propagatorów Brechta od samego początku, również doświadczył z jego strony wielu wybuchów złego humoru, podejrzeń i wykrętności, w sprawach dotyczących upoważnienia różnych ludzi do przekładu jego sztuk i nie informowania ich o zmianach decyzji. Tak pisze o tym w liście:

"Nie miał ani dobrych obyczajów, ani zwykłej przyzwoitości. Realizował swoją teorię, że nie można być przyzwoitym w takim społeczeństwie. ...Jest taki jak Dubedat w D o c t o r ' s D i l e m m a - kanalia, ale artysta".

W.H.Auden wyraża podobny pogląd mówiąc, że Brecht był "wybitnym pisarzem, ale odrażającym człowiekiem". Trzeba jednak pamiętać, że Brecht rozmyślnie tworzył taki swój wizerunek. Chciał wydawać się szorstkim i bezkompromisowym, chciał zrażać tych, którymi gardził i których dyskwalifikował.

Występuje zatem osobliwa zbieżność między doznaniami Brechta wyniesionymi z duchowego i ideologicznego przebywania w Związku Sowieckim /jako wydawcy "Das Wort" i sowieckiego frontowca w literackim Froncie Ludowym w połowie lat trzydziestych/ i z sześcioletniego pobytu w Hollywood w staraniach o zdobycie miejsca na Broadwayu.

W obu krajach spotkał się z oficjalną /lub "obowiązującą"/ niechęcią do swoich awangardowych idei artystycznych - wypływającą ze zbliżonych przesłanek. Teatr amerykański - a jeszcze bardziej kalifornijski przemysł filmowy - brał na warsztat sentymentalny kicz, bowiem był bardziej opłacalny, natomiast Związek Sowiecki odrzucał trudną i wymagającą sztukę awangardową, bowiem pozostawała niezrozumiała dla mas, a zatem była nieskuteczna jako środek podnoszącej ducha propagandy - co jest tylko innym sposobem powiedzenia, że była, w żargonie hollywoodzkich magnatów filmowych - trucizną dla kasy". Pod tym szczególnym względem komercjalizm i rozpaczliwe pragnienie totalitarnego państwa zyskania publicznej aprobaty -są całkowicie analogiczne. Dla intelektualisty i artysty awangardowego, jak Brecht, gust reprezentowany przez "dobrą kasę" - i "dobrą propagandę" - był przykładem tego, co nazywał filisterskim, półinteligenckim, drobnomieszczańskim, podmiejskim rodzajem wrażliwości, a zatem tym wszystkim, co awangardowy intelektualista uważa za najobrzydliwsze. Eksperymentujący pionier nowej wrażliwości z samej natury musi być - przynajmniej początkowo - elitarny. W Niemczech, gdzie "Bildung" zawsze była ważną oznaką pozycji społecznej, powszechna opinia publiczna tolerowała taki właśnie stan rzeczy. Nawet ci, którzy nie lubili sztuki "awangardowej", przypisy-

wali artyście awangardowemu wysoką pozycję społeczną. Przecież właśnie artyści i filozofowie /których mało kto rozumiał/ sprawili, że Niemcy zyskały wysoką pozycję narodową i aprobatę Europy XVIII I XIX wieku, kiedy inne wielkie narody pochłonięte były innymi przedsięwzięciami /na przykład zdobywaniem zamorskich imperiów/.

W Związku Sowieckim model taki funkcjonował, póki artyści i pisarze byli rozpieszczani przez władze. Ale kiedy, po pierwszych uniesieniach nad orgiami sztuki awangardowej, Stalin doszedł do wniosku, że nie daje ona masowego zysku, owi rozpieszczani artyści zostali zmuszeni surowymi środkami terroru do zniżenia się do roli narzędzi mniej niż półinteligenckiej, oficjalnej, filisterskiej estetyki. W Stanach Zjednoczonych względy komercyjne automatycznie wywoływały podobny stan rzeczy. Autorzy bestsellerów i tryumfatorzy Broadwayu zażywali tyluż przywilejów, co ich sowieckie odpowiedniki. Drobna różnica polegała na tym, że w Związku Sowieckim pisarze awangardowi /jak przyjaciel Brechta Tretiakow/ byli rozstrzeliwani, w Stanach Zjednoczonych musieli tylko wegetować na poddaszach dolnego East Side'u czy też za nędzne grosze nauczać w college'ach "twórczości oryginalnej". I podczas gdy w Związku Sowieckim Brecht roztropnie powstrzymywał się od głoszenia swoich poglądów artystycznych, to w Stanach Zjednoczonych mógł być tak grubiański i wymowny, jak tylko chciał.

Brecht pogardzał "krajobrazem kulturalnym" Stanów Zjednoczonych, po prostu dlatego, że kraj ten jawił mu się /pewnie słusznie/ jako wielkie przedmieście z podmiejskimi gustami w umeblowaniu, architekturze i sztuce. "Marksizm" Brechta był właściwie reakcją na styl życia "Kleinbürgera", drobnomieszczanina. Wydawało mu się, że alternatywą była kultura prawdziwie "proletariacka", ale jego postawy i wypowiedzi dowodzą aż zbyt jasno, że to, do czego rzeczywiście dążył, co naprawdę jawiło mu się jako idealna alternatywa, było właściwie czymś przeciwnym do "proletariackości" - a mianowicie elitarne, awangardowe gusty najbardziej wtajemniczonych spośród "Bildungsbürger", wykształconej części niemieckiego społeczeństwa, czerpiącej swój prestiż z chodzenia do teatru, czytania najnowszych książek i zorientowania w najnowszym malarstwie i rzeźbie. Stosunek Brechta do Ameryki jest taki sam, jak stosunek setek innych niemieckich intelektualistów na uchodźctwie, którzy nigdy nie mogli pogodzić się z krajem, który nie ma Teatru Narodowego /nie mówiąc o kawiarniach literackich/ i gardzi niechlujnymi, mało zarabiającymi intelektualistami. Fakt, że dzisiaj pozycja społeczna intelektualistów znacznie się zmieniła w Stanach Zjednoczonych, że są tam teraz dotowane teatry i że niemiecki typ "Bildungsbürgera" /na przykład Henry Kissinger/ może osiągnąć wysokie stanowisko w strukturze władzy, można w dużym stopniu uznać za uboczny efekt napływu niemieckich intelektualistów tego rodzaju w latach trzydziestych i czterdziestych.

Licznym spośród niemieckich emigrantów udało się pogodzić z nowym środowiskiem i ostatecznie przyczynić do stopniowego przekształcenia go na swój obraz. Brecht nie chciał niczego takiego. W wierszu, który napisał jeszcze w Danii w 1937 roku, sprzeciwiał się nadawaniu nazwy "emigrantów" niemieckim uchodźcom:

> Emigranci - znaczy ci, którzy wywędrowali.
> Lecz my nie wyszliśmy, wybierając z wolnej woli
> Jakiś inny kraj. I nie wyszliśmy także
> Do jakiegoś kraju, by w nim zostać, jeśli można, na zawsze.
> My - uciekliśmy. Przepędzono nas, wygnano.
> Nie domem, a schronieniem winien być kraj, co nas przyjął.
> /Tłum. Ł.Pijanowski/

Lyon cytuje odnoszący się do tego wiersza zapis z 1943 roku w kartotekach FBI:

"Należy uważać, że zamiana wyrazu «emigracja» na «wygnanie» dowodzi, iż osoby związane z Brechtem nie uważają się tu za emigrantów, ale raczej za wygnańców, którzy czekają na powrót do Europy".

W tym wypadku agent FBI prawidłowo zrozumiał myśl autora. Brecht długo wahał się, zanim zaczął czynić przygotowania do powrotu do Europy. Nie cieszyła go myśl o życiu w zniszczonym kraju i jego korespondencja dowodzi, że myślał o Szwajcarii, północnych Włoszech, Austrii. A gdy w latach 1948-1949 w końcu postanowił osiedlić się w Berlinie Wschodnim, nadal starał się usilnie o obywatelstwo austriackie, które w końcu otrzymał; mieszkał zatem we Wschodnich Niemczech jako "Ausländer", obcokrajowiec. /Może pamiętał, że w Związku Sowieckim ci, którzy przyjęli obywatelstwo sowieckie, zostali rozstrzelani, natomiast obcokrajowcy mogli liczyć na deportację./

Los uchodźczych poetów jest pełen ironii. Brecht spędził piętnaście lat za granicą, tracąc życie teatralne, przyjemności i pozycję społeczną, jaką cieszył się jako artysta i intelektualista w kraju "Bildungsbürger"; ale samo przeżycie tak długiego czasu w wielkim świecie z jego szerokimi perspektywami sprawiło, że wytęskniony kraj wydał się po powrocie ciasny i ograniczony. W jednym z zapisów w swoim dzienniku wkrótce po powrocie do Berlina Wschodniego Brecht pisze o "cuchnącym powiewie prowincjonalizmu", jaki poczuł w czasie przyjęcia, na którym spotkał rządowych dygnitarzy wschodnioniemieckich.

Brecht wyjechał ze Stanów jesienią 1947 roku, następnego dnia po przesłuchaniu przez Miejscowy Komitet do Badania Działalności Antyamerykańskiej w przemyśle filmowym. Otrzymał gratulacje za współpracę w czasie zeznań, ale nic nie powiedział - dzięki zwykłemu udawaniu, że jest obcokrajowcem nie znającym na tyle języka, aby się zorientować, o co chodzi. Jeszcze jednym ironicznym zbiegiem okoliczności, w pół roku po wyjeździe ze Stanów Zjednoczonych otrzymał nagrodę Amerykańskiej Akademii Literatury /tysiąc dolarów, znaczna suma w 1946 roku/. 5 kwietnia 1948 roku napisał /po angielsku/ do przewodniczącego komitetu nagród:

"Dziękuję za zaszczyt, jaki Państwo mi przyznali. W czasach takich jak dzisiejsze nagroda taka szczególnie podnosi na duchu. Niestety, nie będę mógł wziąć udziału w dorocznej ceremonii, gdyż mieszkam teraz w Szwajcarii..."

Powróciwszy do Niemiec Wschodnich Brecht, obywatel austriacki, który swoje prawa autorskie powierzył wydawcy zachodnioniemieckiemu, z powrotem pogrążył się w walce rozpoczętej, kiedy był w Danii, walce przeciwko stalinowskiej doktrynie estetycznej w Związku Sowieckim. Była to zacięta walka, miała swoje tryumfy i porażki. Był zmuszony do złożenia publicznego hołdu Stanisławskiemu, musiał pogodzić się z oficjalną cenzurą i znieść ataki krytyki. Pozostał jednak wierny sobie do końca.

Raz wygnany, pozostał zawsze wygnańcem. Zamieszkawszy z powrotem w Berlinie, mieście z którego odszedł na "emigrację", Brecht nigdy nie poczuł się u siebie. W jednym z ostatnich listów zawartych w wydaniu zbiorowym /z grudnia 1954 roku, na półtora roku przed śmiercią/ Brecht dziękuje przyjacielowi za przysłanie bawarskiego piwa i melancholijnie dodaje, że te butelki "... przypominają mi, że właściwie nadal jestem na wygnaniu, choć całkowicie dobrowolnym..."

Jezeli ktoś raz posmakował gorzkiego chleba cudzoziemca, poznał, jak ciężko chodzić po schodach i ulicach zawierających nieznane treści, to wygnanie staje się dla niego czymś więcej niż faktem fizycznym: staje się trwałym stanem umysłu.

"Encounter" XII 1982

+ + + + + + +

BŁYSZCZĄCA SZTUCZNA RYBA

Niniejszy tekst nie zawiera żadnych nowych prawd ani rewelacyjnych ustaleń, nie analizuje roli telewizji jako środka komunikowania czy instrumentu ekspresji artystycznej. Powtarza jedynie to, o czym wie doskonale każdy z nas, lecz o czym wszyscy albo prawie wszyscy tak chętnie zapominamy.

Powiedzmy sobie otwarcie: dla większości Polaków oglądanie telewizji stało się nałogiem. Jak każda niezdrowa skłonność jest on czymś wstydliwym. Udajemy więc, że nie istnieje, ukrywamy go przed innymi. A jednak walczyć z nim nie potrafimy. Z wielu powodów TV jest atrakcyjna, nawet ta najgorsza. Gazety, książki, radio - każdy z tych sposobów komunikowania można zastąpić czyli zamienić instytucje mniej wiarygodne na bardziej wiarygodne /obieg niezależny, prasa i rozgłośnie zagraniczne/. Telewizja jest tylko jedna. Władze dbają o to, by była /w miarę możności/ atrakcyjna, a zwłaszcza łatwa w odbiorze. Preferowane są programy, których odbiór nie wymaga żadnego wysiłku. Ambitniejsze audycje szybko znikają.

Gdyby telewizja w naszym kraju zachowała "czystość ideologiczną", prawdopodobnie od dawna nikt by jej nie oglądał. Problem polega na tym, że obok nudnych agitek włącza ona do swego repertuaru wiele pozycji mających posmak sensacji, tematów rodem z prasy brukowej - oczywiście chodzi tu o zagadnienia spoza sfery polityki czy gospodarki takie jak parapsychologia, UFO, zagadka Trójkąta Bermudzkiego itp. Zdaniem inteligentych komentatorów telewizyjnych sprawy te zajmują uwagę wszystkich uczonych na całym świecie.

Autorytet telewizji pochodzi między innymi stąd, że prezentuje ona każdy fakt z siłą właściwą wszelkiej prostocie. Zagadnienia złożone, skomplikowane, wieloznaczne nie zajmują pracowników TV. Prawdy płynące z ekranu powinny być płaskie, oczywiste, wypowiadane językiem nie tyle prostym, co prymitywnym.

Dumne hasło głosiło niegdyś, że telewizor jest naszym oknem na świat. Rzeczywiście, obecność TV w życiu społecznym poszerzyła niewątpliwie nasze widzenie świata, choć poszerzenie to okazuje się niejednokrotnie chytrze obmyślaną pułapką. Jako instytucja, jest polska telewizja połączeniem sugestywności technicznego przekazu z politycznym monopolem dystrybutora. A ponieważ - jak zauważył trafnie jeszcze w XVI stuleciu F.Bacon - "tyle mamy władzy, ile mamy wiedzy", toteż jest ona faworyzowanym środkiem przekazu. Nie powinniśmy się zatem dziwić, że przez telewizyjne okienko widać raczej niewiele, czyli tylko tyle, ile pozwoli nam zobaczyć władza. Świat w wydaniu TV jest starannie uporządkowany, wyselekcjonowany, sztuczny i perfidnie zniekształcony.

Trudno powiedzieć, jaka liczba wielomilionowej masy telewidzów nie pojmuje mechanizmu kłamstwa. Sugestywność TV powoduje, że dla wielu człowiek przemawiający z ekranu mówi to, co myśli. Kiedy widzimy twarz na ekranie, słyszymy nazwisko, wydaje się, że osoba ta prezentować będzie własne poglądy. Presja obrazu połączona z płynącym z głośnika słowem czyni przecież cuda. Zdarzają się przecież ciągle ludzie, dla których powieść radiowa stanowi podsłuchaną rozmowę. W tej samej konwencji pojmuje się TV: jako bezpośrednią "transmisję z życia". Przekaz telewizyjny skłania nas do przyjęcia roli "świadka wydarzeń", podczas gdy uczestniczymy z reguły w pomysłowo wyreżyserowanym spektaklu. Nie znając pojęcia gry aktorskiej czy też nie stosując go do uczestników programów publicystycznych, dajemy wiarę wielu telewizyjnym fikcjom. Jedną z najważniejszych jest tak zwany kontakt z telewidzami. To nie oni tam, w stołecznych i regionalnych redakcjach układają program, oni zaspokajają jedynie nasze życzenia - podobno! Rozpowszechnia się chętnie fałszywe przekonanie, że każdy z milionów telewidzów może napotkać eleganckiego pana z mikrofonem, który zapyta go o opinię w jakiejś ważnej sprawie. Niestety, jakoś nię

krzyżują się nasze drogi. Mija czas i nikt nie pyta nas o zdanie. Tymczasem na ekranach oglądamy dalej przedstawicieli "szerokich mas", którzy akurat - dziwnym trafem - myślą dokładnie tak jak władza.

Wydawało się, że po C z ł o w i e k u z ż e l a z a Andrzeja Wajdy nie będzie już można z owych fikcji korzystać. Być może za mało osób obejrzało ten film i zapamiętało scenę, w której odsłonięty został mechanizm doboru i szkolenia kadr spontanicznej "opinii publicznej". Być może bezczelność władzy nie liczy się z nikim i z niczym, a może- nie bez słuszności -TV odwołuje się do naszej wyrozumiałości i naiwności.

Pozory uczestnictwa tworzą się nie tylko wówczas, gdy "obywatele" występują w telewizji, ale także wtedy, gdy telewizja przychodzi do nich. Jakże często oglądamy dziennikarzy piętnujących bałagan, marnotrawstwo, spekulację. Wydaje się nieraz, że wystarczy napisać list, by przyjaciele, których tak dobrze znamy z ekranu, wyciągnęli do nas pomocną dłoń. Tymczasem interwencje telewizyjnej ekipy dotyczą wybranych przypadków, reprezentujących zjawiska, o których chce mówić w danym momencie władza. Obejrzymy wieczorem w dzienniku nieuczciwą sklepową i pracownika poczty, który okazał się oszustem, zobaczymy niegrzeczną urzędniczkę, która w godzinach pracy popija herbatę. Ale nie oczekujmy, że TV pokaże nam wykroczenia partii albo milicji. Milicjanci są zawsze uczciwi, ubecy w ogóle nie istnieją, partyjna biurokracja jest wciąż zapracowana, a herbatę pija prawdopodobnie dopiero w nocy.

Ze zrozumiałych względów autorom programów telewizyjnych zależy bardziej na bierności widza niż uczestnictwie, preferuje ona i stara się narzucić postawę kibica. Niestety, owa postawa w coraz większym stopniu przenika i warunkuje cały nasz proces obcowania ze światem. Starsze pokolenia poznawały otoczenie podróżując, czytając książki, chodząc do kina. Obecnie penetracja świata rozpoczyna się od przekręcenia gałki odbiornika. Dawne formy poznawania świata wymagały pewnego wysiłku, nawet seans w kinie uzależniony był od wykonanis kilku przynajmniej operacji /znalezienie czasu wolnego, wybór filmu, zakupienie biletu/, a w drodze powrotnej widz znajdował czas na chwilę refleksji. Ludzie przyjęli z ulgą fakt, że kino przyszło do nich. Niestety, telewizja nie jest kinem, jest bezrefleksyjna, łatwa, czytelna, a z uwagi na to, że czas telewizyjny stanowi continuum - niebezpiecznie agresywna.

Najczęściej widzowie narzekają na programy polityczne i gospodarcze. A jednak również "Dziennik TV" ma swoich zagorzałych wielbicieli. Zajmują ich wyłącznie problemy zagraniczne. By uniknąć niepotrzebnych skojarzeń, publicyści z redakcji międzynarodowej wybierają najbardziej odległe zakątki świata /Liban, Salwador, przedtem Wietnam i Kambodża/. Ponieważ, drogi widzu, nie możesz w owych dalekich wojnach uczestniczyć i bronić słusznej /albo niesłusznej/ sprawy, stajesz się z konieczności kibicem. Podobną postawę: telewizyjnego kibica kształtuje zresztą większość programów; serial, którego sympatycy kibicują "życiu rodzinnemu" innych, mecz sportowy, w którym kibicuje się "naszym" zawodnikom etc. Formuje się i umacnia wrażenie, że przejście do działania byłoby naruszeniem konwencji, przejściem na drugą stronę szklanego ekranu, co jest przecież niemożliwe.

Zgoła odmienna sytuacja panuje tam, gdzie telewizja zajmuje się tematami krajowymi. Z audycji takich zieje po prostu nudą. Programy ekonomiczne z udziałem gadających głów, teksty przemówień pisane stylem, którego powstydziłby się czasem licealista, odstraszają najbardziej cierpliwych. Telewizja stara się sprawić wrażenie, że polityka i ekonomia są tak nudne, że nie warto się nimi zajmować. Czasem daje również do zrozumienia, że są one dziedzinami zbyt trudnymi dla przeciętnego widza. Ponieważ nie opanował ich dostatecznie, nie powinien się wtrącać i wolne pole do działania pozostawić mądrzejszym od siebie.

A przecież tak niewiele potrzeba, by problemy polityczne i gospodarcze zaczęły pasjonować wszystkich obywateli. Czego? Legalności opozycji, dopusz-

czenia jej do głosu, pluralizmu, normalnej gospodarki rynkowej, wolności słowa. W 1979 roku przemówienia papieża Jana Pawła II stały się dla nas objawieniem. Okazało się wtedy, że można przemawiać inaczej, tak, by słowa zawierały doniosłą treść i zrozumieli wszyscy. Innego rodzaju sensacją stały się wystąpienia doradcy NSZZ "Solidarność" Ryszarda Bugaja podczas telewizyjnej dyskusji z udziałem przedstawicieli rządu na temat "wolnych sobót". Zrozumieliśmy nagle, że ekonomia jest również naszą sprawą, że nas samych dotyczy i że można mówić o niej inaczej. W ciągu jednego wieczoru Bugaj stał się prawdziwą telewizyjną gwiazdą. Dlatego zapewne zatroskane o swój monopol władze nie dopuściły go już potem do głosu.

Nie mniej staranną kontrolę sprawuje władza nad telewizyjnym obrazem nauki i kultury. Na ekranie pojawiają się przeważnie pisarze-grafomani i profesorowie-konformiści. Prezentują oni rzekomo opinie intelektualistów. Inni są naturalnie bez szans. Podczas gdy najwybitniejsi drukują w najlepszym razie na łamach specjalistycznych, niskonakładowych czasopism, ich miejsce zajmują w TV dyspozycyjni politrucy, określani mianem pisarza, naukowca, to znów reżysera czy aktora. To, co mówią, równie dobrze mógłby powiedzieć ktokolwiek inny, ale w ten sposób "luminarze kultury i nauki" świadczą dobrze o wiarygodności telewizji. Rzetelnej prezentacji problemów naukowych nie znajdziemy na małym ekranie, popularyzacja odbywa się z reguły na denującym wręcz poziomie.

Charakterystycznym tego przykładem choćby kursy języków obcych. Od kilkunastu lat TV nadaje te same /cztery!/ cykle, staroświeckie, zdezaktualizowane, nieciekawe, nagrane na mocno już zniszczonych kopiach. Powód jest prosty: władzy nie zależy na tym, by społeczeństwo doskonaliło swą znajomość języków zachodnich /rosyjskiego - poza nielicznymi wyjątkami - i tak nikt nie chce się uczyć/, trudno nauczyć się ich w szkołach, a kursy prywatne są elitarne.

Programy redakcji publicystyki kulturalnej to audycje dla przeciętnie wykształconych snobów, zapewniające dobre samopoczucie ludziom, którzy starają się być "kulturalni". Dla nich właśnie lansuje się bestsellery literackie, teatralne czy filmowe, starannie wyselekcjonowane, popierające władzę lub w ostateczności wobec niej neutralne. Widz sądzi, że uczestniczy - za pośrednictwem TV - w życiu kulturalnym, tymczasem otrzymuje zaledwie suplement do Dziennika TV, audycji na wskroś propagandowej, a nie informacyjnej.

Telewizja łączy umiejętnie programy propagandowe i rozrywkowe, ale nawet w tych ostatnich przemycane są pewne treści ideologiczne jak choćby preferowanie niektórych artystów, najbardziej lojalnych wobec władzy. Widowiska rozrywkowe, gdzie jest dużo śpiewu i tańca, przyjmowane są ze zrozumiałym aplauzem. A jednak na cztery duże festiwale dwa są imprezami typowo propagandowymi /Zielona Góra, Kołobrzeg/. Ukryte treści ideologiczne posiada z całą pewnością festiwal w Sopocie, świadczy o tym prawdziwy deszcz nagród spadających co roku na piosenkarzy z Kraju Rad. Telewidz powinien wszakże przekonać się, że w każdej dziedzinie prymat dzierży pokojowo nastawione mocarstwo. Zwróćmy przy tym uwagę, że transmisje z imprez tak odrażających jak festiwal piosenki żołnierskiej czy - tym bardziej - festiwal piosenki sowieckiej nie są bojkotowane przez widzów, nawet jeśli nie darzą oni szczególną sympatią armii czy ZSRR. Dlaczego?

W artykule O z a s a d z i e a u t o r y t e t u Engels zapowiedział, że wraz z postępem cywilizacyjnym nasilać się będzie presja organizacyjna. Społeczeństwo żyć będzie w coraz do[illegible]alszej dyscyplinie. Szczytem tej tendencji będzie proces rewolucyjny: [illegible]f wojskowego autorytaryzmu. Królestwo wolności okazuje się zatem superkos[illegible]rami. Niemałą rolę odegra w tym dziele telewizja. Tej ostatniej prawdy nie mógł przewidzieć duchowy ojciec komunizmu.

Rytm produkcji i rekreacji reguluje kształt programu, nakazuje skupienie najatrakcyjniejszych audycji wieczorem w dni powszednie oraz w popołudnia sobotnie i niedzielne. Istnieje ponadto przymus oglądania TV. W nowoczesnym bu-

downictwie nawet nie włączając aparatu słyszy się doskonale cały program. Dlatego lepiej oglądać, poczynając od 19.30, gdy aktywność polskiego społeczeństwa zamiera i rozpoczyna się wielki hipnotyczny seans.

Program telewizyjny, zajmujący w niedzielnych wydaniach gazet co najmniej pół strony, wyczerpujący, ale rzadko zgodny ze stanem faktycznym, reguluje życie przeciętnego Polaka. Od filmu, meczu, teleturnieju, rzadziej koncertu czy teatru TV uzależnia się rozkład pozostałych zajęć. A jednak czyhają przykre niespodzianki. Zwłaszcza wieczorem, gdy ogląda się telewizję najczęściej, nie ma pewności, o której godzinie rozpocznie się oczekiwana audycja. Zamiast filmu czy pozycji rozrywkowej telewidz zadowolić się musi sprawozdaniem z kolejnego plenum partii, ważnej narady albo konferencji. Ponieważ długości wystąpień nie podaje się nigdy do wiadomości, widz zostaje zmuszony do oglądania osławionego "pasma publicystycznego". Tak rodzi się również nawyk oglądania wszystkiego, niezależnie od interesującej lub nie tematyki. Zakłada się niekiedy, że ambitny i obdarzony wyobraźnią odbiorca dokonuje wyboru programów. W gruncie rzeczy możliwości wyboru są wręcz znikome. Dziennik nadawany jest od lat w obu programach, atrakcyjne audycje tworzą jeden ciąg. Podczas wydarzeń sierpniowych 1980 r. telewizja gdańska i centralna emitowały inny dziennik. Jeśli ktoś miał wówczas jakiś wybór, to z pewnością nie telewidzowie. Nic więc dziwnego, że znaczna część społeczeństwa ogląda z rezygnacją, apatycznie, cały program do końca. Niektóre rodziny /nie są to bynajmniej wyjątki!/ posiadają już 2-3 aparaty. Zabezpieczają się w ten sposób na wypadek awarii, podróży /odbiorniki turystyczne/ czy koliżji upodobań. Być może w niedługim już czasie posiadanie kilku odbiorników stanie się synonimem dobrobytu.

Przed Sierpniem kredyt do TV wydawał się wprost nieograniczony. Potem wszechwładna instytucja odnotowała pewne porażki: wybuchła afera Samitowskiego, na ekranie ukazali się przywódcy i doradcy "Solidarności". Zrobiono wiele, ale stanowczo za mało. Kiedy przywódcy związkowi w poszczególnych regionach, ogłaszając bojkot prasy, próbowali pozbawić telewidzów sobotniej prasy z programem TV, ludzie zdobyli się na wysiłek i ustawili w długich kolejkach po prasę sprzedawaną z samochodów. Nie da się ukryć, że "Solidarność" przegrała swą walkę na długo przed 13 grudnia. Przegrała, ponieważ nie zdołała przełamać monopolu informacyjno-propagandowego. Telewizyjna forteca pozostała nienaruszona. Społeczeństwo miało zbyt mało wiedzy, aby sięgnąć po władzę.

Po ogłoszeniu stanu wojennego TV była koszmarem: umundurowani spikerzy, "patriotyczne" filmy wytwórni "Czołówka", kołobrzeskie pieśni wykonywane przez muzykalnych rekrutów i dziarskie markietanki. Niektórzy nie oglądali wtedy telewizji, inni włączali odbiorniki tylko po to, by spojrzeć w oczy bestii /co prawda zakryte ciemnymi okularami/. W chwili obecnej TV odzyskała już dobre samopoczucie, a jej audycje bojkotuje niestety minimalna część społeczeństwa. Skutki takiej sytuacji niebawem odczujemy wszyscy.

Znany eksperyment biologów amerykańskich dowodzi, że aktywność biologiczna zwierząt wzrasta podczas procesu komunikowania. U ryb objawy stymulacji /wzrost poboru tlenu/ występują nie tylko wtedy, gdy w dwóch umieszczonych obok siebie akwariach znajdują się dwa osobniki, lecz również wówczas, gdy zastępimy żywą rybę - rybą sztuczną. Żywa ryba została w jakimś sensie oszukana. Utrzymano pewne pozory komunikacji, ale w rzeczywistości komunikacja w ogóle nie miała miejsca. Pod pewnymi względami TV przypomina wielką, błyszczącą, ale i sztuczną - rybę. Podstawowa różnica polega na tym, że ten, kto na nią patrzy, na ogół zdaje sobie sprawę z tego, że ryba jest sztuczna. A jednak godzi się na taki układ, podziwia bezmyślnie sztuczną rybę. Czy tylko dlatego, że błyszczy?

Niełatwo znaleźć wyjście z tego dylematu, niełatwo obudzić śpiących hipnotycznym snem, trafić do domów, w których czwarty bok stołu pozostał pusty, gdyż zajmuje go telewizor, ów - jak powiedział ktoś dowcipny - "domowy terrorysta". Nie mamy odwagi namawiać do rezygnacji z TV, skoro na rynku zabrakło

książek, płyt i kaset, w kinach nie ma filmów. Żyjemy nadto w okresie zaniku hobby, gdyż zdobycie nawet podstawowych artykułów stało się problemem.

A jednak - zdaniem specjalistów - przyszłość przedstawia się optymistycznie, choć w pierwszej chwili skłonni jesteśmy uznać ją za nierealną. Za sprawą magnetowidu z kasetami video telewizor zmieni się z "domowego terrorysty" w posłuszne narzędzie. Otrzymamy możliwość wyłączenia w dowolnym momencie programu rządowego i skierowania uwagi na swobodnie wybraną przez nas audycję. Zważywszy, że nawet w państwie totalitarnym łatwiej o przemyt kaset z Zachodu niż o przejęcie kontroli nad strzeżonymi przez wojsko stacjami telewizyjnymi, powstanie nowa, korzystna dla społeczeństwa sytuacja. Jeśli nawet nie zmieni się styl życia współczesnej rodziny, to i tak ulegnie systematycznej przemianie jej sposób myślenia. Sceptycy powiedzą, że sprzętu tego jest wciąż za mało, a jego cena zbyt wysoka. To prawda, lecz jego dostępność wydaje się kwestią czasu, chociażby dość odległego.

Innym /wyłączając możliwość wyłonienia się w Polsce systemu demokratycznego/ rozwiązaniem stanie się alternatywny wobec polskiej TV program satelitarny nadawany przez zachodnie stacje. Czy zobaczymy go kiedykolwiek na naszych ekranach? Może w XXI wieku, może nieco wcześniej, w każdym razie idea ta ma swych entuzjastów.

+ + + + + + + +

POETYKA GRYPSU

Przy lekturze wierszy obozowych Pawlaka, Polkowskiego, Woroszylskiego, Jastruna od razu rzuca się w oczy, że są one zwięzłe, lakoniczne. Zwięzłe jak więzienny gryps. Jeśli spojrzeć bliżej na tę analogię, okaże się, że sięga ona głębiej. Sama zwięzłość stanie się wówczas czymś drugorzędnym, raczej konwencją, niż rezultatem trudności technicznych /im któtszy tekst, tym łatwiej go przemycić/. Praktyka dwunastomiesięcznego z okładem istnienia obozów dla internowanych pokazała, że możliwe było w nich ekspediowanie tekstów dłuższych /choćby L i s t y z B i a ł o ł ę k i Michnika/, a nawet prowadzenie działalności poligraficznej. Zwięzła forma wierszy obozowych jest więc konwencjonalnym chwytem, odwołaniem /poświadczonym tytułem cyklu Pawlaka/ do poetyki grypsu, znanej z lektury powieści kryminalnych. Jakie są zatem oechy wspólne dla tych wierszy i grypsów? Wyznacza je sytuacja więźnia-internowanego.

Grypsy i wiersze obozowe są świadectwem istnienia autora, przypomnieniem o sobie, znakiem obecności. W pierwszym wypadku skierowanym do kompanów bądź rodziny, w drugim - do czytelników, w tym do przyjaciół i rodziny.

Grypsy i wiersze obozowe mówią o sprawach najistotniejszych. W pierwszym przypadku mają przyczynić się do pomyślnego dla autora przebiegu śledztwa i procesu, bądź pomóc w zachowaniu materialnych owoców przestępstwa, w drugim - są pisane z myślą o Sprawie, choćby, zdawać się może, beznadziejnie przegranej.

Grypsy i wiersze obozowe mówią często o konkretnych osobach, skrywając je pod ksywką, imieniem, inicjałem. Jeśli wymisniają nazwisko, to tak, żeby w razie przechwycenia grypsu czy opublikowania wiersza nie zaszkodzić danej osobie.

Grypsy i wiersze obozowe są konkretne, ale nie stawiają kropki nad i, zawierają /ze względów bezpieczeństwa/ spory margines interpretacji, z mocną nadzieją, że adresat odczyta istotny przekaz. Są zagadką, której rozwiązanie potwierdza się niekiedy dopiero po wyjściu autora na wolność /jeśli sam nie zatracił klucza do dawnego szyfru/.

Grypsy i wiersze obozowe są aktem niezgody na sytuację uwięzienia, wyzwaniem rzuconym restrykcjom administracyjnym, czynem wolnym.

\+ + +

Grypsy Tomasza Jastruna są rezultatem półtoramiesięcznego pobytu w Białołęce, od 9 listopada do 23 grudnia 1982, do końca istnienia obozu. Ale zarazem są rezultatem dotychczasowych doświadczeń życiowych i literackich.

Pierwsze dwa tomy wierszy Jastruna były - po części z winy cenzury, ale nie tylko - prawie zupełnie apolityczne. Autor eksplorował głównie dwie sfery - wspomnień z dzieciństwa i fascynacji umieraniem i śmiercią. Usiłował wyzwolić się z myślenia o dzieciństwie, a wciąż, obsesyjnie do niego wracał. W wierszach tych było pełno tkliwego okrucieństwa - ostrych narzędzi w zetknięciu z miękkimi częściami ciała, bicia ludzi bliskich, niesprawiedliwych ciosów. Liryczna aura takich sytuacji sprawiała wszakże, że odbierało się je nie jako epatowanie brutalnością, ale raczej jako skutki wstrząsu, wywołanego zetknięciem ze światem dorosłych.

Język tych wierszy był stosunkowo prosty, Jastrun operował jednopiętrową metaforą, w porównaniu wymieniał zaledwie jeden człon, nie uznawał pustej znaczeniowo gry słów. Oszczędnie szafował słowami, był powściągliwy w wyrażaniu uczuć /co nie znaczy, że były to wiersze oschłe, przeciwnie, nie epatując

oddziaływały szczególnie na emocje czytelnika, na jego wrażliwość./

Tom N a s k r z y ż o w a n i u E u r o p y i A z j i był pierwszym tomem poezji,wydanym bez cenzury w okresie stanu wojennego. Był próbą zapisu niezwykłej sytuacji - narodu, działaczy "S", ukrywającego się poety. Próbą śmiałą, odegraną w wysokiej tonacji, często z dociśnięciem pedału pointy. Znalazły się w nim trzy wiersze przedwojenne - świetne przeczucie tego, co stało się 13 grudnia /A f g a n i s t a n, B e z s e n n o ś ć, O d w ł o k/. Najsilniej wszakże przemawiały wiersze związane z relacją ojciec-syn /W i z y t a, D o s y n a, T a j n e s p o t k a n i e z M./ oraz wiersze historiozoficzne, obnażające paradoksy ustroju "socjalistycznego", który dławi autentyczny ruch klasy robotniczej /W m r o k u, P i e c e, O b o j ę t n o ś ć, P o m n i k/.

B i a ł a ł ą k a jest ostatecznym wejściem w świat dorosłych. Otwiera ją symboliczny akt ojcobójstwa, akt narzucony przez wroga, ale przez to tym bardziej dojmujący /P r z e s ł u c h a n i e z m a p ą/. Zamyka również symboliczny akt objęcia roli ojca, akt koronacji, uwieńczenia:

Poczułem na szyi
Mały i duży wieniec
Spleciony palcami syna i żony
/P o w r ó t/

Dawna obsesja tkliwego okrucieństwa znajduje tu wyraz w rejestracji przejawów okrucieństwa losu - szczęśliwie ograniczonej do współwięźniów i syna, bez auto-martyrologii.

Historiozofia z poprzedniego tomu znajduje nową pożywkę w poczuciu historycznej roli, jaką odgrywają uwięzieni w Białołęce przywódcy "S". A także w obserwowanych na każdym kroku przejawach wspólnoty walki robotników i inteligentów. Obcowanie z twórcami historii prowadzi czasem do drobnych nadużyć poetyckich - usuńmy z wiersza D e s k a nazwisko Andrzeja Gwiazdy, a runie cały utwór. Ale czasem wiersz nabiera waloru dokumentu historycznego - na przykład W y w ó z k a, opis aresztowania internowanych członków KK.

Wiersze z tomu B i a ł a ł ą k a są dojrzałe, zdają sprawę z poniesionej klęski /S p a d a n i e/, ale nie są beznadziejne - optymizmem napawa już sam fakt ich istnienia, możliwość druku, podjęcie przez współczesną poezję zadania narzuconego na nią przez romantycznych wieszczów /R y m y, M i l c z e n i e/.

Jeśli zestawić tomik Jastruna z wierszami obozowymi Woroszylskiego i Pawlaka, rzuca się w oczy ekstrawertyzm B i a ł e j ł ą k i. Jastruna interesują najbardziej współwięźniowie i sytuacja, w jaką zostali uwikłani. Nie ma tu rytmu kroków po celi, słyszalnego u Pawlaka, ani jego zatopienia w siebie, w swoje bycie więźniem. Nie ma hieratyczności gorzkich psalmów Polkowskiego. Nie ma literackości wierszy Woroszylskiego, sprawnych i różnorakich. Jest natomiast życie topniejącej zbiorowości.

Najpierw stu osiemnastu, potem dwudziestu siedmiu, potem trzynastu, wreszcie ośmiu - "ośmiu bezradnych ludzi" /W y w ó z k a/. Obrazowi topnienia sopla, wykorzystanym w wierszu S p a d a n i e:

Jest nas już tylko 27
Topniejemy jak sopel
Który miał rozbić im czaszkę
A spadają tylko krople na hełmy

przeciwstawiają się ostatnie słowa Rulewskiego przed przewiezieniem do więzienia: "Od iskry zapalcie płomień" /Wywózka/.

Łączenie metafor, w bardziej rygorystycznych poetykach niż poetyka grypsu uważane za błąd, stało się już specjalnością,znakiem wodnym poezji Jastruna.

W B i a ł e j Ł ą c e utrwala się inna jeszcze maniera - szczególny sposób operowania tytułem. Weźmy przykład, który zawiera także "mixed-metaphor":

I wspólny korytarz
Jak kręgosłup
Z kręgami które rozchodzą się
Po wodzie wielkiej i czystej.

Wiersz, z którego pochodzi ten fragment, nosi tytuł K r ę g i. Otóż w B i a ł e j Ł ą c e tytuły wierszy - w przeważającej większości jednowyrazowe - są zazwyczaj zaczerpnięte z końcowych linijek wiersza. Stanowią rodzaj pointy, a ściślej akcentowego wybicia danego słowa. Zmuszają do lektury wiersza w następującej kolejności: tytuł - wiersz - tytuł - koniec wiersza, z podkreśleniem tytułowego słowa. Oto przykład takiej lektury:

D z i s i a j

W celi numer 12
Mediewista Karol Modzelewski
Ma wykład
O powstaniu polskiego państwa
Słuchają monterzy traktorów
I obsługa obrabiarek
Jest również sędzia sportowy
Z zawodu meteorolog
Początki naszego państwa
Pogrążone są w mroku
Jutra nie ma
Szumi tylko wycięta w pień puszcza
I oszronionym polem
Przemyka się dzisiaj jak zając
Dzisiaj
Przemyka się dzisiaj jak zając

Jeśli uznamy, że ten chwyt kompozycyjny ma się odnosić także do całego /jakże przejrzyście skonstruowanego/ tomiku, inaczej przyjdzie odczytać zakończenie ostatniego wiersza:

Tylko okno wyrąbane
W twardej rzeczywistości
Zbliżyło się i spojrzało przeze mnie
W ciemność
Biała łąka

Gra słów w tytule zbioru grypsów Jastruna nabiera wówczas znaczenia. Biała łąka w ciemności; biały słoń. Jak na okładce tomiku: więzienne okno - krew - Ukrzyżowany, a w perspektywie: Zmartwychwstanie.

* * * * * * * *

KRONIKA KORu

Jan Józef Lipski: KOR, "Aneks" Londyn 1983, s.434.

Okoliczności powstania tej książki stanowią integralny element historii w niej opowiedzianej, chociaż sam autor nie poświęca im ani chwili uwagi. Przyszły dziejopis KORu będzie z pracy Jana Józefa Lipskiego korzystał nie tylko jako ze zbioru wiadomości o swoim przedmiocie badań; będzie musiał również ją samą potraktować jako część owego przedmiotu.

Jak wiadomo, samorozwiązanie KORu nastąpiło w okresie I Ogólnopolskiego Zjazdu Delegatów NSZZ "Solidarność". Ogłoszenia tego aktu dokonał prof. Edward Lipiński podczas drugiej tury Zjazdu - 28 września 1981 roku. Jeśli jednak łatwo godzimy się z poglądem, że historia KORu nie byłaby zrozumiała bez znajomości jego prehistorii /wszak nie wyłonił się nagle z nicości.../, zgodzić się symetrycznie musimy, że po dacie autolikwidacji KOR nie rozpłynął się w niebycie, lecz rozpoczął swoją Nachgeschichte, która składa się ze zdarzeń przewyższających bodaj dramatyzmem zdarzenia "historii właściwej". Owa Nachgeschichte będzie kiedyś - w co nie wątpię - szczegółowo opowiedziana; tu jednak idzie mi wyłącznie o jeden z jej wątków, związany z losami autora książki, którą właśnie przeczytałem.

W momencie wybuchu wojny grudniowej Jan Józef Lipski uniknął przypadkiem internowania. Można by to nazwać szczęśliwym zbiegiem okoliczności, gdyby nie fakt, że w parę dni później popadł w tarapaty znacznie poważniejsze. Jako członek Zarządu Regionu Mazowsze NSZZ "Solidarność" znalazł się w drugim dniu stanu wojennego w zakładach Ursus - wśród strajkującej załogi. Po rozbiciu strajku został aresztowany i osadzony w więzieniu. Miał być sądzony w trybie doraźnym wraz z innymi oskarżonymi o zorganizowanie strajku ursuskiego. Bezpośrednio po aresztowaniu doznaje ciężkiego ataku serca. W trakcie przygotowań do procesu parokrotnie zapada na serce - w rezultacie większość czasu spędza w szpitalu więziennym. Pojawia się podejrzenie, że dolegliwości mają związek z poważną operacją serca, jaką przeszedł parę lat wcześniej w klinice kardiologicznej w Londynie. Ale tę zagrażającą życiu zależność można by stwierdzić jedynie tam, gdzie operację przeprowadzono; tam też - i tylko tam - można by się spodziewać stosownego leczenia. Dłuższy czas trwają spory obrony i oskarżenia o to, czy stan zdrowia Lipskiego pozwala mu na uczestnictwo w rozprawie. Sąd nie przychyla się, na szczęście, do całkiem nieodpowiedzialnej opinii lekarza więziennego Wrońskiego /nomen omen/, który twierdził, że nie istnieją medyczne przeciwwskazania dla udziału Lipskiego w rozprawie. Nie podziela podobnej opinii prof. Artura Czyżyka /też z ptasiej rodziny.../. Daje natomiast posłuch innym biegłym, którzy orzekają coś wręcz przeciwnego. W rezultacie Lipski zostaje wyłączony z procesu ursuskiego, który dalej toczy się już bez niego.

Po trzymiesięcznym przebywaniu w więzieniu traci pracę w Instytucie Badań Literackich PAN /jednego dysydenta mniej w Akademii - dobre i to/. Jednak w miarę upływu czasu przetrzymywanie tego niebezpiecznie chorego oskarżonego stawało się coraz większym problemem - także dla władz. Nie wiemy, jak to w rzeczywistości wyglądało, ale wolno przypuścić, że w pewnym momencie czynniki miarodajne doszły do przekonania, że wypuszczenie Lipskiego z więzienia i obdarowanie go paszportem na paromiesięczny wyjazd do Anglii, aby mógł się poddać potrzebnym badaniom, nie byłoby rozwiązaniem najgorszym. Po pierwsze, uwalniało władze od odpowiedzialności za życie człowieka, którego przypadki pilnie obserwowała światowa opinia publiczna. Po wtóre, dawało się interpretować jako akt humanitaryzmu wroniarzy /wiadomo: policmajster człek ludzki.../. Po trzecie, i to chyba najważniejsze, wiązało się z nadzieją, że Lipski zechce może pozostać na Zachodzie /umożliwiono mu wyjazd razem z żoną/ i przestanie wreszcie nękać sobą władze bezpieczeństwa.

Wiosną 1982 wyjeżdża więc do Londynu. W ciągu paromiesięcznego tam pobytu przygotowuje ponad czterystustronicową książkę o KORze, która ukazała się latem 1983. Praca nad nią zbiegła się w czasie z nowymi posunięciami władz stanu wojennego wobec działaczy byłego KORu. Ogłoszono, że pięciu spośród nich zostanie wytoczony proces; jednym z oskarżonych o dążenie do obalenia siłą ustroju PRL był Jan Józef Lipski. Trzech znajdujących się w obozach internowania - Jacka Kuronia, Adama Michnika i Henryka Wujca - umieszczono w więzieniu. Później dołączono do nich Zbigniewa Romaszewskiego - pochwyconego przez milicję szefa podziemnego Radia "Solidarność".

Wiele przemawiało za tym, by Lipski nie wracał do kraju, przynajmniej na razie; było jasne, że natychmiast znajdzie się tam, skąd z trudem wypuszczono go przed paroma zaledwie miesiącami. Ale im więcej przemawiało, tym mniejsze miał wątpliwości, decydując się jak najspieszniej wrócić. Nie czyni nic, aby podkreślić znaczenie swojej decyzji, mogącej zaskakiwać czy zadziwiać tych, którzy nie mieli nigdy szczęścia spotkać ludzi podobnego mu formatu. W post scriptum do książki, pisanym w przedzień wyjazdu do Warszawy, tłumaczy dlaczego uważa za swoją powinność odegranie roli oskarżonego w przygotowywanym procesie KORu. Te dwie stroniczki tekstu łączą w przejmujący sposób to, co w książce przedstawione z czasem jej pisania. Są oknem na dalszy ciąg historii dopiero co opowiedzianej. Lipski zjawia się w Warszawie w połowie września 1982. Nazajutrz po powrocie znalazł się znów w więzieniu. Opuścił je po pewnym czasie /via szpital, jakże by inaczej!/, ale to już nie należy do tej opowieści...

*

Dużo dobrego potrafiłbym powiedzieć o pracy Lipskiego i o naukach płynących z jej lektury. Ale jednego z pewnością nie: że nadaje się do czytania zachłannego, jednym tchem. Taką opinię niedawno słyszałem - i wprawiła mnie w prawdziwe pomieszanie. Moja lektura była bowiem powolna, żmudna, rzec można - gruzłowata. Nie towarzyszyło jej rozkrzydlone zainteresowanie, lecz raczej zmaganie się ze znużeniem, nieustanny wysiłek koncentracji i zapamiętywania. Wcale nie łatwo przemierza się tekst niemal bez reszty faktograficzny, w którym narracja o zdarzeniach i ludziach nie może rozwinąć się swobodnie i co chwila rozsypuje się w zapis o charakterze wyliczeniowym: raz przechodzi w tok kalendarium, kiedy indziej staje się rozbudowanym zestawem nazwisk i "ankietowych" charakterystyk ich właścicieli, a bywa, że przybiera postać sprawozdania finansowego. Neutralny styl relacji, miejscami niemal buchalteryjny w swojej rzeczowości, nie przynosi czytelnikowi jakichkolwiek uciech zastępczych. Autor nie troszczy się zupełnie o efekty retoryczne; nie przywiązuje wagi do urody wysłowienia - jego proza jest szara i zgrzebna. W całości wyznaczona przez kronikarski zamysł dzieła.

Swój cel badawczy i pisarski widzi Lipski jasno i określa go bez niedomówień we wstępie do książki. Zwięźle, ale z należytą wyrazistością, charakteryzuje tem "gatunkowe" ramy swego przedsięwzięcia. Odróżnia je z jednej strony od publicystyki historycznej, z drugiej zaś od opracowań stricte naukowych, w których tworzywo faktograficzne układa się zgodnie z wymaganiami jakiejś koncepcji wyjaśniającej - podlega przymusom teoretycznej spójności. Sam pragnie pozostawać wyłącznie na terytorium historiografii kronikarskiej, gromadzącej skrzętnie materiał informacyjny dla przyszłych syntez. Zdaje sobie jednak sprawę, że jego kronika ma dziury, którym obecnie niesposób zaradzić. Wiele istotnych danych dotyczących historii KORu kryją w sobie niedostępne archiwa przeróżnych urzędów, przede wszystkim archiwa policyjne. Po które zaś dziejopis tego ruchu nie może swobodnie /co w tym wypadku znaczyłoby: lekkomyślnie/ ujawniać wszystkich znanych mu informacji o współpracownikach, o działalności wydawniczej, o adresach, pseudonimach itp.

Przeciwwagę dla tych luk - całkowicie zrozumiałych w dzisiejszych okolicznościach - stanowi pewna nadwyżkowa kompetencja Lipskiego w roli kronikarza; nadwyżkowa, ponieważ nie wchodzi do obligatoryjnego wyposażenia takiej roli. Otóż pisze on o zdarzeniach należących w znacznej mierze do jego własnej biografii, znanych mu z osobistego doświadczenia - uczestnika lub świadka. To zbliża jego relację do pamiętnika. Dzieło Lipskiego nie jest jednak zapisem pamiętnikarskim, jeśli przez taki rozumieć opowieść, w której centrum znajduje się bieg życia autora: cokolwiek się w niej pojawi, musi być tak czy inaczej odniesione do tego ośrodkowego elementu. Tu wszakże autor nie jest centrum orientacji - przypadki jego życia bynajmniej nie stanowią o porządku materiału "fabularnego". Mówi o sobie nie tylko skąpo, ale też w taki sposób, by broń Boże nie znaleźć się w sytuacji jakoś uprzywilejowanej wobec innych ludzi, o których pisze. Ze swoich pamiętnikarskich kompetencji nie ciągnie żadnych korzyści dla samego siebie - jako postaci przedstawionej. Traktuje te kompetencje czysto instrumentalnie, to znaczy podporządkowuje je celowi badawczemu, który przed sobą postawił: z tworzywa wspomnieniowego wprowadza do gry tylko to, co może być porównywalne z "bezosobowym" dokumentem, resztę zostawiając poza granicami sprawozdawczego wysłowienia. Resztę, a więc to, co zwykle nadaje barwę pamiętnikom osób znanych ze sceny życia publicznego: prywatność, wychodzące poza konwencjonalną grzeczność opinie o znajomych i przyjaciołach, sferę osobistych upodobań i uprzedzeń, poglądy niecałkiem zgodne z głoszonymi publicznie, wszelkie wiadomości skąd inąd sekretne... Czytelnik książki Lipskiego przeżyje rozczarowanie, jeśli spodziewał się po niej tego rodzaju barwności.

Nie znaczy to przecież, że Lipski w ogóle odmawia sobie praw do narracji podmiotowej, że pozostaje bezdusznym sprawozdawcą, rygorystycznie powstrzymującym się od wygłaszania opinii i ocen. Wszak czwarty rozdział pracy, w którym charakteryzuje etos Komitetu Obrony Robotników, wyłamuje się z porządku faktografii - jest to szkic wyraźnie interpretacyjny, coś w rodzaju zbiorowego portretu duchowego. Można by słusznie zaoponować, że chodzi w tym wypadku o zupełnie niewielką porcję tekstu wtrąconą w innorodne otoczenie. To prawda, ale również w pozostałych częściach nierzadko pojawiają się oceny czyichś postaw czy zachowań, komentarze do zdarzeń, wyjaśnienia motywów działań itp. Są to wszystko świadectwa - co prawda oszczędne i oględne - autorskiego "widzimisię", które włącza się w relację kronikarską. Autorskiego, choć zarazem w trudnej do ustalenia mierze zespołowego, to znaczy odpowiadającego punktowi widzenia KORu jako podmiotu grupowego. Lipski pisze historię KORu z pozycji KORu - jako jeden z jego współzałożycieli i najczynniejszych działaczy. Perspektywa jego relacji nie może być neutralna wobec systemu wartości wyznawanego i praktykowanego przez korowców. Sądzę, że główny problem pisarski Lipskiego sprowadzał się do znalezienia metody prezentacji zdolnej sprostać dwóm nie koniecznie przecież zgodnym zobowiązaniom: wiernej historyoznemu tak-było-naprawdę i zarazem dającej wyraz autorskiemu przywiązaniu do etosu KORu. To, że metodę taką znalazł, a raczej wypracował, że potrafił fortunnie połączyć wiarygodną faktografię z ideową określonością stanowiska, które zajmuje jako sprawozdawca, zaliczam do najpoważniejszych walorów omawianej książki.

Praca kronikarza dokumentalisty jest nieodmiennie upartym powstrzymywaniem się od hierarchizowania i selekcjonowania przedstawionych wydarzeń. Oczywiście kronikarz wie, że są fakty bardziej i mniej istotne, że niektóre z nich wyznaczają szkielet opowiadanej historii /bez nich w ogóle by nie zaistniała/ a inne są pozbawione konstrukcyjnego znaczenia, że jedne musiały się wydarzyć a inne miały charakter przypadkowy. Słowem: że poza biegiem zdarzeń ukrywa się jakiś paradygmat zdarzeń, któremu zawdzięczają one sens. Ale cała ta wiedza nie ma zastosowania w narracji kronikarskiej. Panuje w niej ład prawdziwie demokratyczny - każdy fakt jest jednako uprzywilejowany; każdy zasługuje na szczegółło-

we omówienie, przy czym stopień szczegółowości wcale nie zależy od rangi faktu, ale od zakresu dostępnych kronikarzowi informacji; bywa przecież, że jego wiedza o zdarzeniach drugorzędnych jest bardziej kompletna od wiedzy o zdarzeniach kluczowych. Kronikarz nie dopuszcza poza tym myśli o jakimkolwiek pójściu na skróty: musi zdać sprawę ze wszystkich znanych sobie wydarzeń - wtedy nawet, gdy niektóre z nich są do siebie nawzajem bliźniaczo podobne. Kronika bowiem nie przewiduje w ogóle przykładowego traktowania wydarzeń; żadne z nich nie ma prawa reprezentować innych - typologicznie pokrewnych. Każde musi być traktowane z należytym respektem i detalicznie po kolei opowiedziane.

Chociaż powyższym zdaniom można by przypisać pewien sens teoretyczny, traktuję je jako opis dzieła Lipskiego. Wybrał on bowiem z pełną świadomością taki właśnie rodzaj zbliżenia do materii historycznej, zakładając że jest to zbliżenie zaledwie wstępne, przygotowawcze, po którym nastąpi - w szczęśliwej przyszłości - etap syntezy, opartej na selekcji i hierarchii faktów. Myślę jednak, że wielu czytelników jego książki odbiera ją wcale nie w perspektywie jakiejś oczekiwanej syntezy, lecz raczej przeciwnie: jako źródło wiedzy wzbogacającej lub weryfikującej uporczywie uogólnienia, stereotypy i legendy dotyczące KORu. Do lektury tej książki nikt zapewne nie przystępuje w stanie pełnej niewiedzy o jej przedmiocie; można sądzić, że większość czytelników dobrze wie, czym był KOR i jaką rolę odegrał w przemianach życia społecznego w drugiej połowie dekady gierkowskiej i później. Rzecz w tym, że owo "dobrze wie" odnosi się do wiedzy - można rzec - modelowej, właśnie syntetycznej, porządkowanej przez kategorie odnoszące się do makrchistorii realnego socjalizmu. Ta syntetyczna wiedza obejmuje co najmniej następujące opinie:

- KOR był pierwszą w dziejach państw komunistycznych w pełni jawną inicjatywą grupową stawiającą sobie za cel obronę praw ludzi prześladowanych przez władze i czynną pomoc tym ludziom;
- powstał jako odpowiedź na prześladowania robotników po rozruchach czerwcowych 1976 roku, następnie jednak - po przekształceniu się w Komitet Samoobrony Społecznej "KOR" - wystąpił z szerokim programem obywatelskiego sprzeciwu wobec totalitarnej przemocy w imię ideałów społeczeństwa demokratycznego;
- zrodził się w środowisku inteligenckim, ale - i to też zjawisko bezprecedensowe w dziejach dyktatur komunistycznych - potrafił skutecznie przełamać bariery oddzielające to środowisko od klasy robotniczej;
- w kręgu działania KORu rozwinął się, na skalę nigdzie dotąd w obozie nie znaną, niezależny ruch wydawniczy, czasopiśmienniczy i książkowy, przełamujący monopol publikacji ocenzurowanych; w kręgu tym wyłoniły się także niezależne inicjatywy oświatowe i samokształceniowe;
- KOR podjął śmiałe próby nawiązania współpracy z ruchami dysydenckimi w innych demoludach, przede wszystkim z czechosłowackim;
- wreszcie najważniejsze: niejako pod skrzydłami KORu wyrosły pierwsze Komitety Założycielskie Wolnych Związków Zawodowych - zapowiedzi późniejszej "Solidarności"; KOR odegrał następnie wielką rolę w procesie powstawania "Solidarności" - zarówno w sferze ideowo-programowej tego ruchu, jak też w przedsięwzięciach organizacyjnych; ludzie z KORu znaleźli się wśród doradców nowego związku, a niektórzy z nich stali się jego aktywnymi działaczami; fakt samorozwiązania się KORu w momencie, gdy nowy ruch związkowy zdawał się osiągać stan organizacyjnej dojrzałości, wymownie świadczy o tym, jak dalece KOR się z nim identyfikował.

Tego rodzaju wiedza - przecież nie fałszywa - czyni z KORu zjawisko już jakby upozowane w historii, nieco nawet pomnikowe w swojej jednolitości, przymglone oddaleniem /gdyż ogólność wiedzy oddala przedmiot/, umiejscowione w zasobie tradycji zmagań z komunistycznym totalitaryz-

mem. W takiej perspektywie doświadczenia KORu można - i trzeba - komentować za pomocą terminów dostatecznie abstrakcyjnych. "Nowa strategia operu wobec partyjnej dyktatury - w ramach istniejącego porządku prawnego","koncepcja społecznej samoobrony","budowa alternatywnych instytucji życia publicznego","dalekosiężny program edukacji obywatelskiej", "idea solidarności międzyśrodowiskowej","związki zawodowe jako szansa samoorganizacji społeczeństwa" - oto przykłady potrzebnych kategoryzacji.

Natomiast studium Lipskiego przywraca historii KORu jej faktyczność - czas macierzysty,codzienność i przyziemność. Ukazuje powszednie prace i dnie niewielkiej przecież początkowo grupy ludzi,którzy w warunkach nieustającego zagrożenia policyjnego rozpoczynali robotę wcale nie spektakularną,spiesząc z pomocą prawną i materialną represjonowanym współobywatelom. Ukazuje stopniowe rozrastanie się wokół nich minispołeczności działaczy,którzy w różnych środowiskach socjalnych odkrywają coraz to nowe rejony bezprawia,krzywd i upodleń,domagające się interwencji a przynajmniej upublicznienia. Ukazuje specjalizowanie się rozmaitych sektorów korowskiej działalności - w miarę wyłaniania się nowych zadań i zobowiązań. Ukazuje wreszcie ewolucję myśli programowej,krystalizującej się w praktycznych działaniach,a nie w akademickich dyskusjach nad planami "strategicznymi". To,co z oddalenia przedstawia się jako spójna sekwencja przedsięwzięć zasadniczych /kierunkowych/,sprowadzało się w swoim czasie do codziennej szarpaniny z przeciwnościami całkiem pospolitymi,do upartego borykania się z utrudnieniami technicznymi czy komunikacyjnymi,do posunięć nierzadko improwizowanych,do nieoczekiwanych zbiegów okoliczności,do aktów odwagi i determinacji poszczególnych uczestników wydarzeń,a w końcu do nużącej monotonii powtarzających się spraw,obowiązków,niebezpieczeństw,prześladowań - policyjnych i sądowych. To,czemu dziś skłonni jesteśmy przypisywać cechę jednolitości,było w swoim czasie tworem ludzi mających nie zawsze zgodne poglądy na cele i metody ryzykownej pracy,której się oddawali. Bywało,że się dramatycznie nie zgadzali ze sobą i rozchodzili w różne strony; niekiedy współzawodniczyli a nawet przeszkadzali sobie nawzajem. Każdy jednak z zaplątanych w KOR wniósł jakiś wkład do wspólnego dorobku...

Jak z tego widać,znaczenie poznawcze książki Lipskiego oceniałbym inaczej niż czyni to sam autor we wstępie do książki. Ale łącznie z wartością poznawczą przypisywałbym jej również istotny sens pedagogiczny. Sposób,w jaki Lipski przedstawia historię KORu jest dla czytelnika uczuciowo zaangażowanego po stronie walczących z czerwonym totalitaryzmem dużo bardziej zobowiązujący niż mogła by być jakakolwiek relacja syntetyczna,operująca skrótem i schematyzacją. Ta bowiem niczego nie wymagałaby od odbiorcy - poza rozumieniem. Cóż miałby on sam do zrobienia,gdy wszystko,co ważne rozgrywa się poza jego przestrzenią życiową,na poziomie systemów,strategij,ruchów społecznych itp? Natomiast lektura opowieści Lipskiego godzi w jego poczucie bezpieczeństwa: widzi,że tylko od niego samego zależy,czy zechce się przyłożyć do dzieła,któremu sercem sprzyja,gdyż to,co jest do zrobienia znajduje się naprawdę w sferze dookolnej powszedniości - na odległość wyciągniętej ręki. A więc?

PODZIEMNA KSIĄŻKA

ZARYS HISTORII /DO LATA 1983/

W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych w zasadzie całość "drugiego obiegu" stanowiły książki wydawnictw emigracyjnych w niewielkich ilościach przemycane z Zachodu. Sporadycznie trafiały się różnego rodzaju kopis takich książek czy to w postaci odbitek fotograficznych lub kserograficznych, czy też maszynopisu przebitkowego. Niewiele tego było, a więc i zasięg oddziaływania niewielki. Wśród książek tego obiegu trafiały się też teksty nigdzie nie drukowane, odrzucone przez cenzurę.

Wedle relacji jednego z redaktorów "Głosu" na początku 1976 r. powstała w Lublinie w kręgach młodzieży katolickiej, pierwsza inicjatywa wydawnicza: zamierzano wydawać książki pozbawione debitu w większych nakładach, o czym informowały ulotki krążące wczesnym latem 1978 na zjeździe młodzieży w Warszawie. Prawdopodobnie była to pierwsza od czasów organizacji "Ruch" grupa, która zorganizowała własną bazę poligraficzną. To stąd - utworzony później - Komitet Obrony Robotników otrzymał jesienią 1976 pierwszy powielacz, dzięki czemu mógł zwiększyć nakłady swoich komunikatów, dotychczas rozpowszechnianych w kopiach maszynowych. Z początkiem 1977 r. przyjęto nazwę Nieocenzurowana Oficyna Wydawnicza. Działalność zaczęto od druku na powielaczu spirytusowym pierwszego numeru "Zapisu", którego powielanie zakończono w okresie, gdy w więzieniach siedziało kilku członków KOR-u, z późniejszym szefem NOWEJ - Mirosławem Chojeckim. Jesienią 1977 to pierwsze od końca lat 40-tych niezależne wydawnictwo zostało przeniesione do Warszawy i zmieniło nazwę na Niezależna Oficyna Wydawnicza. Natomiast założyciele pierwszego wydawnictwa stworzyli pismo, a później i wydawnictwo "Spotkania".

W tym okresie książki drukowano na powielaczu spirytusowym w nakładach sięgających 200 egzemplarzy. Rozprowadzano je przez kilka miesięcy, a ten niewielki nakład był wystarczający dla "całej Polski". Czasem jeszcze po Sierpniu w kolportażu sprzedawano resztki nierozprowadzonych w 1979 i 1980 r. nakładów.

Pierwsze komunikaty Komitetu Obrony Robotników były rozpowszechniane w niewielkiej ilości w postaci maszynopisu przebitkowego. Przywożony do Krakowa egzemplarz "rozmnażano" - przepisując na maszynie - do 20 kopii. I te dwadzieścia egzemplarzy obsługiwało "cały Kraków" i "wszyscy" je czytali. A teraz? 3-tysięczny nakład czy to pisma czy książki, rozprowadzony w Krakowie, przechodzi niemal niezauważalnie. Mimo trudności kolportażu w warunkach stanu wojennego znika momentalnie.

Okres "Solidarności" upowszechnił czytelnictwo "wolnego słowa"; ponad tysiąc wydanych w tym czasie "niezależnych" książek i broszur w wielotysięcznych nakładach, dwa tysiące tytułów prasy niezależnej i związkowej, nie przeszło bez śladu. Bibuła spowszedniała, stała się zjawiskiem normalnym i codziennym. Znalazła się w dziesiątkach tysięcy domów. Powstały tysiące bibliotek wydawnictw niezależnych.

13 grudnia był celnym uderzeniem. Od wiosny 1981 r. kolportaż wydawnictw niezależnych prawie w całości był przejmowany przez działające przy Zarządach Regionów punkty zaopatrzenia zakładowych bibliotek. Dlatego też ten dzień, zastał w budynkach ZR tysiące nierozprowadzonych książek, czasem były to nawet całe ich nakłady, a w wielu Komisjach Zakładowych wartościowe biblioteki. Na szczęście z niektórych zakładów w związku ze stanem gotowości strajkowej biblioteki zostały wcześniej wyniesione. W innych zrobiono to już w czasie "wojny". W Łodzi z Zarządu Regionu udało się już po rozpoczęciu stanu wo-

jennego wynieść i rozdać zgromadzonym na ulicy ludziom książki wartości ponad miliona złotych. Był to chyba jedyny na tak wielką skalę przypadek ocalenia wydawnictw niezależnych /według relacji z Łodzi zamieszczonej w książce G r u d z i e ń 1 9 8 1. R e l a c j e. s.27/. W pozostałych ZR i w wielu KZ, książki przepadły, albo podarte na strzępy, albo zniszczone w płomieniach ognisk palonych przez milicję, lub wywiezione na przemiał. Równie smutny był koniec wielu prywatnych biblioteczek, niszczonych przez ich przerażonych właścicieli. Niektóre podarto, inne spalono, a jeszcze inne zakopano w ziemi, gdzie nierzadko pogniły.

Po 13 grudnia wiele wydawnictw - na skutek internowania ich kierowników i pracowników - uległo rozbiciu, wydawało się, że na dłuższy czas zniszczono niezależny obieg wydawniczy. Dotknęło to szczególnie oficyny, które w okresie "Solidarności" przestały przestrzegać "zasad BHP", ujawniły struktury organizacyjne i nazwiska swoich pracowników. Gdy minęło zaskoczenie, bardzo szybko zabezpieczono sprzęt i magazyny niezależnej poligrafii, zaczęto tworzyć struktury kolportażowe zlikwidowane w większości w czasie "Solidarności". Już pod koniec stycznia rozprowadzano wydawnictwa przygotowane przed "wojną". Zresztą w nielicznych miejscach działalność kolportażowa była prowadzona nieprzerwanie. W lutym w kolportażu pojawiły się książki, które stan wojenny zastał w trakcie procesu produkcyjnego. A w marcu do kolportażu weszły pierwsze książki w całości wykonane podczas stanu wojennego.

W pierwszej połowie stanu wojennego rozwinął się na niespotykaną skalę klasyczny "samizdat". Produkcja niezależnych wydawnictw nigdy nie zaspokajała zapotrzebowania na wolne słowo, ale ten okres cechowała szczególnie wielka dysproporcja pomiędzy mocami niezależnych oficyn a zapotrzebowaniem na informacje. I tę lukę starał się wypełnić samizdat. W całym kraju krążyły - "tysiące maszynopisów, odbitek kserograficznych, rozmaitych kopii i manuskryptów powielanych najczęściej w ten sposób, że każdy, kto ma czas i ochotę, przepisuje /odbija/ tekst w kilku egzemplarzach i podaje dalej" wspominają we wstępie do zbiorku N o c g e n e r a ł ó w wydawcy z Wojennej Oficyny Wydawniczej. Wśród rozpowszechnianych w ten sposób tekstów dominowała, poza prasą, aktualna publicystyka polityczna oraz bardzo rozpowszechniona poezja polityczna i patriotyczna. "Obok samorodnej twórczości /różnych pod względem poziomu wierszyków i piosenek/ krążą już dziś w odpisach teksty dawnych, czasem sto i więcej lat liczące: utwory polskich romantyków, pieśni religijne. Młodzież /bo to ona jest głównym odbiorcą/ odnajduje w nich własne myśli, współczesne sprawy". /Raport czwarty DiP: rozdział: P o s t a w y s p o ł e c z n e/

Dlatego też sporą część druków zwartych tego okresu stanowią zbiorki poezji. Równolegle powstało szereg inicjatyw, które postawiły przed sobą zadanie zebrania pojawiających się wierszy. Wydawcy jednego z nich - wspomnianej powyżej - N o c y g e n e r a ł ó w stwierdzili we wstępie: "Wiersze z ponurego czasu stanu wojennego chcielibyśmy potraktować przede wszystkim jako dokumentalny zapis stanu ducha narodu, wyrażenie tego, co myślą i czują ci, których obezwładniono i sterroryzowano, a na salwy z broni maszynowej mogą odpowiedzieć tylko w ten sposób".

Już w lutym podjęto próbę całościowego przedstawienia i usystematyzowania zdarzeń pierwszego miesiąca stanu wojennego. Była nią broszura W o j n a g r u d n i o w a, której autor napisał, że jest "próbą scalenia, zestawienia faktów prezentowanych dotąd przez podziemną prasę jedynie w formie izolowanych notatek".

Ostatnio zakończyłem opracowywanie zestawienia druków zwartych wydanych w podziemiu po 13 grudnia 1981. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że jest ich nadspodziewanie dużo. W ciągu półtora roku "światło dzienne" ujrzało przeszło 400 pozycji /z czego ponad 200 w stanie wojennym/, od malutkich kilkustronicowych broszurek, aż po duży blisko 800 stron liczący pamiętnik Wata. Nakłady były rozmaite, od kilkudziesięciu egzemplarzy, do kilkunastu tysięcy.

Najwyższy /?/ wyniósł 12 tysięcy /x/.

Przeważająca część produkcji tytułowej omawianego okresu ukazała się jak zwykle w Warszawie. Niecała jedna trzecia w Krakowie. A pozostały niewielki procent pochodził z innych miast: Białegostoku, Gdańska, Gliwic, Lublina, Łodzi, Poznania, Wrocławia. Jest to przede wszystkim wynikiem niemal całkowitego rozbicia i zaniku działalności wydawniczej w innych ośrodkach jak i nastawienia na druk prasy zarówno dawniejszych jak i nowo tworzonych inicjatyw wydawniczych.

Tak jak i podczas II wojny światowej, część druków jest antydatowana, podaje fałszywe miejsca wydania i fikcyjne nazwy wydawnictw. Niektóre z oficyn dla każdej wydanej pozycji wymyślają nową nazwę wydawnictwa. Z zarejestrowanych przeze mnie drukow - 270 pozycji zostało wydanych pod 98 nazwami wydawnictw, za którymi kryje się najwyżej 76 oficyn, przeciętnie jedna nazwa wydawnictwa firmowała 2,7 pozycji. Pozostałe druki były niesygnowane. Wydało je nie więcej niż 90 inicjatyw wydawniczych. Ponieważ część oficyn wydawała równolegle druki sygnowane i nie, można szacować, że w omawianym okresie druki zwarte wydawało około 150 oficyn i inicjatyw wydawniczych w 9 miastach.

Najwięcej pozycji w omawianym okresie, bo aż 28, wydało "przedwojenne" Wydawnictwo "Krąg". Tuż za nim uplasowało się z 27 drukami założone w stanie wojennym Wydawnictwo CDN. NOWA zajęła trzecie miejsce z 18 drukami. Na czwartej pozycji znalazła się Biblioteka Tygodnika Wojennego z 13 pozycjami. Następne miejsca mają Oficyna Liberałów - 11 pozycji i Wydawnictwo Słowo - 10 pozycji.

Warto zauważyć, że po zawieszeniu stanu wojennego zmalał z 33 do 26 procent druków niesygnowanych.

Ze zrozumiałych względów nastąpił znaczny upadek poziomu edytorskiego książek wydawanych w tym czasie. Znowu - jak przed Sierpniem - zaczęły dominować prymitywne techniki druku: powielanie białkowe, a nierzadki był nawet powrót do technik stosowanych jeszcze w 1976 r. i wcześniej - maszynopisu przebitkowego. Nie spotkałem się natomiast nigdzie /poza prasą/ co jest ciekawe, z zastosowaniem powielania spirytusowego.

Natomiast po zawieszeniu stanu wojennego znowu jak za dobrych czasów "Solidarności" dominującą techniką stał się offset.

Jak nigdy wcześniej bardzo różne było wykonanie i wykończenie druków. Od niestarannie, wręcz niechlujnie wykonanych broszur, z bardzo złą czytelnością, niestarannie i krzywo wydrukowanego zamazanego tekstu, nierówno złożonych i źle zszytych, nieobciętych; aż po wydawnictwa prezentujące najlepszy "przedwojenny" poziom, jak zaczęta przed"wojną" książka Wereszyckiego czy też w całości wykonany w stanie wojennym C z y d i a b e ł m o ż e b y ć z b a w i o n y i 2 7 i n n y c h k a z a ń Kołakowskiego /wydanie Wszechnicy Społeczno-Politycznej zewnętrznie niczym nie różniące się od normalnie wykonanych książek, ani drukiem, ani starannq oprawą introligatorską/.

W związku z dużymi problemami przy zakupie papieru zauważalna jest tendencja do zmniejszania formatu wydawanych książek. Częstym stał się - sporadyczny przed "wojną", a nie spotykany przed Sierpniem - format A7. A powszechnym - rzadki przed Sierpniem format A6.

Niektóre z wydawnictw podtrzymują wprowadzony w 1978 r. przez NOWĄ zwyczaj zamieszczania na ostatniej stronie okładki wykazu pozycji przez nie wydanych. Część stosuje układ alfabetyczny /Wydawnictwo Krąg, a ostatnio też i Biblioteka Tygodnika Wojennego/ inne zamieszczają w porządku oznaczającym z

---

/x/ Można szacować, że łączny nakład wszystkich druków zwartych wydanych w tym czasie był rzędu miliona egzemplarzy. Ile z tego dotarło do Czytelników? A ile przepadło bezpowrotnie podczas wpadek drukarni, magazynów czy rewizji? Trudno ocenić.

grubsza kolejność ich ukazywania się /wydawnictwa Słowo, CDN i Biblioteka Tygodnika Wojennego/.

W stanie wojennym stworzono i rozwinięto formę wydawniczą: teki zdjęć, o ile mi wiadomo dotychczas niestosowaną przez wydawnictwa niezależne. Są to przeważnie zbiorki składające się z kilku czy kilkunastu zdjęć ilustrujących przebieg ważnych zdarzeń: manifestacji, mszy rocznicowych. Najpopularniejszą z nich, z której dokonano blisko 10 przedruków, była teka: I n t e r n o w a n i. B i a ł o ł ę k a '8 2.

Wydano kilka prac dokumentalnych /m.in. G r u d z i e ń 1 9 8 1. R e l a c j e, S p o ł e c z e ń s t w o w o b e c s t a n u w o j e n n e g o/, relacje z obozów internowania, zbiorki rejestrujące poezję i satyrę stanu wojennego, a nawet pierwszy "niezależny komiks" - J u n t a j u j e !

Często zdarzało się, iż jedna pozycja miała kilka wydań - Z a p i s k i w i ę z i e n n e Wyszyńskiego, w krótkim czasie miały ich aż 10.

Aby przyspieszyć dotarcie tekstu do czytelnika w kilku przypadkach równocześnie wydawano książki w kraju i na Zachodzie jak np. Smolara, Woźniaka czy Konwickiego: W s c h o d y i z a c h o d y k s i ę ż y c a.

Tak znaczna ilość książek wydawanych w podziemiu spowodowała że Radio Wolna Europa zmieniło niektóre ze swoich programów. I tak na przykład w audycjach historycznych czy "Na czerwonym indeksie" obecnie rzadko kiedy trafiają się książki pisarzy emigracyjnych wydane na Zachodzie. Prawie zawsze czytane są książki autorów krajowych pisane i wydane w kraju. W całości zostały odczytane m.in. książki: Krystyny Kersten - H i s t o r i a P o l i t y c z n a P o l s k i, Waldemara Kuczyńskiego - O b ó z, Rafała Krawczyka - O c e n a s y t u a c j i p o l i t y c z n e j p o 9 m i e s i ą c a c h s t a n u w o j e n n e g o.

Osobny dział stanowią druki zwarte wydane w ośrodkach internowania. Większość z nich to rękopiśmienne kopie w nakładach od 1 do 30 egzemplarzy. Kilka wydanych techniką mydłowo-tłuszczową osiągało zawrotne jak na te warunki nakłady sięgające 200 sztuk. "Drukowano" przeważnie na papierze kancelaryjnym lub listowym, ukazywały się w formacie A5 lub A6, miały objętość do kilkunastu stron, niektóre z nich były bogato ilustrowane.

P.S. Pragnąłbym w tym miejscu podziękować tym wszystkim, którzy służyli mi swoją informacją i pomocą przy pracy nad wspomnianym opracowaniem. Dzięki nim mogłem osiągnąć stosunkowo wysoki stopień kompletności i zanotować w wykazie co najmniej trzy czwarte tytułowej produkcji tego okresu.

+ + + + + + +

Z ARCHIWUM LISTOPADOWEJ TRADYCJI

Pieśń ku czci świętego Saturnina

W roku 1882, na rocznicę powstania styczniowego, ukazał się w Galicji /zapewne we Lwowie/ ulotny druk, przynoszący kilkuzwrotkowy wiersz zatytułowany 22 stycznia 1882. Autorem jego był Platon Kostecki, poeta i dziennikarz, bardzo czynny i dobrze znany w lwowskim środowisku literackim. Pisał po polsku i po ukraińsku. Był gorliwym zwolennikiem ugody i współpracy między tymi dwiema narodowościami Małopolski wschodniej, w swej twórczości polskojęzycznej niejednokrotnie nawiązywał do polskich tradycji narodowych i dawał wyraz tęsknotom Polaków do niepodległości.

Tak i w tym wierszu. Noszący w tytule datę styczniowego zrywu, utwór wymieniał kolejno walki o narodową wolność, poczynając od konfederacji barskiej, przez legiony Dąbrowskiego, noc listopadową aż po styczeń 1863 roku, wymieniał je wraz z towarzyszącymi im pieśniami, wpisanymi już wówczas w wielką tradycję polskich śpiewów niepodległościowych. Więc: pieśń Trzeciego Maja, "Marsz Dąbrowskiego, "Boże coś Polskę", "Z dymem pożarów". I tylko powstanie listopadowe zaszyfrowane zostało w zagadkowym sformułowaniu: "Nagle huknęła pieśń Saturninowa".

Paweł Hertz, przedrukowując wiersz Kosteckiego w swym świetnym Zbiorze poetów polskich XIX wieku, próbował skomentować tę zagadkę. "Pieśń Saturninowa odnosić się może - pisał ostrożnie - do imienia Luciusa Apulejusa Saturninusa, trybuna ludowego w Rzymie, w r. 100 p.n.e. przygotowującego zbrojne powstanie ludu przeciw optymatom." I dodatkowo przywołał tradycję literacką tzw. wiersza saturnińskiego, którym pisane były w starożytnym Rzymie utwory poetyckie, "zwłaszcza ludowe".

Znakomity edytor i erudyta, którego skrupulatność i dociekliwość nie tylko w przytoczonej próbie komentarza znajduje swe potwierdzenie, nie natrafił jednak na właściwy trop. Rzecz wyjaśnia się bowiem bardzo prosto - choć wyjaśnienie poniższe, wyznać to trzeba, dopomógł ustalić przypadek. Świadczy to o tym, jak szybko i bezpowrotnie zanikają w świadomości narodowej jasne ongiś dla wszystkich symbole, jak wraz z kolejnymi generacjami odchodzi w zapomnienie ich język, pozostawiając nam pustobrzmiące słowa. Zapomniano więc i o tym, że dzień 29 listopada to dzień świętego Saturnina. Więc "pieśń Saturninowa" - to pieśń powstania listopadowego.

\+ + +

Ale może być i nieco inne wyjaśnienie zagadki. Może tu bowiem chodzić nie o śpiewy narodowe roku 1830 w ogóle, lecz o utwór konkretny, popularny w dobie powstania i przez cały niemal wiek XIX aż do jego końca - o śpiewaną w kraju i na emigracji "Pieśń ku czci świętego Saturnina". Z tego również względu interesującą, że napisaną w konwencji satyrycznej, nieczęsto stosowanej w pieśniach niepodległościowych tego okresu:

Oto jej tekst:

Chwalmy, bracia, Pana Boga
Z Jego cudów niepojętych
Dziś niewola pękła sroga,
Chwalmy także wszystkich Świętych.
Ale Świętych nie ma za co,
Niech nam bieda głowy ścina,
Wszyscy Święci są ladaco,

Prócz Świętego Saturnina:

Moskal Polskę biczem smagał,
Zwalił na nią ciężkie licho,
Polak Świętych wzywał, błagał,
Każdy Święty siedział cicho.
Lecz Saturnin dał po skórze
Moskwie, co go dziś przeklina.
Wszyscy Święci to są tchórze,
Prócz Świętego Saturnina.

Moskal wciąż nas dręczył kozą,
Grzmiał po bruku każdej chwili,
Polak patrzył na to z zgrozą,
Wszyscy Święci się dziewili.
Lecz Saturnin zmarszczył lice,
Wbił tęgiego Moskwie klina,
Wszyscy Święci są to fryce,
Prócz Świętego Saturnina.

Gdy wokoło wszystko skrzepło
I listopad wiał śniegami,
Wszyscy Święci lubiąc ciepło
Żyli w zgodzie z kacapami.
Lecz Saturnin, zuch nad zuchy,
W mróz wypędził Moskwicina.
Wszyscy Święci to piecuchy,
Prócz Świętego Saturnina.

Poszła Moskwa, bierz ją diabli,
Polska jej dziś ćwiekiem w głowie,
Puchar w rękę, zdrowie szabli,
Lecz wprzód Saturnina zdrowie!
Ale Świętych nie ma za co,
Niech nam bieda głowy ścina,
Wszyscy Święci są ladaco,
Prócz Świętego Saturnina.

Tekst pieśni, z odpisu Włodzimierza Wolskiego /poety, autora m.in. libretta do H a l k i/, przypomniało lwowskie "Słowo Polskie" w roku 1902 /nr 575 z dnia 29 listopada/. Stąd utwór przedrukowujemy. "Słowo" przypisało jej autorstwo Maurycemu Gosławskiemu. Już w numerze z 2 grudnia odezwał się Władysław Bełza, poeta i bibliotekarz Ossolineum, prostując tę wiadomość: pieśń ku czci świętego Saturnina wyszła spod pióra Franciszka Kowalskiego, autora wielu innych powszechnie śpiewanych tekstów, m.in. znanej piosenki "Tam na błoniu błyszczy kwiecie". Bełza uchylał też przypuszczenie, jakoby była to pieśń wojska polskiego - w istocie była to piosenka klubowa, śpiewana u "Honoratki", sam słyszał ją w środowisku emigracji polskiej w Paryżu. I jeszcze jedna istotna uwaga Bełzy: zapewniał on, że w pierwszej i ostatniej zwrotce zamiast "Niech nam bieda głowy ścina" winno być: "Niech nam bulla głowy ścina" /aluzja do bulli papieża Grzegorza XVI C u m p r i m u m z 9 czerwca 1832, potępiającej powstanie/. Jeśli jednak jest prawdą, że pieśń Saturninowa śpiewana była w "Honoratce" w dniach listopadowych, to wersja "Słowa" jest chyba właściwsza. Papież wprawdzie ustosunkował się negatywnie do powstania już w lutym 1831 roku, w liście do biskupów polskich, ale bullę wydał dopiero po jego upadku. "Bulla" mogła się więc pojawić w tekście później. Choć z drugiej strony jakże pasuje owo buńczuczne i lekceważące skwitowanie papieskiej wypowiedzi do nastroju piosenki, do owych świętych - tchórzy, fryców, piecuchów, ladaco. Ale nie śpieszmy się z poprawką: pierwsza i ostatnia zwrotka świadczyć się zdają, że tekst powstał w Warszawie wolnej, przed upadkiem powstania, a więc i przed papieską bullą.

Pieśń Saturninowa była popularna, śpiewano ją, krążyła w odpisach. Wiedział o tym Kostecki, liczył na pełną jasność symbolu. Znaleźć ją można jeszcze w końcu XIX wieku: w hektografowanym, nielegalnym zbiorku pieśni i wierszy narodowych W k a j d a n a c h, wydanym - zapewne w Warszawie - w roku 1887 /wydanie drugie: 1890/. Te niepozorne druczki, opublikowane poza zasięgiem carskiej cenzury, świadczą o żywotności tekstu. Świadczą też o tym, że nurty myślenia i czucia narodowego nie dadzą się niczym zatamować, że głosu wolnego nie zdławi żaden knebel.

C.P.M.S.

Prezydium Zarządu Głównego
zawieszonego Związku Literatów Polskich

Obywatel Gen. Czesław Kiszczak
Minister Spraw Wewnętrznych

za pośrednictwem
Prezydenta M.st. Warszawy

ODWOŁANIE

Odwołujemy się od decyzji Prezydenta Miasta Stołecznego Warszawy z dnia 19 sierpnia 1983 roku /SA.III-6015/105/83 o rozwiązaniu stowarzyszenia pod nazwą "Związek Literatów Polskich" jako bezzasadnej i wobec tego sprzecznej z Artykułem 16 Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 27 października 1932 - Prawo o stowarzyszeniach.

UZASADNIENIE

I

Uzasadnienie wymienionej wyżej decyzji zawiera nieprawdziwy i niczym nieudokumentowany zarzut, iż część kierownictwa i członków Związku Literatów Polskich wykorzystywała ten związek jako "teren i narzędzie walki z ustrojem i władzami PRL".

Wybrany na XXI Zjeździe Związku w demokratycznych, zgodnych z zatwierdzonym przez władze Statutem wyborach Zarząd Główny ZLP był zarządem koalicyjnym, złożonym z pisarzy reprezentujących wszystkie główne kierunki artystyczne, światopoglądowe i polityczne - Zarządem integrującym polskie środowisko literackie na gruncie zasad Konstytucji PRL, Statutu Związku i podstawowych wartości naszej kultury narodowej. Przeciwdziałał istniejącym podziałom, co znalazło między innymi wyraz w składach wszystkich powołanych komisji i zespołów. W całym okresie swej działalności Zarząd współpracował z władzami PRL różnych szczebli, co przyniosło wymierne korzyści całemu środowisku literackiemu i kulturze narodowej, a także przyczyniło się do odnowy życia społecznego w Polsce zgodnie z Porozumieniami Sierpniowymi, do budowy porozumienia narodowego i utrwalenia pokoju społecznego w naszym kraju.

Stwierdzamy, że realizując w ten sposób tradycyjne powołanie pisarzy do służby społecznej oraz nakazy obywatelskiego obowiązku, zgodne ze Statutem Związku Literatów Polskich, Zarząd Główny oraz cały Związek również po swoim XXI Zjeździe nigdy nie stanął w sprzeczności z celami, do których realizacji został stworzony.

II

Zarząd Główny ZLP wybrany został na XXI Zjeździe w pełni legalnie i przytłaczającą większością głosów. Wybór, uchwały i rezolucje znane były władzom, a uchwalone na Zjeździe poprawki statutu ZLP zatwierdzone zostały przez władzę rejestrującą - Urząd Miasta Stoł. Warszawy.

Mandat wyborczy /3-letnia kadencja robocza/, statut ZLP i uchwały Zjazdu są jedyną prawną podstawą i ramami działania Zarządu. Obowiązują Zarząd.

W czasie 11 miesięcy działania ani członkowie na licznych odbytych rozszerzonych zebraniach plenarnych, ani władza rejestrująca nie zgłaszały żad-

nych zarzutów co do działalności Zarządu Głównego w zakresie uprawnień statutowych. O wszystkich uchwałach Prezydium, zatwierdzonych przez plena Zarządu Głównego, i wszystkich oświadczeniach publicznych informowane były regularnie władze, organizacje polityczne i opinia publiczna.

Zawieszenie działalności ZLP i jego Zarządu nastąpiło 13 XII 1981 r. na podstawie Dekretu o Stanie Wojennym, bez wysuwania jakichkolwiek innych politycznych zarzutów - i na czas obowiązywania Dekretu. Zarzuty i pomówienia polityczne wysunięto dopiero w czasie zawieszenia, w rozpętanej wówczas kampanii prasowej. Będąc zawieszonym w swej działalności i w istniejących warunkach Zarząd Główny nie miał swobody ani możliwości odpowiadania wówczas na zgłaszane publicznie nieprawdziwe i oszczercze zarzuty /pierwszym głosem w owej kampanii było żądanie zlikwidowania Związku/.

Chociaż Zarząd Główny jako instancja związkowa przerwał działalność, Prezes i poszczególni członkowie Zarządu Głównego wielokrotnie występowali do władz, bądź też byli przez nie zapraszani.

W pierwszych miesiącach stanu wojennego były to przede wszystkim interwencje pisemne i ustne /wielokrotne wizyty Prezesa u Ministra S.W./ w sprawach internowanych chorych i cierpiących kolegów. Interwencje te i zabiegi w większości wypadków doprowadziły do wcześniejszego zwolnienia internowanych pisarzy.

Wysłano 29 I 1982 r. zbiorowy list do premiera, gen. Wojciecha Jaruzelskiego w sprawie internowanych kolegów oraz w sprawie porozumienia narodowego. 26 II 1982 r. Prezes J.J.Szczepański odbył rozmowę z Sekretarzem KC Hieronimem Kubiakiem i wicepremierem M.F.Rakowskim w sprawie Związku.

Dwukrotne rozmowy z Sekretarzem H.Kubiakiem odbył prezes i wiceprezes T.Drewnowski /ostatnia 30 III 1982 r./

Trzykrotnie z wicepremierem Rakowskim spotykał się prezes J.J.Szczepański /ostatnio 30 III 1982 r./

Jedyne oficjalne rozmowy członków prezydium Zarządu Głównego ZLP z przedstawicielami władz i egzekutywy POP przeprowadzone zostały u ministra J.Tejchmy 6 IV 1982 r., gdzie przedstawiciele POP przy Oddz. W-skim ZLP przedstawili Zarządowi zarzuty polityczne. Zarzuty owe sprowadzały się do tego, że:

- Zarząd nie ma charakteru"koalicyjnego", jak to było w okresie "iwaszkiewiczowskim"
- Zarząd manipulowany był przez "ekstremistów" SOLIDARNOŚCI w swoim łonie
- Zarząd podpisał umowę o współpracy z NSZZ "Solidarność"
- Zarząd "zorganizował" Kongres Kultury Polskiej

Zarzutów tych Zarząd Główny nie mógł przyjąć ponieważ:

- skład zarządu wyłaniany jest w demokratycznych tajnych wyborach przez Zjazd Delegatów. Nie wybranie określonych osób jest tylko oznaką utraty zaufania do tych osób na podstawie ich uprzedniej działalności. Wybrany obecnie zarząd ma charakter reprezentacyjny, odzwierciedla wszystkie nurty w pluralistycznym środowisku literackim w sposób proporcjonalny /członków partii, katolików i in./; większość wybranych uczestniczyła w poprzednich "iwaszkiewiczowskich zarządach, a więc ciągłość została zachowana.
- Zarząd Główny w swojej autonomicznej działalności i we wszystkich swych publicznych wystąpieniach zachowywał zawsze całkowitą niezależność i nie był niczyją polityczną agenturą. Środowisko ludzi pióra nie ukrywało swego przekonania o słuszności idei odnowy sierpniowej 1980 roku /podobne jest stanowisko Rządu i Partii/, lecz jako Związek we wszystkich swych publikacjach apelował zawsze o szukanie porozumienia i ugody narodowej w najdramatyczniejszych nawet konfliktach między władzą a dużą częścią społeczeństwa.
- ZLP zawsze współpracował na zasadzie formalnych umów ze Związkami zawodowymi, toteż po rozwiązaniu CRZZ zwrócił się za pośrednictwem swego Zarządu

Głównego do wszystkich legalnie uznanych związków - zarówno "Solidarności", jak i Związków Autonomicznych i Branżowych - o nawiązanie analogicznej współpracy. Realizowano tym zresztą uchwałę zjazdową. Jedynie "Solidarność" /i to z roczną bez mała zwłoką/ podjęła ową propozycję.

- Zarząd Główny ZLP jako instancja związkowa nie "organizował" Kongresu Kultury Polskiej. W komitecie organizacyjnym i w wystąpieniach brali udział poszczególni uczeni i twórcy ze wszystkich środowisk, imiennie.

Po tym spotkaniu dalszych rozmów z Prezydium Zarządu Głównego, wbrew zapowiedziom, w Ministerstwie Kultury nie było. Miały natomiast miejsce przedtem wielokrotne spotkania prezesa i poszczególnych członków Prezydium /A. Braun, J.Sito, L.Prorok, T.Drewnowski, Z.Kubikowski, L.Terlecki, A.Jarecki, A.Trzeciakowska/.

Również z wiceministrem S.Puchałą miały miejsce wielokrotne spotkania członków Zarządu, m.in. w sprawach materialnych i w sprawach pracowników zawieszonego Związku.

Z wiceprezydentem m. Warszawy M.Szymborskim spotykali się w sprawie Związku L.Prorok i K.Dziewanowski.

Ponadto wiceprezes A.Braun brał udział w spotkaniu w Min. Kultury i Sztuki w sprawie Narodowej Rady Kultury, zaś wiceprezes T.Drewnowski oraz członkowie ZLP I.Szymańska i J.Wittlin brali stały udział w pracach Rady Książki oraz jej sekretariatu.

Członkowie Zarządu Głównego wyrazali gotowość do wzięcia udziału w pracach komisji socjalnych przy Min. Kult. i Sztuki, jeśli ich skład stanowić będzie kontynuację statutowych instancji związkowych - tak właśnie, jak to miało miejsce w wypadku Rady Książki; zatem zarzuty, że członkowie zawieszonego przecież Zarządu Głównego nic nie robili w sprawie Związku i uchylali się od współpracy z władzami, są nieprawdziwe.

Pomimo niemożności /z racji zawieszenia wszelkiej działalności Zarządu Głównego ZLP/ informowania kolegów o działaniach członków Zarządu i odwoływania się do opinii społeczności literackiej, w imieniu której rzekomo publikowano napastliwe wobec Zarządu Głównego artykuły, pojawiały się głosy członków Związku domagające się reaktywowania ich organizacji. W "Trybunie Ludu" 10 VII 1982 r. ukazał się list zbiorowy przeszło 80 pisarzy - członków ZLP z Krakowa w sprawie wznowienia działalności Związku w jego dotychczasowym statutowym kształcie. Podobny list przeszło 200 pisarzy z Warszawy wpłynął 15 VII 1982 r. do Ministra Kultury i Sztuki J.Tejchmy. Wiadomo, że wpłynęły podobne zbiorowe apele od pisarzy Poznania, Wrocławia, Gdańska i in.

Prezes J.J.Szczepański i członkowie zawieszonego Zarządu Głównego kontynuowali swoje wysiłki. W początkach maja 1982 r. prezes wysłał list do Przewodniczącej Sejmowej Komisji Kultury K.Marszałek-Młyńczyk w sprawie Narodowej Rady Kultury i Funduszu Rozwoju Kultury. 11 VI 1982 r. prezes wysłał list do Ministra Kultury, apelujący o wznowienie rozmów w sprawie Związku, zgodnie z obietnicą ich kontynuowania, daną po zebraniu z dnia 8 IV.

1 X 1982 r. prezes J.J.Szczepański skierował list do wicepremiera M.F.Rakowskiego i Ministra Kultury J.Tejchmy w sprawie reaktywowania ZLP.

19 XI 1982 wysłano list członków Prezydium zawieszonego Zarządu Głównego ZLP do Przewodniczącej Sejmowej Komisji Kultury K.Marszałek-Młyńczyk w sprawie losów Związku po Sesji Sejmu 13 XII i ewent. odwołania stanu wojennego.

Po rozmowie w dniu 10 XII 1982 r. prezesa z nowym Ministrem Kultury, prof. K.Żygulskim, skierowano 11 XII, zgodnie z jego życzeniem, list członków Prezydium Zarządu Głównego na jego ręce, przedstawiający szczegółowy plan pracy i działalności Zarządu Głównego ZLP po ewent. reaktywowaniu Związku.

Na wszystkie wymienione tutaj pisma nie otrzymano żadnej odpowiedzi. Roz-

mowy nie doprowadziły również do żadnych ustaleń.

Z dniem 30 XII 1982 r. zawieszono stan wojenny i weszła w życie ustawa sejmowa "o szczególnej regulacji w okresie zawieszenia stanu wojennego", stanowiąca, że stowarzyszenia nie uruchomione dotychczas muszą w ciągu 6 miesięcy wznowić działalność lub zostać rozwiązane. Zgodnie z tym, ponieważ Związek został zawieszony na podstawie dekretu o stanie wojennym i na czas jego trwania, w pierwszych dniach stycznia 1983 r. skierowano pisma do Prezydenta m. Warszawy i do Min. Kultury i Sztuki z formalną prośbą o zezwolenie na wznowienie działalności Związku.

8 II 1983 r. prezes J.J.Szczepański wysłał list do Min. Kultury K.Żygulskiego z prośbą o zezwolenie na odbycie - mimo trwającego zawieszenia - jednorazowego zebrania Zarządu Głównego ZLP, statutowo poszerzonego o udział prezesów Oddziałów terenowych oraz przedstawicieli stronnictw politycznych, które by pozwoliło ustalić rzeczywisty stan nastrojów środowiska i na tej podstawie wyciągnąć wnioski co do dalszych kroków, zmierzających do uregulowania sytuacji w ZLP.

Na pismo to również nie było odpowiedzi.

25 II 1983 r. odbyła się ogólnopolska konferencja pisarzy partyjnych, którzy określili swoje stanowisko i ogłosili "Oświadczenie", formułujące w czterech punktach ich warunki "normalizacji" sytuacji w ZLP. Przebieg tego zebrania, w toku którego powtarzane były również nieprawdziwe zarzuty i pomówienia, jest znany, nadano mu szeroki rozgłos. Zarząd Główny zawieszonego Związku, poza wystąpieniami jego partyjnych członków /T.Drewnowskiego i M. Grześczaka/, nie miał możliwości ustosunkowania się do tych zarzutów. Posunięto się nawet do fałszerstwa, odczytując rzekomy "list prezesa Szczepańskiego do Przewodniczącego Rady Państwa".

Członkowie Prezydium Zarządu Głównego przyjęli uchwalone tam "Oświadczenie" jako stanowisko części członków ZLP, części w naszych warunkach istotniejszej niż jej liczebność, ale części tylko. Ponieważ Zarząd statutowo reprezentuje całość społeczności literackiej, powinien zatem poznać opinię większości, przede wszystkim zaś samego Zarządu Głównego, który od przeszło roku nie mógł się zbierać, zwłaszcza że dwa z czterech punktów "Oświadczenia", dotyczące uprawnień członkowskich, sprzeczne były z obowiązującym statutem ZLP. Tym ważniejsza stała się więc konieczność odbycia jednorazowego zebrania plenarnego Zarządu Głównego dla poznania opinii pluralistycznego Związku. Stanowisko części kolegów - członków PZPR - nie może być bowiem obowiązujące dla władz całego Związku, o którego autonomii i samorządności wewnętrznej, respektowanej przez Państwo, mowa jest w owym "Oświadczeniu". Ocena sytuacji w środowisku literackim i w samym Zarządzie, przedstawiona na tej konferencji i w "Oświadczeniu", była zdaniem członków kierownictwa ZLP nieobiektywna i jednostronna, powtarzała zarzuty podnoszone już na spotkaniu w Ministerstwie Kultury 8 IV 1982 r. - mimo to powoływały się na nią, jako na bezdyskusyjną, nawet urzędowe pisma władz administracyjnych.

W kilka dni po tym zebraniu prezes Szczepański i wiceprezes T.Drewnowski odbyli rozmowę z Sekretarzem KC K.Barcikowskim prosząc o umożliwienie ustosunkowania się do tej opinii przez pisarzy bezpartyjnych i ustalenia dalszych losów ZLP. Zaproponowano dwie płaszczyzny rozmów: w Ministerstwie Kultury z władzami administracyjnymi, lub w Wydziale Kultury KC PZPR z przedstawicielami nowopowołanego Ogólnopolskiego Zespołu Pisarzy Partyjnych. Zdecydowano się przyjąć tę drugą płaszczyznę, bo choć Związek jest organizacją niepolityczną i wobec Partii nie zachodzi stosunek podległości, pisarze partyjni stali się stroną w owym sporze i ocenie działalności ZLP - należało więc szukać porozumienia z nimi dla uniknięcia rozbicia Związku.

10 III 1983 r. odbyło się pierwsze spotkanie przedstawicieli Prezydium Zarządu Głównego /prezesa J.J.Szczepańskiego, wiceprezesów A.Brauna i T.Drew-

nowskiego oraz członka Prezydium K.Brzeczczaka/ z przedstawicielami Wydz. Kultury W.Nawrockim i K.Kolkiem oraz Zespołu Pisarzy Partyjnych /A.Wasilewski, J.Lenart, K.Koźniewski, J.Jesionowski, J.Roszko/. Ponieważ wszyscy niemal byli członkami Związku, zgodzono się, że rozmowy mają charakter poniekąd koleżeński, a w każdym razie partnerski. Zgodzono się, że obie strony pragną dalszego istnienia Związku i że jego dotychczasowy Zarząd Główny jest w pełni legalny. Były to pierwsze punkty wspólnej płaszczyzny porozumienia.

Na prośbę przedstawicieli Wydz. Kultury "negocjatorzy" Prezydium Zarządu Głównego mieli przedstawić propozycję wobec zawieszonego Związku co do kroków w kierunku uruchomienia organizacji literatów. Propozycje te skonsultowano z członkami Prezydium, sformułowano na piśmie i przedstawiono na następnym spotkaniu. Przedstawiciele Prezydium Zarządu Głównego wychodzili z założenia, że działać mogą tylko w ramach statutu ZLP, który ich obowiązuje i stanowi jedyny mandat do rozmów w imieniu Związku. Szukano możliwej legalnej i zgodnej z prawem drogi postępowania dla uruchomienia Związku i jego przyszłych działań. Ponieważ różnica zdań polegała - przy zgodzie na samo funkcjonowanie Związku - na żądaniu zmian jego przyszłego działania i "przekształcenia jego struktur" - jedyną legalną drogą były następujące propozycje, przedstawione przez "negocjatorów" Prezydium Zarządu Głównego, jako "tezy i propozycje w sprawie ZLP":

- Winno się odbyć /jeszcze w stanie zawieszenia/ jednorazowe zebranie plenarne Zarządu Głównego dla przedstawienia sytuacji, wysłuchania opinii kolegów z całego Zarządu i Oddziałów, oraz uzyskanie pełnomocnictw co do podejmowania dalszych decyzji dotyczących wspólnej organizacji. Społeczność literacka od półtora roku informowana była tylko przez jedną stronę i nie mogła oficjalnie przedstawić swego zdania. Tego zaś wymagają demokratyczne reguły działania.

- Zarząd Główny gotów jest przyjąć, że kadencja jego /statutowy okres trzech lat pracy, mimo że działał tylko 11 miesięcy/ upływa z końcem 1983 r. i zaraz po reaktywowaniu Związku przystąpić do przygotowania Zjazdu ZLP. W tym celu powoła szeroką koalicyjną Komisję Zjazdową, jako komisję Zarządu Głównego, dla organizacyjnego przygotowania Zjazdu, ustalenia trybu wyboru delegatów, przygotowania propozycji uchwał zjazdowych i ewent. koniecznych zmian statutu ZLP. Zjazd wybierze nowy Zarząd. Przewidziano zgłoszenie preferowanej przez Zarząd listy kandydatów na delegatów zjazdowych, aby w pełni reprezentowane były wszystkie nurty społeczności literackiej.

Ponieważ postulaty pisarzy partyjnych wymagały przeprowadzenia zmian w statutowych strukturach Związku, jedyną legalną drogą przeprowadzenia tych zmian może być tylko zwykłe odbycie Zjazdu.

- Po ustosunkowaniu się plenum Zarządu Głównego do przedstawionej, jedynie legalnej linii działania, Związek powinien zostać reaktywowany w swoim dotychczasowym statutowym kształcie i w pełnym zakresie swego działania, aby mógł zrealizować przyjęte uzgodnienia.

"Negocjatorzy" Prezydium zawieszonego Zarządu Głównego w tych propozycjach poszli /wbrew zarzutom o ich "nieprzejednanym stanowisku"/ na daleko idący kompromis, nie wykraczając jednak poza obowiązujące ich ramy statutowe /naruszenie statutu byłoby pierwszym zarzutem podniesionym przeciwko nim ze strony krytyków/ i przedstawiając jedyną legalną drogę rozwiązania narosłych w sprawie Związku nieporozumień jak i rozbieżności. Płaszczyzna ta została przez drugą stronę zaakceptowana jako podstawa dalszych rozmów.

Na kolejnym spotkaniu w Wydz. Kultury KC 25 III 1983 r. stanowisko władz uległo zmianie, a przedstawione "Tezy" zostały przez Zespół Pisarzy Partyjnych odrzucone, jako "nie do przyjęcia". Wobec tego strona partyjna obiecała przedstawić na piśmie swoje postulaty, od przyjęcia których uzależnie poparcie dla wniosku władz zawieszonego ZLP o możliwość odbycia jednorazowego zebrania plenarnego Zarządu Głównego, i w konsekwencji o uruchomienie Związku.

29 III 1983 r. "negocjatorzy" Prezydium Zarządu Głównego otrzymali dokument p.t. "Stanowisko w sprawie działań zmierzających do normalizacji w Związku Literatów Polskich", podpisany przez Z-cę Kier. Wydziału Kultury KC PZPR Kazimierza Molka. Dokument ten, opublikowany w nieco tylko złagodzonej formie w prasie w kilka dni później /mimo zrozumiałej zasady, że w toku negocjacji nie powinna jedna strona, działająca oficjalnie i posiadająca monopol informacji, rozgłaszać swego stanowiska, podczas gdy drugiej czynić tego nie wolno/ dawał kilkuzdaniową ocenę sytuacji w całym ZLP /już nie tylko w Zarządzie Głównym/, zarzucając działania "nie mieszczące się w obszarze zasad ustrojowych PRL", za punkt wyjścia przyjmował "stanowisko pisarzy-członków partii" z lutego br., które "określa polityczne ramy działalności ZLP, jak i zakres niezbędnych korekt statutowych". Odrzucając streszczone wyżej "Tezy i propozycje w sprawie ZLP", zgłoszone przez negocjatorów Prezydium Zarządu Głównego, jako "nie zawierające jasnej deklaracji politycznej", stwierdza, że "nadzwyczajny charakter sytuacji istniejącej w Związku dyktuje szczególne zasady postępowania na okres najbliższego Zjazdu". Uzależnia udzielenie zgody na jednorazowe posiedzenie Zarządu Głównego "w wyłącznie statutowym składzie" /tzn. bez udziału Prezesów Oddziałów terenowych i przedstawicieli stronnictw politycznych/ od spełnienia następujących warunków:

- "Przed posiedzeniem plenum zostaną wynegocjowane przez uczestników rozmów projekty uchwał plenum oraz zgłoszona zostanie gotowość działania na rzecz ich przyjęcia przez Plenum Zarządu Głównego" "Uchwała plenum musi odnieść się do obecności w składzie władz ZLP i w samym ZLP" szeregu osób.
- "Plenum powinno zaakceptować tymczasowy zakres działania Zarządu Głównego w okresie do XXII Zjazdu ZLP. Powinien on ograniczyć działalność Zarządu do funkcji opiekuńczo-socjalnych wobec członków - prowadzenia biur, bibliotek, stołówek, domów pracy twórczej, kasy pożyczkowej i działalności zapomogowej. Komisje d/s Funduszu Autorskiego, Kontaktów Literackich z Zagranicą będą działać nadal przy Ministrze Kultury i Sztuki. Do Zjazdu musi być także wstrzymane przyjmowanie do ZLP nowych członków".
- "Przed plenum zostanie wynegocjowany imienny skład komisji zjazdowej, którą formalnie powoła się do życia w trakcie posiedzenia plenarnego Zarządu Głównego. Komisja zostanie wyposażona w wyłączne kompetencje do prowadzenia prac organizacyjnych, wyborczych, programowych i statutowych, związanych z przygotowaniami do przyszłego Zjazdu".

Zarówno ton jak i forma dyktatu zastosowana w tym piśmie, nie bardzo wiadomo w czyim imieniu, przeczy wszelkim pozorom partnerskich, jak twierdzono, negocjacji. Domaga się ono rezygnacji przez Zarząd Główny z wszelkich samorządnych i autonomicznych zasad funkcjonowania statutowego. Oczekiwane jednorazowe zebranie plenarne Zarządu Głównego ma się odbyć w wyizolowanym, bez opinii terenu, składzie, jego uchwały mają być z góry ustalone w rozmowach para niepełnomocnionych "negocjatorów" z Wydz. Kultury KC. Imienny skład Komisji Zjazdowej ma być ustalony w Wydziale i formalnie powołany na późniejszym zebraniu Zarządu Głównego. Jest to sprowadzenie uprawnień Zarządu Głównego do fikcji. Reaktywowany Zarząd ma z góry zaakceptować swoje kadłubowe funkcje, pozbawiony trzech swoich najważniejszych statutowo komisji - Funduszu Autorskiego, Zagranicznej i Kwalifikacyjnej. Komisja Zjazdowa ma stać ponad Zarządem Głównym. Zarząd ma więc stanowić tylko firmę, a "odwieszenie" Związku nie ma być odwieszeniem pełnym.

Stanowisko to, jako całkowicie sprzeczne ze statutem Związku, likwidujące jego samorządność zostało na spotkaniu 9 IV 1983 r. przez "negocjatorów" Prezydium odrzucone. Powrócono już tylko do sprawy zezwolenia na zebranie plenarne Zarządu Głównego w pełnym składzie, w celu poinformowania kolegów i uzyskania ich opinii.

5 IV rozmowę na temat powstałego impasu odbyli z Sekretarzem K.Barcikowskim prezes J.J.Szczepański i T.Drewnowski. Pragnąc poinformować kolegów o stanowisku przedstawionym przez "negocjatorów" Prezydium Zarządu Głównego w

rozmowach, prezes wysłał prywatne listy do prezesów Oddziałów w terenie. W związku z tym otrzymał oficjalne upomnienie w Urzędzie m. Warszawy, że czynić mu tego nie wolno.

28 IV 1983 r. odbyło się kolejne krótkie spotkanie w Wydziale Kultury KC. Zapytano, czy po przemyśleniu przedstawiciele Zarządu Głównego nadal odrzucają warunki, stawiając przy tym sprawę ultymatywnie: albo-albo. Atmosfera rozmów, w świetle nie wyjaśnionej sprawy fałszywego "listu prezesa", upomnienia w Urzędzie m. Warszawy, uniemożliwiania odbycia zebrania Zarządu Głównego dla uzyskania opinii kolegów i przy trwającej kampanii prasowej przeciwko Zarządowi Głównemu, stwarzała przekonanie o bezcelowości dalszych rozmów na tym szczeblu.

6 VI 1983 r. "negocjatorzy" Prezydium Zarządu Głównego zaproszeni zostali na kolejne spotkanie w Wydziale Kultury KC. Kierownik Wydziału, W.Nawrocki przedstawił nowe stanowisko strony partyjnej. Nie powracano już do odrzuconych uprzednio warunków. W.Nawrocki zgłosił gotowość poparcia wniosku o zezwolenie na odbycie jednorazowego zebrania Zarządu Głównego w "mandatowym" składzie /bez udziału prezesów oddziałów i reprezentantów stronnictw politycznych/ w dniu 15 VI 1983 r. Na zebraniu tym winna być przedyskutowana sprawa powołania Komisji Zjazdowej, przedyskutowany stosunek Związku do "problemu wyprowadzenia literatury polskiej za granicę" i stosunek do tego, co ZLP robił dotychczas oraz co będzie robił w przyszłości /są to jedyne sformułowania W.Nawrockiego/. Ponieważ nie wracano do sprawy składu władz i innych wysuwanych przedtem "warunków" - strona Zarządu Głównego uznała to za pewne ustępstwo i propozycję kompromisu, decydując się ze swej strony również na konieczność ustępstw. Zgodzono się więc na "mandatowy" skład uczestników zebrania, na niezwykle krótki termin 15 VI /komplikujący ze względu na przyjazd Papieża możliwości organizacyjnych przygotowań tak ważnego zebrania/, na wysłanie nowego wniosku prezesa do Urzędu m. Warszawy w tej sprawie. Negocjatorzy Prezydium Zarządu Głównego stwierdzili, że zebranie, ze względu na trwający po jego odbyciu stan zawieszenia Związku, nie będzie podejmować żadnych uchwał; uchwały wymagają realizowania, a to jest możliwe tylko po uruchomieniu Związku; Prezydium poinformuje członków o przebiegu swoich działań na rzecz reaktywowania Związku i zwróci się po instrukcje dotyczące dalszego postępowania; przedyskutowana zostanie sprawa stosunku władz Związku do sytuacji powstałej po 13 XII 1981 r. oraz tryb organizacyjny współpracy z władzami państwowymi po "odwieszeniu"; co do Komisji Zjazdowej zgodzono się, że zostanie rozważony tryb jej powołania, zgodnie ze statutem, jako Komisji Zarządu Głównego, z uwzględnieniem propozycji różnych grup członkowskich, oczywiście po uruchomieniu Związku /J.Jesionowski, ze strony Zespołu Pisarzy Partyjnych, wspomniał w dyskusji, że komisja taka nie powinna być duża, np. składać się z kandydatów Zarządu Głównego i wysuniętych przez "koalicję lewicy", ale sprawa ta, jako podlegająca kompetencjom Zarządu, wbrew temu, co później twierdzono urzędowo, nie była szczegółowo uzgadniana/; zgodzono się, że omówiony zostanie problem "wyprowadzenia literatury polskiej za granicę", ponieważ jest to problem, nie precyzując jednak, co się pod tym sformułowaniem /W.Nawrockiego/ mieści i nie interpretując go w sposób dowolny, jak to usiłowano zrobić później.

7 VI 1983 r. prezes Szczepański skierował do Prezydenta m. Warszawy nowy wniosek o zezwolenie na odbycie zebrania Zarządu Głównego ZLP w dniu 15 VI dla złożenia sprawozdania z dotychczasowych działań Związku po jego uruchomieniu. Spodziewano się krótkiej odpowiedzi - zgody lub odmowy.

8 VI 1983 r. około godziny 20-ej wiceprezes A.Braun otrzymał doręczoną z Urzędu m. W-wy decyzję. Pół godziny wcześniej została ona już podana do wiadomości publicznej w Telewizji. Stwierdzała, że naczelnik dzielnicy Śródmieście zezwala na odbycie jednorazowego zebrania Zarządu Głównego zawieszonego ZLP w składzie ściśle mandatowym, w dniu 15 VI 1983 r. w lokalu Związku, z

porządkiem dziennym - i tu wylicza się kolejne punkty porządku dziennego zebrania, znane z TV i prasy. Kończyła się stwierdzeniem, że za przebieg zebrania odpowiedzialny jest ob. J.J.Szczepański. W następującym potem "Uzasadnieniu" podano długi wywód oceniający sytuację Związku w oparciu o lutowe "Oświadczenie" pisarzy partyjnych, i trzykrotnie podkreślające dobrą wolę władz.

Jakiekolwiek prawidłowe z formalnego punktu widzenia odczytanie tego tekstu nie pozostawiało wątpliwości: władze miasta zgadzają się na odbycie zebrania w określonym dniu i dyktują jego porządek dzienny, który jest sprzeczny z wcześniejszymi uzgodnieniami, choć na te ustalenia /w dniu 6 VI/ niezgodnie z prawdą się powołuje.

Ponieważ w piśmie stwierdzono, że przysługuje od niego w ciągu 14 dni prawo odwołania do wyższej instancji, członkowie Prezydium zdecydowali, że z takiego, niezgodnego z wnioskiem, zezwolenia skorzystać nie mogą i zaskarżyli je, stosownie do przepisu, do Wydz. Społeczno-Administracyjnego Urzędu m. W-wy. "Odwołanie" to złożono 11 VI właściwą drogą.

Jednocześnie prezes Szczepański rozesłał prasie "Oświadczenie", prostujące komunikat rzecznika prasowego Urzędu m. W-wy, podającego do wiadomości publicznej rzekomo uzgodniony porządek dzienny zebrania Zarządu Głównego. W "Oświadczeniu" tym J.J.Szczepański podał w punktach uzgodniony faktycznie podczas negocjacji z Wydz. Kultury /6 VI/ porządek dzienny przygotowywanego zebrania.

13 VI 1983 r. o godzinie 15,30 wiceprezesowi A.Braunowi doręczono odpowiedź Wydz. Społeczno-Administracyjnego Urzędu m. W-wy na złożone odwołanie. Powtórna decyzja stwierdzała, że utrzymuje w mocy decyzję poprzednią i oddala jej zaskarżenie. Dyr. Wydziału J.Hordejuk podaje wprawdzie w dołączonym "Uzasadnieniu", iż nie twierdzono, że podany porządek dzienny jest uzgodniony z władzami ZLP, lecz że stanowi wyraz oczekiwania władzy rejestrującej, która ma prawo zgłaszać swoje oczekiwania co do przedmiotu zebrania, na jakie wyraża zgodę - nie mniej powtórna decyzja utrzymywała poprzednią w mocy w całej rozciągłości.

W tej sytuacji, uznając, że decyzja jest ważniejsza w znaczeniu prawnym od uzasadnienia, członkowie Prezydium Związku konsultowali się jeszcze z członkami Zarządu Głównego ZLP z poza Warszawy, czy możliwy jest ze względów techniczno-organizacyjnych ich udział w zebraniu, do terminu którego pozostawało 36 godzin. Koledzy z Gdańska, Poznania, Słupska i Krakowa stwierdzili, że jest to niemożliwe.

14 VI 1983 r. ukazało się w prasie wspomniane "Oświadczenie" J.J.Szczepańskiego w sprawie porządku dziennego zebrania Zarządu Głównego ZLP, opatrzone polemicznym komentarzem K.Molka, zarzucającym prezesowi zniekształcenie prawdy.

Wobec narzuconego przez władze porządku zebrania i postawienia członków Prezydium Zarządu Głównego ZLP przed twardym wymogiem terminu, który ze względów technicznych był nie do zrealizowania, a także wobec tego, że "zezwolenie" nie jest "nakazem", członkowie Prezydium postanowili zrezygnować z odbycia zebrania w dniu 15 VI 1983 r. Nie chciano bowiem, tak jak w rozmowach w Wydziale Kultury KC łamać statutu - tak teraz wykraczać poza otrzymane "zezwolenie" i łamać prawo, przeprowadzając zebranie o innym porządku dziennym. Okazało się ponadto, iż istnieją rozbieżności nie tylko w interpretacji "zezwolenia", ale i ustaleń podjętych na rozmowach w Wydziale Kultury KC, na które "zezwolenie" się powołuje.

Nasuwa się zatem pytanie: o co chodzi? Czy o załatwienie sprawy, o którą zabiegali przedstawiciele Zarządu Głównego ZLP od sześciu miesięcy, a którą podjęto w ostatniej chwili, zaskakując faktami dokonanymi i w niemożliwym do zrealizowania terminie - czy o efekt propagandowy, o komunikat?

Dalsze fakty i wzmożona kampania w prasie przeciw zawieszonemu Zarządowi Głównemu wskazują na to drugie.

14 VI 1983 r. złożono w imieniu prezesa list do Prezydenta m. Warszawy wyjaśniający, dlaczego zebranie w dniu 15 VI nie może się odbyć. Jednocześnie złożono nowy wniosek do Naczelnika Urzędu W-wa Śródmieście z prośbą o zgodę na odbycie zebrania Zarządu Głównego ZLP w nowym terminie /po wyjeździe Papieża/ 24 VI 1983 r., z podanym już przez prezesa w oświadczeniu prasowym, uzgodnionym porządkiem dziennym.

17 VI 1983 r. wezwano wiceprezesa A.Brauna do Urzędu m. W-wy, gdzie dyr. J.Hordejuk wręczył mu odpowiedź pisemną odmawiającą zgody na odbycie zebrania w jakimkolwiek nowym terminie.

Na 30 VI 1983 r. - w związku z ustawowym terminem decyzji co do zawieszonych dotąd stowarzyszeń - przedstawiciele Prezydium Zarządu Głównego zawieszonego ZLP zaproszeni zostali na godz. 13 do Wydziału Kultury KC, i tegoż dnia na godz. 16 wezwani do Urzędu m. W-wy. Wynikało z tego, że wręczona zostanie decyzja odnośnie reaktywowania bądź rozwiązania ZLP, ale bezpośrednio przedtem odbędą się jeszcze rozmowy. Wobec tego w przeddzień, dn. 29 VI 1983 r. prezes Szczepański i dwaj wiceprezesi A.Braun i T.Drewnowski skierowali list do Premiera Jaruzelskiego następującej treści: "W przeddzień ostatecznej decyzji dotyczącej dalszych losów Związku Literatów Polskich, w imieniu zawieszonego Prezydium tej organizacji oświadczamy co następuje:

1/ Cały przebieg negocjacji o reaktywowanie ZLP nacechowany był stylem politycznej rozgrywki w najgorszym znaczeniu tego określenia. Wśród metod, jakimi się posługiwano w celu zdyskredytowania władz Związku, nie zabrakło fałszerstwa listu Prezesa, kampanii pomówień i oszczerstw /sprawa lektur szkolnych/, prób zastraszenia oraz przeinaczania uzgodnień, do jakich doszły obie strony. Uważamy, że sprawy literatury polskiej mają wymiar i wagę wykluczające takie postępowanie. Z całą stanowczością odmawiamy prowadzenia tego rodzaju gry.

2/ Równocześnie oświadczamy, że zgodnie z wyrażanymi wielokrotnie poglądami, stoimy na stanowisku Konstytucji PRL, porozumienia narodowego, uczciwego dialogu mającego na celu dobro kultury polskiej i zgodę społeczną, że chcemy współtworzyć model kultury, który nie stwarza okoliczności skłaniających twórców do szukania innego forum wypowiedzi niż naturalne forum krajowe. Kultury zachowującej wszystkie wartości najlepszych naszych tradycji i odpowiadającej potrzebom dzisiejszego społeczeństwa w konkretnych warunkach jego egzystencji. Uważamy, że literatura działa na fali dłuższej niż doraźne sytuacje polityczne i jesteśmy świadomi odpowiedzialności, jaka z tego tytułu na nas ciąży.

Prosimy o wzięcie tych okoliczności pod uwagę przy podejmowaniu decyzji, której znaczenie wykracza daleko poza sprawy organizacyjno-zawodowe".

30 VI 1983 r. o godz. 13 "negocjatorzy" Prezydium zawieszonego ZLP odbyli rozmowy z Sekretarzem W.Świrgoniem i kier. Wydz. KC W.Nawrockim. W rozmowach tych, trwających 5 godzin, przedstawiciele KC, nawiązując do wspomnianego listu złożonego poprzedniego dnia u Premiera, uzależnili decyzję co do losów Związku od pisemnej deklaracji, w której, obok ogólnych stwierdzeń politycznych, miało się znaleźć potępienie pisarzy polskich publikujących swoje utwory w kilku wydawnictwach zagranicznych /m.in. w "Instytucie Literackim" w Paryżu, w wyd. Pallotynów i in./, w wydawnictwach "drugiego obiegu" w kraju, oraz współpracujących z "ośrodkami dywersyjnymi" jak też stwierdzenie, że przynależność tych pisarzy do ZLP jest niemożliwa. Deklarację tę złożyć mieli obecni "negocjatorzy" z ramienia Prezydium ZLP /Szczepański, Braun, Prorok, Drewnowski i Grześczak/ imiennie, "jako osoby fizyczne". Przedstawiciele Prezydium zawieszonego Zarządu Głównego ZLP "jako osoby fizyczne" nie mogli złożyć takiego oświadczenia w swoim imieniu; oznaczałoby ono bowiem "czystkę" w

ZLP i rozbicie Związku /przed czym bronił się skutecznie w przeszłości zmarły prezes Jarosław Iwaszkiewicz/. Uchwały takie może podjąć Zjazd, po odpowiednich zmianach statutowych, ewent. jako sprawy członkowskie - Sąd Koleżeński, w indywidualnych, konkretnych przypadkach, po uruchomieniu Związku. "Negocjatorzy" Prezydium nie mieli uprawnień do składania takich deklaracji, a jako oświadczenie osobiste nie miałoby ono znaczenia, poza aspektem propagandowym. Członkowie Zarządu Głównego, zgodnie ze statutem i posiadanym mandatem, stali zawsze na gruncie jedności Związku. Rozmowy zatem nie doprowadziły do porozumienia.

30 VI 1983 r., po dwukrotnym przesunięciu godziny stawienia się w Urzędzie m. W-wy, o godz. 20 przedstawiciele Prezydium zawieszonego ZLP usłyszeli od wiceprezydenta Szymborskiego, że zgodnie z terminem ustawy sejmowej powinna zapaść decyzja dotycząca ZLP i w związku z tym, w oparciu o paragraf 16 Ustawy o Stowarzyszeniach, przedłuża się stan zawieszenia ZLP o dalsze dwa miesiące - oraz otrzymali pisemną decyzję, stwierdzającą, że "postawa niektórych członków kierownictwa Zarządu Głównego zawieszonego Związku Literatów Polskich w prowadzonych ostatnio rozmowach w sprawie stworzenie warunków dla wznowienia normalnej działalności organizacji pisarzy polskich uniemożliwiła osiągnięcie porozumienia w zasadniczych sprawach przyszłości ZLP i tym samym zadośćuczynienia powszechnie wyrażanej opinii środowiska literackiego o potrzebie wznowienia działalności ZLP". Przedłużenie zawieszenia ZLP ma umożliwić prowadzenie dalszych konsultacji w środowisku literackim. W prasowym komunikacie PAP-u w dniu następnym jako powód podano "nieustępliwe i sprzeczne z interesami środowiska literackiego stanowisko części kierownictwa Zarządu Głównego".

W sytuacji dalszego zawieszenia Związku dn. 7 VII 1983 r. prezes J.J. Szczepański skierował do Naczelnika Dzielnicy Śródmieście m. Warszawy nowy wniosek o zezwolenie na odbycie plenarnego zebrania Zarządu Głównego ZLP w składzie przewidzianym w statucie, w dniu 23 VII 1983 r. z "programem obejmującym zagadnienia omawiane podczas rozmów przedstawicieli Zarządu Głównego w Komitecie Centralnym PZPR". 8 VII 1983 r. władze miejskie poprosiły dodatkowo o podanie porządku dziennego proponowanego zebrania. Złożono go, jako aneks do wniosku, 12 VI 1983 r. w nieco rozszerzonej wersji, tzn. obejmował wszystkie tematy uzgodnione.

19 VII 1983 r. Wydz. Społeczno-Administracyjny Urzędu m. W-wy przekazał pisemną odmowę na udzielenie zezwolenia, podając, że porządek proponowanego zebrania nie uwzględnia postulatów władz z dn. 8 VI 1983 r.

Od tej pory nie było żadnych dalszych konsultacji z władzami zawieszonego Związku.

W dniu 19 VIII 1983 r. przedstawiciele zawieszonego Zarządu Głównego ZLP otrzymali w Urzędzie m. Warszawy pisemną decyzję Prezydenta Miasta o rozwiązaniu Związku Literatów Polskich.

III

W konkluzji oświadczamy:

Utrzymanie w mocy decyzji o likwidacji Związku Literatów Polskich będzie wielką i trudną do naprawienia krzywdą, wyrządzoną już nie tylko środowisku literackiemu, lecz całemu polskiemu społeczeństwu, a w perspektywie historycznej - polskiej kulturze.

Związek ten, założony w roku 1920 przy współudziale Stefana Żeromskiego, przechodził w ciągu sześćdziesięciu trzech lat swojego istnienia różne koleje losu i stawał w obliczu ciężkich prób. Jest on własnością pokoleń. Jeśli zdobył w społeczeństwie niezaprzeczalny autorytet moralny, to dzięki temu, że zawsze świadom znaczenia, jakie dla suwerenności narodu i jego poczucia toż-

samości posiada kultura, umiał przeciwstawiać się koniunkturalnym wymaganiom doraźnej polityki. Stanowisko pisarzy wobec procesów brzeskich, ich solidarną postawa podczas okupacji, ich stałe dążenie do zachowania jedności literatury polskiej w okresach spowodowanych sytuacją polityczną podziałów, stanowią kapitał moralny, bezcenny dla przyszłych pokoleń Polaków. Ten moralny dorobek Związku stanowi swoisty fenomen nie tylko w skali naszego kraju, poddanego tylu dramatycznym próbom - kraju, gdzie ciągłość instytucji życia publicznego jest nieustannie zrywana, lecz w skali europejskiej - zarówno ze względu na długotrwałość tradycji, jak i konsekwencję komunistycznej postawy.

Tak gwałtownie atakowany obecnie Zarząd Główny ZLP, wybrany jako reprezentacja środowiska w tajnych, demokratycznych wyborach w roku 1980, starał się dochować wierności wspomnianej tu tradycji, przede wszystkim zaś doprowadzić do integracji środowiska, usunięcia wzajemnych uraz oraz wyrównania krzywd, jakie odziedziczyliśmy po latach minionych. Wszystkie uchwały i oświadczenia publiczne podjęte przez ten Zarząd w okresie, gdy mógł działać normalnie, miały na celu porozumienie narodowe, ogólne dobro kultury polskiej oraz obronę niezależności zawodu pisarza.

Stawiane nam zarzuty działalności antypaństwowej nie znajdują żadnego potwierdzenia w dokumentach i działalności publicznej Związku. Jako organizacja, korzystająca w znacznej mierze z mecenatu państwa, staliśmy zawsze na gruncie konstytucji tego państwa i przestrzegaliśmy obowiązujących w nim praw. Jeśli postawy i wypowiedzi niektórych członków Związku kwalifikowane są jako niezgodne z obowiązującą doktryną ustrojową, należy wziąć pod uwagę specyfikę zawodu pisarza, dla którego konformizm przekonań i postaw jest równoznaczny ze sprzeniewierzeniem się powołaniu. Nie ma to jednak nic wspólnego z organizacyjną działalnością Związku. Kontrowersje światopoglądowe oraz ścieranie się różnych stanowisk stanowią nieodzowny mechanizm wszelkiego postępu, toteż w dziedzinie twórczości są ryzykiem, którego żadna światła władza nie powinna się wyrzekać.

Mimo to przedstawiciele Prezydium Zarządu Głównego ZLP, zdając sobie sprawę z zagrożeń, jakie niesie obecna sytuacja, gotowi byli na daleko idące kompromisy z władzą dla ocalenia Związku - o czym świadczą fakty przytoczone w załączonej dokumentacji. Nieprzekraczalną barierę tych kompromisów stanowił jednak statut Związku, do którego przestrzegania zostali powołani. W toku wielomiesięcznych pertraktacji o reaktywowanie Związku, nieustannie usiłowano nakłonić nas do łamania owego statutu. Efektowna formuła, że statut organizacji nie może stać ponad prawem państwowym jest czczą demagogią, statut bowiem stanowi integralną część tego prawa.

Dziś, kiedy decyzja o rozwiązaniu ZLP już została sformułowana, musimy - niestety - dojść do wniosku, że istotną jej przesłanką jest polityka likwidacji wszelkich niezależnych ośrodków twórczości, czego dowodzą losy pozostałych stowarzyszeń twórczych.

Prosimy więc, przed ostatecznym jej zatwierdzeniem, o poważne rozważenie naszego oświadczenia i towarzyszącej mu dokumentacji działań Zarządu Głównego ZLP do chwili jego zawieszenia - z pełną świadomością odpowiedzialności historycznej, jaka obciąży tych, którzy sprawę Związku Literatów Polskich skłonni są rozpatrywać jedynie w kategoriach chwilowej, politycznej korzyści.

Podpisali:

Jan Józef Szczepański
Andrzej Braun
Jerzy S.Sito
Leszek Prorok
Zbigniew Kubikowski
Kazimierz Dziewanowski
Andrzej Jarecki
Anna Trzeciakowska
Marian Grześczak
Władysław L.Terlecki
Marek Nowakowski
Julia Hartwig
Paweł Hertz
Andrzej Kijowski

Urz. M. Stoł. W-wy
Wydz. Spraw Społ. Admin.
S.A. III - 6015/1o6/83

Warszawa, dnia 19 sierpnia 1983

Decyzja

Na podstawie art. 15 ust. 1 ustawy z dnia 21 lipca 1983 r. o szczególnej regulacji prawnej w okresie przezwyciężania kryzysu społeczno-ekonomicznego oraz o zmianie niektórych ustaw /Dz. U. nr 39 poz. 176/

r o z w i ą z u j ę

z dniem 19 sierpnia 1983 Zarząd Polskiego Klubu Literackiego "PEN".

Jednocześnie do czasu wyznaczenia Zarządu tymczasowego jego funkcje będzie pełnić ustanowiony decyzją prezydenta miasta stoł. W-wy z dnia 30 czerwca 1983 r nr S.A. III-6015/76a/83 kurator zawieszonego stowarzyszenia p.n. Polski Klub Literacki "PEN" Ob. Kazimierz Kochański.

Decyzji niniejszej nadaje się na podstawie art. 108 par. 1 K.P.A. rygor natychmiastowej wykonalności, ponieważ jest to niezbędne ze względu na ważny interes społeczny.

U z a s a d n i e n i e

Polski Klub Literacki PEN od dłuższego czasu stanowi płaszczyznę antysocjalistycznej działalności politycznej. Było to główną przyczyną zawieszenia działalności PEN przez władze w grudniu 1981.

Obecny zarząd PEN nie podjął żadnych wysiłków, aby odciąć się od ludzi prowadzących walkę z ustrojem i z władzami PRL. W jego składzie dominującą pozycję posiadają działacze i sympatycy opozycji, dlatego też istnieje realne niebezpieczeństwo dalszego wykorzystywania tej ważnej dla kultury polskiej organizacji do działalności antysocjalistycznej i antypaństwowej.

W tej sytuacji postanowiłem jak w sentencji.

Od decyzji niniejszej służy prawo wniesienia odwołania do Ministra Spraw Wewnętrznych za moim pośrednictwem w terminie 14 dni od jej doręczenia.

z up. Prezydenta Miasta
mgr Jan Hordejuk /dyrektor Wydziału/

Otrzymują:

Ob. J.Żuławski - Prezes b. Zarządu PKL "PEN"
Ob. Kazimierz Kochański Kurator zawieszonego PKL "PEN"
Minister Kultury i Sztuki Gabinet Ministra
Min. Spraw Wewnętrznych Dep. Społ. Admin.
WSSA - a/a

Warszawa, dnia 31 sierpnia 1983 r.

Pan
Minister Spraw Wewnętrznych
Gen. Czesław Kiszczak

za pośrednictwem
Prezydenta Miasta Stoł. Warszawy

O D W O Ł A N I E

Odwołujemy się od decyzji Prezydenta M. St. Warszawy z dnia 19 sierpnia 1983 r. /SA. III-6015/106/83/ rozwiązującej Zarząd Polskiego Klubu Literackiego PEN, ponieważ narusza ona art. 15 ust. I ustawy z dnia 21 lipca 1983 o szczególnej regulacji prawnej w okresie przezwyciężania kryzysu społeczno-ekonomicznego oraz o zmianie niektórych ustaw /Dz. U. nr 39, poz. 176/ i jest bezzasadna.

U z a s a d n i e n i e

1. W dniu 19 sierpnia 1983 Prezesowi Zarządu Polskiego Klubu Literackiego PEN doręczona została decyzja o rozwiązaniu Zarządu Polskiego Klubu Literackiego PEN wydana z upoważnienia Prezydenta M.St. Warszawy na podstawie art. 15 ust. I ustawy z dnia 21 lipca 1983 o szczególnej regulacji prawnej w okresie przezwyciężania kryzysu społeczno-ekonomicznego oraz o zmianie niektóryoh ustaw /Dz. U. nr 39, poz. 176/. Zarówno sentencja jak i stanowiące część decyzji uzasadnienie nie zawierają zarzutów naruszenia przez Klub względnie przez jego Zarząd przepisów prawa lub statutu, co zgodnie z powołaną ustawą może wyłącznie stanowić przyczynę rozwiązania Zarządu. Wobec nieudowodnienia prawdziwości takich zarzutów, a nawet niemożliwości ich sformułowania, przedmiotowa decyzja jest bezprawna i jako taka winna podlegać uchyleniu.

2. Zawarte w uzasadnieniu decyzji zarzuty składają się z ocen politycznych, stwierdzeń rozmijających się z faktycznym stanem rzeczy oraz pomówień.

Polski Klub Literacki PEN nigdy nie stanowił płaszczyzny działalności politycznej, w tym także działalności antysocjalistycznej.

Polski Klub Literacki PEN opiera swą działalność na założeniach sformułowanych w Karcie Międzynarodowej PEN. W 59-letniej historii naszego stowarzyszenia działalność ta nigdy nie spotkała się ze strony władz z zarzutem, iż godzi ona w ustrój polityczny lub społeczny.

Potwierdzenie, że działalność Polskiego Klubu Literackiego PEN mieściła się w ramach statutowych zawarte jest w dokumentach naszego stowarzyszenia.

W związku z zawartym w uzasadnieniu decyzji stwierdzeniem, że "obecny Zarząd PEN nie podjął żadnych wysiłków, aby odciąć się od ludzi prowadzących walkę z ustrojem i władzami PRL" i że "w jego składzie dominującą pozycję posiadają działacze i sympatycy opozycji", czujemy się w obowiązku zwrócić uwagę na fakt, że żaden z członków Zarządu nie został w okresie sprawowania swoich funkcji w Zarządzie skazany prawomocnym wyrokiem sądu za działalność polityczną sprzeczną z obowiązującym w Polsce prawem.

Zarząd PEN nie jest organizacją polityczną i nie czuje się władny osądzać czyjekolwiek poglądy.

3. Obok przedstawienia argumentów wykazujących niezgodność z prawem przedmiotowej decyzji, pozwalamy sobie wskazać na negatywne konsekwencje,

które, jak mozna przewidywać, spowodowałoby utrzymanie jej w mocy.

W blisko sześćdziesięcioletnim okresie swego istnienia Polski Klub Literacki PEN zyskał poważny autorytet nie tylko w życiu kulturalnym naszego kraju, ale również w międzynarodowej społeczności literackiej. Autorytet ten, na forum Międzynarodowej Federacji PEN i wśród środowisk pisarskich, wydatnie przyczyniał się do obecności kultury polskiej w świecie. W rezultacie ingerencji ze strony władz administracyjnych w samorządność naszego stowarzyszenia obecność ta doznać może poważnej szkody.

Podpisali:

Juliusz Żuławski
Artur Międzyrzecki
Jerzy Zagórski
Leszek Prorok
Andrzej Braun
Paweł Hertz
Seweryn Pollak
Zygmunt Kubiak
Marian Brandys
Jerzy Ficowski

Warszawa, 31 sierpnia 1983 r.

O Ś W I A D C Z E N I E

Wnosząc formalne odwołanie od decyzji Prezydenta M.St. Warszawy rozwiązującej nasz Zarząd z dniem 19 sierpnia 1983 roku, pragnęlibyśmy jednocześnie uzupełnić je następującym oświadczeniem:

Zarząd Polskiego PEN Clubu przez cały okres swojej działalności uważał za wiążącą dla siebie sześćdziesięcioletnią tradycję, której uosobieniem są postawa i dzieło założyciela naszego centrum, Stefana Żeromskiego, tego - jak go określano - sumienia pisarstwa polskiego.

Utwierdzały nas w tak pojmowanej działalności dowody społecznego szacunku, jaki otacza nasze stowarzyszenie w kraju i autorytet, jakim cieszy się ono na forum międzynarodowym.

Zarząd Polskiego PEN Clubu przez cały okres swojej działalności i z powszechnie znaną skrupulatnością przestrzegał ducha i litery Karty Międzynarodowej PEN oraz norm postępowania przewidzianych przez swój statut.

Polski PEN Club i jego zarząd kierowały się zawsze zasadami tolerancji, zgodnie ze swoim statutem ograniczały się do dziedzin kultury i piśmiennictwa, z reguły unikały jakichkolwiek pochopnych kroków czy też gestów jątrzących, albo mogących za takie uchodzić.

Ciężkie zarzuty zawarte w decyzji z 19 sierpnia tym bardziej zaskakują nas swoją treścią i formą.

Zaskakujące jest samo stwierdzenie, że "Polski Klub Literacki PEN od dłuższego czasu stanowi płaszczyznę antysocjalistycznej działalności politycznej" i równie jest nieoczekiwane oznajmienie, że "było to główną przyczyną zawieszenia działalności PEN przez władze w grudniu 1981".

O tego rodzaju przyczynie dowiadujemy się po raz pierwszy. Nie było o niej mowy nigdy, nigdzie i w żadnej formie, nie wspomniano o niej ani razu w ciągu półtorarocznych naszych starań o wznowienie działalności, ani też wcześniej. Pismo z 16 grudnia 1981 zawiesiło działalność PEN powołując się jedynie na zarządzenia władz dotyczące wszystkich bez wyjątku stowarzyszeń artystycznych i naukowych.

Podobnie zaskakujące jest w tym świetle stwierdzenie, że "obecny Zarząd nie podjął żadnych wysiłków, aby odciąć się od ludzi prowadzących walkę z ustrojem i władzami PRL".

Formalnie rzecz ujmując, "obecny Zarząd" zawieszony był od grudnia 1981, nie wolno mu się było zbierać i zbiorowo "podejmować wysiłków" w jakiejkolwiek dziedzinie.

Co do meritum: nikt, nigdy, nigdzie, w żadnych okolicznościach i w żadnej formie nie wyraził dotychczas uzasadnionej opinii, że ktokolwiek, jako przedstawiciel PEN Clubu i jego Zarządu, prowadził jakąkolwiek działalność polityczną, a tym bardziej "walkę z ustrojem".

Jak już wspomnieliśmy, zarząd nasz nigdy nie wykraczał poza sprawy kultury i piśmiennictwa.

Zgodnie z Kartą Międzynarodową i statutem, żaden z członków PEN nie mógł też utożsamiać własnych opinii czy gustów literackich z opinią PEN jako instytucji.

Zarząd nasz wielokrotnie dawał wyraz temu stanowisku.

Stowarzyszenie jako całość reprezentuje wszystkie rodziny duchowe współtworzące kulturę narodową. Zarząd w całej swojej działalności powodował się faktem ich naturalnego współistnienia w ramach PEN dla dobra nadrzędnego, jakim jest zarówno autentyczność i rozwój kultury narodowej w całej jej różnorodności, jak znaczący udział naszego piśmiennictwa w międzynarodowym obiegu wartości kulturalnych.

Wszystkie wytoczone przeciw nam zarzuty, zakończone równie zaskakującą nas wzmianką o "realnym niebezpieczeństwie dalszego wykorzystywania tej wazne j dla kultury polskiej organizacji do działalności antysocjalistycznej i antypaństwowej", odczuwamy jako bezzasadne i rozmijające się z samym charakterem PEN w Polsce i na świecie.

Sformułowano je tak, jak gdyby Polski PEN Club był organizacją polityczną, czy też jak gdyby jego Zarząd na działalność polityczną przyzwalał.

W rzeczywistości, jeśli Polski PEN Club i jego Zarząd od czegoś stroniły, to właśnie od tego rodzaju działalności.

Było to rygorystycznie przestrzegane w teorii i w praktyce. Rodzaj interwencji podejmowanych przez PEN, zawsze odnoszących się wyłącznie do spraw i pracowników kultury, a także charakter zebrań literackich PEN i ich tematyka są tego świadectwem.

Stowarzyszeniu naszemu przyświecają ideały pokojowego współistnienia społeczeństw i różnorodnych wartości kultury, ideały wolności słowa, nieskrępowanego rozwoju piśmiennictwa, wzajemnej tolerancji. Zarząd nasz, wybrany przez pisarzy i uczonych będących członkami Polskiego PEN Clubu, uważanego nie bez podstaw za stowarzyszenie elity intelektualnej kraju, stosował się do tych założeń w najlepszej wierze.

Piszemy o tym świadomi dramatyzmu chwili, którą przeżywa Polski PEN Club i powodowani niepokojem o jego przyszłość.

Pragnęlibyśmy - i mamy nadzieję, że okaże się to możliwe - kontynuować działalność PEN w duchu zainicjowanym niegdyś przez Stefana Żeromskiego, z całą prawdomówną rozwagą i poczuciem odpowiedzialności, do których zachęca nas ta tradycja społecznej służby dla dobra kultury polskiej i jej obrazu w świecie.

Juliusz Żuławski
Artur Międzyrzecki
Jerzy Zagórski
Leszek Prorok
Andrzej Braun
Paweł Hertz
Seweryn Pollak
Zygmunt Kubiak
Marian Brandys
Jerzy Ficowski

Warszawa, 1 września 1983

Polska Agencja Prasowa PAP
Al. Jerozolimskie 7

Warszawa

19 sierpnia 1983 roku, decyzją Prezydenta M.St. Warszawy rozwiązany został Zarząd Polskiego PEN Clubu zawieszony od 16 grudnia 1981 r. W tym samym piśmie /SA III-6015-106/83/ powierzono funkcję rozwiązanego zarządu dotychczasowemu kuratorowi stowarzyszenia. Od decyzji tych przysługiwało prawo odwołania do Ministra Spraw Wewnętrznych w ciągu 14 dni, to jest do 2 września 1983 r. Zarząd wniósł dn. 1 września 1983 właściwe odwołanie, uważając decyzję z 19 sierpnia za bezzasadną.

PAP, prasa, radio i telewizja nie podały wiadomości o rozwiązaniu Zarządu Polskiego PEN Clubu dn. 19 sierpnia. Natomiast 30 i 31 sierpnia, to jest jeszcze przed upływem terminu odwołania, ogłosiły one noty oznajmiające, że "PEN Club wznowił statutową działalność" i że Prezydent M.St. Warszawy powołał zarząd tymczasowy stowarzyszenia.

W związku z faktem, że tego rodzaju informacja prasowa nie mogła zaznajomić czytelników i słuchaczy z rzeczywistym stanem rzeczy, zwracam się z prośbą o opublikowanie tego listu oraz towarzyszącego mu oświadczenia członków rozwiązanego Zarządu Polskiego PEN Clubu, które to oświadczenie uzupełniało formalne ich odwołanie od decyzji z 19 sierpnia.

Z poważaniem

Juliusz Żuławski

RAKOWSKI JAKO ARTYSTA

Mówi się o scenie politycznej i jej aktorach. Przenośnia uzasadniona, gdyż ludzie, którzy rozpoczynają działalność publiczną, na ogół świadomie przyjmują szczególny sposób zachowania, czy raczej szereg sposobów na różne okazje. Hitler pierwszy zasięgał w tej sprawie porady fachowej a od czasu kampanii przedwyborczej Kennedy'ego zespół ekspertów projektuje aktorskie elementy planowanych wystąpień publicznych.

Publiczne wystąpienia dygnitarzy, podobnie jak wszelkie publikowane wypowiedzi, stanowią u nas komunikaty propagandowe. Ich przedmiotem jest cała komunikowalna rzeczywistość, a celem stworzenie fikcyjnego świata, zgodnego z aktualną linią polityczną, która dla tej fikcji spełnia rolę konwencji artystycznej. Powiązanie go z rzeczywistością wymaga subtelnych zabiegów kompozycyjnych. Związki te nie mogą zostać całkowicie zerwane, gdyż świat stworzony byłby niezrozumiały, ale proste kłamstwa nie są głównym zabiegiem, ponieważ nie chodzi o przekonanie kogokolwiek - perswazja stanowi domenę wyspecjalizowanych organów. Najczęściej dokonuje się starannej selekcji elementów rzeczywistości doświadczalnej i modyfikuje stosunki między nimi z dbałością o korelację różnych komunikatów.

Celem tych zabiegów jest wyłącznie względna spoistość przedstawianego świata, jego przybliżona zawartość kompozycyjna, z grubsza logiczna konstrukcja i pewna wewnętrzna konsekwencja. Wiarygodność propagandy opiera się bowiem na apelowaniu nie do przekonań i doświadczeń odbiorcy /w takim wypadku niezbędne byłyby proste kłamstwa/ ale do właściwej ludzkiemu umysłowi potrzeby ujmowania świata w logicznych strukturach.

Jeżeli na przykład miał miejsce drastyczny wypadek wtargnięcia 269 szpiegów nad terytorium kraju, to prawidła kompozycyjne wymagają poprzedzenia go eskalacją analogicznych zdarzeń w tym rejonie. Przetworzenie rzeczywistości realizuje się na przykład w przemilczeniu, że loty zwiadowcze odbywają się regularnie - zawsze z poszanowaniem terenu chronionego - że poprzednie naruszenia przestrzeni powietrznej dotyczyły obszaru nad strefą połowów albo nad statkami na pełnym morzu, a efekt narastania uzyskano drogą selekcji: ujawnienia mniejszej ilości takich przypadków w pierwszych odcinkach wybranego okresu a większej w końcowych. Wiarygodność wynika tylko z wzrastającej częstotliwości prowokacji, znajdujących logiczną kulminację w końcowym dramatycznym zderzeniu. /Natomiast zbędne są informacje np. o wyłowieniu wśród szczątków sprzętu szpiegowskiego, o postrzeżonych faktach robienia przy fleszu zdjęć przez okienka./ Cała narracja nawiązuje do wcześniejszych komunikatów dokumentujących notoryczną bezczelność intruzów, własne niewzruszone opanowanie połączone z nieustępliwością itd.

Pojmowanie tego rodzaju tworów jako obrazu rzeczywistości nie tylko naraża na nieustanne frustracje, ale prowadzi nieuchronnie do tego samego jałowego wniosku: że jest to obraz fałszywy. Natomiast przeniesienie uwagi na sam komunikat, potraktowanie go jako dzieła fikcji, posłużenie się narzędziami krytyki artystycznej nie tylko pozwala zaznać satysfakcji płynącej z urozmaicenia czynności umysłowych, ale również otwiera pole do spostrzeżeń o wiele bogatszych. Rozpatrując na przykład zamierzenie autorskie, sposób jego realizacji, wewnętrzną konsekwencję, zharmonizowanie użytych środków, zwartość kompozycyjną, możemy smakować doskonałość utworu. Z kolei porównawcza analiza tych samych elementów w różnych komunikatach propagandowych pozwoli wyprowadzić hipotezy o obowiązującej konwencji i jej ewolucji, a zatem o zamysłach jej twórców. Przy tym można bezpiecznie zignorować kwestię skuteczności tych wszystkich zabiegów. Zależy ona bowiem od dwu, dotychczas nie spełnionych warunków: odizolowania odbiorców od świata nie objętego systemem propagandy

oraz powstrzymania niezależnego obiegu informacji - zarówno zorganizowanego jak i nieformalnego. Krótko mówiąc, zależy ona od przekształcenia społeczeństwa w masę. Idealny odbiorca, to człowiek dotknięty amnezją, który czerpie wiedzę o świecie wyłącznie z oficjalnych komunikatów a w prywatnych rozmowach posługuje się biurokratycznym bełkotem. Przekształcenie artystyczne nie jest przy tym równoznaczne z kodowaniem. Próba złamania szyfru i poznania rzeczywistości na podstawie jej obrazu propagandowego byłoby przedsięwzięciem równie beznadziejnym jak nauka historii wojny z Zakonem na podstawie obrazu Matejki czy powieści Sienkiewicza.

Przejdźmy wreszcie do analizy dzieła zapowiedzianego w tytule. Jego idealny odbiorca jeszcze przed rozpoczęciem percepcji musi czuć niepokój. Bohater ma oto zstąpić do jaskini bestii, w miejsce, gdzie narodziło się wszelkie zło. Okazała pozornie świta /Dyrektor, Sekretarz, dwu Ministrów - w tym jeden od świecenia ozołem/ będzie zupełnie niema. Wynika to z koncepcji roli. Audytorium jest z pewnością zupełnie przypadkowe: jakby trochę partyjnych, trochę bezpartyjnych, reszta nijakich /może ORMO?/. Siedzą cicho, uważają. No i ci, drobna garstka, awanturnicy, ci którzy... itd. Od razu można ich rozpoznać. Ugrupowali się w kącie sali, wyizolowani, widoczni jako tłum, bez twarzy. Ordynarne jątrzące okrzyki, gwizdy. Jest i Przeciwnik. Siedzi w tłoku, tłusty i spocony, wachluje się nerwowo. Widziany z daleka, trochę z ukosa, wygląda jak osaczony dzik.

Takie ugrupowanie statystów tworzy znakomite tło dla Bohatera. Praca kamery maksymalnie eksponuje jego walory: przystojny, choć nie w typie czułego amanta, szeroka, szczera twarz, dobrze zbudowany choć nie zwalisty, energiczne, zdecydowane ruchy. Męski. Drobna wada wymowy niejako zbliża go do odbiorcy. Koetium również. Od początku konsekwentnie realizuje swoją zapowiedź: przyjechał porozmawiać, stara się zatem łapczywie usłyszeć i zrozumieć każdą uwagę, nawet słabo artykułowaną, każdy okrzyk, nawet obelżywy. Co chwila przerywa w tym celu przygotowaną wcześniej wypowiedź, która sztywno realizuje znaną od roku konwencję. /Można by ją nazwać konwencją brutalnej szczerości./ Reaguje gwałtownie ale zawsze z powagą i ogładą, na krok nie odstępując od przyjętej linii. Błyskawicznie odpiera napaści i natychmiast przechodzi do ataku /"To wyście uśmiercili ten Związek - nie my!"/ Usprawiedliwiony gorącą atmosferą przytomnie ignoruje kłopotliwe kwestie, natomiast podchwytuje i wykorzystuje impulsywne wypowiedzi przeciwników, dobitnie charakteryzując ich niskie metody.

Jest to rzeczywiście dialog, ale jakże nierówny. Z jednej strony nieodpowiedzialna, bezkarna i agresywna zgraja a z drugiej mąż stanu, który musi ważyć każde słowo. /Na szczęście wyeliminowano złośliwych zagranicznych korespondentów./ Nie wykorzystuje przewagi, jaką mu daje jego stanowisko. /"Ja też bym krówki pasał"./ Jeżeli o czymś przypomina, to o swoich kwalifikacjach naukowych. Zapominamy niemal, że to dziennikarz światowej sławy, dygnitarz najwyższego szczebla, członek szczupłego gremium, które z własnej inicjatywy, bez społecznego poparcia przyjęło odpowiedzialność za rządy krajem. Walczy sam, z pełnym zaangażowaniem, z niepożytą energią, daje siebie całego. Zafascynowani wchłaniamy tę porywającą osobowość. Ordynarną napaść osobistą przyjmuje z godnością i bólem. Może wtedy jest nam najbliższy. Taki ludzki.

Wypowiedź Przeciwnika jest żałosna. Mówi napiętym, chrapliwym głosem. Gubi się i plącze. Nie potrafi poprawnie odczytać tekstu. Daleko mu do przebojowości i swady górującego nad salą Bohatera. Nawet nie argumentuje a tylko gołosłownie zaprzecza. Jak postać z innego filmu, filmu, który już dawno zszedł z ekranów, proponuje jakieś rozmowy. Jak gdyby nie wiedział, że rozmowa właśnie się odbywa. Rozmowa, w której z góry przewidziano zwycięzcę i zwyciężonego, której warunkiem jest to przewidywanie. Innej nie będzie. Innej być nie może.

Powoli audytorium się uspokaja. Ścieżka dźwiękowa zamiast gwizdów podaje

coraz śmielsze oklaski na znak, że dotychczas nijaka większość zostaje porwana celniejszymi sformułowaniami Bohatera. Ten nie daje się ponieść euforii. Ze współczuciem i niemal zrozumieniem zwraca się do Przeciwnika, którego błędy i dwulicowość poprzednio udowodnił. Po ojcowsku traktuje rozgromionych awanturników. Pojednawczo zwraca im uwagę na konieczność tolerancji. Sam daje przykład skromności, dziękując na koniec za wypowiedzi, za naukę, jaką stąd wyniósł. Wychodzi zmęczony lecz silny, do dalszej pracy dla dobra nas wszystkich.

Najbardziej krytyczny obserwator mógłby się dopatrzeć co najwyżej nieznacznych skaz na tym dziele. Może pewną przesadą było umieszczenie Przeciwnika w obojętnym otoczeniu, skoro miał tylu zwolenników. Trzeba się było zabezpieczyć na wypadek, gdyby zastosował się do konwencji i odpowiedział brutalną szczerością. Pozostawienie na ścieżce dźwiękowej przejawów ogólnej wesołości przy prezentacji rzecznika rządu nie było chyba przeoczeniem a drobną złośliwością ze strony autorów pod adresem dawnego kolegi-dziennikarza. Brak może syntetyzującej wypowiedzi prostego robotnika na zakonczenie. Poważnym błędem jest niedostateczna korelacja z poprzednimi komunikatami. Wersja radiowa i prasowa różniły się od filmowej. Pośpiech nie jest tu usprawiedliwieniem. Z uznaniem należy jednak podnieść błyskawiczne tempo obróbki materiału: cztery doby na cały montaż, cięcia, podłożenie dźwięku, na kolaudację, dalszą kosmetykę itd.

Zgodnie z koncepcją autorów główna zasługa w sukcesie spektaklu przypada Bohaterowi. I tu pojawia się pewien niepokój co do dalszego twórczego rozwoju artysty kreującego tę rolę. Stawia sobie coraz to ambitniejsze zadania i odnosi niewątpliwe triumfy, ale porwany pasją artystyczną gwałci konwencję rygorystycznie obowiązującą przywódców. Przewiduje ona ascetyczną powściągliwość realizacji aktorskiej. "Swoim chłopem" wolno być tylko w bardzo wąskich granicach. Na ich przekroczenie mógłby sobie pozwolić rzecznik prasowy ale nie wicepremier. Są wprawdzie precedensy jednakże dość złowróżbne /Chruszczow, Moczar/. Siła ekspresji na ogół gubiła przywódców. Czasy się wprawdzie zmieniły ale czy aż tak bardzo?

Dotychczasowa historia gatunku również nie pozwala na pomyślne rokowania dla autorów. Świadome posłużenie się bogatymi środkami reportażu telewizyjnego zainicjowane w 1968 roku, kiedy do obrazów przedstawiających wiece z przemówieniami antysemickimi podkładano dźwięk ze stadionów sportowych. Osiągnięto niewątpliwy sukces artystyczny, jednakże już chyba wtedy zapadł polityczny wyrok na zuchwałych nowatorów.

+ + + + + + +

KRONIKA

19 SIERPNIA 1983 Prezydent m. stołecznego Warszawy podjął decyzję o rozwiązaniu Związku Literatów Polskich. W ten sposób ostatni posierpniowy ośrodek niezależnej myśli podzielił los poprzednio rozwiązanych: SDP, ZASP-u i ZPAP-u. Decyzję z 19 sierpnia poprzedziła napastliwa kampania prasowa, której punktem szczytowym był opublikowany na łamach "Trybuny Ludu" pod pseudonimem M.Kowalski artykuł kierownika Wydziału Kultury KC, Witolda Nawrockiego. W kampanii tej skrajnymi ekstremistami zostali ogłoszeni nawet "umiarkowani", znani z postawy mediacyjnej członkowie ZG ZLP, w tym członkowie PZPR: Tadeusz Drewnowski i Marian Grześczak /który zresztą, wkrótce potem został, na wniosek organizacji partyjnej warszawskich literatów, usunięty z partii/. Od decyzji Prezydenta Warszawy ZG ZLP odwołał się do ministra spraw wewnętrznych, gen. Kiszczaka. Jak należało przypuszczać, odwołanie zostało oddalone z następującą motywacją: "W swej działalności po sierpniu 1980 ZLP dopuścił się naruszenia przepisów prawa oraz statutu związku. Rozpoczęto działalność wymierzoną w swej istocie w strukturę socjalistycznego państwa /.../ dlatego decyzja jest ostateczna". Decyzję tę skomentował w kilka dni później ponownie Witold Nawrocki. Oskarżając ZG ZLP o "odrzucenie kompromisu", nacjonalizm, antyrosyjskość, antyradzieckość, religianctwo, sojusz z Giedroyciem, eliminowanie książek lewicowych autorów z programów lektur szkolnych, stwierdził on w konkluzji: "rozwiązanie ZLP nie stanowi ciosu w całość i jedność kultury polskiej, lecz przeciwnie, decyzja rozwiązania dotyka tego, co chore i szkodliwe. Rozwiązaniu towarzyszy szeroko wspierana inicjatywa odrodzenia organizacji pisarskiej w nowym kształcie".

ISTOTNIE, JUŻ NAZAJUTRZ po ogłoszeniu decyzji o rozwiązaniu ZLP, w warszawskim Klubie Księgarza zebrała się grupa pisarzy, którzy postanowili utworzyć grupę inicjatywną nowej organizacji pisarskiej. Nad świeżym jeszcze grobem ZLP zebrali się przede wszystkim literaci, znani ze swoich popierających władze wojskowe wystąpień w stanie wojennym. m.in. Bratny, Sandauer, Auderska, Przymanowski, Lenart, Buczkowski, Koźniewski. Znalazło się także wiele nazwisk pisarzy zapoznanych, których nazwiska nie mówią kompletnie nic nawet krtykom literackim. W ciągu następnych tygodni, do czasu powołania Komitetu Założycielskiego nowego ZLP, prasa publikowała nazwiska następnych literatów, popierających nową organizację: również i wśród nich nie było niespodzianek, za to okrutną rozrywką środowiskową stało się zbiorowe dociekanie na temat twórczości Banaszczyka, Jaglarza, Liwor-Piotrowskiego i dziesiątków innych. Stosowano przy układaniu tych list niebywały proceder: niektórzy pisarze zostali wpisani na listę popierających bez swojej wiedzy, zaś nadsyłane przez nich sprostowania z trudem docierały do gazet /poza "Tygodnikiem Powszechnym"/. Wiedomo, że właśnie w ten sposób na listę dostały się nazwiska Lecha Budreckiego, Stanisława Burego, Jana Nagrabieckiego, Marka Sołtysika /tego ostatniego - bez jego wiedzy - osobiście wpisał na listę naczelny "Życia Literackiego", w którym Sołtysik pracuje, Władysław Machejek/. Dlatego należy chyba - do ostatecznego uformowania się nowego ZLP - zaczekać z pochopnym osądzaniem osób, które "poparły" organizację /pomijając tych, którzy jak np. Auderska, Bratny, Harasymowicz czy Koźniewski, publicznie dali temu wyraz/.

WKRÓTCE PO ROZWIĄZANIU ZLP, prawie bez rozgłosu, korzystając z prerogatyw, uchwalonych dla władz "na okres wychodzenia kraju z kryzysu" rozwiązano zarząd polskiej sekcji PEN-Clubu /międzynarodowej organizacji pisarskiej/. Na to miejsce powołano zarząd komisaryczny, który jednak działa... w podziemiu - nigdzie bowiem nie podano, kto wchodzi w jego skład. Dobrze poinformowani twierdzą, że na czele zarządu komisarycznego stanął Michał Rusinek.

BYĆ MOŻE JEDNAK jest to tylko złośliwa plotka, pod adresem pisarza, który za-

służył się w tym samym czasie ideą, kandydującą do miana najbardziej idiotycznego pomysłu roku. Zaapelował on mianowicie przed kamerami TV o reaktywowanie istniejącej przed wojną Polskiej Akademii Literatury. Czekamy na pierwsze kandydatury. Kilka miejsc jest już zarezerwowanych dla Lenarta, Kozniewskiego, Wasilewskiego, Bratnego, Auderskiej i Dobrowolskiego; prezesem należy wybrać samego pomysłodawcę. Ale kto dalej: Kuriata? Narasymowicz? Jaglarz? A może któryś z krytyków? Czy nie Tadeusz J.Zółciński?

A PROPOS LENARTA. Podobno, zapisujący się do nowego związku /w chwili, gdy piszemy te słowa istnieje na razie Komitet Założycielski/ są odsyłani właśnie do osławionego sekretarza warszawskiej POP pisarzy, który osobiście decyduje o przyjęciu nowych kandydatów.

TYMCZASEM TWÓRCY KULTURY polskiej spotkali się na poligonie z żołnierzami. Odbyło się to spotkanie podczas manewrów "Szafir '83". Jak zwykle, spotkanie z wojskiem, zaowocowało u artystów kilkoma odkrywczymi refleksjami. Henryk Debich: "wojsko to jest mocna rzecz"; Aleksander Minkowski - "ci chłopcy warci są najlepszej prozy, wierzę, że także i dzisiejsza wizyta na poligonie zaowocuje kolejnymi utworami. Winniśmy to im, żołnierzom". Czekamy z zainteresowaniem na nową książkę autora pamiętnego G r u b e g o. A skądinąd przypomina nam się klasyczny dyptyk rysunkowy Andrzeja Krauzego, przedstawiający najpierw "ludzi pióra bliżej ludzi pracy" /wycieczka pisarzy do fabryki/, a na drugim rysunku - "ludzi pracy bliżej ludzi pióra" /grupa robotników, zaglądających "tworzącemu" przez ramię/. Ciekawie by wyglądało, gdyby żołnierze zaczęli składać rewizyty pisarzom, w pełnym uzbrojeniu?

SEJM UCHWALIŁ poprawki do uchwalonej "pod naciskiem sił anarchii" w 1981 roku Ustawy o Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Przywracają one cenzurze odebrane jej wówczas prerogatywy. Dodatki sankcjonują całkowitą dowolność działania GUKPPiW, a także np. kontrolę wstępną prac naukowych. Objęto ustawą ponownie wystawy fotograficzne oraz wydawnictwa związkowe. W kompetencji Ministra Szkolnictwa Wyższego, Ministra Kultury i Sztuki oraz Sekretarza Naukowego PAN znalazło się ustalenie wykazu uprawnionych do korzystania z prohibitów.

W DNIACH 12 i 13 września odbył się w Warszawie ogólnopolski Zjazd Delegatów Oddziałów Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, organizacji istniejącej blisko 100 lat a skupiającej miłośników literatury, głównie polonistów /nauczycieli, pracowników naukowych, bibliotekarzy/. Zjazd wybrał nowy Zarząd Główny, na którego czele stanął prof. dr. Zdzisław Libera. Poza wielu wnioskami dotyczącymi całokształtu życia polonistycznego Zjazd uchwalił protesty przeciwko rozwiązaniu Związku Literatów Polskich oraz Zarządu polskiego oddziału PEN-Clubu, przeciwko szykanom wobec niektórych nauczycieli polonistów, przeciwko wprowadzonym ostatnio przez władze oświatowe ograniczeniom w spisie lektur szkolnych.

24 WRZEŚNIA RADA MINISTRÓW obradowała nad projektem ustawy o upowszechnianiu kultury. W obradach brali udział przedstawiciele "środowisk twórczych" - np. niejaki - nomen omen - Sztuka, do stanu wojennego przewodniczący ogniska plastycznego w Grodzisku Mazowieckim, a obecnie - prezes nowo powołanego Związku Artystów Grafików. Spośród biorących udział w obradach twórców, szczególnie niekonwencjonalną opinię zgłosił dyrektor PIW, Andrzej Wasilewski. Stwierdził, że "poprzedni ZLP nie był samodzielny, stanowił zdalnie sterowany instrument ugrupowań politycznych, wbrew temu, co niektórzy mówią, teraz dopiero ZLP stanie się samodzielny". Obrady podsumował Wojciech Jaruzelski, stwierdzając, że w okresie stanu wojennego i po jego zniesieniu, istnieje wyraźna swoboda twórcza. Nikt nie jest skazany na milczenie, ale są książki, które nie są wydawane, gdyż mogą szkodzić równowadze społecznej i interesom socjalistycznego państwa. Wiemy więc już, co to jest nie wyraźna swoboda twórcza - to pewnie wtedy, gdy twórcy siedzą nie w obozach dla internowanych lecz koncentracyjnych, zaś ich książki są palone, a nie tylko niewydawane. Kończąc swoje wystąpienie, generał powiedział: "Osiedla marnieją, są dewastowane, panoszą się

szpetota i brud. To powinno być wykorzenione również przy pomocy twórców i ich sztuki". Czyzby Generał miał na myśli tych twórców, którzy w wyniku nieprzynależności do nowych związków twórczych uzyskają status pasożytów społecznych? A mówiono, że to plotka z tymi robotami przymusowymi dla krnąbrnych artystów.

Z DNIEM 1 LIPCA zawieszono emisję drugich programów Radia i Telewizji /choć właściwie - jeśli idzie o radio, nie wiadomo na pewno, czy właściwie zlikwidowano drugi czy też czwarty program/. Obecnie - w pierwszych dniach października zawieszone programy przywrócono, choć w okrojonej postaci. Prawdę mówiąc dopóki radio i telewizja są takie, jakie są, trudno oczekiwać, by zwiększenie lub zmniejszenie czasu emisji i liczby programów mogło wzbudzić jakieś autentyczne emocje. Tyle, że pod pretekstem zawieszenia programów znów wyrzucono z pracy ok. 400 osób, które - programy przywracając - jakoś zapomniano przyjąć.

W POPRZEDNICH MIESIĄCACH ciągle "mówiło się" o likwidacji dopiero co wznowionego po "wojennej" przerwie krakowskiego "Pisma". Teraz już wiadomo, że słowo stało się ciałem. W numerze "Tygodnika Powszechnego" z 11 września 1983 roku czytamy: "Korzystając z gościnnych łamów «Tygodnika Powszechnego» chcielibyśmy podziękować naszym licznym Czytelnikom i Współpracownikom za tylokrotnie okazywaną pomoc i zainteresowanie i, żegnając się z nimi z żalem dać wyraz przekonaniu, że trzynaście numerów miesięcznika «Pismo» zainicjowanego przez nas i redagowanego od marca 1981 do lipca 1983 /z ponad roczną przerwą w okresie stanu wojennego/ pozostanie w Ich życzliwej pamięci - Członkowie Zespołu Redakcyjnego miesięcznika «Pismo»". Ale... być może tytuł "Pismo" nie zniknie z rynku. Było bowiem tak: po dymisji red. naczelnego "Pisma", Jana Pieszczachowicza /od którego zażądano wyrzucenia kilku pracowników/, do dymisji podał się cały bez wyjątku zespół redakcyjny. Zaproponowano przejęcie redakcji Tadeuszowi Śliwiakowi, który zorientowawszy się, że nie może liczyć na współpracę dotychczasowej redakcji "Pisma" zrezygnował z przyjętej dopiero co nominacji. Wówczas wszczęto pertraktacje z grupą młodszych krytyków i literatów krakowskich na czele z Witem Jaworskim /oraz m.in. Leszek Bugajski i Adam Komorowski/, którzy zdecydowali się na wydawanie całkiem innego periodyku na miejsce "Pisma" pod projektowanym tytułem "Koniec wieku" /sic!/. Podobno jednak władze krakowskie, zażądały, aby nowy periodyk zachował stary tytuł. Póki co, ani "Pisma" ani "Końca wieku" w kioskach nie ma.

"OBOJĘTNI I CZEKAJĄCY z boku nigdy nie będą przegrani, lecz zawsze świętować będą - nie swoje - zwycięstwo" to motto do filmu R o b o t n i c y '8 3, który na zamówienie min. spraw zagranicznych, wg pomysłu Andrzeja Dziedzica ma niebawem powstać. A oto - nadający się do prima aprilisowego numeru "Zapisu", ale niestety prawdziwy tekst eksplikacji:

1. Formuła filmu: Jest to wielowątkowa opowieść o robotnikach, których łączy wspólne miejsce pracy - Stocznia Gdańska im. Lenina, dobre i złe doświadczenia, płynące ze wspólnie przeżytej historii ostatnich kilkunastu lat oraz wspólne myślenie o przyszłości Polski. W filmie będą toczyć się dwa wątki główne: jeden ukazywać będzie dążenie do zorganizowania zamieszek w stoczni i w mieście, drugi zaś dążenie do zorganizowania życia w stoczni i zakładzie zgodnie z ideą porozumienia narodowego. /.../ Film przedstawiać będzie retrospekcję wszystkich wydarzeń społecznych, jakie przeżywali stoczniowcy od 1970 roku, jak też ukaże rozmaite postawy ludzkie wobec obecnej rzeczywistości polskiej 1983 roku, poprzez odpowiedni dobór bohaterów filmu.

2. Bohaterowie. Spośród 13 tysięcznej społeczności stoczniowców wybieramy kilku, którzy stanowić będą reprezentację robotniczych postaw. Aktywnych, którzy usiłują walczyć z murem obojętności, organizując nowe związki zawodowe, samorządy robotnicze, wpływające na życie Zakładu poprzez działalność partyjną i frontu porozumienia narodowego. Przyglądających się z boku, którzy będą bohaterami niemymi /.../ udają przypadkowych świadków. Przeciwników idei porozumienia narodowego przedstawię w sytuacjach nie wprost, gdyż jest nią

mniejszość działająca z ukrycia. Za to ich argumenty widoczne są na rozlepionych ulotkach, wypisywanych hasłach, przy próbach sabotażu, w audycjach zachodnich rozgłośni i wreszcie w ulicznych awanturach. Niektórych bohaterów poznamy w sytuacji rodzinnej, by pokazać kryzysowe warunki życia /.../ a także, by wtrącić takie epizody jak "pomoc humanitarna" i skutki "blokady ekonomicznej".

3. Rozwój akcji /.../ Najczęściej będziemy obserwować naszych wybranych w sytuacjach wyjątkowych, konfliktowych, np. nerwowe chwile przed wodowaniem, praca społeczna /np. ostra dyskusja na zebraniu wydziałowym i niemożność załatwienia pewnych spraw socjalnych/. Natomiast wypowiedzi bohaterów wprost do kamery będą zawierały wyłącznie opinie i czysto osobiste sądy, a nigdy opowiadania o czymś. Ważnym elementem dramaturgicznym będą ulotkowo-instruktażowe działania podziemia. Ten wątek będzie wyraźnie zapowiadał dążenie do jakiejś awantury.

4. Retrospekcja. Jeden z bohaterów - stoczniowiec-emeryt, mieszkający w pobliżu stoczni, przywoływać będzie sceny retrospektywne. Jest to człowiek, który bardzo dużo przeżył w stoczni, przez to, że należał do ludzi aktywnych i takim jest do dziś w stoczniowej organizacji partyjnej. Pierwszą retrospekcję przywołuje kula, jaką przechowuje on w szklance w starym kredensie. Tę kulę wyjęto mu z rany w '70 r. Był w pierwszym szeregu. Wtedy na czele byli sami partyjni i ich najwięcej zginęło /.../ W odpowiedniej sytuacji przywoła wspomnienie strajku sierpniowego, później budowę pomnika poległych stoczniowców, falę strajków w 1981 roku, a widząc Wałęsę pracującego dziś przy naprawie wózka akumulatorowego, przywołuje utrwalone w pamięci wypowiedzi byłego przywódcy "Solidarności" o lepszym życiu, o tym, co Polak potrafi, o drugiej Japonii, fragmenty ze zjazdu "Solidarności" i wreszcie przemówienie jego zastępcy Szablewskiego przez radiowęzeł stoczniowy 11 grudnia '81, nawołujące stoczniowców do walki. Ostatnim wspomnieniem historii będzie 13 grudnia '81.

5. Kulminacja. Część poznanych bohaterów podążać będzie w ostatniej części filmu do dużej historycznej sali, którą poznaliśmy z retrospekcji sierpniowej, a część przechodzi obok budynku, gdzie mieści się sala BHP, podąża ku bramie, za którą pod pomnikiem stoczniowców zbierają się ludzie. Ilość ludzi w sali konferencyjnej rośnie, jak też rośnie liczba gromadzących się pod salą nr 2. Sala BHP już pełna, rozpoczynają się obrady stoczniowego PRON-u. Tymczasem pod pomnikiem wyrostki wznoszą ponad głową flagi ze znakiem "Solidarności". Znów sala BHP, gdzie słyszymy fragmenty wystąpienia i obserwujemy twarze poznanych już bohaterów. Pod pomnikiem wrzawa, okrzyki, kamienie, milicja rozpoczyna szturm. Zapada mrok, w sali BHP - przerwa, podczas której młody człowiek poznany już wcześniej w filmie czyta półgłosem deklarację PRON-u. Na ulicach petardy, milicja rozpędza już pojedyncze, małe grupy. Rozpoczyna się pościg za jednym z najbardziej wyróżniających się w tłumie młodzieńców /.../ Sceny coraz bardziej dynamiczne, wreszcie przez okrążenie zostaje schwytany. W sali konferencyjnej czytający ostatni fragment deklaracji PRON-u składa pod nią swój podpis, deklarując wstąpienie. Zaś człowieka schwytanego widzimy w sytuacji, gdy odpowiada na pytania funkcjonariuszy w komisariacie. Dowiadujemy się, że nigdzie nie pracuje, nie wie dlaczego brał udział w demonstracji, nie ma żadnego programu politycznego, lecz tylko brudne ręce od kamieni, nie reprezentuje sobą zupełnie nic".

OTO TEKST APELU KZ "Solidarność" Wytwórni Filmów Dokumentalnych: "Kierownicy WFD bronią się samotnie przed narzuceniem im tej haniebnej pracy. Nie wolno nam - członkom "Solidarności" - zostawić ich bez pomocy. Przecież wszyscy myślimy tak samo. Film, który by powstał z tego tekstu, będzie brudną plamą na honorze naszej Wytwórni. Będzie obrażał nas wszystkich, którzy jesteśmy jej pracownikami bez względu na wykonywany zawód. Realizatorzy WFD składają protest na ręce Dyrektora. Poprzyjmy ich! Piszmy protestujące pisma od poszczególnych wydziałów. Gdyby nasze starania zawiodły i jakaś ekipa jednak wyjechała - zwracamy się do członków "Solidarności" w stoczni gdańskiej : Wy ko-

ledzy - najlepsi z najlepszych /.../ będziecie wiedzieli co czynić, żeby utrudnić powstanie tego filmu". Bez komentarza.

W ZWIĄZKU Z PRZYZNANIEM MU nagrody Ministra Kultury i Sztuki, prof. Zbigniew Wójcik wystosował na ręce min. Żygulskiego następujący list: "Wielce Szanowny Panie Ministrze, w czasie urlopu dowiedziałem się z prasy, następnie zaś zostałem powiadomiony oficjalnym pismem /.../ o przyznaniu mi nagrody Pana Ministra w dziedzinie literatury za pracę pt. J a n S o b i e s k i 1 6 2 2 - 1 6 9 6. Nie taję, iż to wysokie wyróżnienie sprawiło mi dużą satysfakcję oraz - po raz pierwszy od przeszło 20 miesięcy - sporo radości /.../ W tej sytuacji pragnę jak najbardziej szczerze podziękować Panu Ministrowi oraz nieznanym mi wnioskodawcom i jurorom za tak wysoką ocenę mojej pracy o Janie III, nad którą spędziłem wiele lat życia. Z drugiej strony muszę stwierdzić, że przyznanie mi nagrody postawiło mnie przed poważnym konfliktem moralnym. W kraju naszym działo się, dzieje się i absolutnie nic nie wskazuje na to, by nie miało dziać się dalej, wiele rzeczy i spraw, z którymi w żaden sposób pogodzić się nie mogę. Szczególne nasilenie tych faktów ma miejsce dosłownie w ostatnim miesiącu, począwszy od słynnych ustaw sejmowych przyjętych w lipcu a skończywszy na likwidacji założonego przez Stefana Żeromskiego ZLP, rozwiązaniu zarządu PEN-Clubu Polskiego i niewybrednej kampanii, zniesławiającej pana Lecha Wałęsę. Z ogromnym niepokojem śledzą miliony ludzi powolne, ale wyraźne "zamieranie" w sprawie ś.p. Grzegorza Przemyka. Dodatkowy, bolesny dla mnie fakt miał miejsce na spotkaniu wicepremiera Rakowskiego z robotnikami ze Stoczni Gdańskiej, kiedy to pan Wicepremier, powołując się na moją książkę w sposób całkowicie ahistoryczny, a więc fałszywy, nacechowany natomiast bezgraniczną pogardą dla robotników, przyrównał ich do warchołów magnackich zrywających pod koniec XVII wieku sejmy polskie i prowadzących naszą ojczyznę ku nieuchronnej zgubie. Podane przeze mnie fakty to tylko nieliczne powody moich trosk, bólów i - nie waham się użyć tego słowa - tragedii, które od dłuższego czasu przeżywam. Sądzę, że z poglądów moich, które w największym skrócie zasygnalizowałem, muszę wyciągnąć jedyny konsekwentny wniosek - zrezygnować z nagrody Pana Ministra. Przyjęcie jej byłoby z mojej strony dwulicowe i niemoralne. Żywię głęboką nadzieję, iż Pan Minister, nie zgadzając się z moimi poglądami ani decyzją, zechce zrozumieć, że nie jest ona równoznaczna z jakimś pustym gestem, ale jest sprawą głęboko przemyślaną, podyktowaną przez moje sumienie. Łączę wyrazy należytego szacunku. /-/. Prof. dr Zbigniew Wójcik /list powyższy został zamieszczony bez zgody i wiedzy autora/.

W ŚRÓD około 150-tysięcznej rzeszy pielgrzymów, którzy wzięli udział w sierpniowej 272 Pieszej Warszawskiej Pielgrzymce do Częstochowy, była również ponad 800-osobowa grupa twórców kultury, prowadzona jak co roku przez o. Huberta Czumę z Radomia. Podczas dziewięciodniowej wędrówki pątnicy rozważali problem nadziei w życiu chrześcijanina.

Z ZAGRANICY: ŻYJEMY ZNIEWOLENI PRZEZ BOMBĘ: fragmenty mowy, wygłoszonej przez znanego pisarza amerykańskiego E.Doctorova /R a g t i m e/ na uroczystości wręczania tytułów naukowych w Sarah Lawrence College.

"Cywilizacja znajduje się w chwili obecnej w poważnym zagrożeniu. Od 1945 roku trwa nieustannie jej stan oblężenia. Jesteście zbyt młodzi na to, aby pamiętać czas, kiedy nie było Bomby. Ja sam jestem w tym wieku, że pamiętam go bardzo słabo /.../ W umyśle pisarza pojęcie broni nuklearnej traci całkowicie swój polityczny i militarny aspekt. Zostaje za to podważony sens uprawiania literatury, ponieważ przypuszczalnie opowieść o pojedynczym człowieku nie będzie mogła zawrzeć implikacji dla losu zbiorowości. Jeśli byłoby to prawdą, stanowi to poważne ograniczenie dla ludzi z mojej branży. Zatraca się wtedy konsekwencja, a podstawowe założenie o nieograniczonych możliwościach ludzkiej duszy, które czyni pisanie w ogóle możliwym, Bomba stawia pod szyderczym znakiem zapytania. /.../ W ciągu ostatniego dziesięciolecia dokonał się przerażający ubytek energii moralnej w sztuce, polityce, w oczekiwaniach społecznych. Powodowani etyką pragmatycznego egoizmu rzuciliśmy się na oślep

w zacisze prywatnego życia, zamykając drzwi za sobą. W imię prymitywnie pojmowanego indywidualizmu oddajemy cześć chciwości, obżarstwu i społecznemu przymusowi. Prawdziwy indywidualizm jest natomiast czymś zupełnie przeciwstawnym; jest to poświęcenie się twardemu, wypełnionemu walką życiu /.../ Powodowani strachem wybraliśmy najgłupszego i najbardziej nieudolnego prezydenta w naszej historii, którego żarliwe prostactwo umysłowe jakby reklamowało nasz upadek. Ale on należy do nas, a my do niego. Pozwólcie mi zilustrować to, o czym mówię, przykładami. W zeszłym roku po masakrze 600 palestyńskich uchodźców w zachodnim Bejrucie, 350 tysięcy Izraelitów a więc w przybliżeniu 1/10 ludności tego kraju, demonstrowało w Tel-Awiwie, żądając dymisji premiera i ministra obrony. Podobnego skrytobójstwa dokonuje na salwadorskich chłopach rząd tego kraju. Dzieje się to pod egidą Ameryki, przy pomocy amerykańskiej broni i pieniędzy, a wywołuje to w naszym kraju tylko sporadyczne protesty. /.../ Dlaczego? Moim zdaniem dlatego, że to, co ten prezydent robi w Salwadorze łączy się z tym, co poprzedni prezydenci robili w Chile, Wietnamie, Gwatemali, Dominikanie i Iranie. 35 lat istnienia ideologii zimnowojennej, ideologii Bomby nie mogło nie pozostawić uszczerbku na narodowej mentalności; przecież z tego zakłamania wynika, że obstając za ideałami demokracji, odmawiamy prawa do korzystania z jej dobrodziejstw innym /.../ Od 35 lat jesteśmy połączeni z Rosjanami manichejskim systemem myśli państwowej, która w końcu nie może się opłacić cywilizacji ludzkiej. I podobnie jak my mieliśmy precedensy dla Salwadoru, tak Rosjanie mieli precedensy dla Afganistanu, Polski, Etiopii, Angoli, Czechosłowacji i Węgier. Każde z posiadających Bombę dwóch mocarstw ma swojego demonicznego wroga, poprzez którego usprawiedliwia swoje akcje szpiegowskie, zabójstwa, interwencje i inwazje. Oni żyją w totalitaryzmie, my w demokracji, oni są społeczeństwem zamkniętym, my otwartym, odrzucamy wszystko, za czym opowiada się Rosja, ale powstało między nami przeklęte przymierze, gargantuiczna zażyłość, przez którą ideologiczne różnice stały się dla świata mniej ważne niż fakt, że posiadamy tę samą mentalność nasze wzajemne reakcje są do siebie podobne jak lustrzane odbicie, mamy w rękach te same bomby, prześcigamy się w popełnianiu zbrodni i rozgrzeszaniu się za nie. /.../ Musimy uważać na siebie. Jesteśmy zniewoleni przez istnienie naszej Bomby. Musimy mieć się na baczności przed okazywaniem nerwowości i strachu w gęstniejącej atmosferze dyskusji publicznych, przed znużeniem w życiu prywatnym, przed rosnącym stopniem irracjonalności w stosunkach grupowych, przed tendencją wybranych przez nas rządów do ograniczania naszych swobód politycznych, przed tą presją, której nie odrzucamy, a której ulegamy dla świętego spokoju w milczeniu. Być może zbliża się czas, kiedy będziemy musieli wybierać pomiędzy dwiema rzeczywistościami: historyczną, ludzką rzeczywistością uczuć, myśli, wszelkich form ekspresji, życia i miłości, naturalnej śmierci oraz ponadludzką rzeczywistością statystycznych, sztywnych, ahistorycznych, zamkniętych i współzawodniczących ze sobą mitycznych struktur politycznych, które w naszym imieniu, wypływające z najbardziej barbarzyńskich impulsów, które pozbawiają 99% ludzkości prawa do, jeśli nawet, tragicznego uczestnictwa w wypełnieniu się jej przeznaczenia. Bomba jest, istnieje już nawet kultura Bomby i musimy obie te rzeczy rozbroić. Zależy to od was samych".

+ + + + + + +

CENA: 300 ZŁ

WYDAWNICTWO
KRĄG
WARSZAWA
1984